

ŚLADY



ZBRODNI

Bestsellerowa seria z Johnem Pullerem

DAVID BALDACCİ Toward



Towar

Seria z Johnem Pullerem

Dzień
zero

Towar

DAVID
BALDACCI

Towar

Przełożyła z angielskiego
Beata Hrycak


WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

Zapraszamy na www.publicat.pl

Tytuł oryginału

The Forgotten

Projekt okładki

MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografie na okładce

© inLite studio/Shutterstock

© Anna Goncharowa/Unsplash

Koordinacja projektu

NATALIA STECKA

Redakcja

URSZULA ŚMIETANA

Korekta

ANNA JACKOWSKA

Redakcja techniczna

LOREM IPSUM

Copyright © 2012 by Columbus Rose, Ltd.

Polish edition © Publicat S.A., MMXIX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-5962-5

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 2519, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[1](#) / [2](#) / [3](#) / [4](#) / [5](#) / [6](#) / [7](#) / [8](#) / [9](#) / [10](#) / [11](#) / [12](#) / [13](#) / [14](#) / [15](#) /

[16](#) / [17](#) / [18](#) / [19](#) / [20](#) / [21](#) / [22](#) / [23](#) / [24](#) / [25](#) / [26](#) / [27](#) / [28](#) /

[29](#) / [30](#) / [31](#) / [32](#) / [33](#) / [34](#) / [35](#) / [36](#) / [37](#) / [38](#) / [39](#) / [40](#) / [41](#) /

[42](#) / [43](#) / [44](#) / [45](#) / [46](#) / [47](#) / [48](#) / [49](#) / [50](#) / [51](#) / [52](#) / [53](#) / [54](#) /

[55](#) / [56](#) / [57](#) / [58](#) / [59](#) / [60](#) / [61](#) / [62](#) / [63](#) / [64](#) / [65](#) / [66](#) / [67](#) /

[68](#) / [69](#) / [70](#) / [71](#) / [72](#) / [73](#) / [74](#) / [75](#) / [76](#) / [77](#) / [78](#) / [79](#) / [80](#) /

[81](#) / [82](#) / [83](#) / [84](#) / [85](#) / [86](#) / [87](#) / [88](#) / [89](#) / [90](#) / [91](#) / [92](#) / [93](#) /

[94](#) / [95](#) / [96](#) / [97](#) /

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

*Ciotce Peggy, aniołowi na ziemi,
jeśli taki kiedykolwiek istniał*

1

Miał minę człowieka, który boi się, że ten wieczór będzie jego ostatnim. Nie bez powodu. Prawdopodobieństwo, że tak się stanie, wynosiło pięćdziesiąt procent i mogło wzrosnąć w zależności od tego, co przyniesie najbliższa godzina.

Margines błędu był minimalny.

Ryk dwusilnikowej łodzi płynącej na niemal pełnym gazie zniweczył nocną ciszę uśpionych wód oceanu. O tej porze roku, w sezonie huraganów, Zatoka Meksykańska zwykle nie bywała tak spokojna. Choć na otwartym Atlantyku zanosilo się na kilka sztormów, jak dotąd żaden nie uformował silnego centrum i nie wdarł się do zatoki. Wszyscy na wybrzeżu trzymali kciuki i modlili się, by tak pozostało.

Kadłub z włókna szklanego równo ciął gęstą, słoną wodę. Łódź mogłaby wygodnie przewozić około dwudziestu osób, lecz na pokładzie znajdowało się ich trzydzieści. Rozpaczliwie trzymali się wszystkiego, czego tylko mogli, żeby nie wypaść za burtę. Nawet na spokojnym morzu nadmiernie obciążona łódź, poruszająca się z dużą prędkością, nigdy nie będzie zbyt stabilna.

Sterujący nią kapitan nie dbał o wygodę pasażerów. Dla niego najważniejsze było przetrwanie. Jedną ręką trzymał ster, drugą – podwójną manetkę. Z niepokojem obserwował prędkościomierz.

Dawaj, dawaj. Dasz radę. Uda się.

Sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Pchnął manetkę do przodu i wskaźnik powoli przesunął się na siedemdziesiąt. Niemal maksymalna prędkość. Nawet gdyby łódź miała silnik dwuśrubowy,

nie byłby w stanie osiągnąć większej szybkości bez nadmiernego zużycia paliwa. A w pobliżu nie było żadnych przystani, by zatankować bak.

Panował upał, którego nie łagodził nawet prąd powietrza wywołany ruchem łodzi. Przynajmniej nie trzeba było przejmować się komarami. Nie przy tej prędkości i tak dużej odległości od lądu. Mężczyzna kolejno taksował podróżnych wzrokiem. Nie tracił czasu na jałową obserwację – liczył głowy, choć znał już wynik. Czterech członków załogi. Wszyscy uzbrojeni, wszyscy pilnowali „pasażerów”. W razie buntu przypadałoby pięciu na jednego. Ale „pasażerowie” nie mieli na wyposażeniu pistoletów maszynowych. Jeden magazynek wystarczyłby do sprzątnięcia ich wszystkich, i jeszcze zostałyby wolne naboje. Większość stanowiły kobiety i dzieci, ponieważ to właśnie na nie było największe zapotrzebowanie.

Nie, bunt go nie martwił. Martwił go czas.

Spojrzał na swój podświetlany zegarek. Będzie trudno. Z opóźnieniem wyruszyli z ostatniego posterunku. Potem ich ploter nawigacyjny wariował przez trzydzieści szargających nerwy minut, kierując ich w złą stronę. Bezkresny ocean. Gdziekolwiek spojrzeć, wszystko wygląda tak samo. Żadnego lądu, który pomógłby w nawigacji. Nie płynęli wytyczonymi kanałami żeglugowymi. Bez elektronicznych drogowskazów wpadliby w poważne tarapaty. To jak pilotowanie samolotu w gęstej mgłę bez żadnego oprzyrządowania. Skutek może być tylko jeden: katastrofa.

Problem z ploterem na szczęście udało się rozwiązać, skorygowali kurs, a kapitan natychmiast docisnął gaz. A potem jeszcze mocniej. Jego wzrok raz po raz mknął ku desce rozdzielczej, by skontrolować poziom oleju, paliwa oraz temperaturę silnika. Każda awaria miałaby opłakane skutki. Przecież nie mogli wezwać na pomoc straży przybrzeżnej.

Daremnie wypatrywał na niebie czujnych oczu. Bezzałogowych oczu przesyłających gigabajty danych na temat tego, co widzą. Zespoły reagowania usłyszałyby dopiero wtedy, gdy byłoby już za późno. Kutry straży przybrzeżnej okrążyłyby ich, zanim zdążyliby wykonać jakikolwiek manewr. Strażnicy wtargnęliby na pokład, natychmiast zorientowałiby się, co jest grane, a on trafiłby do więzienia na długie lata, prawdopodobnie na dożywocie.

Jednak bardziej niż straży przybrzeżnej bał się innych ludzi.

Zwiększył prędkość łodzi do siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę i modlił się w duchu, żeby nie wysiadł główny silnik. Ponownie zerknął na zegarek. Odliczał w głowie minuty, lustrując wodę przed sobą.

– Rzucać mnie rekinom na pożarcie – mruknął pod nosem.

Nie po raz pierwszy żałował, że zgodził się na ten śliski interes. Jednakże wynagrodzenie było tak dobre, że pomimo ryzyka po prostu nie mogliby odrzucić propozycji. Wykonał już piętnaście takich kursów i wykombinował sobie, że po kilkunastu kolejnych mogliby rzucić wszystko w diabły, osiąść w jakimś ładnym, spokojnym miejscu gdzieś na archipelagu Florida Keys i żyć sobie tam jak król. Taki wariant bił na łeb, na szyję opcję wypływania z pozieleniałymi na twarzach turystami z północy na połów tuńczyka albo marlina, co przy wzburzonym morzu najczęściej kończyło się nie udanym połowem, a zarzyganiem całego pokładu.

Ale najpierw muszę dopłynąć tą łajbką do celu i dostarczyć tych ludzi we wskazane miejsce.

Przyglądał się czerwonym i zielonym światłom nawigacyjnym na dziobie. Rzuciły nikły blask w mroku bezksiężycowej nocy. Odliczał w myślach kolejne minuty, nie przestając śledzić zegarów.

I nagle zamarło mu serce.

Zaczynało się kończyć paliwo. Wskaźnik opadał niebezpiecznie

blisko poziomu rezerwy. Poczł skurcz żołądka. Łódź ma za duże obciążenie. Problem z systemem nawigacji kosztował ich ponad godzinę spóźnienia, wiele mil morskich oraz cenne paliwo. Zawsze dla pewności zabierał dziesięć procent zapasu, lecz nawet ta nadwyżka może nie wystarczyć. Ponownie przyjrzał się pasażerom. Głównie kobiety i nastolatki, ale także muskularni mężczyźni wazący, lekko licząc, ponad dziewięćdziesiąt kilogramów każdy. Był też wśród nich prawdziwy olbrzym. Wyrzucenie pasażerów za burtę w ramach rozwiązania kwestii niedostatku paliwa wydawało się więcej niż problematyczne. Równie dobrze mógłby przyłożyć sobie lufę do skroni i pociągnąć za spust.

Szybko powtórzył w głowie obliczenia, tak jak czynią piloci samolotów po otrzymaniu pełnej listy pasażerów i ładunku. Pytanie pozostawało takie samo, bez względu na to, czy transport odbywał się drogą wodną czy dziewięć tysięcy metrów nad ziemią.

Czy wystarczy mi paliwa, żeby dotrzeć na miejsce?

Napotkał wzrok jednego ze swoich ludzi i przywołał go skinieniem. Mężczyzna wysłuchał obaw szefa i dokonał własnych obliczeń.

– Będzie ciężko – odparł ze zmartwioną miną.

– A nie możemy zacząć wyrzucać ludzi za burtę – skwitował kapitan.

– Zgadza się. Mają listę. Wiedzą, ilu wieziemy. Gdybyśmy zaczęli spychać ich do wody, równie dobrze moglibyśmy skoczyć tam sami.

– Co ty nie powiesz, cwaniaku – warknął kapitan.

Podjął decyzję i poluzował manetkę, redukując prędkość do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Śruba zwolniła obroty. Łódź nadal była na pełnym ślizgu. Gdy patrzyło się gołym okiem, nie widziało się wielkiej różnicy między sześćdziesięcioma

pięcioma a siedemdziesięcioma pięcioma kilometrami na godzinę, ale zmniejszone zużycie paliwa mogło przekładać się na różnicę między pustym bakiem przed końcem podróży a jej planowym zakończeniem. Zatankują na miejscu i droga powrotna z zaledwie pięcioma osobami na pokładzie nie będzie stanowiła problemu.

– Lepiej być trochę później niż wcale – zdecydował ostatecznie.

Zabrzmiało to na tyle nieszczerze, że nie umknęło uwadze drugiego mężczyzny. Mocniej zacisnął ręce na broni. Kapitan odwrócił wzrok. Ścisnęło mu się gardło, obleciał go blady strach.

Dla ludzi, którzy go wynajęli, czas był istotny. Spóźnienie, choćby tylko o kilka minut, nigdy nie było mile widziane.

Nagle ten zawrotny zysk wydał się niewart zachodu. Trudno wydawać pieniądze, kiedy jest się trupem.

Na szczęście pół godziny później, gdy silniki zaczynały zasysać powietrze zamiast paliwa, kapitan dostrzegł przed sobą cel podróży. Wyrastał prosto z oceanu niczym tron Neptuna.

Byli na miejscu. Mocno spóźnieni, ale przynajmniej się udało.

Spojrzał na pasażerów. Oni także wpatrywali się w tę konstrukcję wytrzeszczonymi oczami. Trudno się im dziwić. Choć widzieli taką budowlę nie pierwszy raz, teraz – nocą – jawiła się im niczym jakieś monstrum. Zresztą i jemu też włosy stawały dęba na głowie, chociaż odbył już wiele podobnych rejsów. Chciał jedynie zrzucić ładunek, napełnić bak i wziąć dupę w troki. Gdy tylko dwadzieścioro pięcioro pasażerów zejdzie z pokładu, staną się cudzym zmartwieniem.

Zmniejszył moc silników, powoli i ostrożnie przybijał do pływającej metalowej platformy przywiązanej do większej konstrukcji. Kiedy zamocowano cumy, czyjeś ręce zaczęły ściągać pasażerów na platformę, która podskakiwała na lekkiej fali powstałej w trakcie manewru.

Nie widział większego statku, który zwykle czekał, by zabrać ludzi w dalszą drogę. Musiał już odpłynąć z ładunkiem.

Gdy kapitan podpisał dokumenty i odebrał zapłatę w zafoliowanych, owiniętych taśmą paczkach, rzucił okiem na pasażerów stłoczonych przy długich metalowych schodach. Wszyscy wyglądali na przerażonych.

I słusznie, pomyślał. Nieznane nie przeraża tak bardzo jak znane. On zaś doskonale rozumiał, że ci ludzie są aż nadto świadomi tego, co ich czeka. I wiedzieli też, że ich los nie obchodzi nikogo.

Nie byli bogaci.

Nie byli wpływowi.

Byli towarem.

Ich liczba rosła w postępie geometrycznym, ponieważ świat szybko przeobrażał się w krainę bogatych, a co za tym idzie – wpływowych, za której granicami pozostawała cała reszta. A jeśli bogaci i wpływowi czegoś pragnęli, zwykle to dostawali.

Otworzył jeden z plastikowych pakietów. Jego mózg z opóźnieniem zarejestrował obraz, jaki się ukazał jego oczom. Kiedy stało się jasne, że zamiast pieniędzy trzyma w dłoniach pociętą gazetę, podniósł wzrok.

Z odległości około trzech metrów z lufy MP5 mierzył do niego mężczyzna stojący na „tronie Neptuna”. Ta prawdziwa maszynka do zabijania jeszcze tej samej nocy miała dowieść swej przerażającej skuteczności.

Kapitan zdążył tylko podnieść rękę, jak gdyby mięśnie i kości mogły zablokować grad kul sypiących się z prędkością znacznie większą niż ta rozwijana przez jumbo jeta. Miały moc tysięcy dzuli. Dwadzieścia naboju wpakowanych w niego w tym samym czasie rozerwało ciało na strzępy.

Siła gradu pocisków zmiotła je burtę. Zanim mężczyznę

pochłoneła ciemna toń, dołączyła do niego czwórka pozostałych członków załogi. Martwych, pokawałkowanych jak on. Wszyscy zniknęli w morskich głębinach. Rekiny będą miały wyżerkę.

Punktualność była, jak się zdawało, nie tylko cnotą, lecz także absolutną koniecznością.

2

Z łodzi natychmiast spuszczone paliwo, olej oraz inne płyny, a następnie ją zatopiono. Na powierzchni wody utworzyła się wielka połyskująca plama ropy, która byłaby widoczna dla samolotów patrolowych straży przybrzeżnej oraz DEA¹.

Za dnia opuszczona platforma wiertnicza wyglądałaby na... opuszczoną. Żadnego więźnia w polu widzenia. Wszyscy znajdowaliby się w środku głównej konstrukcji, bezpiecznie ukryci przed niepożądanym wzrokiem. Transport świeżego towaru odbywał się wyłącznie nocą. W dzień zawieszano wszelkie działania. Ryzyko, że ktoś coś zobaczy, było zbyt duże.

Tysiące nieczynnych platform wiertniczych w Zatoce Meksykańskiej czekało albo na rozbiórkę, albo na przekształcenie w sztuczne rafy. Choć prawo wymagało ich demontażu lub transformacji w ciągu roku od zamknięcia, w rzeczywistości termin tych zmian znacznie się odwlekał. I przez cały czas platformy – wystarczająco duże, by wygodnie pomieścić setki osób – po prostu stały sobie na wodach zatoki z dala od wybrzeża. Niezagospodarowane doskonale nadawały się do eksploatacji przez pewnych ambitnych ludzi, którzy potrzebowali miejsc do wyładunku cennego towaru, sprowadzanego tu przez morskie otchłanie.

Podczas gdy łódź powoli tonęła w głębokich wodach zatoki, pasażerów pędzono po stalowych schodach na górę. Byli ciasno powiązani. Młodszy z trudem nadążali za dorosłymi. Gdy upadali, brutalnym szarpnięciem natychmiast podciągano ich do szeregu i bito po barkach oraz ramionach. Twarze oszczędzano.

Jeden z mężczyzn, znacznie rośniejszy niż cała reszta, wspinał się po metalowych schodach ze spuszczonego wzrokiem. Był zwałisty i muskularny, miał ponad dwa metry wzrostu, szerokie bary i wąskie biodra, obwód w udzie i łydce jak u zawodowego sportowca. Miał też żylaste mięśnie i wychudzoną twarz człowieka, który nie dojadł w dzieciństwie. Sprzeda się go za dobrą cenę, choć nie tak wysoką jak za dziewczyny. Z oczywistych powodów. Wszystko opierało się na zysku, a dziewczyny, zwłaszcza te młodsze, przynosiły najwyższy. Którego można czerpać przez co najmniej dziesięć lat. Przez ten czas wszystkie razem zarobią dla swoich właścicieli miliony dolarów.

Z kolei życie mężczyzny będzie stosunkowo krótkie, ponieważ zapracuje się na śmierć, i to dosłownie. Tak przynajmniej sądzili ci, którzy go pojмали. Otrzyma etykietkę PNM – „produktu o niskiej marży”. Natomiast dziewczyny będą po prostu nazywane złotem.

Mamrotał coś pod nosem, ale najwyraźniej w języku, którego nikt dokoła nie rozumiał. Przeoczył jeden stopień i się potknął. Na jego ramiona oraz łydki natychmiast posypały się ciosy pałki. Jeden trafił w twarz i rozkrwawił mu nos. Nie było powodu, aby przejmować się jego wyglądem.

Wstał i szedł dalej. I nie przestawał mamrotać. Pobicie chyba nie zrobiło na olbrzymie większego wrażenia.

Przed nim wchodziła po schodach dziewczyna, która raz się na niego obejrzała, on jednak nie odwzajemnił spojrzenia. Starsza kobieta z tyłu pokręciła głową i zmówiła modlitwę w swoim ojczystym hiszpańskim, a na koniec się przeżegnała.

Mężczyzna potknął się ponownie i znów pałka poszła w ruch. Strażnicy coś tam do niego gadali, wymierzali mu twarde ciosy. Przyjął karę, podniósł się i szedł dalej. I mamrotał.

Błyskawica na sekundę rozjaśniła niebo na wschodzie. Nie wiadomo, czy mężczyzna zinterpretował to zjawisko jako boski znak do działania. Za to jego czyny nie pozostawiały co do tego najmniejszych wątpliwości.

Natarł na jednego ze strażników z takim impetem, że mężczyzna wypadł za poręcz i runął ponad dziewięć metrów w dół, odbijając się od stalowej platformy. Siła uderzenia złamała mu kark. Leżał znieruchomiał.

Nie zauważono ostrego noża, który mamroczący olbrzym wyciągnął strażnikowi zza pasa. Tylko po to go zaatakował. Gdy uzbrojeni bandyci składali się do strzału, zakładnik przeciął krępujące go więzy, z haka na barierce zerwał kamizelkę ratunkową, założył ją na siebie i zeskoczył po przeciwnej stronie platformy.

Dlatego nie runął na stalowy podest. Wylądował w ciepłych wodach zatoki.

Niezgrabnie rozciął taflę wody i się zanurzył.

Chwilę później powierzchnię morza rozpruły serie pocisków wystrzelonych z karabinów MP5, tworząc setki malutkich spienionych grzyw. Po kilku minutach spuszczone za nim szalupę. Ale on przepadł jak kamień w wodę. Po ciemku mógłby odpłynąć w dowolnym kierunku, trzeba by spenetrować duży obszar. W końcu szalupa zawróciła. Wody zatoki się uspokoiły. Prawdopodobnie utonął, pomyśleli.

A jeśli nie, to wkrótce utonie.

Pozostali więźniowie, w liczbie dwudziestu czterech sztuk, kontynuowali mozolną wędrówkę do cel na górze, gdzie będą przetrzymywani do czasu przybycia następnej łodzi, która zabierze ich w dalszą podróż. Umieszczano ich najczęściej po pięć osób w jednej klatce. Dołączali do innych więźniów, którzy także czekali

na transport na ląd. Młodych, starszych i takich pomiędzy. Wszyscy byli obcokrajowcami, wszyscy biedni albo żyjący na marginesie. Niektórych wybrano i pojmano. Inni po prostu mieli pecha.

Pech pechem, ale za chwilę będzie jeszcze gorzej.

Strażnicy, w większości też obcokrajowcy, nigdy nie nawiązywali kontaktu wzrokowego i niemal nie zauważali istnienia swoich jeńców z wyjątkiem tych momentów, kiedy wsuwali im do klatek talerze z jedzeniem i dzbanki z wodą.

Jeńcy byli bezimiennymi, nic nieznaczącymi cząsteczkami materii tymczasowo przebywającymi w Zatoce Meksykańskiej. Siedzieli w kucki. Niektórzy patrzyli przez szczeble krat, większość wbijała wzrok w podłogę. Byli pokonani, zrezygnowani, apatyczni, nie próbowali podjąć walki ani znaleźć drogi na wolność. Zdawali się stoicko pogodzeni z losem.

Starsza kobieta, która szła wcześniej za olbrzymem, od czasu do czasu przenosiła wzrok na taflę oceanu daleko w dole. Nie byłaby w stanie niczego dojrzeć z tej zamkniętej przestrzeni. Ale raz czy dwa wydawało się jej, że coś widzi. Gdy przyniesiono posiłek i wodę, pobrała swój skromny przydział, rozmyślając o mężczyźnie, który zdobył się na ucieczkę. W milczeniu podziwiała jego odwagę, nawet jeżeli przypłacił ją życiem. A jeśli nie żył, przynajmniej był wolny. To dużo lepszy los niż ten, który ją czekał.

Tak, może to on jest szczęściarzem, pomyślała. Włożyła do ust kęs chleba, wypła łyk ciepłej wody z plastikowego dzbanka i zupełnie zapomniała o śmiałku.

Niecały kilometr od „tronu Neptuna” płynął mężczyzna. Obejrzał się w kierunku zostawionej daleko w tyle konstrukcji, teraz już dla niego niewidocznej. Nigdy nie nosił się z zamiarem dopłynięcia do brzegu z platformy wiertniczej. To była całkowita

improvizacja. Planował polecieć samolotem z Teksasu na Florydę. Tymczasem wskutek własnej nieostrożności nieoczekiwanie stał się ofiarą. Musiał jednak dostać się na ląd, a jedyny sposób dotarcia tam to przebycie drogi wplaw.

Poprawił kamizelkę ratunkową – była dla niego za ciasna, ale pomagała utrzymywać się na powierzchni – i przez chwilę balansował, starając się wykonywać jak najmniej niepotrzebnych ruchów. Następnie przekreślił się na plecy i zaczął po prostu unosić się na wodzie. W ciemności rekiny wypływały na żer. Prędzej czy później będzie musiał ruszyć dalej. Noc była na to najlepszą porą pomimo niebezpieczeństw czyhających ze strony płetwiastych drapieżników. Światło dzienne narażałoby go na zbyt wiele zagrożeń, głównie ze strony człowieka. Korzystając z cennych wskazówek nawigacyjnych dawanych przez gwiazdy, wyruszył w kierunku, jak mniemał, lądu. Od czasu do czasu spoglądał wstecz na platformę, z całych sił próbując utrwalić sobie w myślach jej położenie na niezmiernych wodach zatoki. Choć było to mało prawdopodobne, nie mógł wykluczyć, że kiedyś będzie musiał trafić do niej ponownie.

Wykonywał oszczędne ruchy, pozornie bez wysiłku. Dzięki wytrzymałości kamizelki mógł utrzymywać takie tempo godzinami. Zresztą nie miał wyjścia, jeśli chciał dotrzeć do zamierzonego celu. Postanowił obrócić niedoszłą katastrofę na swoją korzyść.

Będzie zmierzał w tym samym kierunku, w którym kolejna motorówka zabrałaby go w późniejszym czasie. Może wyprzedzi innych przetrzymywanych na platformie i dotrze do celu przed nimi, jeśli tylko rekiny nie pokrzyżują mu planów, odgryzając rękę albo nogę i pozostawiając samego jak palec, aż wykrwawi się na śmierć.

Jego ruchy stały się machinalne, podobnie jak oddychanie. Dzięki temu mógł puścić myśli swobodnie, a potem skupić się na

tym, co go czekało. Droga będzie długa i wyczerpująca, najeżona niebezpieczeństwami. Pewnie nie raz otrze się o śmierć. Ale wytrzymał już tak wiele, by znaleźć się w tym punkcie. Wola przetrwania pchała go naprzód.

I trzeba mieć nadzieję, że ona wystarczy.

Zwykle wystarczała w życiu, jakże dalekim od normalności, za to naznaczonym przede wszystkim nieszczęściem i cierpieniem.

Ze spokojem ducha uznał, że taki już jego los.

I płynął dalej.

3

Starsza kobieta była wysoka, ale przygarbiona. Jej kręgosłup wygiął się w ostatniej dekadzie, co obniżyło wzrost o ładnych parę centymetrów. Miała krótko ostrzyżone włosy, obramowujące prostymi cięciami twarz, która nosiła ślady szkód wyrządzonych przez słońce oraz gęstą sieć zmarszczek, jakich można się spodziewać po ponad osiemdziesięciu latach życia, w tym dwóch ostatnich dziesięcioleciach spędzonych na wybrzeżu Florydy. Poruszała się przy pomocy balkonika. Przyczepione na dole jego przednich nóg piłki tenisowe poprawiały stabilność przyrządu.

Kobieta dużymi dłońmi ścisnęła górną poprzeczkę ramy. Torebkę przewiesiła sobie przez ramię. Dużą, pękatą, która niezgrabnie obijała się o ciało. Szła zdecydowanym, miarowym krokiem. Nie patrzyła ani w prawo, ani w lewo, ani za siebie. Miała do wypełnienia misję i mijający ją na ulicy przechodnie dobrowolnie schodzili jej z drogi. Niektórzy uśmiechali się pod nosem na widok stukniętej, jak zapewne uważali, starszej pani, której już nie obchodzi, co sobie o niej ludzie pomyślą. I rzeczywiście, nie obchodziło jej to wcale. Ale stuknięta nie była ani trochę.

Cel jej wędrówki znajdował się na wprost.

Skrzynka pocztowa.

Wsparta na chodziku podsunęła się pod samą skrzynkę, wolną rękę oparła o masywną własność Poczty Stanów Zjednoczonych. Drugą ręką sięgnęła do torebki i wyjęła z niej list. Zawahała się i ostatni raz rzuciła okiem na adres.

Poświęciła sporo czasu na napisanie tego listu. Młodsze

pokolenie – z ich tweetami, Facebookiem, enigmatycznymi esemesami i e-mailami, w których nie posługiwano się normalnym językiem ani gramatyką – nigdy by nie zrozumiało, po co marnować czas na wysmażenie takiej odręcznej epistoły. Ale jej zależało na starannym doborze słów, ponieważ to, o czym pisała, było naprawdę niezwykle. Przynajmniej w jej mniemaniu.

Nazwisko adresata wypisała wielkimi literami, jak najwyraźniej. Nie chciała, by ten list zaginął.

Generał John Puller senior (w stanie spoczynku)

Wysyłała go na adres szpitala dla weteranów, w którym, jak wiedziała, przebywał. Wiedziała również, że podupadł na zdrowiu, ale nadal pozostawał człowiekiem, który może nadać bieg sprawom. W wojsku wspiał się niemal na sam szczyt.

Poza tym był jej bratem. Młodszym bratem.

Starsze siostry są dla młodszych braci wyjątkowymi osobami. Kiedy razem dorastali, stawał na głowie, żeby uprzykrzyć jej życie, płatał jej niezliczone figle, zawstydział przed chłopakami, rywalizował z nią o uczucia i zainteresowanie rodziców. Wszystko się zmieniło, kiedy dorośli. Wtedy rozpaczliwie starał się wynagrodzić starszej siostrze wszelkie wyrządzone jej krzywdy.

Mogła na niego liczyć w rozwiązaniu problemu. A co najważniejsze, miał syna, jej bratanka, który potrafił rozwikłać każdą zagadkę. Spodziewała się, że ten list koniec końców trafi w jego kompetentne ręce. I miała nadzieję, że on sam też przyjedzie. Od ich ostatniego spotkania minęło dużo czasu.

Zbyt dużo.

Podniosła klapkę skrzynki i obserwowała, jak list zsuwa się w metalową gardziel. Zamknęła ją i otworzyła ponownie jeszcze dwukrotnie, żeby zyskać pewność, że list trafił do brzucha skrzynki pocztowej.

Przestawiła chodzik i podreptała na postój taksówek. Miała ulubionego kierowcę, który przyjeżdżał po nią do domu, a teraz ją tam odwiezie. Siadała jeszcze za kierownicę, ale tego wieczoru wolała wziąć taksówkę.

Skrzynka znajdowała się na końcu jednokierunkowej ulicy. Kierowcy łatwiej było zaparkować nieco dalej, co oznaczało konieczność odbycia krótkiego spaceru. zaproponował, że wrzuci dla niej list, ale odmówiła. Musi zrobić to osobiście, no i przyda się jej odrobina ruchu.

W jej oczach był jeszcze młodzieniaszkiem, dobiegał raptem sześćdziesiątki. Wcisnął na głowę staromodną czapkę szofera, choć reszta stroju była zdecydowanie bardziej swobodna: szorty khaki, niebieska koszulka polo, a na nogach płócienne mokasyny. Miał tak jednolicie ciemną opaleniznę, że wyglądał jak po solarium albo po zastosowaniu samoopalacza w spreju.

– Dziękuję, Jerry – powiedziała, wsiadając z jego pomocą na tylne siedzenie toyoty prius.

Jerry złożył balkonik i wsadził go do bagażnika, po czym zajął miejsce za kierownicą.

– Wszystko załatwione, pani Simon?

– Mam nadzieję – odparła. Po raz pierwszy poczuła i okazała prawdziwe zdenerwowanie.

– Chce pani wrócić do domu?

– Tak, poproszę. Jestem zmęczona.

Jerry odwrócił się w jej stronę i bacznie się jej przyjrzał.

– Błado pani wygląda. Może warto by odwiedzić lekarza. Na Florydzie jest ich bez liku.

– Może tak zrobię. Ale nie w tej chwili. Po prostu potrzebuję odpocząć.

Odwiózł ją na małe osiedle domków nieopodal plaży. Minęli dwie strzeliste palmy oraz tabliczkę z napisem *Sunset by the Sea*², przytwierdzoną do ceglanej ściany.

Ten znak zawsze ją irytował, mieszkała bowiem nad oceanem, a nie nad morzem. A formalnie rzecz biorąc, na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej na Florida Panhandle³. Zawsze uważała, że „Wybrzeże Zachodzącego Słońca” albo „Zatoka Zachodzącego Słońca” brzmią lepiej niż „Zachód Słońca nad Morzem”. Nazwa była wszak oficjalna i o zmianie nie mogło być mowy.

Jerry odwiózł ją do domu przy Orion Street i odprowadził pod drzwi. Był to typowy dla tej części Florydy piętrowy budynek z pustaków, o ścianach pokrytych beżowym tynkiem, z krytym czerwoną dachówką dachem i garażem na dwa samochody. Dom mieścił trzy sypialnie. Jej pokój sąsiadował z kuchnią. Powierzchnia użytkowa wynosząca niespełna trzysta metrów kwadratowych znacznie przekraczała jej potrzeby, ona jednak nie była zainteresowana przeprowadzką. To będzie jej ostatni dom. Wiedziała to od dawna.

Od frontu rosła palma, w przydomowym ogródku trawa w otoczeniu ozdobnych kamieni. Na tyłach wzdłuż granicy działki biegło ogrodzenie chroniące przed niepożądanym wzrokiem, była tam też niewielka sadzawka ze stolikiem i ławką, na której można było odpocząć, wypić kawę i cieszyć się zarówno chłodem poranka, jak i ostatnimi promieniami wieczornego słońca. Dom sąsiadował z obu stron z niemal identycznymi budynkami. Całe osiedle „Sunset by the Sea” wyglądało w zasadzie tak samo, tak jakby budowniczy miał jakąś wielką maszynę wypluwającą gdzieś na uboczu identyczne domy, które później transportowało się i stawiało w tej okolicy.

Plaża rozpościerała się nieopodal. Wystarczyła krótka przejażdżka samochodem albo długi spacer, by znaleźć się na

bielutkim piasku Emerald Coast.

Było lato. O szóstej wieczorem temperatura wynosiła dwadzieścia kilka stopni. Czyli mniej więcej dziesięć stopni mniej niż w najgorętszych godzinach dnia, co w Paradise na Florydzie o tej porze roku stanowiło normę.

Paradise⁴, pomyślała. Głupia, nadęta nazwa, choć z drugiej strony nie można odmówić jej trafności. Zwykle było tu pięknie.

Zawsze wolała upał niż ziąb. Dlatego wymyślili sobie Florydę, jak przypuszczała. A być może Paradise w szczególności.

I dlatego każdej zimy ściągali tu tłumnie miłośnicy wygrzewania się na słońcu.

Usiadła w salonie i rozglądała się po wspomnieniach całego życia. Ściany i półki zajmowały fotografie przyjaciół oraz rodziny. Jej wzrok zatrzymał się najdłużej na zdjęciu męża, Lloyda, urodzonego akwizytora. Zakochała się w nim po drugiej wojnie światowej. Jej też wcisnął pewnie jakiś towar. Zawsze przedstawiał się jako człowiek sukcesu, choć rzeczywistość wyglądała nieco inaczej. W istocie okazał się dobrym sprzedawcą, ale – jak się przekonała – jeszcze lepszym rozrzutnikiem. Był za to zabawny, potrafił ją rozśmieszać, nie miał w sobie agresji, nigdy się nie upijał i przede wszystkim ją kochał. Nigdy jej nie oszukał, choć przy pracy wymagającej nieustannych podróży z pewnością miewał okazje do złamania małżeńskiej przysięgi.

Tak, tęskniła za Lloydem. Kiedy umarł, odkryła, że miał pokazną polisę ubezpieczeniową na życie, której nie wygasił. Wzięła wszystkie pieniądze i kupiła akcje. Apple'a i Amazona. Dawno temu. Lubiła nazywać je dwiema ocenami celującymi na szkolnym świadectwie, dwoma A. Zwrot z inwestycji wystarczył na spłacenie zaciągniętego pod dom kredytu hipotecznego oraz

wygodne życie na stopie znacznie wyższej, niż pozwalałaby goła emerytura.

Zjadła lekką kolację i popiła mrożoną herbatą. Apetyt nie dopisywał jej już tak jak dawniej. Później oglądała telewizję, przysypiając przed ekranem. Kiedy się obudziła, czuła się zdezorientowana. Pokręciwszy głową, by oprzytomnieć, uznała, że czas położyć się spać. Wstała z pomocą chodzika i ruszyła w kierunku sypialni. Prześpi się kilka godzin, a potem znów wstanie, rozpocznie nowy dzień. Tak wyglądało teraz jej życie.

Zauważyła za sobą jakiś ruchomy cień, ale nie zdążyła się wystraszyć.

To miało być ostatnie wspomnienie Betsy Puller-Simon.

Cień za plecami.

Kilka minut później z ogródka za domem dobiegł plusk.

4

Moment był wprost idealny. Trudno o lepszy. Wykonał w wodzie jeszcze kilka zamaszystych ruchów, aż wreszcie poczuł grunt pod stopami.

Miał szczęście. Dwie godziny po ucieczce z platformy z wody podjęła go mała łódź rybacka. Rybacy o nic nie pytali. Nakarmili go, napoili. Podali mu swoją lokalizację. Przez odwrócenie kursu mógł się lepiej rozeznać w położeniu platformy na wodach zatoki. Nie potrafił zapomnieć o wszystkich przetrzymywanych na niej więźniach. Gdyby kiedyś tam wrócił, już dawno by ich nie było. Zastąpiliby ich inni.

Kuter nie mógł odwieźć go na sam brzeg, ale rybacy obiecali wysadzić go dość blisko. Posuwali się powolutku, czas się dłużył. Pomógł im w pracy, chcąc częściowo odwdzińczyć się za ratunek. Nie mogli zboczyć z kursu, żeby zawieźć go prosto do celu. Wyłynęli na połów, więc muszą łowić.

Rybaków zdumiewała jego ogromna siła i chyba żałowali, że olbrzym ich opuszcza.

Dopłynąwszy do miejsca, w którym musiał wysiąść z kutra, wskazali mu kierunek. Dali też lepiej dopasowaną kamizelkę ratunkową. Ześliznął się za burtę i zaczął płynąć w stronę lądu.

Kiedy obejrzał się za siebie, zauważył, jak jeden z rybaków kreśli znak krzyża na piersi. Później skupił się już tylko na jednym: dotarciu do miejsca, w którym wreszcie poczuje ziemię pod nogami.

Gdy znalazł się na brzegu, mięśnie miał spięte, nabrzmiące, był

odwodniony. Przez tyle czasu otaczały go masy wody, a przecież nie mógł wypić ani kropli. Podskubywały go ryby. Pojedynczo nie stanowiły problemu, jednak kłuszące w większej masie pozostawiły na nogach i ramionach maleńkie ranki i obrzęki. Głowa i barki bolały od ciągów, jakie zebrał od strażników, oraz od skoku z platformy. Czuł krwiaki i skaleczenia na twarzy spowodowane uderzeniami pałek.

Ale żył.

I był na lądzie.

Wreszcie.

Ostatnie metry pokonał, wysoko podnosząc nogi nad falami. Pod osłoną ciemności dotarł w końcu na biały jak mąka piasek Emerald Coast na florydzkim Panhandle. Rozejrzał się w lewo i prawo za nocnymi przeszukiwaczami plaży. Nie widząc nikogo, opadł na kolana, przeturlał się na plecy i zaczął głęboko oddychać, wpatrując się w niebo tak czyste, że miliardy gwiazd zdawały się zlewać w jedną łunę. Paradise było niewielkim miasteczkiem z długimi plażami, a centrum przylegało do wybrzeża. Dzielnica handlowa leżała nieco dalej na zachód. Pora na szczęście była na tyle późna, że na biegnącej równoległe do plaży promenadzie nie widział żywego ducha.

Podziękował Bogu, że pozwolił mu przeżyć. Długie godziny spędzone na otwartym morzu, a później życzliwa załoga kutra rybackiego, która wzięła go na pokład. Jakie było tego prawdopodobieństwo w bezkresie zatoki, gdyby nie boska interwencja? Rekiny też jakimś cudem zostawiły go w spokoju. To również musiał przypisać modlitwie.

Porywacze go nie ścigali.

Znów zasługa modlitwy.

Plaża na szczęście była opustoszała.

No, nie całkiem.

Bóg musiał coś przeoczyć.

Skulił się, słysząc nadchodzących ludzi.

Następnie lekko zagrzebał się w piasku, jego sto trzydzieści kilogramów żywej wagi i ponad dwa metry wzrostu stopiło się z białymi drobinkami, dla których ludzie ściągali tu z całego świata i wylegiwali się przez okrągły rok.

Dwie osoby. Rozpoznał po głosach.

Jeden męski. Drugi kobiecy.

Lekko uniósł głowę i spoglądał w ich kierunku. Nie spacerowali z psem. Znów zadziałała modlitwa. Pies już by go wywęszył.

Jeżeli go nie zauważą, nie podejmie żadnych działań. A nawet gdyby, mogą po prostu założyć, że odpoczywa sobie na plaży, rozkoszując się wieczorem. Miał nadzieję, że jednak go nie zobaczą, a jeśli okaże się inaczej, to że nie wpadną w popłoch. Zdawał sobie sprawę, że po wyczerpującej morskiej podróży z pewnością wygląda okropnie.

Naprężył mięśnie w oczekiwaniu, aż go miną.

Byli jakieś dwanaście metrów od niego. Kobieta popatrzyła w jego stronę. Księżyc rzucał bladą poświatę.

Usłyszał okrzyk, a potem kobieta powiedziała coś do swojego towarzysza.

Po chwili uświadomił sobie, że wcale nie spogląda w jego kierunku.

Gdy obserwował tych dwoje, zza wydm wyłoniła się jakaś gibka postać.

Jeden trzask i mężczyzna upadł. Kobieta rzuciła się do ucieczki, ale rozległ się kolejny trzask i upadła także ona, głucho uderzając o ubity piasek.

Postać schowała broń, chwyciła kobietę za ręce i wciągnęła ją do wody na odległość co najmniej trzech metrów od brzegu. Resztą zajęły się fale. Zabrały ciało, które szybko zniknęło pod wodą.

Ten sam los spotkał mężczyznę.

Postać stała na piasku blisko wody i lustrowała fale, prawdopodobnie sprawdzając, czy zwłoki nie zostaną wyrzucone na brzeg. Potem odwróciła się i zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Wciąż leżał płasko na plaży, mimo dręczących wyrzutów sumienia, że nie pospieszył tamtej parze z pomocą. Ale wszystko działo się tak szybko, wątpił, by zdołał zapobiec ich śmierci.

Niekiedy Bóg był zajęty innymi rzeczami. Wiedział, że taka jest prawda. Bóg często nie miał dla niego czasu, kiedy on naprawdę go potrzebował. Inna sprawa, że potrzebowało go wielu ludzi. Był tylko jednym z miliardów, które prosiły go od czasu do czasu o pomoc.

Czekał, póki nie upewnił się, że strzelec odszedł. Nie miał pojęcia, dlaczego ta para zginęła. Nie miał pojęcia, kto ich zabił. I nie był to jego interes.

Teraz nie mógł tu dłużej zostać. Ruszył ku promenadzie i dostrzegł przypięty do słupka rower. Wyrwał słupek z ziemi, uwalniając zabezpieczenie. Owinął łańcuch wokół ramy, wsiadł na rower i odjechał.

Miał w pamięci mapę ulic miasteczka. Wiedział, dokąd pójść i gdzie się zatrzymać, mógł się przebrać, odpocząć, zjeść, napić, a później rozpocząć poszukiwania, bo to był prawdziwy powód, dla którego tu przybył.

Rozpłynął się w ciemnościach, zaczął znów mamrotać pod nosem, błagać o wybaczenie, że nie pomógł tamtej parze i nie zabił napastnika. Był dobry w zabijaniu, może najlepszy. Ale nie

oznaczało to wcale, że lubił zabijać. Nie lubił.

Był olbrzymem o gołębiem sercu.

Jednak nawet olbrzymi o gołębiem sercu mogą zostać sprowokowani do walki w słusznej sprawie.

On miał słuszne powody.

Miał ich pod dostatkiem.

Nie zamierzał być łagodny. Nie w tym miejscu.

Tylko to go napędzało. W gruncie rzeczy tylko to utrzymywało go przy życiu.

Pedałował przed siebie, a w tym samym czasie morze powoli wciągało w głębinę zwłoki dwóch osób.

5

John Puller ostro skręcił w lewo i jechał dalej wąską dwupasmową drogą. Na tylnym siedzeniu samochodu leżał jego kot Dezerter, który przybłąkał się pewnego dnia i wtargnął do jego życia – i prawdopodobnie równie niespodziewanie go opuści. Puller służył w armii, wcześniej był komandosem, a obecnie agentem specjalnym w Wojskowym Wydziale Śledczym. Na razie nie prowadził żadnego śledztwa. Wracał z kotem z przedłużającej się wycieczki, pozwalając sobie na mały odpoczynek po koszmarnym zdarzeniu w górniczym miasteczku w Wirginii Zachodniej, którego o mało nie przyplącił życiem wraz z wieloma innymi osobami.

Zjechał na parking przed swoim osiedlem. Znajdowało się niedaleko Quantico w Wirginii, gdzie miały swe siedziby kwatera główna CID oraz Siedemset Pierwsza Grupa Specjalna CID, jednostka, do której był przypisany Puller. Dojazd do pracy miał więc bezproblemowy, choć rzadko dłużej przebywał w Quantico. Częściej był w drodze, badając przestępstwa popełniane przez osoby noszące mundur Armii Stanów Zjednoczonych, a mimo to dopuszczające się haniebnych czynów. I, niestety, pracy mu nie brakowało.

Zaparkował samochód, zadbanego służbowego chevroleta malibu, wyjął z bagażnika plecak, otworzył tylne drzwi i cierpliwie czekał, aż z siedzenia zwlecze się Dezerter, tłusty, rudo-brązowy pręgowany kocur. Zwierzę poczłapało za nim do domu. Puller mieszkał na powierzchni pięćdziesięciu pięciu metrów kwadratowych ascetycznego, surowego wnętrza bez ani jednego zbędnego grata. Służył w wojsku niemal przez całe dorosłe życie

i teraz, gdy miał trzydzieści kilka lat, jego awersja do bałaganu i rupieci ugruntowała się nieodwracalnie.

Wyjął kocią karmę, nalał wody do miseczki, wyjął piwo z lodówki, usiadł na skórzanym rozkładanym fotelu, oparł stopy na podnóżku i zamknął oczy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio przespał całą noc. Właśnie postanowił to zmienić.

Ostatnie tygodnie nie były łaskawe dla Pullera, który mierzył niemal sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów i zwykle ważył sto pięć kilogramów. Co prawda nie zmałał, zgubił za to około czterech i pół kilograma, ponieważ stracił apetyt. Pod względem fizycznym nadal pozostawał w formie. Poradziłby sobie z każdym sprawdzianem, jakiemu poddałaby go armia, testującym siłę, wytrzymałość czy szybkość. Ale z psychiką już tak dobrze nie było. Nie wiedział, czy jeszcze kiedyś wróci do równowagi. Czasem wydawało mu się, że tak, innym razem, że nie. To był jeden z tych innych razów.

Puller wybrał się w podróż, żeby na nowo poukładać sobie wszystko w głowie po ciężkich przeżyciach w Wirginii Zachodniej.

Nie poskutkowało. Mało tego, jeszcze mu się pogorszyło. Pobyt z dala od domu i przejechane kilometry dały mu zdecydowanie za dużo czasu na myślenie. Bywa, że nadmiar myślenia człowiekowi nie służy. Nie chciał dłużej myśleć. Chciał jedynie robić coś, co przeniesie go w przyszłość zamiast cofać do przeszłości.

Zawibrował telefon. Puller spojrzął na wyświetlacz.

USDB⁵. Znajdował się w Fort Leavenworth w stanie Kansas. Było to wojskowe więzienie dla najistotniejszych – to znaczy najniebezpieczniejszych – przestępców.

Puller dobrze je znał. Bywał tam dość często.

Gdyby Pentagon postawił na swoim, jego starszy, a zarazem jedyny brat, Robert Puller, siedziałby tam do końca swoich dni,

a może i dłużej.

– Halo?

– Proszę czekać – odezwał się rzeczowy damski głos.

Po chwili zgłosił się inny, znajomy.

Dzwonił brat, były major sił powietrznych, skazany przez sąd wojskowy za zdradę kraju z powodów, w które Puller ani nie był wtajemniczony, ani których prawdopodobnie nie zrozumiałby do końca życia.

– Hej, Bobby – powiedział z przygnębieniem Puller. Zaczynała go boleć głowa.

– Gdzie jesteś?

– Przed chwilą wróciłem – odparł z irytacją. – Ledwo zdążyłem usiąść. Co się stało?

– Jak wycieczka? Poukładałeś sobie wszystko?

– W porządku.

– Czyli nie i zwyczajnie mnie zbywasz. Nie ma sprawy. Przeżyję.

Zwykle Puller cieszył się na rozmowę z bratem. Widywali się i rozmawiali ze sobą dość rzadko. Tym razem się nie cieszył. Tym razem miał ochotę siedzieć na fotelu, pić piwo i nie myśleć zupełnie o niczym.

– Co się stało? – powtórzył pytanie nieco bardziej stanowczym tonem.

– Okej, zrozumiałem. „Spadaj, nie chce mi się gadać”. Nie zawracałbym ci gitary, gdyby nie pewna rozmowa telefoniczna.

Puller usiadł prosto i odstawił piwo.

– Jaka rozmowa? Ze Starym?

W życiu braci Pullerów był tylko jeden Stary.

John Puller senior, emerytowany generał broni i legenda walk zbrojnych. Stary wyga ze szkoły walki Pattona, której motto

brzmiało: „Skop im dupę, o nazwiska nie pytaj”. Były dowódca legendarnej Sto Pierwszej Dywizji Powietrznodesantowej przebywał obecnie w szpitalu dla weteranów i cierpiał na krótkie, lecz dotkliwe napady demencji oraz długie i jeszcze dotkliwsze napady depresji. Demencja wynikała zapewne z podeszłego wieku. Depresję powodował fakt, że nie nosił już munduru, nie dowodził ani jednym żołnierzem i dlatego uważał, że nie ma po co dłużej żyć. Puller senior został powołany na ten ziemski padół wyłącznie z jednego powodu: miał prowadzić żołnierzy do walki.

A ściślej, został powołany na ziemię, żeby prowadzić żołnierzy do zwycięskiej walki. Tak przynajmniej uważał. I obaj jego synowie zgodziliby się z tą oceną.

– Dzwonili ze szpitala w imieniu Starego. Nie mogli się z tobą skontaktować, więc próbowali dotrzeć do mnie. Tylko że ja nie bardzo mogę go odwiedzić.

– W jakiej sprawie? Znów szwankuje mu głowa? Upadł i złamał biodro?

– W obu wypadkach odpowiedź jest przecząca. Nie sądzę, by chodziło o niego osobiście. Nie powiedzieli jasno, w czym rzecz, prawdopodobnie dlatego, że tato im tego jasno nie wyłuszczył. Zdaje się, że chodzi o jakiś list, który mu przysłano, ale głowy za to nie dam. Tak to w każdym razie wygląda.

– List. Od kogo?

– Na to też nie potrafię odpowiedzieć. Pomyślałem, że skoro jesteś prawie na miejscu, mógłbyś tam pojechać i zorientować się, co jest grane. Mówili, że wydaje się naprawdę zdenerwowany.

– Nie znają treści listu? Jak to możliwe?

– Wiesz jak – odparł Robert. – Wszystko jedno, jak stary jest tato czy jak bardzo nie kontaktuje. Jeśli nie chce, żeby ktoś przeczytał list, to nikt go nie przeczyta. Wciąż potrafi dopiąć swego, nawet

w tym wieku. W całym systemie opieki zdrowotnej dla weteranów nie ma lekarza, który odważyłby się go skarcić albo chociaż spróbował to zrobić.

– Okej, Bobby, zaraz do niego pojadę.

– John, nie ściemniaj, tylko powiedz: wszystko w porządku?

– Bobby, nie ściemniam, tylko mówię: nie, nie jest w porządku.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Służę w wojsku.

– A co to dokładnie znaczy?

– Że nie zamierzam się poddawać.

– Możesz zawsze z kimś pogadać. Armia ma od tego mnóstwo specjalistów. W Wirginii Zachodniej musiałeś nurzać się w niezłym gównie. Każdego by to rozwaliło. Jak zespół stresu pourazowego.

– Nie potrzebuję z nikim gadać.

– Nie byłbym taki pewien.

– Pullerowie nie zwierzają się ze swoich kłopotów.

John oczyma wyobraźni widział, jak brat z dezaprobatą kręci głową.

– Zasada rodzinna numer trzy lub cztery?

– Dla mnie to w tej chwili numer jeden – odparł John.

6

Idąc korytarzem szpitala dla weteranów, Puller zastanawiał się, czy na starość też skończy w takim miejscu. Kiedy patrzył na schorowanych i kalekich byłych żołnierzy, jeszcze bardziej podupadł na duchu.

Może lepiej będzie strzelić sobie w łeb, gdy nadejdzie czas.

Wiedział, gdzie znajduje się pokój ojca, ominął zatem stanowisko pielęgniarek. Prawdę powiedziawszy, usłyszał ojca na długo przed tym, jak go zobaczył. John Puller senior zawsze miał głos jak dzwon i ani wiek, ani zniedołężnienie nie osłabiły jego mocy. Wręcz przeciwnie – w pewnym sensie wydawał się brzmieć donośniej niż kiedyś.

Gdy Puller zbliżał się do pokoju ojca, otworzyły się drzwi i wyszła stamtąd umęczona pielęgniarka.

– Boże, jak dobrze, że pan przyszedł – powiedziała, podnosząc wzrok na Johna. Nie był w mundurze, ale najwyraźniej rozpoznała go bez trudu.

– W czym problem? – zapytał Puller.

– W nim problem – odparła. – Od dwudziestu czterech godzin domaga się pańskich odwiedzin. I nie odpuści.

Puller położył rękę na klamce.

– Był generałem broni. To cecha osobnicza. Oni nigdy niczego nie odpuszczają. Mają to w genach.

– Powodzenia – rzekła pielęgniarka.

– Powodzenie na nic się tu nie przyda – powiedział Puller, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi.

Oparł się o nie szerokimi plecami i powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. Było małe, miało może dziewięć metrów kwadratowych, niczym więzienna cela. W zasadzie przypominało rozmiarem miejsce, które będzie w USDB domem dla jego brata przez resztę życia.

W środku stało szpitalne łóżko, nocny stolik z klejonego drewna, wisiała tam też zapewniająca prywatność zasłona oraz stało krzesło, które wyglądało na niewygodne i takie okazało się w praktyce.

Jedno okno, mikroskopijna szafa oraz łazienka z poręczami i przyciskami alarmowymi w wielu różnych miejscach.

I w końcu ojciec, John Puller senior, były dowódca chyba najszlachetniejszej amerykańskiej dywizji, czyli Sto Pierwszej Dywizji Powietrznodesantowej Krzyczące Orły.

– Oficerze, gdzieście się podziewali, do ciężkiej cholery?! – zapytał Puller senior, wpatrując się w syna w taki sposób, jakby brał go na muszkę.

– Na misji, dopiero wróciłem. Podobno coś nie gra, sir.

– I to jak wszyscy diabli.

Puller podszedł bliżej i stanął w pozycji „spocznij” w nogach łóżka, na którym spoczywał ojciec ubrany w biały podkoszulek i luźne niebieskie spodnie. Niegdyś niemal dorównujący wzrostem synowi, skurczył się z wiekiem do nieco ponad metra osiemdziesięciu pięciu centymetrów – wciąż był wysoki, ale już nie przypominał takiego olbrzyma, jak za młodu. Głowę okalała biała falbanka podobnych do waty włosów, na środku świeciła łysina. Miał jasnoniebieskie oczy, które raz płonęły ogniem, raz ziały pustką, a ta zmiana dokonywała się czasem w ciągu kilku sekund.

Lekarze nie do końca wiedzieli, co dolega Pullerowi seniorowi. Oficjalnie nie zdiagnozowali ani choroby Alzheimera, ani demencji. Zaczęli po prostu mówić, że to „starość”.

Puller miał nadzieję, że ojciec zachował wystarczającą jasność umysłu, by mógł opowiedzieć mu o liście. A przynajmniej pozwolił mu go zobaczyć.

– Dostaliście list? – odpowiedział. – Ścisłe tajna wiadomość? Może od SecArma? – zapytał, mając na myśli Sekretarza Obrony.

Choć ojciec od prawie dwudziestu lat nie pełnił służby czynnej, chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Puller uznał, że lepiej będzie zachowywać te wojskowe pozory, żeby zapewnić ojcu komfort, jak również posunąć rozmowę naprzód. Czuł się z tym głupio, ale lekarze przekonali go, że to najlepszy sposób postępowania, przynajmniej na krótką metę. A może ojcu już niewiele do tej mety pozostało.

Emerytowany generał skinął głową z ponurą miną.

– To nie żaden pic, tak w każdym razie uważam. Zaniepokoiłem się, oficerze.

– Mogę zyskać dostęp do tego listu, sir?

Ojciec się zawahał, podniósł na niego wzrok z miną człowieka, który nie całkiem wie, na co lub na kogo patrzy.

– Generale, mógłbym zyskać dostęp do listu? – powoli pytanie Puller głosem cichszym, a zarazem bardziej stanowczym.

Ojciec pokazał poduszkę.

– Tu, pod spodem. Zaniepokoiłem się.

– Tak jest. Mogę, sir?

Ojciec kiwnął głową i usiadł na łóżku.

Puller podszedł bliżej i uniósł poduszkę. Leżała pod nią rozerwana koperta. Wziął ją do ręki i się jej przyjrzał. Adres wypisano wielkimi literami. Szpital dla weteranów. Nazwisko taty. Stempel z Paradise na Florydzie. Nazwa wydawała się mgliście znajoma. Spojrzał na nadawcę w lewym górnym rogu koperty.

Betsy Puller-Simon. Dlatego brzmiało znajomo.

To jego ciotka, siostra ojca. Starsza od brata o niemal dziesięć lat. Jej mężem był Lloyd Simon. Zmarł wiele lat temu. Puller stacjonował wtedy w Afganistanie. Pamięta, jak dostał od ojca wiadomość o śmierci Lloyda. Od tamtej pory rzadko myślał o ciotce i nagle zaczął się zastanawiać dlaczego. W tej chwili skupił na niej całą uwagę.

Napisała do brata. Brat się zaniepokoił. Puller zapewne wkrótce się dowie, z jakiego powodu. Miał nadzieję, że nie chodzi o zaginionego domowego pupila czy niezapłacony rachunek albo o to, że wiekowa ciotka powtórnie wychodzi za mąż i na przykład chce, by jej młodszy brat poprowadził ją do ołtarza.

To raczej niemożliwe.

Wysunął z koperty pojedynczą kartkę i ją rozprostował. Gruby papier z ładnym znakiem wodnym. Za pięć lat pewnie nie będą już takiego produkować. Kto w dzisiejszych czasach pisze odręczne listy?

Skupił wzrok na ozdobnym, fantazyjnym piśmie zapełniającym całą stronicę. Skreślone granatowym atramentem litery zdawały się wyskakiwać z kremowego papieru.

List składał się z trzech ustępów. Puller przeczytał wszystkie trzy dwukrotnie. Ciotka zakończyła słowami: „Serdecznie Cię pozdrawiam, Johnny. Betsy”.

Johnny i Betsy?

Dzięki temu ojciec wydawał się tu prawie ludzki.

Prawie.

Puller wreszcie zrozumiał, dlaczego ojciec zdenerwował się po przeczytaniu tego listu. Ponieważ ciotka była wyraźnie zaniepokojona, gdy go pisała.

W Paradise na Florydzie działo się coś, co się jej nie podobało.

Nie wdawała się w szczegóły, ale to, o czym napomknęła, wystarczyło, by wzbudzić zainteresowanie Pullera. Tajemnicze nocne wydarzenia. Ludzie, którzy skrywają swe drugie oblicze. Atmosfera ogólnego niepokoju. W liście nie padły żadne nazwiska. Ale zakończyła go prośbą o pomoc. Nie ze strony brata.

Prosi konkretnie o moją pomoc.

Ciotka musiała wiedzieć, że John jest wojskowym agentem śledczym. Może mówił jej ojciec. Albo dowiedziała się na własną rękę. Wykonywana przez niego praca nie była żadną tajemnicą.

Złożył kartkę i schował ją do kieszeni. Zerknął na ojca, który patrzył w przymocowany do ściany mały telewizor na ruchomym ramieniu. Pokazywano teleturniej *The Price Is Right*. Ojciec zdawał się zaintrygowany tym, co działo się na ekranie. Oto człowiek, który prócz dowodzenia Sto Pierwszą Dywizją stał na czele całego korpusu złożonego nawet z pięciu dywizji, liczących w sumie prawie sto tysięcy doskonale wyszkolonych żołnierzy. I prowadził ich do walki zbrojnej. Teraz zaś z przejściem oglądał teleturniej, którego uczestnicy odgadywali ceny codziennych przedmiotów, próbując je wygrać.

– Mogę zatrzymać list, sir? – zapytał.

Skoro Puller stawiał się na wezwanie i odebrał list, sytuacja wydawała się opanowana. Ojciec jakby stracił całe zainteresowanie i przestał się denerwować. Odprawił go roztargnionym machnięciem ręki.

– Zajmijcie się tym, oficerze. Zameldujcie, gdy sprawa będzie rozwiązana.

– Dziękuję, sir. Zrobię, co się da.

Choć ojciec na niego nie patrzył, Puller dziarsko zasalutował, wykonał zwrot w tył i ruszył do wyjścia. Postąpił w ten sposób, ponieważ po ostatnim spotkaniu z ojcem wychodził od niego

z odrazą i frustracją, żegnany jego krzykami. Tamto wspomnienie najwyraźniej wyparowało już z pamięci ojca.

Wraz z wieloma innymi. Tkwiło natomiast w pamięci Pullera, gwałtowne i brutalne.

Jednak gdy jego ręka dotknęła klamki, ojciec się odezwał.

– Zaopiekujcie się Betsy, oficerze, bo przede wszystkim chodzi o nią.

Puller obejrzał się na ojca. Stary generał odwrócił wzrok od ekranu i patrzył prosto na niego. Jasnoniebieskie oczy spoglądały z dawną przenikliwością. Ojciec nie przebywał już w krainie teleturniejów.

– Tak jest, sir. Można na mnie liczyć.

W drodze do wyjścia Puller natknął się na lekarza pierwszego kontaktu, który opiekował się ojcem. Łysiejący, drobnej postury, był dobrym fachowcem i ciężko pracował za wynagrodzenie znacznie niższe, niż zaoferowano by absolwentowi Yale w każdym innym szpitalu.

– Jak miewa się ojciec? – zapytał Puller.

– Dobrze, jak na pacjenta w jego wieku. Pod względem fizycznym wciąż jest niezwykłym okazem zdrowia. Nie chciałbym siłować się z nim na rękę. Ale tu, na górze, sprawy wymykają się spod kontroli.

– Można jakoś temu zaradzić?

– Zażywa leki przepisywane zwykle w tego rodzaju dolegliwościach. Oczywiście nie ma na to lekarstwa. Nie potrafimy w tej chwili odwrócić tego procesu, choć rysuje się pewna nadzieja na przyszłość. Myślę, że to będzie powolny zjazd po równi pochyłej, John. Który z czasem może przyspieszyć. Przykro mi, że nie mam lepszych wiadomości.

Puller podziękował doktorowi i poszedł dalej. Wiedział o tym

wszystkim, ale i tak pytał przy każdej wizycie w szpitalu. Może w głębi ducha łudził się, że pewnego dnia usłyszy inną odpowiedź.

Wyszedł ze szpitala i ruszył w stronę samochodu. Po drodze wyjął list z kieszeni. Na szczęście ciotka przytomnie zapisała swój numer telefonu w Paradise. Dotarł do auta, przycupnął na masce, wyjął komórkę i wklepał cyfry.

Nie należał do ludzi, którzy lubią odkładać na przyszłość coś, co mogą zrobić od razu.

Po czterech sygnałach włączyła się poczta głosowa. Puller nagrał wiadomość, rozłączył się i schował telefon.

Ponownie utkwiał wzrok w liście, siedząc na masce swojego chevroleta malibu. Właściwie nie tyle swojego, ile należącego do Armii Stanów Zjednoczonych, ale ponieważ Puller był członkiem tej armii, pewnie wychodziło na to samo.

List wyrażał niepokojące obawy... Właściwie próbował dzwonić do niej tylko raz. Może po prostu wyszła do lekarza. Starsi ludzie spędzają mnóstwo czasu w gabinetach lekarskich. Na co jasno wskazywał choćby przykład ojca.

Puller westchnął. Pod wieloma istotnymi względami nie był to jego problem. Ojciec prawdopodobnie o wszystkim już zapomniał. On sam nie widział się z ciotką od bardzo dawna. Nie była częścią jego dorosłego życia. Co innego w dzieciństwie. W pewnym sensie zastępowała mu wtedy matkę, której przy nim nie było, bo po prostu być nie mogło.

Tyle lat później Puller wciąż miał żywo w pamięci chwile spędzone z Betsy Simon. Gdy potrzebował czegoś, czego w jego życiu zwyczajnie zabrakło, spieszyła mu z pomocą. Dostawał od niej to, czego potrzebują mali chłopcy. Czego nie mogą dać im ojcowie, nawet jeśli są blisko, a ojciec blisko nie był. Całkowicie pochłaniało go komenderowanie tysiącami ludzi, wydawanie

rozkazów, by działali nie tylko wedle reguł wojskowych, ale i jego własnych. Betsy Simon wypełniała tę pustkę. Wtedy była dla niego szalenie ważną osobą. Rozmawiał z nią o wszystkim, zarówno o kłopotach, jak i o sukcesach. Potrafiła cudownie słuchać. Z czasem Puller zdał sobie sprawę, że udzielane mu przez nią w okresie dojrzewania rady były formułowane tak sprytnie, że uznawał je za swoje własne pomysły.

Pozostało mu jeszcze trochę urlopu. I tak nikt się nie spodziewał, że zjawi się w pracy. Nie może odwrócić się do tej sprawy plecami.

Ani do ciotki. I nie wynikało to z czystego altruizmu. Puller zastanawiał się, czy ciotka nie pomogłaby mu jeszcze raz przejść przez trudny moment w życiu. Nie chodziło tylko o ojca. Właściwie z nikim nie rozmawiał o tym, co wydarzyło się w Wirginii Zachodniej. Nawet z bratem. A choć powiedział mu, że nie potrzebuje o tym gadać, prawda wyglądała inaczej. Jednakże brakowało mu kogoś, przy kim czułby się swobodnie.

Może ciotka okazałaby się taką osobą. Nie po raz pierwszy.

Wszystko wskazywało na to, że pojedzie do Paradise.

7

Do Paradise prowadziło wiele dróg. Puller wybrał lot liniami Delta z przesiadką w Atlancie i po czterech i pół godziny od wylotu z Waszyngtonu znalazł się na regionalnym lotnisku Northwest Florida, na terenie stanowiącym własność rządu Stanów Zjednoczonych. Baza lotnicza Eglin należała do największych baz sił powietrznych na świecie. Puller, jako żołnierz piechoty, odwiedził ją podczas szkolenia w szkole dla komandosów.

Ta część Florydy leżała w centralnej strefie czasowej, gdzie obowiązywał czas letni, kiedy więc Puller wkroczył do wypożyczalni samochodów Hertz, poświęcił chwilę na zmianę czasu w swoim zegarku. Była dziesiąta trzydzieści. Zyskał godzinę. Temperatura przekraczała już dwadzieścia siedem stopni.

– Witamy na Emerald Coast – powiedziała kobieta z biura Hertza. Była niska i korpulentna, miała kręcone, farbowane na brązowo włosy z siwymi odrostami.

– Spodziewałem się raczej formułki: „Witamy w Paradise” – odparł Puller.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Paradise jest jakieś czterdzieści minut drogi stąd. Staram się używać tych nazw wymiennie. Pewnie raz na pięć powitań mówię: „Witamy w Paradise”.

– Nawet raj może się trochę znudzić.

– Życzy pan sobie kabriolet? – zapytała. – Wszyscy przyjezdni chcą kabriolety. Mamy piękną corvette. Przed chwilą ktoś ją zwrócił.

– Nie wiem... Ile kosztuje?

Gdy podała cenę za dzień, pokręcił głową.

– Armia nie jest tak hojna, żebym mógł sobie na to pozwolić.

– Jest pan wojskowym?

– Od czasu ukończenia nauki.

– Mój syn też. Jest Rangerem.

– Zanim wysłano mnie do Afganistanu, byłem przez dwa lata instruktorem Brygady Szkoleniowej Rangerów⁶, którzy zasilali później szeregi Siedemdziesiątego Piątego Pułku Rangerów w Fort Benning.

– Rangerzy zawsze na czele⁷.

– Też tak uważałem niezależnie od tego, co mówią Marines i SEAL⁸ – odparł Puller.

Zawahała się.

– To jak? Chce pan tę corvette?

– Jak już wspomniałem, nie mieści się w moim budżecie.

– Ile może pan zapłacić?

Puller podał kwotę.

– Wobec tego mieści się w pańskim budżecie. – Zaczęła stukać w klawiaturę komputera.

– Może pani tak zrobić?

– Właśnie zrobiłam – oznajmiła. – Dorzucamy GPS bez dodatkowych opłat.

– Doceniam pani starania.

– Drobiazg. To ja doceniam pana.

Corvette pokrywał złoty lakier i Puller, wyjeżdżając z wypożyczalni, czuł się tak, jakby wygrał los na loterii. Autostradą numer osiemdziesiąt pięć zmierzał na południe, mijając miejsca

o takich nazwach, jak Shalimar, Cinco Bayou, Fort Walton Beach. Dalej droga łączyła się z Miracle Strip Parkway, przeprawą z lądu na wyspę Okaloosa, na której baza lotnicza Eglin także odcisnęła swoje piętno. Puller przemknął przez most, przejechał przez miasteczko Destin, kontynuował podróż na wschód i wkrótce dotarł do Paradise.

Rozejrzawszy się po miejscowości, zrozumiał, dlaczego nazywa się Paradise. Wszystko było stosunkowo nowe, zdecydowanie ekskluzywne, czyste, z pocztówkowym widokiem na ocean. Osiedle wieżowców wzniesione nad samym brzegiem, malowniczy port z kutrami rybackimi, który wyglądał jak wyjęty z hollywoodzkiego filmu, eleganckie restauracje, butikiki luksusowych marek, piękne, skąpo odziane kobiety, samochody, przy których corvetta wyglądała tandetnie, ogólny klimat raj na ziemi.

Zaparkował na wolnym miejscu, wygramolił się z samochodu o niskim zawieszeniu – nie lada wyczyn dla człowieka jego postury – i powiódł dookoła wzrokiem. Miał na sobie džinsy, luźną, wypuszczoną na spodnie białą koszulę z długim rękawem oraz mokasyny włożone na bose stopy. Koszula zakrywała pistolet M11, wsadzony do przypiętej z tyłu do pasa kabury. Jako agent CID był zobowiązany do noszenia broni osobistej przez cały czas. Nosiłby ją nawet wtedy, gdyby tego od niego nie wymagano.

Oto, co robiły z człowiekiem wielokrotne podróże na Bliski Wschód. Nosił przy sobie broń z taką samą naturalnością, z jaką się oddycha. Istniało ryzyko, że gdyby nie był uzbrojony, ktoś mógłby spróbować mu ten oddech przerwać.

Słońce wspinało się wysoko po niebie. Było gorąco, ale wiał orzeźwiający wiaterek, który zdołał osuszyć krople potu na czole Pullera. Kilka młodych, zgrabnych i skąpo ubranych kobiet rzuciło mu zaciekawione, powłóczyście spojrzenia. Przechodziły obok,

ściskając w dłoniach torebki od Kate Spade i Hermès, chwiejąc się na wysokich obcasach sandałów marki Jimmy Choo.

Nie odwzajemnił spojrzeń. Był, co prawda, na urlopie, ale nie miał on nic wspólnego z wakacjami. Przybył tu z misją, tym razem osobistą.

Zdjął buty i wszedł na plażę odległą zaledwie o kilka kroków. Piasek był miękki i bielutki, bielszego chyba nie widział. Piasek na Bliskim Wschodzie – grubszy, twardy – wyglądał inaczej. Może zapamiętał go tak dlatego, że na tamtym piasku ludzie robili, co mogli, by go zabić. Z broni palnej, przy użyciu min pułapek, noża albo po prostu gołymi rękami. To zniekształcało percepcję miejsca.

Woda też była tu wyjątkowa. Wreszcie pojął, skąd wzięło się określenie „Emerald Coast”⁹. Zatoka rzeczywiście wyglądała jak olbrzymia misa lśniących zielonych kamieni. Fale były tego dnia spokojne. Drewniana tablica informująca o warunkach kąpieli wskazywała kolor żółty, który oznaczał lekkie fale i średnie zagrożenie. On jednak nie przyjechał tu popływać.

Ostatni, trzeci etap szkolenia dla Rangerów przeprowadzano na Florydzie, ale nie w Paradise, tylko na mokradłach słonecznego stanu, pełnych aligatorów, mokasynów błotnych, grzechotników i węży koralowych. Puller nie przypominał sobie obecności panienek w bikini czy z torebkami od Gucciego w promieniu co najmniej setki kilometrów. Ale gorsze od braku atrakcyjnych kobiet było zachowanie instruktorów, którzy wyciskali z niego siódme poty, goniąc go z jednego krańca bagna na drugi.

Przyglądał się plażowiczom siedzącym pod błękitnymi parasolami albo wylegającym się na ręcznikach. W życiu nie widział tylu prawie gołych tyłków i babek opalających się bez gór od kostiumów. A całkiem sporo z nich miało nie najlepsze figury. Wyszłyby lepiej, gdyby postawiły na zakrywające nieco więcej

ubranie. Obserwował opalonego ratownika siedzącego na szczycie wieży, który czujnie lustrował wodę. Drugi, także opalony i wysportowany, pędził trójkołowcem wzdłuż brzegu.

Fajne życie, jeśli człowiekowi uda się na nie załapać.

Puller wystawił twarz do słońca, złapał kilka promieni, po czym uznał, że dość tego opalania. W wojsku nie zachęcano do zbijania bąków, czy było się na urlopie, czy nie.

Wrócił do samochodu, otrzepał piasek ze stóp i włożył mokasyny. Spostrzegł sunący ulicą wóz policyjny z napisem *Paradise* i namalowanymi na drzwiach palmami. W środku siedział dwuosobowy patrol.

Prowadził krzepki mężczyzna z ogoloną głową, w przeciwsłonecznych lustrzankach. Zwolnił, zlustrował furę Pullera, po czym podniósł na niego wzrok.

I skinął głową.

Puller odpowiedział tym samym, nie mając pojęcia, co policjant próbuje mu zakomunikować, jeśli w ogóle coś. W każdym razie nie warto zadzierać z lokalną policją, nawet jeśli ta porusza się radiowozami pomalowanymi w palmowe liście.

Siedząca obok policjantka również taksowała Pullera z ciemnych okularów. Miała blond włosy i wyglądała na niewiele ponad trzydzieści lat. W przeciwieństwie do swojego partnera nie skinęła Pullerowi głową. Odwróciła się do mężczyzny, coś do niego powiedziała i wóz patrolowy szybko się oddalił.

Puller patrzył chwilę za nimi, wsiadł do corvetty i ruszył. Wpisał w nawigacji adres ciotki. GPS pokazał pięć minut drogi.

Pięć minut i bladego pojęcia, co zastanie na miejscu.

Prawie jak na polu walki.

Tylko że tam zwykle miało się wsparcie, zabezpieczenie.

Tutaj działał solo.

Po solowych występach w Wirginii Zachodniej zaczynał mieć tej strategii serdecznie dosyć.

Jeśli dopisze mu szczęście, drzwi otworzy Betsy Simon i zaprosi go do siebie na mrożoną herbatę.

8

Firma zajmująca się pielęgnacją ogrodów przyjęła go z otwartymi ramionami, ponieważ miał siłę trzech mężczyzn i potrafił pracować za trzech, czego dowiódł ponad wszelką wątpliwość już pierwszego dnia.

Po ucieczce z plaży tamtej nocy, gdy fala wciągnęła ciała dwojga ludzi w głąb zatoki, pojechał ukradzionym rowerem do mniej malowniczej części Paradise. Miał tam zaklepane miejsce, wynajęte na miesiąc z góry i zaopatrzone w zapas żywności. Pokój około trzynastu metrów kwadratowych, z małą kuchenką, ale i tak nigdy wcześniej nie miał do dyspozycji tak dużej przestrzeni. Czuł się szczęściarzem. Odpoczął kilka godzin, nawodnił się, posilił, opatrzył rany i obmyślał kolejne kroki.

W tego rodzaju okolicy wszyscy jeździli albo starymi, zdezelowanymi pick-upami i osobówkami na łysych oponach, z kopącymi silnikami, albo rowerem, albo łapali okazję i ich zamożniejsi znajomi podwozili ich tam, gdzie potrzebowali się dostać. Nocą niebezpiecznie było wychodzić na zewnątrz, chyba że miało się ochronę jednego z gangów kontrolujących ten mały zakątek Paradise. Położony z dala od wody, nie kusił żadnych turystów, chcących pstryknąć wakacyjne fotki. Tu jednak osiedliła się większość kobiet i mężczyzn, którzy kosili trawniki, czyścili baseny, prali ubrania i sprząтали domy zamożniejszych mieszkańców Paradise.

Odważył się wyjść ze swego lokum nocą – tylko po to, żeby zacząć się w jednej z większych firm ogrodniczych. Rzut oka na jego wzrost i posturę wystarczył koordynatorowi, by uznać go za

zdatnego do pracy. W drodze powrotnej napotkał czterech młodych mężczyzn, członków ulicznego gangu, którzy zwali się *dueños de la calle* – królami ulicy.

Okrzyżyli go w cichym zaułku, mierząc wzrokiem jego imponujące rozmiary. Wyglądał jak potężny samiec słonia w otoczeniu lwic. Próbowali oszacować, czy razem dadzą mu radę. Widział wybrzuszenia splotów pod koszulami, a w świetle latarni błysk trzymany w rękach noży, własnej roboty i kupionych w sklepie.

On nie musiał się zastanawiać, czy sobie z nim poradzą.

Wiedział, że przegrają, uzbrojeni czy nie.

Już nawet zdecydował, w jaki sposób unieszkodliwi każdego z nich, jeżeli zaatakują. Wolałby od tego nie zaczynać, ponieważ skomplikowałoby to jego pobyt tutaj. No ale przecież nie może dać się zabić.

Nie zatrzymał się, a oni go okrzyżali, zamykając w ruchomej bańce z ciała i kości. Wreszcie stanął i obrzucił ich wzrokiem. Zagadali coś po hiszpańsku. Pokręcił głową, powiedział łamaną hiszpańszczyzną, że nie mówi w tym języku, chociaż mówił, i to biegle. Zrobił to tylko po to, żeby się odczepili, żeby było im trudniej się z nim porozumieć. Frustracja upośledza myślenie.

Potem odezwał się do nich w swoim ojczystym języku, czym, zgodnie ze swoją intencją, kompletnie zbił ich z tropu.

Największy z gangu, prawdopodobnie chcąc pokazać, że nie da się zastraszyć temu wielkiemu facetowi, odważnie podszedł bliżej i zapytał go po angielsku, skąd pochodzi.

On w odpowiedzi wskazał w stronę oceanu.

To najwyraźniej się im nie spodobało.

Najmniejszy z całej czwórki wyskoczył przed szereg i, powodowany brawurą i adrenaliną zamiast zdrowym rozsądkiem,

usiłował dźgnąć go nożem w brzuch. Mężczyzna poruszał się z zaskakującą szybkością jak na kogoś o tak imponującej posturze. Rozbroił gangstera, jedną ręką uniósł go w powietrze jak dziecko. Przyłożył mu ostrze do gardła, łaskocząc pulsującą tętnicę. Następnie błyskawicznym ruchem odrzucił nóż, który wbił się czubkiem w drewniane drzwi kilka metrów dalej.

Puścił napastnika, a gang rozplynął się w mroku.

Byli młodzi, ale najwyraźniej ich głupota miała granice.

Ruszył przed siebie.

Następny dzień upłynął mu na dwunastogodzinnej pracy, za którą dostawał osiem dolarów na godzinę. Wypłacanych w gotówce na koniec dnia, ale potrącano pięć dolarów za posiłek składający się z butelki wody, kanapki oraz chipsów. Dodatkowo odejmowano po dolarze od każdej godziny z powodu rosnących cen benzyny, jak mu wyjaśniono. Pieniądze nie miały dla niego znaczenia. Po prostu je brał, wciskał do kieszeni i wracał wysłużoną ciężarówką w poblize miejsca, w którym się zatrzymał.

Temperatura sięgała tego dnia trzydziestu siedmiu stopni, a on przez cały czas pracował w słońcu. Nawet najbardziej zaprawieni w trudach pracownicy szybko opadali z sił w upalnym, wilgotnym powietrzu i raz po raz robili sobie przerwę w choćby skrawku cienia, jaki udało im się znaleźć, on zaś wytrwale pracował, nie zważając na lejący się z nieba żar, tak samo jak ignorował zmęczenie, gdy płynął wiele godzin przez zatokę.

Gdy człowiek przeżył piekło, nie rusza go już nic.

Wczesnym rankiem kolejnego dnia usiadł na łóżku. Pot spływał mu po plecach, ponieważ czynsz nie obejmował klimatyzacji. Wśród pozostawionych dla niego przedmiotów znajdował się telefon komórkowy z pewnymi numerami oraz informacjami, które miały okazać się pomocne w wypełnieniu zadania.

Codziennie przewijał ekran telefonu, sprawdzając to, czego potrzebował, oraz usuwając informacje, do których nikt nie powinien się dostać. Gdy skończył, usiadł wygodniej, podniósł do ust szklankę zimnej wody. Rozglądał się po ciasnym pokoju: cztery puste ściany oraz samotne, wychodzące na ulicę okno, przez które dobiegały odgłosy nocnych zabaw od strony odległego brzegu zatoki. Im bliżej plaży, tym kwatery były droższe.

Miał przylecieć tu samolotem. A tymczasem gdy szedł ulicą meksykańskiego miasteczka granicznego sąsiadującego z Brownsville w Teksasie, jednego z najniebezpieczniejszych miejsc na ziemi, oberwał w pierś pociskiem ze środkiem usypiającym. Miał szczęście, że tylko go uspił. Obudził się na pokładzie statku, na pełnym morzu, skrępowany jak rekin w sieci. Przenoszony ze statku na statek, z jednej opuszczonej platformy naftowej na drugą, zdołał uciec przy pierwszej okazji, jaka się nadarzyła.

Głęboko westchnął i oparł się o ścianę. Słaba rama łóżka skrzypiała i jęczała pod jego ciężarem. Drzwi zamknął na klucz, zastawił biurkiem. Gdyby ktoś przyszedł po niego w nocy, nie da się zaskoczyć. Sypiał z ząbkowanym nożem w dłoni. Gdyby ktoś po niego przyszedł, zginąłby z jego ręki. Taki jego los, wiedział od zawsze, że tak będzie.

Wstał, żeby stawić się do pracy.

9

Puller zatrzymał corvette przy krawężniku i patrzył na dom ciotki po drugiej stronie ulicy. Osiedle nazywało się Sunset by the Sea i Puller stwierdził, że nazwa jest adekwatna. Było położone niedaleko oceanu, a słońce zachodziło tu codziennie jak w zegarku.

Dom ciotki był ładnym, solidnie wyglądającym piętrowym budynkiem z garażem. Nigdy jej tu nie odwiedzał. Stracił z nią kontakt na długo przed wstąpieniem do armii. Najpierw mieszkała ze swoim mężem Lloydem w Pensylwanii. Puller przypomniał sobie, że przeprowadzili się na Florydę mniej więcej dwadzieścia lat temu, kiedy Lloyd przeszedł na emeryturę.

Na przestrzeni lat niewiele łączyło go z ciotką. To jego brat starał się podtrzymywać kontakty z Betsy Simon. Ale potem Bobby trafił do więzienia, ojciec niemal postradał zmysły, Puller zaś całkowicie stracił z pola widzenia kobietę, która w dzieciństwie była dla niego najważniejszą osobą.

Tak już w życiu bywa, przypuszczał. Ważne rzeczy zostają wymazane z pamięci i zastąpione innymi ważnymi rzeczami.

Poświęcił kilka minut na zlustrowanie okolicy. Ładnie, elegancko, palmy. Ale bez rezydencji. Minął ich całe mnóstwo po drodze. Skupiały się głównie blisko oceanu bądź nad samym brzegiem, duże jak budynki wielorodzinne, z wielkimi basenami, wysokimi ogrodzeniami, strzelistymi fontannami w charakterze centralnych punktów kompozycji przy kolistych podjazdach, na których stały bugatti i mclareny. Taki styl życia był Pullerowi równie obcy jak, powiedzmy, mieszkanie w stolicy Korei Północnej. I jego zdaniem chyba równie niesmaczny.

Nigdy nie będzie bogaty. W końcu jedyne, czym się zajmował, to nieustanne narażanie życia i zdrowia dla bezpieczeństwa Ameryki. Widocznie nie było to tak ważne ani tak cenione jak zarabianie miliardów na Wall Street kosztem zwykłych obywateli, którzy często zostawali z workiem pustych obietnic, bo mniej więcej tyle zostało się z amerykańskiego marzenia.

Ale ciotka najwyraźniej radziła sobie nieźle. Miała spory, nienagannie utrzymany dom, zadbany ogród. Raczej nie doskwierał jej brak pieniędzy.

Nie widział nikogo przed domem ani na ulicy, czy to pieszo, czy w samochodzie. Upał był naprawdę trudny do zniesienia, może więc mieszkańcy odbywali teraz sjęstę. Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza. Wysiadł z samochodu, przeszedł przez ulicę, stanął pod drzwiami i zapukał.

Nikt nie odpowiadał.

Zapukał ponownie. Jego wzrok ślizgał się raz w lewo, raz w prawo, sprawdzając, czy nikt z sąsiadów nie wystawił ciekawskich czułek. Nie dostrzegł żadnych wścibskich oczu i zastukał ponownie.

Nie słyszał kroków.

Podszedł do bramy garażowej i zajrzał przez szybkę. W środku stała toyota camry. Wyglądała na stosunkowo nową. Zastanawiał się, czy ciotka nadal prowadzi samochód. Próbował unieść drzwi do garażu, ale okazały się zablokowane. Pewnie otwierają się automatycznie, pomyślał. Wykluczone, żeby starsza osoba musiała się schylać i podciągać ciężkie opuszczane drzwi za każdym razem, gdy ma ochotę na przejażdżkę.

Podszedł do płotu z boku. Z racji swego wysokiego wzrostu mógł zajrzeć za ogrodzenie chroniące przed wścibskimi spojrzeniami. Na środku niewielkiego ogrodu za domem zobaczył fontannę.

Nacisnął klamkę furtki. Zamknięta. Ale na zwykłą zasuwkę. Wystarczyło szarpnąć i bramka się otworzyła. Wszedł do ogrodu i zbliżył się do fontanny. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, był rowek wyłobiony w ziemi tuż obok kamiennego obramowania fontanny. Uklęknął, przyjrzał mu się i dostrzegł drugi, podobny, jakiś metr dalej. Spojrzał na fontannę. Ktoś wyciągnął wtyczkę od pompy, ponieważ woda, która powinna tryskać ze szczytu i spływać do sadzawki, nie wypływała.

Pochylił się i przyglądał dnu zbiornika. Leżały tam pojedyncze ozdobne kamienie, ale jakby poprzekładane. Niektóre odsunięte tak bardzo, że odsłaniały betonowe podłoże. Gdy skupił wzrok, zauważył, że jeden z kamieni tworzących obramowanie sadzawki był częściowo obruszony i leżał wprost na ziemi. Widniała na nim jakaś plama. Bacznie się jej przyjrzał.

Krew?

Badał wzrokiem topografię ogrodu na odcinku między sadzawką a tylnymi drzwiami domu. Ponownie dostrzegł zagłębienia w podłożu. Czy to ślady balkonika? Nie widział żadnych odcisków stóp. Trawa była szorstka i dość sucha, nie spodziewał się zatem zauważalnych wgnieceń. Pochylił się niżej i zlustrował sadzawkę. Głęboka może na sześćdziesiąt centymetrów, o średnicy mniej więcej stu osiemdziesięciu centymetrów, z niskim kamiennym murkiem, który zatrzymywał wodę.

Jego wzrok prześlizgiwał się po kamieniach w poszukiwaniu innych śladów. Nie widział krwi, nie widział włosów ani fragmentów naskórka. Przysunął twarz do tafli przejrzystej wody i po raz kolejny obejrzał miejsca, w których kamienie zostały poruszone.

Potem wstał i odegrał w wyobraźni upadek do sadzawki. Ramiona wyciągnięte dla amortyzacji. Jedno tu, drugie tam. Kolana

uderzają w ozdobne kamienie. Zmodyfikował nieco układ, by uwzględnić ewentualny balkonik. Porównał swoje wyobrażenia z widokiem, który miał przed oczami. Niezupełnie pasował, najwyraźniej coś zmieniło ułożenie kamieni.

Ale ciotka, gdyby była przytomna, przeturlałaby się na bok i wynurzyła głowę z sadzawki. A więc z nieznaney przyczyny straciła przytomność i upadła twarzą w wodę. Głębokość sześćdziesięciu centymetrów gwarantowała pełne zanurzenie głowy. Śmierć nadeszłaby szybko.

Po chwili się zmiłgował.

Wszędzie widzę zbrodnie. Nie nakręcaj się, Puller.

Nie miał dowodu, że ciotka nie żyje albo że cokolwiek złego jej się stało. Być może czołgał się w jej ogrodzie, szukając w upale śladów zbrodni, której wcale nie popełniono. Oto czym się kończy zawodowe ściganie przestępstw. W razie potrzeby potrafił z łatwością wyssać je z palca.

Albo i bez potrzeby.

Cofnął się o krok i zyskał potwierdzenie, że rzeczywiście wydarzyło się tu coś nadzwyczajnego.

W trawie były widoczne dwie równoległe linie przygniecionych źdźbeł, przypominające miniaturowe tory. Gdy spojrział na inny fragment trawnika, dostrzegł kolejną parę torów. Puller wiedział, co to znaczy. Widział to już wiele razy.

Podszedł szybko do tylnych drzwi domu i nacisnął klamkę. Zamknięte. Ciotka dbała przynajmniej o bezpieczeństwo. Ale drzwi blokowała tylko pojedyncza zasuwka. Rozprawienie się z nią zajęło Pullerowi całe piętnaście sekund. Wszedł do środka.

Układ wnętrza wydawał się nieskomplikowany. Prosty korytarz biegnący przez całą długość domu, od frontu do tyłu, pokoje po obu stronach. Ukośne schody na górę, na piętrze zapewne sypialnie.

Zważywszy na podeszły wiek, ciotka pewnie urządziła sobie swój pokój na parterze. Puller słyszał, że takie rozwiązanie jest bardzo popularne wśród emerytów.

Minął pralnię, pokój gospodarczy, kuchnię, a przy niej główną sypialnię. Na końcu dotarł do przestronnego pokoju dziennego z wejściem z holu. Oddzielała go od kuchni niska półścianka. Meble bogato zdobione motywami tropikalnymi. Gazowy kominek na ścianie wyłożonej kamienną okładziną. Puller sprawdził klimat w rejonie Panhandle i dowiedział się, że najniższa temperatura w środku zimy rzadko spada tu do kilku stopni powyżej zera, ale rozumiał ciotkę pochodzącą ze śnieżnego stanu, że chciała wygrzać stare kości przy przytulnym kominku, który nie wymaga rąbania drewna na opał.

Obok frontowych drzwi zauważył alarm domowy. Zielone światełko sygnalizowało, że jest rozbrojony, co już wiedział, ponieważ nie włączył się, gdy John wszedł do środka od strony ogrodu.

Na półkach, konsolkach i porozstawianych w pokoju stolikach ujrzał mnóstwo zdjęć, głównie starych. Oglądał je po kolei i znalazł kilka przedstawiających ojca, brata i jego samego w mundurach, w towarzystwie ciotki Betsy. Ostatnie pochodziło z czasów, gdy Puller wstąpił do armii. Zaczął się zastanawiać, jak doszło do zerwania więzi w rodzinie, ale nie potrafił wskazać przyczyny. Było też całkiem sporo fotografii męża Betsy, Lloyda. Nieco niższy od żony, o żywej twarzy. Na jednym ze zdjęć pozowali razem, Lloyd w zielonym mundurze z czasów drugiej wojny światowej, Betsy w mundurze żeńskiej służby pomocniczej. Wpatrywali się w siebie jak w obrazek, jakby zapalali miłością od pierwszego wejrzenia, jeśli taka w ogóle istnieje.

Puller o niej słyszał, ale nie miał okazji jej doświadczyć.

Podszedł do okna i ostrożnie uchylił zasłonę. Od czasu podróży na Bliski Wschód nigdy nie odsłaniał się bardziej – ani fizycznie, ani emocjonalnie – niż wymagała absolutna konieczność.

Policyjny radiowóz zatrzymał się przy krawężniku, kierowca zgasił silnik.

Bez syren, bez świateł ostrzegawczych; dwójka policjantów najwyraźniej działała w trybie ukrytym. Wysiedli, wyjęli broń, rozejrzeli się dokoła, ich wzrok powoli przesunął się na front domu.

Pewnie ktoś zauważył Pullera w ogrodzie, może widział też, jak wchodzi do domu, i zawiadomił policję.

Funkcjonariusz był łyсы, krępy. Ten sam, którego Puller widział wcześniej. Obok stała jego partnerka. Wyższa od niego o pięć centymetrów i na oko w lepszej formie fizycznej. Mężczyzna był masywny i muskularny na górze, ale miał rachityczne nogi. Za dużo wyciskania na ławce, za mało przysiadów. Zdaniem Pullera wyglądał jak wyrzucony z wojska patałach, choć oczywiście nie mógł mieć co do tego pewności. Może wywnioskował to z tamtego protekcyjnego skinienia głową przy ich pierwszym spotkaniu.

Facet trzymał dziewięćmilimetrową spluwę niezdarnie, wręcz po amatorsku, jak gdyby nauczył się tego z telewizji albo z kina, podpatrując, jak gwiazdy filmów akcji posługują się bronią. Ona trzymała pistolet z całkowitym opanowaniem i swobodą, rozkładając ciężar ciała równo na obie nogi, pochylona, z lekko ugiętymi kolanami. Co za dobrana para – amator i zawodowiec, pomyślał Puller.

Jeśli ciotka nie żyje i wszczęto śledztwo, miał cholerną nadzieję, że nie prowadzi go ten łyсы osiłek. Bo spartoli je koncertowo. Murowane.

Puller postanowił wziąć sprawy w swoje ręce, głównie dlatego, że nie chciał, by ten koleś przypadkowo się postrzelił. Wyjął

z ramki fotografię i wsunął ją do kieszeni koszuli. Następnie ruszył do drzwi frontowych, otworzył je i wyszedł na jaskrawe słońce Paradise.

10

– Nie ruszaj się!

Rozkaz padł z ust kobiety.

Puller się podporządkował.

– Ręce do góry! – dodał jej partner.

– No to jak: nie ruszać się czy ręce do góry? – zapytał Puller. – Bo nie da się zrobić naraz jednego i drugiego. A nie spieszy mi się oberwać kulkę z powodu nieporozumienia.

Policjanci podeszli bliżej, ona z prawej, on z lewej strony.

Puller zauważył, że kobieta patrzy mu na ręce, zaś facet przykleił wzrok do jego twarzy. Ona zachowała się profesjonalnie. Puller nie mógł zabić oczami. Natomiast ręka mogła wyciągnąć broń i w jednej sekundzie otworzyć ogień, mimo że oczy pozostałyby nieruchome.

– Ręce za głowę, palce splecione – poleciała. – Kładź się na brzuchu, twarzą do ziemi, nogi rozstawione.

– Mam z tyłu za pasem M11. A w przednich kieszeniach spodni papiery wojskowe i odznakę.

Policjanci spojrzeli na siebie, popełniając tym samym błąd. Puller mógłby ich zastrzelić w ciągu tych dwóch sekund, które na to zmarnowali. Ale tego nie zrobił, darując im kolejny dzień życia.

– Co to jest, do cholery, M11? – zapytał mężczyzna.

Zanim Puller zdążył odpowiedzieć, policjantka wyjaśniła:

– Wojskowa wersja siga P228.

Puller patrzył na nią z zainteresowaniem. Miała ponad sto

siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, jasne włosy ciasno spięte z tyłu kłamrą. Szczupłej budowy ciała, umięśniona, ale poruszała się z gracją tancerki, a jej dłonie wyglądały na silne.

– Gdybym mógł bardzo powoli sięgnąć do kieszeni spodni, pokazałbym papiery i odznakę.

Tym razem kobieta nie spojrzała na partnera.

– Jaka jednostka?

– Siedemset Pierwsza z Quantico – odpowiedział błyskawicznie.

– CID czy MP¹⁰? – chciała uściślić.

– CID. W stopniu CWO¹¹.

Zanim jej partner zadał pytanie, wyjaśniła:

– Starszy chorąży z wydziału śledczego.

Puller przyglądał się jej z jeszcze większą ciekawością.

– Była wojskowa?

– Mój brat służy w armii.

– Mogę wyjąć dokumenty? – zapytał Puller.

– Bardzo powoli – poinstruował policjant, mocniej zaciskając rękę na broni.

Puller wiedział, że właśnie tak robić nie należy. Zbyt kurczowy chwyt zwiększa ryzyko błędu o około trzydzieści procent albo i więcej. Bardziej jednak niepokoiło go niebezpieczeństwo, że facet coś sknoci i postrzeli go przez przypadek.

– Tylko dwoma palcami – komenderowała kobieta. – Drugą ręką na szczycie głowy. – Mówiła stanowczo, jasno, spokojnie. To się Pullerowi podobało. W przeciwieństwie do partnera nie traciła z nerwów zdolności trzeźwego myślenia.

Puller dwoma palcami wyciągnął dowody tożsamości. Najpierw pokazał legitymację, potem odznakę. Symbol jednookiego orła CID był jedyny w swoim rodzaju.

Policjanci podeszli na tyle blisko, że Puller mógł podać kobiecie dokumenty, podczas gdy jej partner cały czas trzymał go na muszce. Puller zdecydowanie wolałby odwrotną sytuację, ponieważ facet wydawał się tak nabuzowany i spięty, że mógłby śmiertelnie postrzelić całą trójkę.

Podniosła wzrok znad dokumentów, porównując fotografię ze stojącym przed nią Pullerem, i rzekła:

– W porządku. Dla bezpieczeństwa będę musiała odebrać panu broń osobistą do czasu wyjaśnienia sprawy.

– Na plecach, w kaburze.

Stała za jego plecami, a w tym czasie policjant cofnął się o krok i ustawił celownik na Pullera.

Kobieta przeszukała go szybko, ale skutecznie, jej dłonie przesuwały się sprawnie po plecach, następnie w dół i w górę wewnętrznej strony nogawek. Puller poczuł, jak unosi mu się koszula. Policjantka wyjęła mu pistolet z kabury i po chwili stanęła naprzeciwko niego, trzymając broń za skierowaną w dół lufę.

– Dostaliśmy zgłoszenie o włamaniu – wyjaśniła. – Co pan tutaj robi?

– To dom mojej ciotki Betsy Simon. Przyjechałem do niej z wizytą. Nikt nie otworzył drzwi, więc wszedłem przez ogród.

– Szmata drogi z Wirginii – rzucił policjant, nie przestając mierzyć z pistoletu w głowę Pullera.

Puller nawet na niego nie spojrział, za to zwrócił się do kobiety:

– Mogłaby pani poprosić kolegę o schowanie broni? Wypadki chodzą po ludziach.

– Papiery są czyste, Barry, poza tym jest rozbrojony. Wyluzuj. – Popatrzyła na Pullera. – John Puller – powiedziała. – Betsy Simon to pańska ciotka?

Skinął głową.

– A pani jest...? – Zerknął na jej identyfikator, lecz oślepiiony słońcem nie mógł odczytać nazwiska.

– Landry. Cheryl Landry. A to Barry Hooper.

Oddała mu dokumenty.

– Wiecie, gdzie może być moja ciotka? – zapytał Puller.

Landry nerwowo spojrzała na kolegę. Puller to zauważył.

– Widziałem kilka interesujących rzeczy w ogrodzie za domem. Czy coś się tam stało?

– Dlaczego pan tak sądzi? – spytała podejrzliwie.

– Ponieważ wokół fontanny były ślady. Poza tym zauważyłem odciski w trawie za domem tory pozostawione przez kółka noszy. Przypuszczam, że na noszach ktoś leżał. Czy tym kimś była moja ciotka?

– Przybyliśmy na miejsce jako pierwsi – odparła cicho Landry.

– Na miejsce czego?

– Pani, która tu mieszkała, utopiła się w sadzawce za domem – wtrącił Hooper.

Policjantka skarciła go wzrokiem i rzekła:

– Wyglądało to na wypadek. Przykro mi, agencie Puller.

Puller stał i powoli przyswajał sobie wszystkie informacje. W pewnym sensie nie był zaskoczony. Z drugiej strony czuł się skołowany. Miał nadzieję, że ofiarą padł kto inny niż ciotka.

– Możecie przedstawić mi przebieg wydarzeń?

– Przyjechaliśmy do włamania, na miejscu zastaliśmy pana. Nie będziemy sobie gawędzić. Powinniśmy zakuć pana w kajdanki i odczytać przysługujące aresztowanemu prawa – skwitował Hooper.

Landry rzuciła mu spojrzenie.

– On ma rację. Nie wiemy, czy Betsy Simon była pańską ciotką. Nie wiemy także, co pan robił w jej domu.

– Mam zdjęcie w kieszeni koszuli. Wziąłem je z pokoju na dole. Landry wyjęła fotografię, obejrzała.

– Sprzed ładnych paru lat, ale ciotka pewnie aż tak bardzo się nie zmieniła. Ja też wyglądam mniej więcej tak samo, przybyło mi tylko zmarszczek. Na odwrocie są nasze nazwiska.

Landry przyjrzała się zdjęciu oraz podpisowi z tyłu, po czym przekazała je do wglądu Hooperowi.

– To on, Barry – stwierdziła.

– Dla mnie nadal nie jest to jednoznaczne – odparł Hooper.

Puller wzruszył ramionami i odebrał fotografię.

– W porządku, jedźmy na komisariat i wszystko wyjaśnijmy. I tak się tam wybierałem po rozejrzeniu się w ogrodzie.

– Już mówiłem: starsza pani upadła i utopiła się w sadzawce – rzekł Hooper. – Wypadek i tyle.

– Potwierdzony przez lekarza sądowego?

– Jeszcze nie wiemy – odparła Landry. – Powinno być już po autopsji.

– To był wypadek. Pani upadła i się utopiła. Dokładnie zbadaliśmy to miejsce.

– Tak, w kółko pan to powtarza. Próbuje pan przekonać sam siebie, że tak było?

– Rzeczywiście wyglądało to na wypadek, agencie Puller – dodała policjantka. – Rozumiem, że trudno pogodzić się z takim nieszczęściem, ale takie rzeczy się zdarzają. Zwłaszcza starszym osobom.

– A na Florydzie jest ich zatręsenie – wtrącił Hooper. – Padają jak muchy, dzień w dzień.

Puller odwrócił się w stronę mężczyzny i podszedł krok bliżej, chcąc zaakcentować swoją przewagę wzrostu.

– Tylko że nimi nie są.

– Czym nie są? – Hooper się pogubił.

– Muchami. A w razie gdyby pan nie wiedział – sekcje zwłok w dwudziestu pięciu procentach ujawniają inną przyczynę zgonu niż ta, której wszyscy się spodziewają.

– Jedźmy na komisariat – rzekła Landry pojednawczym tonem. – Tam, jak sam pan powiedział, wszystko wyjaśnimy.

– Mam jechać za wami czy pojedziemy radiowozem? – zapytał Puller.

– Tu nie ma wyboru. Jedzie pan z nami – oznajmił Hooper, zanim Landry zdążyła otworzyć usta. – W kajdankach, po zapoznaniu się ze swoimi prawami.

– Naprawdę macie zamiar mnie aresztować?

– Włamał się pan do domu? – zaatakował pytaniem policjant.

– Wszedłem sprawdzić, co z ciotką.

– Dlaczego nie wezwał pan policji, skoro się pan niepokoił? – zapytała Landry. – O wszystkim byśmy pana powiadomili.

– Można było tak zrobić, ale ja działałam inaczej – odparł Puller.

– Wojsko daje przywilej rozbijania się po całym kraju i działania na własnych zasadach? – wypalił Hooper. – Nic dziwnego, że płacimy tak cholernie wysokie podatki.

– Nawet wojsko pozwala czasem swoim ludziom na urlop, oficerze Hooper.

– Zostawimy tu pański samochód – przerwała im Landry. – Pan pojedzie z nami, bez kajdanek i odczytywania praw.

– Dziękuję – rzekł Puller, a Hooper rzucił swojej partnerce ponure spojrzenie.

– Jeśli pańska historyjka się nie potwierdzi – ostrzegła – sytuacja ulegnie zmianie.

– W porządku – odparł Puller. – Ale gdy ustalicie, że jestem czysty, muszę zobaczyć zwłoki ciotki.

Ruszył w stronę radiowozu.

– Chodźcie! – zawołał przez ramię.

Policjanci wolnym krokiem poszli za nim.

11

Komisariat policji w Paradise znajdował się dwie przecznice od plaży – w piętrowym budynku z częściowo otynkowanego kamienia, krytym pomarańczową dachówką, z dwiema palmami od frontu. Sąsiedował z hotelem Ritz-Carlton i bardziej przypominał klub dla lokalnej socjety niż miejsce, w którym policjantom przydzielano zadania oraz samochody patrolowe do ścigania przestępców.

Gdy Puller wysiadł z radiowozu i rozejrzał się wokół, powiedział do Hoopera:

– Celowo ulokowaliście się w rejonie o wysokiej przestępczości, żeby czuwać nad elementem kryminalnym?

Hooper zignorował tę uwagę, ale chwycił Pullera za łokieć i wprowadził go do środka. Najwyraźniej miał wrażenie, że Puller jest aresztowany i jedyne, czego mu brakuje, to kajdanek na nadgarstkach oraz dźwięczącego w uszach pouczenia o przysługujących mu prawach.

Wewnątrz budynek wyglądał podobnie jak na zewnątrz. Bogato, czysto, schludnie. Był to w zasadzie najczystszy i najschludniejszy komisariat policji, jaki Puller widział w całym swoim życiu. Gdy weszli we troje do środka, personel pracujący w precyzyjnie zorganizowanych pomieszczeniach biurowych ledwie podniósł głowy. Rzuciły się w oczy nieskazitelnie czyste, wykrochmalone ubrania, jakby szyte na miarę przez wytrawnego krawca. Nie dzwoniły telefony. Nikt nie żądał prawnika ani nie wrzeszczał, że jest niewinny, a postawione mu zarzuty są sfigowane. Krnąbrni aresztanci nie rzygali na podłogę. Tłuści, spoceni i śmierzdzący

gliniarze nie snuli się rozdrażnieni korytarzami w poszukiwaniu automatów z czekoladowymi batonami i napojami gazowanymi, prosząc się o rychły zawał mięśnia sercowego.

Dla Pullera miejsce było tak nierzeczywiste, że zaczął się rozglądać za kamerą, zastanawiając się zupełnie serio, czy ktoś przypadkiem go nie wkręca.

Spojrzał na idącą obok Landry.

– W życiu nie widziałem takiego komisariatu.

– Czym różni się od innych?

– A była pani w innych?

– W kilku.

– Proszę mi wierzyć, jest inny. Szukałem wzrokiem lokaja przy wejściu, a wewnątrz baru, gdzie mógłbym zamówić drinka, zanim wybije piłeczkę i rozpocznę szybką rundę złożoną z dziewięciu dołków. A przecież nawet nie gram w golfa.

Hooper mocniej go szturchnął.

– Mamy tu solidną podstawę opodatkowania. To jakiś problem?

– Nie powiedziałem, że problem. Tylko że jest inaczej.

– Więc może cała reszta powinna wziąć z nas przykład – odciął się Hooper. – Bo myślę, że u nas jest tak, jak należy. Pieniądze równa się lepsze życie.

– Jasne. Kiedy następnym razem znajdę się w Kabulu, przekażę im pańskie sugestie.

– Miałem na myśli Stany Zjednoczone Ameryki, a nie jakąś zapadłą dziurę, gdzie gościom mówiącym jakimś porąbanym językiem wydaje się, że ich zaszary bóg jest lepszy niż nasz Bóg prawdziwy.

– Akurat tę myśl zachowam dla siebie – odparł Puller.

– A głównie mnie to obchodzi.

Puller próbował uwolnić łokieć z uścisku Hoopera, ten jednak mocno trzymał, jakby był magnezem, a Puller kawałem metalu. Facet robił to tylko po to, żeby go wkurzyć. To jasne. I Puller nie mógł nic wskórać, chyba że chciałby skończyć w więziennej celi, co poważnie przeszkodziłoby w śledztwie w sprawie śmierci ciotki.

Hooper poprowadził go do krzesła stojącego pod oddzielną matową szybą biurkiem z napisem na drzwiach: *Henry Bullock, komendant policji*. Landry zapukała dwukrotnie i Puller usłyszał wypowiedziane szorstkim głosem: „Wejść!”.

Landry zniknęła w oszklonym biurze, a Hooper pozostał przy Pullerze.

Puller nie miał nic do roboty, więc wodził dookoła wzrokiem. Jego uwagę przykuli kobieta i mężczyzna po czterdziestce, ponieważ w tej oazie całkowitego spokoju wydawali się zrozpaczeni. Siedzieli przy biurku człowieka ubranego w luźne czarne spodnie, białą koszulę z podwiniętymi do łokcia rękawami i krawat w stonowanym kolorze. Na chudej szyi miał zawieszoną plastikową smycz z identyfikatorem.

Do Pullera docierały jedynie strzępy rozmowy. Usłyszał słowa: „spacer późnym wieczorem”, a potem: „Nancy i Fred Storrowowie”.

Kobieta ocierała nos chusteczką, mężczyzna zaś wpatrywał się we własne dłonie. Facet za biurkiem stukał w klawiaturę komputera i wydawał pomruki współczucia.

Puller oderwał uwagę od tamtych dwojga, ponieważ otworzyły się drzwi biura Bullocka, zza których wyłonili się Landry oraz mężczyzna, którego Puller wziął za komendanta policji.

Henry Bullock mierzył około metra osiemdziesięciu, miał szerokie bary i nabite ramiona, które szczelnie wypełniały rękawy przepisowego munduru. Pokażny brzuch napinał tkaninę jeszcze

mocniej. Masywne nogi Bullocka, zbudowanego bardziej proporcjonalnie niż Hooper, wspierały się na nietypowo małych stopach. Wyglądał na mężczyznę około sześćdziesiątki, o rzednących siwych włosach, krzaczastych brwiach, kartoflowatym nosie i cerze zbyt często wystawianej na działanie słońca i wiatru. Głębokie bruzdy na czole nadawały mu wygląd człowieka wiecznie zagniewanego.

Gdyby komendant nosił inny mundur, Puller mógłby przysiąc, że widzi przed sobą swojego byłego instruktora musztry.

– Puller? – zapytał, piorunując go wzrokiem.

– To ja.

– Niech pan wejdzie. Ty też, Landry. Hoop, zaczekaj na zewnątrz.

– Ale szefie! – zaprotestował Hooper. – Ja też brałem udział w aresztowaniu.

Bullock odwrócił się i spojrzał na policjanta.

– Nie było żadnego aresztowania, Hoop. Przynajmniej na razie. Jeśli do niego dojdzie, dam ci znać.

Z tych słów Puller wywnioskował, że Bullock jest człowiekiem byстрыm i doskonale zdaje sobie sprawę z ograniczonych możliwości podwładnego.

Hooper stał z nadąsaną miną i łypał na Pullera, jakby to on ponosił winę za ten afront. John wstał i wreszcie oswobodził łokieć z uścisku.

– Czekaj na instrukcje, Hoop – rzekł komendant. – Powiadomimy cię.

12

Puller wszedł do biura, a za nim Landry. Zamknęła drzwi.

Biuro było prostokątnym pomieszczeniem, długim na trzy i pół metra, a szerokim na dwa i pół. Urządzonym ascetycznie, bez zbędnych sprzętów, co, jak mniemał Puller, dokładnie odzwierciedlało osobowość jego użytkownika.

Bullock usiadł za drewnianym biurkiem i wskazał Pullerowi samotne krzesło naprzeciwko. Landry stała w postawie półzasadniczej na ukos od lewego ramienia Pullera.

Puller zajął miejsce, wyczekująco patrząc na Bullocka.

Komendant przez chwilę skubał paznokcie prawego palca wskazującego, aż wreszcie przerwał ciszę, mówiąc:

– Weryfikujemy, czy jest pan osobą, za którą się pan podaje.

– A gdy zweryfikujecie, będę mógł zbadać miejsce zbrodni?

Bullock rzucił mu poirytowane spojrzenie.

– Nie ma żadnego miejsca zbrodni.

– Formalnie nie, ale może to ulec zmianie.

– Ile lat miała pańska ciotka?

– Osiemdziesiąt sześć.

– I, jak wynika z raportu, korzystała z chodzika. Upadła, uderzyła się w głowę i utopiła. Bardzo współczuję. Sam straciłem w podobny sposób babcię. Dostała ataku serca w wannie. Była już wiekowa. Stało się. Nikt nie był w stanie temu zapobiec. Tak samo wygląda to tutaj. Nie powinien pan robić sobie wyrzutów – dopowiedział.

– Potwierdzono, że się utopiła? – zapytał Puller, ignorując ten ostatni przytyk.

Ponieważ nie uzyskał odpowiedzi, dodał:

– Na akcie zgonu musi być wypełniona rubryczka „Przyczyna śmierci”, bo inaczej ktoś mógłby się zdenerwować. Chyba że na Florydzie obowiązują zupełnie inne zasady.

– Miała wodę w płucach, a więc tak, utonęła – odparł Bullock. – Lekarka sądowa zakończyła autopsję wczoraj wieczorem. Oficjalnie użyła terminu...

– Wiem, asfiksja – przerwał mu Puller. – Mogę zobaczyć raport?

– Nie, nie może pan. Udostępniamy je wyłącznie najbliższemu krewnym albo osobom, które mają nakaz sądowy.

– Jestem jej bratankiem.

– Tak pan twierdzi, ale nawet jeśli to prawda, pod pojęciem najbliższych krewnych zawsze rozumiałem bezpośrednich członków rodziny.

– Nie ma nikogo. Jej mąż nie żyje, a jedyne rodzeństwo to brat przebywający w szpitalu dla weteranów w Wirginii, którego stan umysłowy nie pozwala na zajęcie się tą sprawą. Była bezdziejna.

– Przykro mi. Naprawdę nic nie mogę zrobić – odparł Bullock. – Bardzo poważnie traktuję kwestię ochrony prywatności osób zmarłych.

– A nie traktuje pan poważnie ewentualności, że mogła paść ofiarą zabójstwa?

– Nie obchodzą mnie pańskie insynuacje – warknął komendant.

– Nie zamierzał pan skontaktować się z jej rodziną? – zapytał Puller.

– Jesteśmy w trakcie tych czynności. Dokonaliśmy wstępnego przeszukania domu, ale nie znaleźliśmy niczego przydatnego. Musi

pan zrozumieć: to jest Floryda. Wielu starszych mieszkańców, wiele zgonów. Próbujemy w tej chwili dotrzeć do krewnych czterech innych zmarłych, a ja dysponuję ograniczonymi siłami.

– Podanie w raporcie utonięcia jako przyczyny zgonu wskazuje powód bezpośredni. Nie wyjaśnia natomiast okoliczności, w jakich ofiara znalazła się w wodzie.

– Upadła.

– To jest domysł, a nie fakt.

Landry poruszyła się, jakby chciała coś powiedzieć, ale po namyśle najwyraźniej zmieniła zdanie i nadal milczała.

Puller to zauważył, lecz nie zareagował. Uznał, że porozmawia z nią później, z dala od jej szefa.

– To postawiona przez profesjonalistów hipoteza, oparta na dokonanych na miejscu rozpoznaniach – poprawił Bullock.

– Hipoteza to w gruncie rzeczy zawołowany domysł. Prawdziwym powodem, dla którego tu przyjechałem, jest wysłany przez ciotkę list. – Wyjął go z kieszeni i podał Bullockowi.

Landry obeszła biurko i przeczytała list znad ramienia swego zwierzchnika.

Bullock zapoznał się z treścią, złożył kartkę i oddał ją Pullerowi.

– To żaden dowód. Gdybym dostawał dolara za każdym razem, gdy jakaś starsza pani podejrzewa, że dzieje się coś dziwnego, przeszedłbym na emeryturę jako krezus.

– Czyżby? Wymagałoby to ponad miliona zdziwaczałych staruszek, prawda? Paradise liczy sobie jedenaście tysięcy czterystu pięćdziesięciu siedmiu mieszkańców. Sprawdziłem przed przyjazdem. Musi pan ściągnąć tu znacznie więcej obłąkanych staruszek, jeśli chce pan być bogatym emerytem.

Zanim Bullock zdążył zareagować, ożył faks stojący na stoliku

za jego plecami. Z podajnika wysunął się papier. Bullock chwycił go i czytał, raz po raz rzucając okiem na Pullera.

– W porządku, jest pan osobą, za którą się pan podaje.

– Miło, że zostałem zweryfikowany.

– Landry twierdzi, że jest pan z CID.

– Zgadza się. Od sześciu lat. Wcześniej byłem zwykłym żołnierzem z karabinem.

– Ja pełnię w tej mieścinie funkcję komendanta policji od piętnastu lat. A te piętnaście lat temu byłem krawężnikiem zdzierającym podeszwy na ulicach. Naoglądałem się w życiu dość zabójstw i wypadków. Tu mamy do czynienia z tym drugim.

– Czyżby mi coś umknęło? – zapytał Puller. – Czy jest jakiś powód, dla którego nie chce pan przyjrzeć się tej sprawie nieco bardziej wnikliwie? Jeśli to kwestia niewystarczających zasobów ludzkich, zgłaszam swoje usługi na ochotnika. Ja też naoglądałem się w życiu dość zabójstw i wypadków. W wojsku niestety mamy urodzaj jednych i drugich. Zajmowałem się sprawami, które początkowo wyglądały na wypadek, a później okazywały się czymś innym. I na odwrót.

– Może po prostu nie jest pan tak dobry jak my – zaripostował komendant.

– Może nie jestem. Ale dlaczego się nie upewnić? Mamy do rozstrzygnięcia drobną kwestię, po czyjej stronie jest racja.

Bullock przejechał dłonią po twarzy, jakby chciał zetrzeć z niej drobny piasek, po czym pokręcił głową.

– No dobrze, chyba na tym zakończyliśmy. Współczuję straty, jeśli to rzeczywiście pańska ciotka. Ale radziłbym nie zbliżać się więcej do jej nieruchomości, chyba że ze stosownym upoważnieniem. Następnym razem pana aresztujemy.

– A jak mam zdobyć to upoważnienie?

– Niech pan porozmawia z jej prawnikiem. Może on będzie potrafił pomóc. Pewnie policzy panu za to kilka tysięcy dolarów.

– Nie znam jej prawnika. Może mógłbym wrócić do jej domu i sprawdzić?

– Obawia się pan, że nie dostanie tego upoważnienia?

– Więc powracamy do pytania, co było pierwsze: jajko czy kura?

– Do licha, twierdzi pan przecież, że jest członkiem rodziny.

Puller wysunął z kieszeni fotografię.

– Mam to.

Bullock zbył go machnięciem ręki.

– Tak, tak, Landry mi mówiła. To nie jest żaden rozstrzygający dowód.

– A więc to tyle? Nie zrobi pan nic więcej?

– Robię to, co do mnie należy. Służę i chronię.

– Cóż, jeśli Betsy Simon została zamordowana, nie spisał się pan zbyt dobrze ani w jednym, ani w drugim, prawda?

Bullock wstał i spiorunował Pullera wzrokiem. Przez moment Puller miał wrażenie, że komendant zaraz wyciągnie broń, on jednak poprzestał na słowach:

– Życzę miłego dnia, panie Puller.

Skinął na Landry, która rzekła:

– Proszę ze mną, agencie Puller.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi biura, Hooper w jednej sekundzie doskoczył do Pullera i chwycił go za łokieć. Jak owczarek pilnujący owcy. Z tą różnicą, że Pullera trudno byłoby zaliczyć do potulnych baranków. Zdecydowanym gestem odsunął rękę Hoopera i powiedział:

– Dziękuję. W przeciwieństwie do mojej ciotki potrafię poruszać się o własnych siłach.

Zanim policjant zdążył coś powiedzieć, Puller odmaszerował tą samą drogą, którą przyszedł. Landry sunęła tuż za jego plecami.

– Proszę o zwrot broni – rzekł Puller.

– Jest w radiowozie. Możemy podrzucić pana do pańskiego samochodu.

– Dziękuję, wolę się przespacerować – odparł Puller.

– To kawał drogi.

Puller odwrócił się w jej stronę.

– Mam do przemyślenia wiele rzeczy. I nigdy dotąd nie byłem w Paradise. Chciałbym gruntownie poznać miasto. Kolejna okazja może się nie nadarzyć. Większość ludzi, którzy mnie znają, nie ma nic przeciwko temu, żebym przeniósł się gdzie indziej.

Na te słowa Landry się uśmiechnęła.

Dotarli do radiowozu, policjantka wręczyła mu jego M11, a Hooper kręcił się w tyle, nadal niezadowolony, że Puller nie trafił za kratki.

Landry wręczyła Pullerowi wizytówkę.

– Gdyby potrzebował pan pomocy – rzekła, patrząc mu prosto w oczy i po chwili odwróciła wzrok. – Numer mojej prywatnej komórki jest na odwrocie.

Puller wsunął broń do kabury za pasem, a wizytówkę do kieszeni koszuli.

– Dziękuję. I trzymam panią za słowo. – Zerknął przez ramię na Hoopera. – A ten zawsze taki milutki?

– Jest dobrym policjantem – odparła przyciszonym głosem.

– Nigdy nie mówiłem, że nie. Ale proszę mu powiedzieć, żeby dał sobie spokój z tą zastraszającą sztuczką z łokciem. Po trzydziestu sekundach robi się nudna.

Landry przysunęła się bliżej.

– Niech pan wstąpi do domu pogrzebowego Bailey'a. Zaraz za Atlantic Avenue. Tam przeprowadza się sekcje zwłok. Nie mamy w Paradise etatowego lekarza sądowego. Pomaga nam w tym miejscowa lekarka.

– Dziękuję.

Odwrócił się i odszedł.

Hooper za nim zawołał:

– Następnym razem tak łatwo się nie wywiniesz!

Puller nie zwolnił kroku.

13

W drodze do samochodu Puller zadzwonił do domu pogrzebowego Bailey'a. Kobieta, która odebrała telefon, nie chciała potwierdzić, czy znajduje się u nich ciało Betsy Simon.

– Jestem jej bratankiem. Jeśli macie jej zwłoki i chcecie dostać zapłatę za usługi pogrzebowe, muszę uzyskać potwierdzenie. W przeciwnym razie sami uregulujcie rachunek.

Takie postawienie sprawy najwyraźniej pobudziło pamięć kobiety.

– Bez zdradzania poufnych informacji mogę jedynie powiedzieć, że przyjęliśmy zwłoki starszej kobiety, która miała na sobie mokre ubranie i mieszkała przy Orion Street.

– Wpadnę do was później, by załatwić formalności. Wiem, że lekarka sądowa przeprowadziła autopsję. Rozumiem, że wydała ciało. Byłbym wdzięczny, gdyby nie poddawano zwłok żadnym dalszym zabiegom przed moim przybyciem. Czy to jasne?

– Póki nie podpiszemy umowy i nie otrzymamy zaliczki, zapewniam, że nie będziemy nic robić z ciałem – odparła sztywno kobieta.

Puller się rozłączył.

Paradise staje się coraz przyjemniejszym miejscem.

Podjechał pod kawiarniany ogródek przy plaży. Wybrał to miejsce, ponieważ zapewniało dobry punkt do obserwacji sporej części miasteczka. Zamówił kanapkę z indykiem, frytki i mrożoną herbatę. Było za gorąco na codzienną dawkę wysokokofeinowej kawy. Zresztą i tak nosił się z zamiarem zerwania z tym

zwyczajem. Bał się, że zacznie mu utrudniać trafianie do celu.

Racząc się kanapką i zimnym napojem, rejestrował w pamięci wszystko, co działo się wokół niego. Widział, jak nowiutki kabriolet porsche mija starego forda pick-upa z poobdzieranym lakierem i oponami niemal pozbawionymi bieżnika. Kilka chwil później nadjechała z warkotem spora furgonetka z wypisaną na boku nazwą firmy ogrodniczej. Zatrzymała się na światłach.

Puller przyglądał się pięciu mężczyznom w brudnych zielonych spodniach roboczych i przepoconych podkoszulkach w tym samym kolorze, oznaczonych nazwą firmy. Stali na platformie furgonetki. Niscy, krępi Latynosi z wyjątkiem jednego, największego, który wyglądał jak rodzic otoczony grupką przedszkolaków. Był co najmniej o pięć centymetrów wyższy od Pullera i o ponad dwadzieścia kilogramów cięższy, bez odrobiny tłuszczu. Mężczyźni tej postury zwykle bywali zwaliści i ociężali. Ten wydawał się niemal wychudzony. Ręce miał długie, żylaste, tak silne, że mógłby udusić nimi słonia. Na krótką chwilę spotkały się ich spojrzenia, a tuż potem furgonetka z olbrzymem ruszyła.

Puller zauważył przejeżdżający obok wóz policyjny. Niemal spodziewał się ujrzeć w środku Hoopera i Landry, ale była to inna para policjantów, którzy nie zwrócili na niego uwagi.

Zapłacił rachunek, dopił mrożoną herbatę i zadzwonił do szpitala dla weteranów w Wirginii. Poprosił o rozmowę z lekarzem ojca, kazano mu poczekać. Po dłuższej chwili odezwał się kobiecy głos:

– Doktor Murphy jest bardzo zajęty. W czym mogę pomóc?

Puller wyjaśnił, kim jest i czego chce.

– Panie Puller, mogę od razu połączyć pana z ojcem. Może uda się panu go uspokoić.

Wątpliwe, pomyślał Puller. Ale odpowiedział:

– Spróbuję.

W telefonie zadudnił głos ojca.

– To wy, oficerze?

– To ja, sir.

– Raport z misji – padł krótki rozkaz.

– Jestem na miejscu. Na Florydzie. Rozpoznałem teren, nawiązałem kontakt z miejscowymi. Później planuję oszacować straty i wtedy złożę meldunek.

– Ktoś zabrał moją ściśle tajną korespondencję, oficerze. Z mojego osobistego sejfu.

– Daliście mi ją, sir. Tak dla wiadomości. Musiały zaprzętać was inne sprawy. Dowodzenie Sto Pierwszą Dywizją wymaga intensywnego myślenia, sir.

– Jak jasna cholera.

– Więc mam tę korespondencję, sir. Wszystko pod kontrolą. Zamelduję się o dwudziestej.

– Przyjąłem. Powodzenia, oficerze.

Puller się rozłączył i poczuł wstyd. Jak zawsze, kiedy odgrywał przed ojcem tę komedię. Ale jaką miał alternatywę?

Tylko taką, której nie chciał przyjąć.

Później zadzwonił do USDB w Kansas, umówił wieczorną rozmowę z bratem. I schował telefon. Czas zobaczyć ciotkę.

Pomimo że od czasu jego wkroczenia w dorosłość ich drogi się rozeszły, zawsze sądził, że jeszcze kiedyś zobaczy się z Betsy Simon.

Bynajmniej nie w takich okolicznościach.

14

Dom pogrzebowy Bailey'a mieścił się w dwupiętrowym budynku z cegły, położonym w odległości trzech przecznic od oceanu na parceli o powierzchni dwóch tysięcy metrów kwadratowych, niemal w całości wyasfaltowanej, obrzeżonej wąskim pasem spalonej słońcem trawy. Puller zaparkował samochód pod wejściem, wysiadł, a chwilę później wszedł do środka. Gdy zamknął za sobą drzwi, uderzył go zimny powiew z klimatyzacji. Temperatura w budynku musiała być co najmniej kilkanaście stopni niższa niż na zewnątrz. Puller cieszył się, że nie płaci tu rachunków za prąd. Później przyszło mu do głowy, że we wszystkich domach pogrzebowych, w których zdarzyło mu się być, panował nienaturalny chłód, nawet w Nowej Anglii w samym środku zimy. Tak jakby nigdzie nie mieli ogrzewania, tylko klimatyzację. Może tego właśnie uczyli w tym biznesie – niech wszystkim będzie tak zimno jak ich klientom w trumnach.

Kilka metrów od drzwi znajdowała się mała recepcja. Młoda kobieta odziana od stóp do głów w czerń – to pewnie kolejna taktyka firm pogrzebowych, polegająca na ustawicznym symulowaniu żałoby – wstała na przywitanie.

– Nazywam się John Puller. Dzwoniłem wcześniej. Jest u was moja ciotka Betsy Puller-Simon?

– Tak, panie Puller. Jak moglibyśmy panu pomóc?

– Chciałbym ją zobaczyć.

Na ustach kobiety zamarł uśmiech.

– Zobaczyć ciało?

– Tak.

Pracownica domu pogrzebowego miała mniej więcej półtora metra wzrostu i nawet na swoich stukających obcasach wydawała się przy Pullerze prawdziwym mikrusem. Widział na jej głowie ciemne odrosty pośród jasnych pasm włosów.

– Będziemy potrzebowali jakiegoś dowodu pokrewieństwa.

– Używała dwojga nazwisk: panińskiego i po mężu. Czy ta informacja znalazła się w jej dokumentach?

Kobieta usiadła i uderzyła w kilka klawiszy komputera.

– U nas figuruje po prostu jako Betsy Simon.

– Kto zidentyfikował ciało?

– Tego nie wiem.

– Musicie wykazać w papierach, że zwłoki zostały zidentyfikowane. Lekarz sądowy również by tego wymagał. Nie możecie kogoś pochować bez potwierdzenia tożsamości zmarłego. Mogłoby was to kosztować cofnięcie licencji.

– Zapewniam pana, że ściśle przestrzegamy wszystkich stosownych procedur oraz regulacji prawnych – odparła urażonym tonem.

– Nie wątpię. – Puller wyjął dokumenty i pokazał odznakę oraz legitymację.

– Jest pan wojskowym?

– Tak tu napisano. Wolałaby pani przekazać mnie komuś bardziej upoważnionemu? Zapewne nie chce pani decydować samodzielnie.

Kobieta poczuła wyraźną ulgę. Podniosła słuchawkę i wymamrotała parę słów. Po kilku minutach zza drzwi wyłonił się mężczyzna z wyciągniętą do powitania ręką. W czerni oraz białej koszuli, tak sztywniej od krochmalu, że kołnierzyk odcisnął na jego

szyi trwałą czerwoną pręgę.

– Pan Puller? Nazywam się Carl Brown. Jak mogę panu pomóc?

Puller pokazał Brownowi dokumenty i wyjaśnił sytuację. Twarz Browna wyrażała stosowne współczucie. Puller pomyślał, że i tego ucza, przygotowując do pracy w zakładzie pogrzebowym.

Brown zaprowadził go do pomieszczenia, gdzie na długich stołach stały puste trumny.

– W naszej branży obowiązuje mnóstwo przepisów i regulacji – rzekł. – Musimy zachowywać dyskrecję oraz strzec godności ludzi, którzy powierzają nam swoich bliskich.

– Cóż, Betsy Simon nie została powierzona wam przez jej bliskich. Jeszcze parę godzin temu nie wiedziałem, że nie żyje. I nie prosiłem o przewiezienie tu jej szczątków. Kto to zrobił?

– Lokalna policja poprosiła nas o zabranie ciała. Mamy tu wielu emerytów, wielu mieszka samotnie. Ich rodziny bywają rozproszone po całym kraju, a nawet świecie. Skontaktowanie się z nimi wymaga czasu. A pozostawienie ciała w tropikalnym klimacie, jaki panuje na Florydzie, nie jest, że tak powiem, godnym sposobem postępowania wobec zmarłych.

– Rozumiem, że przeprowadzono sekcję zwłok?

– Zgadza się.

– I lekarka sądowa wydała ciało?

Brown skinął głową.

– Dziś rano. Najwyraźniej nie znalazła żadnych dowodów zbrodni.

– Widział pan raport z autopsji?

– Ależ skąd – odparł pospiesznie Brown. – Takich dokumentów się nam nie udostępnia.

– Ma pan dane kontaktowe lekarki?

– Owszem, mogę je przekazać.

– Czy ktoś formalnie zidentyfikował ciało?

– Z naszego protokołu wynika, że dokonały tego na miejscu osoby, które ją znały. Prawdopodobnie sąsiedzi, jeśli nie miała w mieście rodziny. Ale zawsze wolimy, by członkowie rodziny potwierdzili tożsamość zmarłego.

– A więc jestem.

– Jednak bez...

Puller wyjął z kieszeni fotografię i pokazał mężczyźnie.

– Ja stoję po prawej stronie, a Betsy dwie osoby dalej. Zdjęcie pochodzi sprzed wielu lat, ale nie wydaje mi się, by ciotka bardzo się zmieniła. Proszę zobaczyć na odwrocie. Wymienione są tam nasze imiona. Czy to wystarczy? Nie wiem, po co miałbym jechać taki szmat drogi i oglądać zwłoki kogoś, z kim nic mnie nie łączy. Armia płaci mi za wykonywanie dużo ważniejszych zadań.

Brown sprawiał wrażenie zawstydzonego tą uwagą.

– Oczywiście. Nie wątpię. – Rozejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma nikogo w zasięgu słuchu. – Dobrze, proszę za mną.

15

W pomieszczeniu było jeszcze chłodniej niż w pozostałej części zakładu pogrzebowego. Nie bez powodu. Ciała zmarłych potrzebowały niskiej temperatury, żeby nie ulec rozkładowi. W przeciwnym razie stanowiłyby wyjątkowo przykry widok, któremu towarzyszyłyby inne przykre doznania.

Puller spojrział na postać spoczywającą na marmurowym stole. Prześcieradło zakrywało wszystko prócz głowy. Został sam, Brown czekał na zewnątrz, by zapewnić mu odrobinę prywatności. Twarz ciotki była bardzo blada, ale łatwo rozpoznawalna. Nie miał wcześniej wątpliwości, że rzeczywiście nie żyje, a teraz zyskał ostateczne potwierdzenie.

Jej uczesane włosy płasko przylegały do głowy. Puller wyciągnął rękę i dotknął kilku siwych kosmyków. Były szorstkie jak szczecina. Cofnął dłoń. Widział wiele ciał w różnych stadiach rozkładu, często w znacznie gorszym stanie niż zwłoki ciotki. Ale ona należała do rodziny. Nie raz siedział na jej kolanach, słuchał jej opowieści, jadł, co ugotowała. Pomogła mu nauczyć się alfabetu, zaszczerpiła miłość do książek, pozwalała bawić się w jej domu i hałasować o dowolnej porze. Wpoila mu także dyscyplinę, lojalność, determinację.

Ojciec dochrapał się trzech gwiazdek, ale jego starsza siostra mogłaby równie dobrze osiągnąć to samo, pomyślał Puller. Gdyby tylko dano jej szansę.

Oszacował jej wzrost. Mniej więcej metr osiemdziesiąt. Kiedy był mały, wydawała mu się wielkoludem. Z wiekiem prawdopodobnie się skurczyła, podobnie jak jej brat. Lecz i tak była

wysoka jak na kobietę, podobnie jak jej brat był wysokim mężczyzną. Nie widział jej od bardzo dawna. W zasadzie w dorosłym życiu nie bolał nad tym specjalnie, ponieważ zaprzętało go wiele innych spraw. Na przykład toczenie wojny. I ściganie zabójców.

Teraz jednak pożałował utraty kontaktu z kobietą, która tak wiele dla niego znaczyła w dzieciństwie i młodości. Za późno na żale, nie da się cofnąć czasu.

A gdyby utrzymywał z nią kontakt, czy leżałaby teraz na kamiennym stole? Może szybciej zwróciłaby się do niego o pomoc, powiedziała wprost o swoich obawach.

Nie wpędzaj się w poczucie winy, John. Prawda jest taka, że nie mogłeś jej uratować, żebyś nie wiem jak bardzo tego pragnął.

Ale jeśli została zamordowana, mógłbyś ją pomścić.

Nie, ja po prostu to zrobię.

Fachowo zabrał się do oględzin ciała. Należało do nich dokładne badanie głowy. Nie potrzebował wiele czasu, żeby się na to natknąć. Otarcie, a właściwie siniak nad prawym uchem. Zasłonięty włosami, ale wyraźnie widoczny po odgarnięciu kilku pasm.

Podczas sekcji rozcięto skórę na głowie, a skórę twarzy odciągnięto, by dostać się do mózgu. Zorientował się po szwach z tyłu. Wiedział też, że czaszka została otwarta piłą wibracyjną, a mózg wyjęty, zbadany i zważony. Cięcie V pozwoliło na otwarcie klatki piersiowej. Puller dostrzegł kilka świadczących o tym szwów. Wszystkie organy wewnętrzne poddano takiej samej drobiazgowej procedurze jak mózg.

Puller ponownie obejrzał otarcie. Uraz spowodowany ciosem zadany młotem, być może przez osobę trzecią, ale mógł też powstać wskutek upadku i uderzenia głową w kamienne obramowanie sadzawki. Zauważył również drobne rozcięcie, wątpił

jednak, by mocno krwawiło. Nie znajdowało się bowiem w tej części głowy, gdzie przebiega wielopasmowa autostrada drobnych naczyń krwionośnych, które krwawią jak wszyscy diabli nawet przy najdrobniejszym skaleczeniu. Widział plamę na obrzeżu sadzawki – mógł to być ślad krwi. A krew, która ewentualnie przesączałyby się do wody, szybko by się w niej rozpuściła.

Lekarka sądowa musiała dojść do wniosku, że siniac powstał w wyniku upadku i uderzenia głową w kamień. Tępy uraz, zwłaszcza głowy, niemal zawsze prowadził do stwierdzenia zgonu wskutek zabójstwa, ale najwyraźniej nie w tym przypadku.

Zastanawiał się dlaczego.

Bullock powiedział, że za przyczynę śmierci oficjalnie uznano asfiksję. Oczywiście mogło ją wywołać wiele różnych czynników, na przykład choroby, takie jak rozedma czy zapalenie płuc, albo wypadki, na przykład utonięcie. W kryminalistyce śmierć w wyniku asfiksji mogła mieć tylko trzy przyczyny, o czym Puller doskonale wiedział.

Były nimi: zagardlenie, utonięcie przy współudziale osób trzecich oraz uduszenie.

Uważniej przyjrzał się jej szyi, szukając śladów ucisku. Ale skóra była w tym miejscu nietknięta. Żadnych przekrwień czy obrzęków, poszerzonych żył, które wystąpiłyby w okolicy urazu wskutek ucisku naczyń krwionośnych. Ściśnięcie powoduje obrzmienie.

Inną wskazówką świadczącą o zagardleniu było coś, czego Puller nie mógł zobaczyć: powiększone serce, zwłaszcza prawa komora. Sprawdził, czy wargi nie zdradzają objawów sinicy – sinoniebieskiego zabarwienia. Ani śladu.

Odchylił prześcieradło i obejrzał dłonie. Na czubkach palców również nie było zasinień. Ani żadnych obrażeń świadczących o próbach walki. Jeśli została zaatakowana, najwyraźniej się nie

bronila. Moze nie miala na to szansy, poniewaz szybko ja obezwladniono.

W dalszej kolejnosci sprawdzil galke oczne oraz ich okolice, czy nie ma krwawych wybroczyn, malenkich czerwonych plamek spowodowanych uciskiem naczyń krwionośnych. Nie znalazł zadnych.

A wiec zagardlenie i uduszenie prawdopodobnie nalezalo wykluczyc. Pozostawalo utonięcie, ktore lekarka sądowa wymienila jako przyczynę śmierci. Ale czy byl to wypadek, czy ktos pomogl ciotce rozstac sie z zyciem?

Utonięcie ma kilka róznych faz i pozostawia ślady kryminalistyczne. Gdy znajdujacy sie w wodzie czlowiek napotyka jakies trudnosci, zwykle wpada w panike i wymachuje rekami, tracac cenna energie oraz zdolnosć utrzymywania sie na powierzchni, a w rezultacie calkowicie sie zanurza. Nastepnie sie zachlystuje, co nasila panike. Wstrzymuje oddech. Gdy próbuje zaczerpnac powietrza, wydycha różową pianę i nabiera jeszcze wiecej wody do płuc. Dochodzi do zatrzymania oddechu, po czym nastepuje ostateczna rozgrywka, kilka szybkich oddechów i jest po wszystkim.

Czy tak sie stalo, ciociu Betsy?

Gdyby uderzyla sie w glowe i stracila przytomnosć, zanim znalazla sie w wodzie, nie doświadczylaby paniki. Jesli jednak zachowala przytomnosć, a nie mogla wynurzyć glowy, poniewaz albo byla za slaba, albo zdezorientowana, albo ktos przytrzymwal ja pod woda, śmierć musiala byc straszna.

Jak w torturach podtapiania, tyle ze doprowadzonych do ostatecznego konca.

Zerknal na drzwi, za ktorymi czekal Brown. Chcial przeprowadzic kompletne oględziny zwlok ciotki, ale gdyby tamten

wszedł i zobaczył Pullera gapiącego się na nagie ciało kobiety, a w dodatku dotykającego jej tu i ówdzie, miałyby prawo uznać to za cokolwiek dziwne. Puller zaś mógłby wylądować w więziennej celi, oskarżony o wszelkie możliwe perwersje.

Musi przyjąć na wiarę, że ponadosiemdziesięcioletnia ciotka nie została zgwałcona. Mimo wszystko jeszcze bardziej odchylił prześcieradło i dokonał powierzchownych oględzin rąk i nóg. U podstawy prawej łydki zauważył kolejny siniak, może od upadku. Jeśli tak, potwierdzałyby się teoria nieszczęśliwego wypadku. Naciągnął prześcieradło i jeszcze raz spojrzął na martwą kobietę.

Wyjął telefon i zaczął fotografować okryte ciało ciotki pod różnymi kątami. Zdjęcia nie odpowiadały proceduralnym wymogom fotografii kryminalnej, ale będzie musiał zadowolić się tym, co ma.

Choć nie mógł dowiedzieć się już niczego więcej, nie potrafił oderwać wzroku od ciotki, nie był gotów od niej odejść.

W rodzinie Pullerów od dawna obowiązywała zasada, że mężczyźni nie płaczą w żadnych okolicznościach. Puller zawsze jej przestrzegał, walcząc na Bliskim Wschodzie, gdzie miałyby okazję opłakiwać dziesiątki towarzyszy broni. Złamał tę kardynalną zasadę w Wirginii Zachodniej, stojąc przy zwłokach osoby, przy której dorastał. Może była to oznaka słabości. Albo tego, że z cyborga powoli stawał się człowiekiem.

Nie potrafił tego rozstrzygnąć w tej chwili.

Gdy tak patrzył na ciotkę, poczuł, jak wilgotnieją mu oczy. Nie pozwolił sobie jednak na łzy. Czas na żałobę przyjdzie później. Teraz trzeba ustalić, co stało się Betsy. Póki nie ma decydującego dowodu wskazującego na naturalną przyczynę zgonu, wysłany przez ciotkę list przekonywał Pullera, że jej śmierć nie była nieszczęśliwym wypadkiem.

Ciotkę zamordowano.

Pozostawił zmarłych i powrócił do żywych.

Ale o Betsy nie zapomni. Nie sprawi zmarłej zawodu, tak jak prawdopodobnie zawiódł ją za życia.

16

Puller wziął od Carla Browna dane lekarki sądowej, Louise Timmins, po czym wyszedł z domu pogrzebowego. Gdy tylko znalazł się na zewnątrz, buchnęło mu w twarz gorące, parne powietrze – niczym pocisk z rdzeniem uranowym wystrzelony z Abramsa. Po zimnym wnętrzu zakładu pogrzebowego był to prawdziwy szok dla organizmu. Puller westchnął, otrząsnął się i ruszył przed siebie.

Musiał sprawdzić kilka wątków. Najpierw wizyta u lekarki sądowej, od której miał nadzieję uzyskać kopię końcowego raportu z autopsji. Potem należy ustalić, czy ciotka korzystała z usług prawnika i czy spisała testament. Trzeba także porozmawiać z sąsiadami, zwłaszcza z osobą, która zidentyfikowała zwłoki. W gruncie rzeczy sąsiedzi mogą znać nazwisko prawnika Betsy, jeśli w ogóle kogoś takiego miała. Wnioskując po zorganizowanym życiu, jakie prowadziła, Puller uznał, że to wielce prawdopodobne.

Wpisał do nawigacji adres lekarki i zorientował się, że droga do niej wiedzie obok domu ciotki. Wrzucił bieg i odjechał wypożyczoną corvetta. Przyjemnie się ją prowadziło, choć przy jego wzroście wsiadanie i wysiadanie z samochodu o niskim zawieszeniu okazało się trudniejsze, niż myślał.

Może po prostu się starzeję.

Dwadzieścia minut później zatrzymał auto naprzeciwko domu ciotki. Rozglądał się przez chwilę po ulicy, czy gdzieś nie czają się Hooper z Landry, ale nigdzie ich nie było. Wyprostował długie nogi i wysiadł. Zauważył niskiego brzuchatego mężczyznę idącego drugą stroną ulicy. Prowadził maleńkiego pieska na długiej smyczy.

Zwierzątko wyglądało jak kudłata kula tocząca się na patyczkach udających łapy.

Mężczyzna skręcił do domu sąsiadującego z domem Betsy. Puller przebiegł przez ulicę i dogonił sąsiada w momencie, gdy ten wkładał klucz do zamka.

Kiedy się odwrócił, wydawał się przestraszony. Pullera to nie dziwiło, ale w wyrazie jego twarzy dostrzegł coś więcej.

Prawdziwy strach.

No tak, Puller był tu obcy, w dodatku wielki, i wtargnął w prywatną przestrzeń mężczyzny. Pomyślał sobie, że wie, dlaczego ten człowiek trzęsie się jak galareta w przekraczającym trzydzieści stopni upale.

To on ściągnął na mnie gliny.

Puller szybkim ruchem wyjął legitymację i odznakę.

– Jestem z Wojskowego Wydziału Śledczego – wyjaśnił, a facet natychmiast przestał dygotać. – Betsy Simon była moją ciotką. Powiadomiono mnie o jej śmierci, więc przyjechałem załatwić różne formalności.

Twarz mężczyzny wyrażała pełną ulgę.

– Mój Boże! Więc to pan jest Johnem Pullerem juniorem. Bez przerwy o panu mówiła. Nazywała pana Małym Johnnym. Dość ironicznie, biorąc pod uwagę pański wzrost.

Ten niewinny komentarz pogłębił w Pullerze poczucie winy.

– Tak, to ja. Jej śmierć mnie zszokowała.

– Mnie również. To ja znalazłem ciało. Naprawdę okropna historia. – Spojrzał na psa, który siedział spokojnie przy nodze. – A to jest Sadie. Sadie, przywitaj się z panem Pullerem.

Sadie cicho szczeknęła i podniosła prawą łapę.

Puller uśmiechnął się, schylił i uścisnął łapkę.

– Stanley Fitzsimmons – przedstawił się mężczyzna. – Ale znajomi mówią na mnie Cookie¹².

– Dlaczego?

– Pracowałem kiedyś w piekarni. Głównie wypieki cukiernicze. – Wskazał na swój brzuch. – Jak widać, próbowałem wszystkiego, co upiekłem. Wejdzie pan do środka? To najgorętsza pora dnia, a my z Sadie nie przepadamy za upałem. Wyprowadziłem ją, bo chciała wyjść za potrzebą, a i mnie przyda się trochę ruchu.

– Dlaczego przeprowadził się pan na Florydę, skoro nie lubi pan upałów? Bo przypuszczam, że nie pochodzi pan stąd.

– Nie. Z Michigan. Z Górnego Półwyspu. Po pięćdziesięciu latach brnięcia przez zasy wysokie na trzy metry i spędzania połowy roku niemal w ciemnościach i w temperaturach spadających do minus dziesięciu stopni jeszcze bardziej niż upału nie lubię zimna. A wiosna, jesień i zima są tu fenomenalne. Trzy piękne pory roku z czterech to niezły wynik. Mam świeżą lemoniadę. Cytryny z własnego drzewka. I mogę odpowiedzieć na wszystkie pańskie pytania.

– Dziękuję, jestem panu wdzięczny.

17

Cookie spuścił Sadie ze smyczy. Piesek natychmiast podbiegł do miski z wodą i chleptał ją bez końca. Mężczyzna krzątał się po kuchni, wyjmował szklanki i talerzyki. Puller obserwował, jak obok dzbanka z lemoniadą pojawia się talerzyk z ciasteczkami, bułeczkami oraz różnymi innymi łakociami.

Puller rozejrzał się po domu, urządzonym dość luksusowo. Ciężkie, solidne meble były zdobione na modłę karaibską, solidne żaluzje w oknach odcinały popołudniowe światło oraz skwar, stopy grzęzły w puszystym dywanie.

Cookie musiał być cholernie dobrym cukiernikiem.

W szklanej gablocie wyeksponowano tuzin starych zegarków. Puller podszedł, chcąc im się przyjrzeć z bliska.

– Zacząłem je kolekcjonować wiele lat temu – zagadnął Cookie z ramienia Pullera. – Niektóre są bardzo cenne.

– Zamierza pan kiedyś je sprzedać?

– Może zrobią to moje dzieci, kiedy umrę. Ja mam słabość do tej kolekcji.

Puller słyszał szum klimatyzatora działającego pełną parą i zaczął się zastanawiać, ile wynoszą tu miesięczne rachunki za prąd.

Jakby w odpowiedzi na te rozważania Cookie wyjaśnił:

– Dwa lata temu zainstalowałem panele słoneczne. Potrafią czynić cuda. Nie dość, że mam prąd za darmo, to nadwyżkę odsprzedaję miastu. Nie potrzebuję pieniędzy, ale i nimi nie gardzę. Poza tym to całkowicie zielona energia. Jestem jej zagorzałym

zwolennikiem.

Usiedli i sącyli lemoniadę. Kwaskowata, dobrze schłodzona zostawiała przyjemny posmak w ustach. Cookie poczęstował się kilkoma kawałkami czekoladowego bloku i namawiał Pullera na skosztowanie ciastka z nadzieniem kokosowym.

Puller spróbował i z uznaniem pochwalił:

– Pycha.

Cookie zarumienił się z zadowolenia.

– Można by sądzić, że z czasem będę miał powyżej uszu tego pieczenia, a prawda jest taka, że teraz lubię się tym zajmować bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Widzi pan, teraz piekę dla siebie i dla przyjaciół. To już nie jest praca.

– Piekł pan dla Betsy?

– A jakże. I dla Lloyda, kiedy jeszcze żył.

– Więc mieszka pan tu od dawna?

– Wprowadziłem się trzy lata po Betsy i Lloydzie. Więc tak, od dawna.

Odstawił szklankę z lemoniadą.

– I chcę panu powiedzieć, że ogromnie zasmuciło mnie jej odejście. Była cudowną osobą, naprawdę cudowną. Moją dobrą przyjaciółką. Bardzo troskliwą. Zawsze, kiedy trzeba było coś zrobić na naszym osiedlu, można było liczyć na Betsy, za każdym razem włączała się do działania. Lloyd też.

– Miała to we krwi. Uważała, że chcieć to móc – odparł Puller.

– Wiele mi opowiadała o pańskim ojcu, swoim bracie. Generale broni. Legendzie Armii Amerykańskiej.

Puller pokiwał głową.

– Tak... – Nie lubił rozmawiać o ojcu. – Czy miała swojego prawnika?

– Tak, tego samego co ja. Nazywa się Griffin Mason. Wszyscy mówią na niego Grif. Jest znakomity.

– Zajmuje się testamentami?

– Każdy prawnik na Florydzie zajmuje się masą spadkową i majątkiem powierniczym – wyjaśnił Cookie. – To właściwie ich chleb powszedni z racji wieku tutejszych mieszkańców.

– Poda mi pan jego namiary?

Mężczyzna otworzył szufladę wbudowanego obok lodówki biurka, wyjął wizytówkę i podał ją Pullerowi. Ten rzucił na nią okiem i wsunął ją do kieszeni.

– Więc to pan pierwszy ją zobaczył? Mógłby pan zdradzić mi szczegóły?

Cookie oparł się, a jego pulchna twarz posmutniała. Puller dostrzegł nawet łzy zbierające się w kącikach oczu.

– Nie zrywam się z łóżka wcześniej rano. Jestem raczej typem sowy. A w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat wystarczają mi cztery, pięć godzin snu. Już niedługo będę miał znacznie więcej czasu na spanie. W każdym razie mam swoją poranną rutynę. Wypuszczam Sadie do ogrodu za domem, a sam siadam na tarasie, piję pierwszą filiżankę kawy i czytam gazetę. Wciąż kupuję papierową gazetę, podobnie jak większość ludzi w okolicy. Dużo czasu spędzam w sieci i uważam się za dość oblatanego w technologii jak na takiego starego pryka, ale nadal lubię trzymać w ręku papier, jak za dawnych czasów.

– Która była wtedy godzina?

– Około jedenastej. To było kilka dni temu, wie pan. No więc siedzę sobie na tarasie i widzę, że drzwi ogrodowe Betsy są otwarte. Widać je z tarasu ponad płotem. Pomyślałem, że to dziwne, bo Betsy z reguły była na chodzie dopiero około południa. Osteoporoza porządnie dała w kość jej kręgosłupowi. Coraz

trudniej było jej się poruszać, nawet z balkonikiem. I wiem, że miała kłopoty z wstawaniem z łóżka.

– Rozumiem – rzekł Puller. – Ktoś się nią opiekował?

– Tak. Jane Ryon, uroczą dziewczyną. Przychodziła trzy razy w tygodniu, od dziewiątej rano. Trochę sprzątała w domu, później pomagała Betsy wstać, ubrać się i tak dalej.

– Dlaczego tylko trzy razy w tygodniu?

– Myślę, że Betsy chciała zachować niezależność. Poza tym opiekunka na pełny etat nie jest tania. A ubezpieczenie nie pokrywa tych kosztów, chyba że jest się w znacznie gorszej kondycji niż Betsy, a i wtedy nie wystarcza na wszystkie wydatki. Betsy chyba nigdy nie brakowało pieniędzy, ale ludzie z naszego pokolenia są oszczędni. Jane pomaga także i mnie. Dwa razy w tygodniu.

– Sprawia pan wrażenie człowieka całkowicie samodzielnego.

– Załatwia sprawy, opiekuje się Sadie, kiedy nie ma mnie w domu. Jest świetną fizjoterapeutką, a długie lata pracy w piekarni powykręcały mnie jak precel, zwłaszcza ręce.

– Ma pan do niej telefon?

Cookie wręczył Pullerowi drugą wizytówkę.

– Mam setki wizytówek. Ludzie na Florydzie rozdają je sobie jak cukierki. Starszaki to najlepsi klienci sektora usług. Każdy z nas potrzebuje pomocy w czymś, czego nie jest już w stanie zrobić sam.

– No dobrze, powróćmy do tamtego poranka.

– Podszedłem do płotu dzielącego nasze posesje i ją zawołałem. Ponieważ nie doczekałem się odpowiedzi, wyszedłem z ogrodu, stanąłem pod jej drzwiami frontowymi i zapukałem. Nie spodziewałem się, że wstanie i przybiegnie otworzyć, jeśli leży jeszcze w łóżku, ale pomyślałem, że może przynajmniej coś odkrzyknie. Ma sypialnię na parterze.

– Wiem. Proszę mówić dalej.

– Nie odezwała się, więc postanowiłem wejść drzwiami od strony ogrodu. Miałem nadzieję, że nic się nie stało, ale w tej okolicy bywało już tak, że ktoś umarł, a przez pewien czas nikt o tym nie wiedział. W naszym wieku serducho może po prostu stanąć i cześć pieśni.

– Pewnie tak – przyznał Puller. Nie odrywał wzroku od mężczyzny, sugerując, żeby przyspieszył swoją opowieść i przeszedł w końcu do tego, co Puller naprawdę chciał usłyszeć.

– Udało mi się odsunąć zasuwkę furtki i wszedłem na posesję Betsy. Skręcając za róg, patrzyłem cały czas na drzwi ogrodowe. Mało brakowało, a wcale bym nie spojrział w stronę sadzawki z fontanną, ale na szczęście tam zerknąłem. Nie widać jej z mojego tarasu. I wtedy zobaczyłem.

Puller mu przerwał.

– Gdyby zechciał pan opowiadać po kolei. O wszystkim, co pan widział, słyszał, czuł.

Puller wyjął notes, a Cookie spojrział z niepokojem.

– Policja twierdziła, że to był wypadek.

– Być może mają rację. Ale równie dobrze mogą się mylić.

– Przyjechał pan przeprowadzić śledztwo?

– Przyjechałem zobaczyć się z ciotką. Gdy dowiedziałem się, że nie żyje, pożegnałem zmarłą. A później przełączyłem się na tryb dochodzeniowy, żeby sprawdzić, czy nie opuściła tego świata wbrew własnej woli.

Cookie lekko się wzdrygnął i mówił dalej:

– Zobaczyłem ją, jak leży w sadzawce. Woda ma głębokość zaledwie sześćdziesięciu centymetrów. Kto by pomyślał, że można się w czymś takim utopić. Ale leżała twarzą w dół, zanurzona całą

głową.

– W którą stronę była zwrócona?

– Głową w stronę domu.

– Ramiona rozpostarte czy wzdłuż boków?

Cookie zastanawiał się przez chwilę, próbując zapewne odtworzyć w pamięci tamten widok.

– Prawe ramię wyciągnięte, na kamiennym obrzeżu sadzawki. Lewe wzdłuż tułowia.

– A nogi?

– Rozłożone.

– Balkonik?

– Na ziemi na prawo od sadzawki.

– Co pan zrobił?

– Podbiegłem do niej. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czy żyje. Zdjąłem sandały i od razu wszedłem do sadzawki. Złapałem Betsy za ramiona i wyciągnąłem głowę z wody.

Puller się zastanowił. Cookie wtargnął na miejsce zbrodni. Musiał to zrobić, ponieważ, jak sam powiedział, nie miał pojęcia, czy Betsy żyje, czy nie. Zgodnie z prawem ślady pozostawione na miejscu zbrodni mogą zostać zatarte przez ratowników próbujących ocalić życie. To ma pierwszeństwo wobec kwestii zabezpieczania dowodów. W tym wypadku, niestety, zdało się na nic.

– Nie żyła?

Cookie pokiwał głową.

– Widziałem w życiu kilka zmarłych osób. Nie tylko na pogrzebach. Moja siostra ponad pięćdziesiąt lat temu zmarła, bo nawdychała się dymu. Jeden z moich najlepszych kolegów utopił się w stawie, kiedy byliśmy nastolatkami. Twarz Betsy była trupio blada. Otwarte oczy, luźno opadnięta żuchwa. Brak puls, żadnych

oznak życia.

– Piana wokół ust?

– Tak.

– Nogi zeszywniałe czy miękkie?

– Wydawały się trochę sztywne.

– Ale tylko trochę?

– Tak.

– A ramiona? Sztywne czy miękkie?

– Sztywne. Ale dłonie jakby normalne, tylko zimne.

– Co pan wtedy zrobił?

– Zostawiłem ją tak, jak zastałem. Naoglądałem się *Kryminalnych zagadek Las Vegas*. Wiem, że w takich sytuacjach nie należy niczego ruszać. Wróciłem do swojego domu i zawiadomiłem policję. Zjawili się po mniej więcej pięciu minutach. Mężczyzna i kobieta.

– Landry i Hooper?

– Tak. Skąd pan wie?

– Długa historia. Towarzyszył im pan, gdy poszli na miejsce?

– Nie. Spisali moje zeznania i poprosili, żebym się nie oddalał, w razie gdyby mieli jeszcze jakieś pytania. Przyjechały kolejne wozy policyjne, a potem widziałem, jak podjeżdża jakaś kobieta, wysiada z samochodu z torbą lekarską w ręku i kieruje się do ogródka za domem.

– Lekarka sądowa – wtrącił Puller.

– No właśnie. Po kilku godzinach przybył czarny karawan. Patrzyłem, jak wywożą Betsy przykrytą białym prześcieradłem. Wsadzili ją do karawanu i odjechali.

Cookie oparł się w fotelu, wyraźnie zmęczony i zasmucony relacjonowaniem przebiegu wydarzeń.

- Będzie mi jej bardzo brakowało.
- Prowadziła jeszcze samochód? Stoi w garażu.
- W zasadzie nie. To znaczy nie widziałem jej za kierownicą już od pewnego czasu.
- Ale była jeszcze w stanie prowadzić?
- Raczej nie. Miała słabe nogi i opóźniony refleks. Chory kręgosłup. Nie wiem, jak radziła sobie z bólem. – Przerwał. – Właśnie sobie przypomniałem, że dzień wcześniej wychodziła z domu. Widziałem, jak podjechał po nią Jerry.
- Jerry?
- Jerry Evans. Ma firmę taksówkarską. Zabrał Betsy około szóstej wieczorem, a wrócili jakieś pół godziny później.
- Krótka podróż. Wie pan, dokąd się wybrała?
- Tak. Zapytałem Jerry’ego. Powiedział, że wysyłała list.
- Puller wiedział, że chodzi o ten list.
- Dlaczego nie wrzuciła go do skrzynki przed domem?
- U nas wcześniej odbierają pocztę. Jerry mówił, że skrzynka, z której skorzystała, jest opróżniana dużo później. List wyszedłby jeszcze tego samego wieczoru.

Wysłała list. A wkrótce potem nie żyła.

Zanim zdążył zadać kolejne pytanie, Cookie wręczył mu wizytówkę z nazwiskiem i numerem telefonu Jerry’ego.

- Dziękuję. Często wychodziła sama wieczorem do ogrodu?
- Lubiła siedzieć na ławce przy sadzawce z fontanną. Zwykle w ciągu dnia. Chwytać promienie słońca. Nie mnie pytać o to, co porabiała wieczorem. Zwykle kładła się spać na długo przede mną. Ja lubię wychodzić. Rozumiem, że trudno panu w to uwierzyć, ale każdy, kto nie ma jeszcze osiemdziesiątki na karku, uważany jest tu za młodzieniaszka. Wychodzimy wieczorami i szampańsko się

bawimy.

– Zauważył pan coś podejrzanego w dniu poprzedzającym jej śmierć? Jakichś ludzi, odgłosy, cokolwiek?

– Odwiedzałem znajomych w innej części miasta, więc i tak niczego bym nie zobaczył. Wróciłem późno. Wszystko wyglądało jak zwykle.

– Miała na sobie piżamę czy dzieńne ubranie?

– Dzieńne ubranie.

– Więc prawdopodobnie zmarła wieczorem. Nie kładła się do łóżka.

Cookie kiwnął głową.

– Bardzo możliwe.

– Czy w ciągu kilku ostatnich dni przed śmiercią mówiła panu, że coś ją niepokoi?

– Na przykład? – zainteresował się Cookie.

– Coś niecodziennego. Wspominała o kimś? O jakimś zdarzeniu? O czymś, co widziała w nocy?

– Nie, nic podobnego. A czymś się martwiła?

– Tak sądzę – odparł Puller. – I wygląda na to, że mogła mieć konkretny powód.

18

Puller siedział w wynajętym samochodzie i zadzwonił do lekarki sądowej Louise Timmins, a później do prawnika Grifa Masona. Timmins przyjmowała w swoim gabinecie pacjentów do szóstej wieczorem. Mason wyszedł z biura na spotkanie. Puller umówił się z Timmins o siódmej w pobliskiej kawiarni i zostawił wiadomość w kancelarii Masona z prośbą o oddzwonienie po powrocie do biura.

Skontaktował się też z Jerrym, kierowcą, który potwierdził słowa Cookiego i dodał:

– Wydawała się zmęczona i jakby czymś zmartwiona.

Puller podziękował, rozłączył się i powrócił w myślach do relacji Cookiego. Ramiona sztywne, dłonie normalne. Stężenie pośmiertne zaczyna się od górnej części ciała i stopniowo rozszerza się na inne mięśnie. Ustępuje w odwrotnej kolejności. Od śmierci nie upłynęło dość czasu, by proces zaczął się odwracać.

Puller analizował oś czasu. Wysłała list o szóstej wieczorem, ciało znaleziono o jedenastej rano następnego dnia. Puller przypuszczał, że nie zginęła tuż po powrocie do domu. Raczej jeszcze tego samego wieczoru, ale później. Sztywne ramiona były dla niego informacją, że stężenie dopiero się zaczynało. To oznacza, że kiedy znalazł ją Cookie, prawdopodobnie nie żyła od dwunastu, czternastu godzin. Wysoka temperatura i wilgotność powietrza na Florydzie mogły nieco przekłamać ten szacunek, w takich bowiem warunkach procesy rozkładu przebiegały szybciej, niemniej Puller miał przynajmniej jakiś przedział czasu do wnikliwszej analizy. Jeśli Cookie znalazł ją krótko po jedenastej,

śmierć mogła nastąpić, plus minus, około dziesiątej poprzedniego wieczoru. Innymi słowy mniej więcej cztery godziny po wysłaniu listu.

Puller spojrział na zegarek. Było wpół do czwartej po południu, a on nadal nie miał noclegu. Czas znaleźć sobie dach nad głową.

Gdy tylko wrzucił bieg, zauważył pojazd zaparkowany przy krawężniku po drugiej stronie ulicy cztery długości samochodu dalej. Jasnobrązowy chrysler sedan, na florydzkich tablicach, rejestracja zaczynała się od ZAT. Reszty nie widział, ponieważ tablica była zabrudzona. Może celowo, pomyślał. Ta obserwacja wydawała się o tyle istotna, że Puller widział to samo auto zaparkowane naprzeciwko domu pogrzebowego.

Powoli ruszył z miejsca. Spojrział w lusterko wsteczne. Jasnobrązowy chrysler zapalił silnik i odbił od krawężnika.

Okej, to jakiś postęp. Ktoś się nim interesował. Wyjął telefon i pstryknął zdjęcie odbiciu chryslera w lusterku. W środku siedziały dwie osoby, ale oślepiające słońce bardzo utrudniało zarejestrowanie szczegółów.

Puller jeździł tam i z powrotem przybrzeżnymi ulicami, ale z łatwością ocenił, że na pewno nie znajdzie tu nic w zasięgu swoich możliwości finansowych. Oddalał się od oceanu, penetrując kolejne kwartały ulica po ulicy. Sprawdził ceny w drugiej i trzeciej linii zabudowań. Były tak wysokie, że zastanawiał się, kogo w ogóle stać na mieszkanie nad samym brzegiem.

Wreszcie wziął do ręki telefon i zaczął szukać noclegu według ceny. W piątym pasie budynków znalazł wreszcie odpowiednie miejsce – hotelik o nazwie Sierra, w którym można było wynająć pokój na dni lub tygodnie. Osiemdziesiąt dolarów za noc ze śniadaniem albo czterdzieści pięć dziennie za pełny tydzień, płatne z góry. Cena nie była korzystna dla kogoś, komu pensję wypłaca

Wuj Sam, ale nie miał wyboru.

Dwupiętrowy klocek z sypiącym się tynkiem i dachem krytym pomarańczową dachówką okazał się w równie złym stanie jak elewacja. Stał wciśnięty między stację benzynową po jednej a dom w remoncie po drugiej stronie. Na przyległej wąskiej ulicy nie rosła ani jedna palma. Nie brakowało natomiast zdezelowanych samochodów i furgonetek. Niektóre – bez kompletu kół – ustawiono na pustakach, inne wyglądały tak, jakby te koła miały im lada chwila odpaść. Puller ocenił, że żaden z tych zardzewiałych gruchotów nie pochodzi z lat późniejszych niż osiemdziesiąte.

Zerknął w lusterko wsteczne. Chryslera ani śladu.

Po ulicy biegła gromadka bosych dzieci w szortach, bez koszulek. Z wielką wprawą kopały piłkę. Jak na komendę przerwały grę i zaczęły wpatrywać się w Pullera, gdy stanął corvetta pod hotelem. A kiedy wysiadł, zbliżyły się i przyglądały mu się z jeszcze większym zainteresowaniem.

Wziął torbę z siedzenia obok, zatrzasnął drzwi, zamknął je pilotem, po czym zamaszystym krokiem podszedł do dzieciaków.

Jeden z chłopców zadarł głowę i zapytał po hiszpańsku, czy to jego samochód.

Puller odpowiedział, także po hiszpańsku, że pożyczył mu go przyjaciel, Wuj Sam.

Chłopak zapytał, czy Wuj Sam jest bogaty.

– Nie tak bogaty jak dawniej – odparł Puller, idąc w stronę małej recepcji hotelu.

Zapłacił za dwie noce, odebrał klucz do pokoju wraz z instrukcjami, kiedy i gdzie serwowane jest śniadanie. Recepcjonistka wręczyła mu też kartę magnetyczną do garażu.

– Nie można zostawić auta na ulicy?

– Można, ale rano pewnie już go pan tam nie znajdzie – odparła

niska Latynoska o prostych czarnych włosach.

– Rozumiem – powiedział Puller. – Wstawię na parking.

Gdy wyszedł z recepcji, grupka małolatów otaczała corvette wianuszkami, dotykając karoserii i szepcząc coś między sobą.

– Lubicie samochody? – zapytał.

Wszyscy skwapliwie przytaknęli.

– Dam wam posłuchać silnika.

Wsiadł, odpalił i zwiększył obroty. Chłopcy odskoczyli, spojrzeli po sobie i zaczęli się śmiać.

Puller podjechał na parking w bocznej uliczce obok hotelu. Włożył kartę magnetyczną do czytnika. Podniosła się duża metalowa brama, ukazując sporą przestrzeń. Gdy wjechał do środka, automatycznie się zamknęła. Zostawił auto, wyszedł bocznymi drzwiami krytego parkingu i wrócił do Sierry.

Na rogu zauważył jednego z grupy chłopców, którzy wcześniej podziwiali corvette. Miał kręcone brązowe włosy i wyglądał na dziesięć, może jedenaście lat. Puller zwrócił uwagę na chude, źle odżywione ciało. Ale zauważył też, że chłopiec ma twarde mięśnie i zdeterminowany wyraz twarzy. Spojrzenie czujne, no ale w takiej okolicy trzeba być ostrożnym.

– Mieszkasz tu? – Puller zagadnął po hiszpańsku.

Chłopiec skinął głową.

– *Sí*. – Pokazał na lewo. – *Mi casa*.

– Jak masz na imię?

– Diego.

– Okej, Diego, ja jestem Puller. – Uścisnęli sobie dłonie. – Dobrze znasz Paradise?

– Bardzo dobrze. Mieszkam tu od zawsze.

– Z mamą i tatą?

Pokręcił głową.

– *Mi abuela.*

Wychowuje go babcia, pomyślał Puller.

– Chcesz zarobić parę groszy?

Diego tak energicznie kiwał głową, że aż podskakiwały miękkie brązowe loki.

– *Sí. Me gusta el dinero.*

Puller wręczył mu pięć dolarów, a następnie wyjął telefon. Pokazał mu zdjęcie chryslera.

– Rozglądaj się za tym samochodem – polecił. – Nie zbliżaj się, nie rozmawiaj z ludźmi w środku, nie daj im się zorientować, że ich obserwujesz, ale zanotuj numer rejestracyjny, jeśli dasz radę. I przyjrzyj się, jak wyglądają ludzie w środku. *Entiendes?*

– *Sí.*

Wyciągnął do chłopca rękę. Ten ją uścisnął. Puller dostrzegł sygnet na jego palcu. Srebrny, z wygrawerowaną głową lwa.

– Ładna rzecz.

– Dał mi go *mi padre.*

– Do zobaczenia, Diego.

– A jak ja pana znajdę? – zapytał jeszcze chłopak.

– Nie musisz. Ja znajdę ciebie.

19

Rezydencja zaliczała się do największych na całym Emerald Coast: cztery i pół hektara w najatrakcyjniejszej części wybrzeża, z własnym cyplem i rozległym widokiem na zatokę, aż po nieskończony horyzont. Całkowity koszt posiadłości był wyższy niż roczne zarobki tysiąca przedstawicieli klasy średniej liczone razem.

Pchał kosiarki do trawy, dźwigał worki z odpadami ogrodowymi i ładował je na furgonetki zaparkowane w części gospodarczej na tyłach rezydencji. Samochodom ekipy ogrodniczej nie wolno było wjeżdżać przez główną bramę z eleganckim brukowanym podjazdem. Odsyłano je na wyasfaltowany plac z tyłu.

W ogrodach za willą znajdowały się dwa baseny: jeden bez krawędzi oraz drugi, owalny, o wymiarach olimpijskich. Wspaniałości tego terenu mogło dorównać jedynie piękno wnętrza domu o powierzchni ponad trzy tysiące metrów kwadratowych z dodatkowymi dwoma tysiącami metrów kwadratowych w innych zabudowaniach, na które składały się między innymi pawilon przy basenie, dom dla gości, siłownia, sala kinowa oraz pomieszczenia dla ochrony.

Widział, jak jedna z domowych służących idzie do bocznej bramy, by odebrać przesyłkę od kuriera FedEx-u, którego również odesłano tam spod głównego wjazdu. Latynoska, ubrana w staroświecki mundur pokojówki, z białym fartuszkim i czarnym czepkiem włącznie, miała szczupłą, ale bardzo kobiecą sylwetkę. Ładną twarz, ciemne bujne i zadbane włosy.

Na końcu pomostu, który wcinął się prosto w zatokę, cumował jacht o długości prawie osiemdziesięciu metrów, ze śmigłowcem na

wytyczonym na rufie lądowisku.

Ciężko pracował, pot spływał mu po plecach i zalewał oczy. Podczas gdy inni robili sobie przerwy na odpoczynek w cieniu albo napicie się wody, on nie ustawał w wysiłku. Robił to jednak w konkretnym celu. Wykonywane zadania pozwalały mu poruszać się po całym terenie. Układał w pamięci wszystkie zabudowania jak figury na szachownicy, przestawiając je zgodnie z różnymi scenariuszami.

Przede wszystkim skupiał się na rozmieszczeniu ochrony. W ciągu dnia pełniło służbę sześciu ludzi. Sprawiali wrażenie zawodowców, działali zespołowo, dobrze uzbrojeni, czujni i lojalni wobec pracodawcy. Podsumowując – niewiele słabych stron.

Zakładał, że nocą rozstawiano co najmniej sześciu nowych, może więcej, ponieważ zmrok był dogodniejszą porą na ewentualny atak.

Zbliżył się do głównej bramy, żeby obejrzeć centralkę alarmu oraz umocowaną przy bramie kamerę monitoringu. Wrota były masywne, z kutego żelaza. Przypominały główną bramę przed Białym Domem. Mur otaczający posiadłość od frontu miał dwa metry wysokości. Właścicielowi rezydencji wyraźnie zależało na prywatności.

Klęknął na jedno kolano i zaczął przycinać kępę krzewów. W pewnej chwili zauważył, jak pod bramę podjeżdża maserati. Kabriolet. W środku siedzieli kobieta i mężczyzna. Oboje mieli niewiele ponad trzydzieści lat i zadowolone miny ludzi, którym życie oszczędziło ciężkich doświadczeń.

Wstukali szyfr i brama się otworzyła.

Gdy go mijali, żadne z nich nawet na niego nie spojrzało. Za to on patrzył, kodując w pamięci każdy szczegół ich twarzy.

Zakodował również sześciocyfrowy szyfr do głównej bramy – widział, jak mężczyzna go wprowadzał. Pozostał jeszcze problem

z kamerą.

Zawzięcie formując pokrój krzewu, podsunął się bliżej bramy. Jego wzrok powędrował w górę, na słup, na którym zamontowano kamerę. Przewody wpuszczono do metalowej rurki. Wiedział, że to standardowe rozwiązanie. Ale skoro słupek umocowano w ziemi, trzeba było doprowadzić gdzieś kable.

Przeszedł przez bramę, zanim zdążyła się zatrzasnąć, i zajął się kawałkiem trawnika na odcinku od słupka do ogrodzenia. Wyrywając na czworakach chwasty i podnosząc jakiś zabłąkany listek, który miał celność wylądować na bujnej trawie, przyglądał się niewielkiemu wybrzuszeniu na ziemi. To tutaj wykopano rów dla przewodów elektrycznych biegnących do bramy i zasilających także kamerę, domofon oraz centralkę alarmu.

Zlustrował postrzępiony kontur trawnika do miejsca, gdzie zniknął pod ogrodzeniem. Dla niezbyt uważnego obserwatora ślad po wykopie byłby niemal niewidoczny. Ale nie dla niego.

Zakładał, że kable zabezpiecza twarda tulejka, ale to tylko przypuszczenie.

Wstał i okrążył granice posiadłości. Nie mógł wrócić główną bramą bez zdradzania znajomości szyfru. Zastanawiał się, jak często go zmieniano. Był środek miesiąca, a zarazem środek tygodnia. Jeżeli zmieniano szyfr siódmego albo trzydziestego dnia miesiąca, co było prawdopodobne, wciąż jeszcze miał czas.

Dotarł na tyły posesji i ujrzał rozpościerający się przed nim bezmiar Zatoki Meksykańskiej. Mewy pikowały i nurkowały w oceanie. Łodzie albo śmigły po wodzie, albo sunęły powoli. Ludzie łowili ryby, żeglowali, pływali motorówkami. Tak było za dnia.

Nocą przewozili inny towar. Taki, którym sam niedawno się stał. Jemu udało się uciec. Inni nie mieli tyle szczęścia.

Wrzucił worek z ogrodowymi odpadami na jedną z furgonetek i zrobił sobie przerwę, by napić się wody, którą nalał z wielkiej pomarańczowej butli do papierowego kubka. Spojrzał na dwóch innych mężczyzn, którzy przycinali gałęzie drzewa rosnącego tuż przy ogrodzeniu. Latynosi. Prócz nich był też jeden biały, dwóch czarnych, no i on sam. Nieokreślonego pochodzenia. Formalnie rasy kaukaskiej.

Formalnie.

Nigdy się w ten sposób nie klasyfikował. Należał do grupy etnicznej bardzo wyrazistej, sądząc po jego wyglądzie. Niewielu ludzi chciało jechać do jego kraju i płodzić potomstwo z tymi, którzy go zamieszkiwali. Jawił się jako odległy, surowy, z trudnymi warunkami życia, obcych nie witano tu z otwartymi ramionami, lecz z podejrzliwością. Ludzie byli dumni i nie lubili, gdy ich znieważano lub krzywdzono. Delikatnie mówiąc. Nigdy nie nadstawiali drugiego policzka.

Zgniół kubek i wrzucił go do kubła na furgonetce. Wszedł przez tylną bramę i zmierzał w pobliże basenu bez krawędzi.

Niedaleko stało zaparkowane maserati. Przy basenie wylegiwała się kobieta, którą wcześniej widział w samochodzie. Była sama. Zdjęła letnią sukienkę i buty na obcasach, rzuciła je obok leżaka. Miała na sobie skąpy strój kąpielowy, skrawek materiału na górze, stringi na dole. Gdy przewróciła się na brzuch, widział niemal całe odsłonięte pośladki. Ogólnie jędrne, ale miejscami dość miękkie, bardzo kobiece. Zsunęła ramiączka stanika. Miała długie, gładkie nogi z ładnie zarysowanymi mięśniami. Bardzo jasne włosy, związane w samochodzie w koński ogon, teraz spływały kaskadą na usiane piegami ramiona.

Bardzo piękna kobieta. Rozumiał, dlaczego mężczyzna w maserati uśmiechał się z takim samozadowoleniem, jak gdyby

była jego własnością.

Przerwał te rozmyślenia, gdy zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

Przyglądał się kobiecie o kilka sekund za długo. Usłyszał kroki za plecami i poczuł, jak ktoś szarpie go za ramię.

– Zabieraj się stąd! Ale już! – rozkazał czyjś głos.

Odwrócił się i ujrzał ochroniarza. Słuchawka w uchu, skręcony kabel biegnący do zasilacza ukrytego za pasem pod marynarką. Choć panował upał, wszyscy chodzili w marynarkach. A pod nimi chowali broń.

– Jazda! – ponaglił, świdrując go wzrokiem. – Nie jesteś tu od podziwiania widoków, tylko od koszenia trawy.

Natychmiast się oddalił. Mógłby zabić mężczyznę jednym ciosem w szyję, ale nie miałyby to sensu. Zaprzepaściłby swój plan. Ale ten moment nadejdzie.

Obejrzał się jeszcze raz na kobietę, która teraz przekreśliła się lekko na bok – nie na tyle, by odsłonić piersi, ale prawie.

Zdawała się go obserwować. Nie był pewien, bo patrzyła zza ciemnych okularów. Zastanawiał się, dlaczego ktoś taki jak ona miałby zwrócić uwagę na kogoś takiego jak on.

Odpowiedź na to pytanie nie mogła być dla niego korzystna.

20

Puller siedział na łóżku i rozglądał się po pokoju. Nic specjalnego. Podłoga, drzwi, okno, łóżko i toaleta. Dwuskrzydłowe drzwi łączące jego pokój z sąsiednim. Bywał w lepszych miejscach, ale i w wielu znacznie gorszych.

Ściany były cienkie. Słyszał podniesione głosy dobiegające z pokoiów obok, choć nie na tyle wyraźnie, by rozpoznać słowa. Po drodze na piętro minął kilka osób, przypuszczalnie stałych lokatorów, którzy łypali na niego podejrzliwie. Był tu pewnie jednym z nielicznych białych. Jeśli nie jedynym. Z towarzyszących mu spojrzeń i szeptów wywnioskował, że niektórzy z nich mogą dać wyraz swej dezaprobacie wobec jego obecności w tym miejscu w sposób, który będzie wymagał od niego podjęcia działań. Wolałby, by do tego nie doszło. Ale w razie czego będzie przygotowany.

Rozpakował te kilka sztuk ubrania, które ze sobą zabrał, i spojrzął na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu do spotkania z Louise Timmins. Mason nadal nie oddzwonił. Puller postanowił wybrać się na dalszy rekonesans okolicy jeszcze przed spotkaniem z lekarką. Nie lubił siedzieć w pokojach hotelowych bez względu na to, czy wyglądały jak ten, czy miały standard Ritza – choć nigdy nie widział żadnego Ritza od środka. W końcu był na garnuszkach Wujy Sama.

Wychodząc, zamknął drzwi na klucz. Nie zostawił w pokoju żadnych rzeczy, które obawiałby się utracić. Ruszył korytarzem w stronę windy, ale minął ją i poszedł do schodów. Budynek nie był w najlepszym stanie, pomyślał więc, że to samo dotyczy windy. Nie

miał w planie utknąć w niej na kilka godzin.

Zanim cokolwiek zobaczył, już ich usłyszał. Mężczyznę. Kobiętę. I chyba dziecko.

Otworzył drzwi i przestąpił próg. Mężczyzn było w sumie trzech, dorosłych, około szesnastoletnia dziewczyna oraz chłopiec, który wyglądał na pięciolatka. Jeden z mężczyzn był Latynosem, drugi czarnoskóry, trzeci miał taki sam kolor skóry jak Puller. Docenił różnorodność etniczną tych żalosnych szumowin.

Latynos przyciskał dziewczynę do ściany – wyraźnie wbrew jej woli. Czarnoskóry przytrzymał płaczącego chłopca. Dzieciak wymachiwał ramionami, próbował zadawać ciosy. Biały stał przed dziewczyną z uśmiechem na twarzy. Poluzował pasek spodni i szamotał się z rozporkiem. Jego zamiary nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, wyglądało to tak samo od tysięcy lat.

Mężczyźni, którzy biorą kobiety siłą.

Gdy otworzyły się drzwi, biały, nawet nie oglądając się za siebie, warknął:

– Spadaj stąd! W podskokach!

Puller pozwolił zatrzaskać się drzwiom i zauważył wybrzuszenie w tylnej kieszeni spodni mężczyzny. Głupie miejsce na trzymanie broni. Ale biały nie wyglądał na bystrzaka.

– Nigdzie się nie wybieram. A ty zapnij spodnie. Obawiam się, że musisz zmienić plany.

Trzej mężczyźni odwrócili się w jego stronę. Dziewczyna się skuliła i przycisnęła do siebie chłopczyka.

– Co ty nie powiesz, śmieciu?

– Na nazwisko mam Puller. Na imię John. A ty...?

Biały spojrzał na kumpli i się uśmiechnął. Jednak za uśmiechem kryło się zdenerwowanie. Nie umknęło to uwadze Pullera.

Czarnoskóry był największy z nich, ale Puller i tak przerastał go o dziesięć centymetrów i ważył jakieś dwadzieścia kilogramów więcej. Biały miał może metr osiemdziesiąt i był przysadzisty, osiemdziesiąt pięć kilogramów. Latynos mierzył metr siedemdziesiąt, jego waga nie przekraczała siedemdziesięciu kilogramów i nie mógł pochwalić się szczególną muskulaturą.

Puller górował nad nimi wszystkimi. Szerokość jego ramion równała się niemal szerokości drzwi. Zrobił krok naprzód, patrząc prosto na białasa, ale kątem oka nie przestawał rejestrować obu jego kumpli.

Mężczyzna zapiął spodnie.

– Szukasz guza? – zapytał czarny.

– Nie. Podobnie jak ona nie szuka zaczepki ze strony trzech debili.

Biały lekko przekręcił głowę i sięgnął prawą ręką do tylnej kieszeni gestem na tyle wymownym, że daremnym.

Puller westchnął. Nie tak chciał to rozegrać, ale nie miał wyboru. Zaatakował, zanim tamten zdążył wyciągnąć splotkę. Łokciem rąbnął białasa w kark, następnie wbił mu kolano w lewą nerkę. Gdy biały z krzykiem upadł na ziemię, Puller poprawił miażdżącym prawym sierpowym w szczękę. Facet leżał, z ust płynęła mu krew, a wraz z nią wypadło kilka zębów.

Puller chciał dać dwóm pozostałym możliwość ucieczki, ale ich miny świadczyły o tym, że razem czują się mocni i dodają sobie nawzajem odwagi – wbrew zdrowemu rozsądkowi. Dwóch na jednego, myśleli. Pestka.

Tym gorzej dla nich.

Chwycił Latynosa za głowę i, używając go jak narzędzia walki, poderwał z ziemi, zamachnął się i cisnął nim w czarnego, strącając go ze schodów. Czarny wylądował na samym dole, tracąc wolę

walki oraz przytomność.

Puller wymachiwał Latynosem, póki jego głowa z impetem nie zderzyła się ze ścianą. Bandzior osunął się po murze i, podobnie jak jego czarnoskóry kumpel, znalazł się w stanie przymusowego uśpienia.

Puller stał przez chwilę, niezdzyszany ani trochę, za to odrobinę wkurzony, że tak się to skończyło.

Spojrzał na dziewczynę.

– Nic ci nie jest?

Pokręciła głową. Ładna, o sporym biuście i miękkich krągłościach, wyglądała na starszą, niż prawdopodobnie była. Puller wątpił, by tego rodzaju napaść przydarzyła się jej po raz pierwszy.

Obrzucił wzrokiem chłopca.

– To twój brat?

Przytaknęła.

– Jak się nazywacie?

– Ja jestem Isabel. A to Mateo – powiedziała cichutkim, przestraszonym głosem.

– Chcesz wezwać policję?

Puller spodziewał się odmownej odpowiedzi, czuł jednak, że musi zadać to pytanie. Dziewczyna zaczęła kręcić głową, jeszcze zanim skończył mówić.

– Chcesz, żebym to ja wezwał policję?

– Nie. Proszę, niech pan tego nie robi.

Rzucił okiem na leżących mężczyzn. Wszyscy mieli włosy ostrzyżone na zapałkę oraz tatuaże. Powziął co do nich pewne podejrzenie, choć wątpliwe. Jednak zapytał:

– Służą w wojsku?

– Nie – zaprzeczyła.

Są więc poza obszarem moich uprawnień, pomyślał Puller. Mogę reagować tylko jako zaniepokojony obywatel.

– Oni na tym nie poprzestaną. Prawdę mówiąc, tylko ich rozjuszyłem. Mogą wyładować się na was.

Dziewczyna złapała chłopca za rękę i oboje wybiegli przez drzwi. Puller słyszał ich kroki przez kilka sekund, później ucichły.

Szybko skontrolował stan trzech napastników. Puls dobrze wyczuwalny. Złamania kości lub pęknięcia czaszki go nie obchodziły. To cena, jaką się płaci za bycie kanalią i pastwienie się nad innymi. Zwłaszcza gdy trzech dorosłych facetów napada na młodą dziewczynę i pięciolatka.

Kiedy białas jęknął, lekko się poruszywszy, Puller kopnął go w głowę i facet ponownie stracił przytomność.

– Fiut.

Zastanawiał się, czy zadzwonić na policję, czy nie, ale bez zeznań dziewczyny nie dysponował niczym poza własną relacją. Gdyby nie potwierdziła jego słów – a zapewne nie odważyłaby się tego zrobić – Pullerowi groziłoby oskarżenie o napaść. Kłamstwa tych trzech drani świadczyłyby przeciwko niemu.

Postanowił wrócić do własnych spraw. Później będzie musiał zmierzyć się z reperkusjami tego zajścia. Wrócił do pokoju, wziął torbę i poszedł na parking po samochód.

Miał się przecież rozejrzeć po okolicy. Przyjechał tu po to, by dowiedzieć się, co przydarzyło się ciotce. I nic nie odwiedzie go od tego zamiaru.

Nie mógł mylić się bardziej.

21

Puller wychodził z budynku, inny mężczyzna zmierzał w stronę wejścia. Gdy przecięły się ich drogi, Puller uczynił coś, czego prawie nigdy nie musiał robić, spotykając drugiego człowieka.

Podniósł wzrok.

Był to ten sam gość, którego widział na platformie furgonetki, jedząc lunch nad oceanem.

Z bliska mężczyzna wydawał się jeszcze większy i jeszcze bardziej onieśmielający. Puller nigdy dotąd nie widział tak idealnie proporcjonalnej budowy ciała. Ten człowiek mógłby znaleźć się na plakacie reklamującym nabór na superbohaterów. Gdy się mijali, zmierzili się nawzajem wzrokiem od stóp do głów oraz z boku na bok. Z wprawą, płynnie, szukając rzeczy nieoczywistych dla niewtajemniczonych, czyli dla niemal wszystkich ludzi na ziemi.

Puller był pod wrażeniem nie tylko sylwetki mężczyzny, lecz także skrupulatności, z jaką lustrowały go te przenikliwe oczy. Nie miał wątpliwości, że olbrzym go rozpoznał, choć widzieli się wcześniej zaledwie przez kilkanaście sekund. Tylko po odpowiednim przeszkoleniu można osiągnąć taką zdolność zapamiętywania.

Spojrzenie Pullera jeszcze raz prześliznęło się po mężczyźnie. Miał na sobie uniform firmy ogrodniczej, przepoconą ciemnozieloną koszulkę i granatowe spodnie. Oraz nowe buty robocze w rozmiarze, bodajże, pięćdziesiąt.

Albo kupił sobie właśnie nową parę butów, co wydawało się mało prawdopodobne, albo niedawno rozpoczął tę pracę. Koszulka

zbyt mocno opinała tors. Pod cienką tkaniną rysował się każdy mięsień. Wyglądał jak żywa tablica układu mięśniowego z gabinetu lekarskiego.

Pewnie nie znaleźli koszulki, która by na niego pasowała, wywnioskował Puller. Spodnie też były przykrótkie. Większość firm nie miała na stanie odzieży roboczej, w którą mieściłby się człowiek o wzroście przekraczającym dwa metry. Gdy się minęli, Puller instynktownie się obejrzał. Nie był ani trochę zaskoczony, widząc, że mężczyzna zrobił dokładnie to samo. Jego spojrzenie nie było groźne, po prostu czujne, zaciekawione, taksujące.

Puller dotarł do garażu i wyjechał z niego wypożyczonym samochodem.

Przeczesał Paradise kwartał po kwartale, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. W końcu zatrzymał się na parkingu, zgasił silnik, oparł głowę o zagłówek fotela i powrócił myślami do treści listu ciotki.

Ludzie, którzy mają podwójne oblicze.

Tajemnicze wydarzenia nocą.

Coś nie w porządku.

Po drodze dokonywał logicznego rozbioru wszystkich informacji. W wojsku wpajano mu to latami. Teraz podchodził w ten sposób do wszystkiego w życiu, nawet do spraw, które z logiką niekoniecznie miały cokolwiek wspólnego.

Na przykład do rodziny.

Do emocji.

Do związków.

Próba zastosowania wobec nich zasad logiki była receptą na życie w cierpieniu.

I w zasadzie jego życie tak właśnie wyglądało.

Zastanawiał się nad pierwszą z obserwacji ciotki. Że ludzie mają podwójne oblicze.

Nie znał innych przyjaciół ciotki poza Cookiem, który sprawiał wrażenie nieszkodliwego i z pewnością mającego jedno oblicze – takie, jakie prezentował. Ta opinia opierała się jednak tylko na jednej rozmowie, dlatego Puller uznał, że za wcześnie na jednoznaczny osąd.

Mogła mieć na myśli innych sąsiadów. Trzeba będzie sprawdzić ich wszystkich. Jest jeszcze Jane Ryon, opiekunka. Ją należy koniecznie przeświecić. Potem prawnik, Mason. I przypuszczalnie inni.

Przeszedł do drugiej uwagi w liście: tajemnicze wydarzenia nocą.

Wydarzenia, w liczbie mnogiej. Nocą. Czy miała na myśli tajemnicze wydarzenia w sąsiedztwie? Jeśli tak, czy był w nie zamieszany któryś z sąsiadów? Zdaniem Pullera okolica wyglądała jak normalne przedmieście, gdzie do tajemniczych zdarzeń dochodzi zapewne sporadycznie. A jednak ciotka nie żyje, to zaś zdecydowanie rzuca nowe światło na sprawę.

Na końcu zaczął dumać nad trzecim spostrzeżeniem ciotki: że coś jest nie w porządku.

Taka obserwacja otwierała pole licznym interpretacjom. Puller mógł jedynie polegać na swoich doświadczeniach z ciotką. Była jedną z najrozsądniejszych i najbardziej rzeczowych osób, jakie znał. Skoro coś takiego powiedziała lub napisała, znaczy, że była o tym przekonana. Nie wyciągała nigdy pochopnych wniosków. Należało oczywiście brać pod uwagę fakt, że podeszły wiek mógł nieco zmienić te cechy osobowości, chociaż Puller bardzo w to wątpił. Zdrowy rozsądek był zbyt mocno zakorzeniony w rodzinnych genach.

Trzeba działać zgodnie z założeniem, że wszystko w liście ciotki

jest prawdą. I że jeśli na coś się natknęła, a ludzie maczający w tym palce to odkryli, mieli pierwszorzędnny motyw do usunięcia Betsy Simon z grona żywych. A jeżeli tak się stało, Puller chętnie skorzysta z okazji odpłacenia im pięknym za nadobne. I zapewni im albo długą odsiadkę, albo przedwczesne zejście z tego świata.

Wyczerpawszy możliwości działania w oparciu o ograniczony, jak dotąd, postęp w śledztwie, wysiadł z samochodu, wszedł na ułożony z desek chodnik i dotarł do plaży. Dochodziło wpół do siódmej, kawiarnia, w której miał się spotkać z Timmins, znajdowała się nieopodal. Postanowił pospacerować wzdłuż plaży, trochę się zrelaksować, jak również oddać się dalszym rozmyśleniom przy szumie rozbijających się na brzegu fal.

Na plaży roiło się od ludzi. Niektórzy energicznie maszerowali, wykonując przesadne wymachy ramion i sadząc wielkie kroki. Inni spacerowali ramię w ramię. Jeszcze inni rzucali piłki tenisowe albo frisbee swoim psim towarzyszom.

Puller szedł, przesuając wzrok znad oceanu na chodnik z desek i dalej. Pewne obszary Paradise zdecydowanie odpowiadały nazwie. Ale mimo że Puller spędził tu stosunkowo niewiele czasu, zdążył zobaczyć inne oblicze miasteczka, które zupełnie do tej nazwy nie pasowało.

Interesujące miejsce, pomyślał.

Gdy zauważył, co się przed nim dzieje, przyspieszył kroku. Nie wiedział, czy może to mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią ciotki, teraz jednak intrygowało go wszystko, co wychodziło poza schemat codzienności.

22

Puller dostrzegł najpierw Landry, potem Bullocka. Hoopera nie było w zasięgu wzroku.

To, co po chwili zobaczył, kazało mu zwolnić kroku. Parawan z niebieskiego brezentu przesłaniał widok. Gdy na miejscu była policja, to, co znajdowało się za parawanem, okazywało się zwykle ludzkimi zwłokami.

Puller zbliżył się na odległość trzydziestu metrów i się zatrzymał, omiatając wzrokiem całą scenę. Landry stała obok dwojga ludzi, których Puller rozpoznał. Widział ich wcześniej na komisariacie, wyglądali na zamartwionych i podenerwowanych. Przypomniały mu się wymienione przez nich imiona i nazwiska.

Nancy i Fred Storrowowie.

Wyszli z domu i nie wrócili. W Paradise najwyraźniej sporo się działo. Puller zastanawiał się, czy osłona skrywa jedno czy dwa ciała.

Spojrzał na ocean. Był przyływ. Czyżby wyrzucił zwłoki na brzeg?

Nie wierzył, że ktoś zostawiłby na plaży ciała dwóch osób, które dopiero teraz zostały znalezione. Nie porzuca się zwłok w miejscach publicznych w biały dzień. Rzucił okiem na zegarek. Dochodziła siódma wieczorem. Ponownie przeniósł wzrok na wodę.

Przyływ. Musiało tak być. A zwłoki musiały być w nie najlepszym stanie. Woda dokonuje w ciałach topielców straszego spustoszenia.

Znów zerknął na parę. Kobieta płakała, wsparta na ramieniu mężczyzny, a wyraźnie skrzepowana Landry stała obok z notesem w ręku.

Bullock znajdował się bliżej parawanu, kręcił głową i bębnił palcami w kaburę, jakby wysyłał sygnał SOS.

Nie odgrodzili terenu, ale ludzie trzymali się na dystans.

Puller zmierzał w kierunku Bullocka, aż komendant wreszcie podniósł wzrok i go zauważył.

W pierwszym odruchu podniósł ręce, by zatrzymać Pullera, lecz po chwili go rozpoznał. Ruszył w jego stronę, czarne buty zapadały się w piach. Znalazłszy się przed Pullerem, zapytał:

– Co pan tutaj robi?

– Spaceruję po plaży. Co tu mamy?

– Śledztwo w toku, szczegółów nie wolno mi ujawniać osobie cywilnej.

– Nie jestem cywilem.

– Dla mnie pan jest.

– Jedno ciało czy dwa?

– Słucham? – Bullock cofnął się o krok i podejrzliwie spoglądał na Pullera.

– Za tym parawanem. Fala wyrzuciła je na brzeg?

– Co pan wie na ten temat, do ciężkiej cholery?

– Nic. Ale ustawiliście na plaży ochronny parawan, kobieta szłocha – ta sama, którą widziałem dzisiaj na komisariacie i która prawdopodobnie zgłaszała zaginięcie – no i kostki domina zaczynają się układać. To był wypadek?

– Dam panu dobrą radę, Puller. Niech pan wykona w tył zwrot, wsiada do pierwszego samolotu i wraca do domu.

– Doceniam pańską radę, ale w Paradise podoba mi się coraz

bardziej. Zaczynam rozumieć, dlaczego tak lubicie to miejsce.

Bullock odwrócił się na pięcie i odmaszerował, spod jego obcasów tryskały fontanny piasku.

Zjawił się inny policjant i zajął się parą, dzięki czemu Landry mogła na chwilę uwolnić się od służbowych obowiązków i podejść do Pullera.

– Co mówił Bullock?

– Prosił, żebym włączył się w śledztwo i użył mojej fachowej wiedzy oraz kompetencji w rozpracowywaniu tej zbrodni. Zaprosił mnie także do siebie na piwo.

Uśmiechnęła się.

– Nie pije piwa. Ale i tak bym nie uwierzyła.

Puller wskazał głową niebieski brezent.

– Wezwaliście lekarzkę sądową?

– Przyjedzie, jak tylko będzie mogła.

Kiwnął głową. Zanosilo się na to, że zaplanowane na siódmą spotkanie z Timmins trzeba będzie przesunąć na później.

– Nie będę pytał o szczegóły, ponieważ nie chcę wpakować pani w tarapaty.

– Dzięki.

– Gdzie pani kolega?

Landry wydawała się zakłopotana.

– Przydarzył mu się drobny... kłopot.

– Zwymiotował i zemdlał na widok zwłok?

Odwróciła wzrok, ale coś w wyrazie jej twarzy mówiło Pullerowi, że trafił w dziesiątkę.

– Mam spore doświadczenie w oglądaniu ciał wyrzuconych przez morze.

- Jak to? Wydawało mi się, że nie służy pan w marynarce.
- Och, nie uwierzyłaby pani, czym teraz zajmuje się piechota. Poza tym wiele baz wojskowych znajduje się w pobliżu wody.
- Wątpię, by Bullock to pochwalał.
- Wiem. Pomyślałem sobie jednak, że i tak zaoferuję swoją pomoc. Gdyby zechciała pani czymś się ze mną podzielić, oczywiście nieoficjalnie, jestem do dyspozycji.
- Dziękuję. Nie mamy tu detektywów w cywilu. Wszystkim zajmują się mundurowi. Jeśli coś nas przerasta, wzywamy na pomoc policję okręgową lub stanową.
- Więc macie strategię.
- Zgłębiał pan dalej okoliczności śmierci ciotki?
- Trochę.
- Jeśli natknie się pan na coś, co świadczyłoby, że nie był to wypadek, przyjdzie pan z tym do mnie?
- Przyjdę.
- I nie będzie się pan bawił w samozwańczego strażnika prawa?
- Nigdy nie szukam kłopotów.
- Ale one znajdują pana?
- Czasami. Zatrzymałem się w hotelu Sierra.
- Niezbyt atrakcyjna część miasta.
- Wystarczająco atrakcyjna dla kogoś, kto nie może sobie pozwolić na te naprawdę piękne... A gwoli ścisłości – osiemdziesiąt dolarów za noc to moim zdaniem wcale nie tanio. Nawet jeśli wliczają w to śniadanie.
- Cóż mogę rzec? To Paradise.
- Opowie mi pani coś więcej o okolicy?
- Na przykład?

– Z pewnością macie te same problemy co wszędzie. Co z gangami?

– Oficjalnie nie istnieją. W rzeczywistości – grasują.

– Co to znaczy, że oficjalnie nie istnieją?

– Paradise jest miejscowością turystyczną. Z tych milionów ludzi, które ściągają co roku do Panhandle, wielu przyjeżdża do Paradise. Dlatego oficjalnie nie mamy problemu z gangami.

– Jasne. Na czym wobec tego polega nieoficjalny problem z gangami?

– Mamy tu specyficzny melanż. Bez typowych podziałów etnicznych i rasowych. Żadnych Bloods walczących z Crips¹³ ani gangów latynoskich ścierających się ze skinheadami.

– Czyli urozmaicenie. Godne uznania.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Dlaczego pan pyta? Coś się stało?

– Nic, o czym warto by wspominać. Przystępczość ogranicza się do biedniejszych rejonów miasta?

– Można tak powiedzieć, szczególnie jeśli chodzi o napady na ludzi. Głównie są to porachunki gangów. Ale włamania rozlewają się na zamożniejsze osiedla. Z oczywistych powodów.

– Bo można lepiej się obłowić?

– Otóż to. Naprawdę zamożne dzielnice mają własną ochronę. Albo wynajętą policję na zamkniętych osiedlach, albo profesjonalnych ochroniarzy za bramami posiadłości.

– Ja widzę całkowicie inną stronę Paradise.

– Tak bywa, gdy bogactwo zderza się z biedą.

– Tak jest w całej Ameryce.

– Tego nie wiem.

– Komu przydzielono śledztwo?

– Komendant Bullock zamierza zająć się nim osobiście. Jest znajomym rodziny.

– Dobrze zna się na robocie śledczej?

– Jest szefem!

– Nie odpowiedziała pani na pytanie.

Westchnęła.

– O tym się przekonamy.

– Spodziewam się – odparł Puller.

23

Puller siedział na leżaku i obserwował, jak Landry z jakimś policjantem w cywilu rozciągają żółtą taśmę policyjną na wbitych w piasek wysokich metalowych tyczkach.

Dwadzieścia minut później nastąpiło to, czego Puller się spodziewał. Podjechało volvo, z którego wysiadła kobieta. Po pięćdziesiątce, z krótko ostrzyżonymi siwiejącymi włosami, ubrana w białą bluzkę bez rękawów, niebieską spódnicę za kolano oraz sandały. Nosiła zawieszona na łańcuszku okulary. W ręku trzymała czarną torbę lekarską.

Louise Timmins, lekarka sądowa. Wyglądała na umęczoną i podenerwowaną. Podeszła prosto do policyjnej taśmy. Landry wpuściła ją na odgradzony fragment plaży. Lekarka dała nura pod taśmą i pomaszerowała do niebieskiego parawanu, gdzie przywitał ją Bullock. Po krótkiej rozmowie zniknęła w prowizorycznym namiocie. Puller wiedział, że nie czeka jej nic przyjemnego w tym upale i tej ciasnocie.

Trzeba spokojnie oddychać i wkrótce zmysł zapachu się stępi. Na szczęście.

Wedle zegarka Pullera minęło pół godziny, zanim Timmins ponownie wyłoniła się na słońce. Wydawało się, że męczą ją mdłości i jest mocno wstrząśnięta. Puller zastanawiał się, czy znała ofiarę bądź ofiary. Nie wiedział, czy badała jedno czy dwa ciała.

Przez kilka minut rozmawiała z Bullockiem, który kiwał głową i zapisywał coś w kołonotatniku.

Kiedy Timmins wyszła zza taśmy i ruszyła w stronę samochodu,

dogonił ją Puller.

– Doktor Timmins?

Podniosła wzrok. Miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt, musiała więc zadrzeć głowę, by w pełni objąć go spojrzeniem.

– Tak?

– John Puller. Rozmawialiśmy przez telefon.

– Ach tak, chodziło o pańską ciotkę. – Nie sprawiała wrażenia zadowolonej z widoku Pullera. – Gdy dostałam to wezwanie, miałam do pana zadzwonić i uprzedzić o przełożeniu spotkania, ale jakoś skurczył mi się czas.

– Nie szkodzi. Możemy umówić się na inny dzień. Przecież nie spodziewała się pani takiego biegu wypadków.

Przyjrzał się jej dokładniej, gdy wyjmowała z torebki kluczyki do samochodu. Z bliska wydawała się blada, wymizerowana, nerwowa.

– Nie spodziewałam się. Prawdę mówiąc, to mnie zdruzgotało.

– Znała pani tę osobę?

Posłała mu ostre spojrzenie.

– Dlaczego pan pyta?

– Ponieważ wydaje się pani bardziej przygnębiona, niż mogłoby to uzasadniać widok zwłok, nawet takich, które leżały w wodzie.

– To nigdy nie jest łatwe.

– Ale pani jest lekarzem, także sądowym. Nieustannie styka się pani ze śmiercią we wszelkich możliwych okolicznościach. A ponieważ miejscowość leży nad oceanem, wątpię, by nie widziała pani nigdy dotąd ofiary utonięcia.

– Nie mogę z panem o tym rozmawiać.

– Wiem. I zdecydowanie wolałbym nie marnować pani czasu. Możemy się spotkać w związku z moją ciotką?

Popatrzyła na zegarek.

– Z przyjemnością zaprosiłbym panią na kolację. Jeśli nie straciła pani apetytu.

Obejrzała się na niebieski parawan.

– Z jedzenia zrezygnuję, ale odrobina piwa imbirowego mogłaby pomóc na żołądek.

– Doskonale. Kawiarnia, w której umówiliśmy się na spotkanie, jest kilka przecznic dalej. Woli pani spacer czy samochód?

– Samochód. Mam nogi jak z waty.

W drodze do samochodu Puller odwrócił się i zauważył, że zarówno Bullock, jak i Landry ich obserwują. Komendant wydawał się wkurzony, a Landry po prostu zaintrygowana.

Pojechali do kawiarni osobno i zaparkowali przy ulicy. W środku było tłoczno, ale udało się im znaleźć wolny stolik z przodu.

Timmins zamówiła piwo imbirowe, Puller colę. Było po siódmej, a temperatura wciąż utrzymywała się na poziomie trzydziestu stopni. Wiatr od oceanu ucichł.

– Bardziej tu jak w piekle niż w raju, prawda? – zagadnęła Timmins, gdy przyniesiono im napoje. Pociągnęła spory łyk piwa i wygodnie oparła się na krześle. Wyglądała teraz nieco lepiej.

– Zakładam, że przeprowadziła się tu pani z innych okolic?

– Skąd to przypuszczenie?

– Ma pani zbyt jasną cerę i nie przywykła do chodzenia w sandałach, które dla tutejszych mieszkanek stanowią zapewne codzienne obuwie.

Spojrzała na swoje stopy z czerwonymi pręgami odcisniętymi przez paski sandałów.

– Im dłużej nosi się sandały, tym bardziej uodparnia się skóra – ciągnął.

– Jest pan szalenie spostrzegawczy.

– Wojsko za to mi płaci.

– Pochodzę z Minnesoty. Przeprowadziłam się tu pół roku temu. To moje pierwsze lato. W Minnesocie też bywa latem upalnie, ale nie tak jak tutaj.

– Więc dlaczego się tu pani przeniosła?

– Zmarł mój mąż. Nigdy nie wyjeżdżałam z naszego stanu. Zmęczyły mnie długie zimy. Znajomy lekarz sprzedawał swoją praktykę, a mnie od zawsze interesowała patologia sądowa. Kiedy się dowiedziałam, że w ramach obowiązków będę również pełniła funkcję okręgowego lekarza sądowego, chętnie skorzystałam z okazji.

– Nazwa miejscowości też pewnie nie zaszkodziła.

– Broszury wyglądały atrakcyjnie – przyznała ze zmęczonym uśmiechem.

– Zamierza pani wrócić na północ?

– Wątpię. Człowiek żyje się z miejscem. Od czerwca do sierpnia robi się tłoczno, upał i wilgotne powietrze mocno dają się we znaki, ale przez pozostałą część roku jest przyjemnie. W Saint Paul nie mogłabym wybrać się w szortach na letni spacer.

Puller pochylił się nad stołem, oficjalnie kończąc towarzyską część rozmowy.

– Co z ciotką?

– Widział pan zwłoki.

– Skąd pani wie?

– Powiedział mi Carl Brown z domu pogrzebowego. Znamy się. Na Florydzie lekarz i zakład pogrzebowy blisko ze sobą współpracują. Wielu moich pacjentów umiera. W pewnym momencie wszystkich dopada starość.

– Widziałem ciało.

– No i?

– No i co?

– Sprawdziłam pana, agencie Puller. Mam pewne kontakty w Pentagonie. Mój brat służy w siłach powietrznych. Poinformowano mnie, że jest pan znakomity w swoim fachu i że słowo „nieustępliwość” ani trochę nie oddaje zaangażowania, z jakim ściga pan przestępców.

Puller rozparł się na krześle, patrząc na nią teraz w zupełnie innym świetle.

– Miała krwiaka na prawej skroni.

– Widziałam. Na kamieniach wokół sadzawki był niewyraźny ślad krwi.

– A zatem mamy przyczynę i skutek. Ale dlaczego upadła? Potknęła się, dostała ataku serca, udaru czy może pękł jej tętniak?

– Nic z tych rzeczy. Była w wyjątkowo dobrej formie, przynajmniej jeśli chodzi o organy wewnętrzne. Serce, płuca oraz inne organy wolne od chorób. Cierpiała na zaawansowaną osteoporozę oraz skrzywienie kręgosłupa, ale nic poza tym. Zmarła wskutek przedostania się wody do płuc. Formalnie przyczyną zgonu była asfiksja.

– Więc dlaczego upadła?

– Posługiwała się balkonikiem, w pobliżu fontanny grunt mógł być śliski. Pośliznęła się, uderzyła w głowę, straciła przytomność i utopiła się w sześćdziesięciocentymetrowej sadzawce. To się zdarza.

– Ciekaw jestem, jak często.

– Wystarczy raz.

– Żadnych podejrzanych śladów na ciele?

– Brak ran obronnych, śladów krępowania, innych krwiaków, które wskazywałyby na napaść.

Puller pokiwał głową. Wszystko zgadzało się z tym, co widział.

– Co z badaniami toksykologicznymi?

– Na wyniki trzeba jeszcze poczekać. Ale nie zauważyłam żadnych objawów zatrucia, jeśli do tego pan zmierza. Nie było też symptomów nadużywania alkoholu lub narkotyków.

– Ciotka pozwalała sobie najwyżej na kieliszek wina. Przynajmniej z tego, co pamiętam.

– Sekcja zwłok to potwierdza. Jak już wspomniałam, poza problemami z kręgosłupem była w znakomitej kondycji jak na osobę w tym wieku. Miała przed sobą jeszcze kilka ładnych lat życia.

– Ciotka napisała list. Wyraziła w nim swoje obawy wobec pewnych ludzi i zdarzeń w Paradise. Domyśla się pani, o co mogło jej chodzić?

– Jakiego rodzaju obawy?

– Że ludzie okazują się kimś innym, niż się wydają. Że nocą dochodzi do tajemniczych wydarzeń.

– Jestem tu, jak już mówiłam, dopiero od sześciu miesięcy. Nie znam aż tylu ludzi, by wiedzieć, czy są tacy, za jakich się podają, czy nie. A tajemnicze wydarzenia? Jeśli chodzi o parady pijanych facetów i półnagich panien po głównym deptaku o drugiej w nocy, to przyznaję jej rację.

– Nie ma mi pani nic więcej do powiedzenia?

– Obawiam się, że nie. Wiem, że wydaje się to bezsensowne, agencie Puller. Jednak wypadki chodzą po ludziach.

– To prawda.

Ale skoro był to wypadek, dlaczego śledzą mnie tym chryslerem?

Ta myśl nie przyszła mu do głowy zupełnie spontanicznie. Właśnie zauważył, jak chrysler mija kawiarnię i zatrzymuje się w pobliżu corvetty. Odsunęła się szyba, a Puller był całkowicie pewien, że dostrzegł błysk. Ktoś zrobił zdjęcie. Zanim zdążył pomyśleć o pościgu, chrysler odjechał.

– Agencie Puller, wszystko w porządku?

Ponownie skierował uwagę na lekarkę.

– Tak, wszystko gra.

– Mam nadzieję, że udało mi się rozwiać pańskie obawy dotyczące ciotki.

– Odnoszę wrażenie, że moje obawy mają się całkiem dobrze.

24

Gdy Puller wychodził z kawiarni, usłyszał, jak wibruje jego komórka.

– Puller – przedstawił się krótko.

– Panie Puller, tu Griffin Mason. Dzwonił pan do mojej kancelarii w sprawie ciotki?

– Zgadza się – odparł Puller. – Moglibyśmy spotkać się dzisiaj wieczorem czy jest już za późno?

– Gdyby zechciał pan wstąpić, jestem jeszcze w kancelarii. Zna pan adres?

– Będę za dwadzieścia minut.

Puller wsiadł do corvetty i zjawił się w kancelarii dwie minuty przed czasem. Znajdowała się w dawnej dzielnicy mieszkaniowej, w której domy przekształcono w niewielkie biura. Ponieważ od oceanu dzieliły ją tylko dwie przecznice, Puller przypuszczał, że grunt wart jest więcej niż budynki. Ta zasada mogła się zresztą odnosić do wszystkich zabudowań na wąskim pasie lądu wciśniętego pomiędzy wody małej zatoki od północy a ciepłą Zatokę Meksykańską na południu. Na wybetonowanym podjeździe stał najnowszy model infiniti coupé.

Drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz. Puller wszedł do małej recepcji. Pusto. Uznał więc, że personel pomocniczy już zakończył pracę.

– Panie Mason! – zawołał.

Otworzyły się drzwi i pojawił się w nich niski, pękaty mężczyzna z krótką szpakowatą brodą i okularami o szklach grubych jak denko

butelki. Miał na sobie szare spodnie w prążki, szelki podtrzymujące spodnie, aczkolwiek na wydatnym brzuchu prawdopodobnie doskonale trzymałyby się bez nich, oraz białą wykrochmaloną koszulę z podwiniętymi rękawami.

– Pan Puller?

– To ja.

– Proszę wejść.

W gabinecie Masona, którego wystrój budowały eleganckie meble z ciemnego drewna, usadowili się wygodnie w skórzanych fotelach. Półka na książki mieściła zdumiewającą liczbę opasłych tomów prawniczych, pod ścianami stały stopy segregatorów, zalegających także na wyposażonym w komputer biurku.

– Interes chyba się kręci – zagał Puller.

– Mówiąc bez ogródek, prawnik specjalizujący się w majątkach powierniczych i masach spadkowych na Florydzie nie musi się wysilać. Nie trzeba tu być błyskotliwym tuzem prawa. Wystarczy, że jest się kompetentnym i trzyma się rękę na pulsie. Średni wiek moich klientów wynosi siedemdziesiąt sześć lat. A ludzi cały czas tu przybywa. Niektórych muszę odprawiać z kwitkiem, mimo że dwa lata temu przyjąłem współlnika. Być może przyjmę jeszcze jednego, jeśli ten trend będzie się utrzymywać.

– Dobrze mieć takie problemy. A co do mojej ciotki...

– Gwoli formalności: czy mógłbym zobaczyć jakiś pański dokument tożsamości?

Puller pokazał legitymację i odznakę. Mason się uśmiechnął i oznajmił:

– Pańska ciotka wyrażała się o panu w samych superlatywach.

– Dawno się z nią nie widziałem. – Puller poczuł wyrzuty sumienia zaraz po wypowiedzeniu tych słów.

– Cóż, nie zmniejszyło to ani na jotę jej podziwu dla pana i pańskich osiągnięć.

– Jestem zwykłym trepem. Takich jak ja jest wielu.

– Niech pan nie będzie taki skromny, agencie Puller. Sam nigdy nie byłem w wojsku, ale mój ojciec tak. Walczył w drugiej wojnie światowej. Pańska ciotka opowiadała mi o zdobytych przez pana odznaczeniach. Imponujące.

Puller zastanawiał się, kto powiedział o tym ciotce. Nie sądził, żeby zrobił to ojciec. Staruszek nie żył życiem swoich synów.

– Próbowałem się do niej dodzwonić, ponieważ mój ojciec dostał od niej list – relacjonował Puller. – Nikt się nie zgłaszał. A później dowiedziałem się, co się stało. Rozumiem, że ciotka miała opiekunkę. Niejaką Jane Ryon?

– Znam panią Ryon. To bardzo kompetentna młoda osoba. Ma w mieście mnóstwo podopiecznych.

– Chętnie się z nią spotkam... – Puller zawiesił głos. – Informacja o śmierci ciotki była dla mnie szokiem.

– Rozumiem. Dla mnie też. Pani Simon miała pewne problemy natury fizycznej, ale umysł całkowicie sprawny. Sądziłem, że dożyje setki. – Przesunął dokumenty na biurku. – Mówi pan, że napisała list do pańskiego ojca? I dlatego pan tu przyjechał?

– Tak. Uznałem, że czas ją odwiedzić. – Puller nie zamierzał ujawniać treści listu. – Zostawiła testament?

– Tak, zostawiła. I mogę zdradzić panu jego zawartość. Po pańskim telefonie postanowiłem odświeżyć sobie pamięć w tej kwestii.

– Co zawiera?

– Z wyjątkiem kilku pomniejszych zapisów całość majątku przypadła panu.

Puller wybałuszył oczy. Tego nigdy by się nie spodziewał.

– Mnie? A nie mojemu ojcu?

– Nie. Chyba że ojciec jest starszym chorążym Johnem Pullerem juniorem.

– Nie, on jest generałem broni, emerytowanym.

– A więc wszystko zapisała panu. – Mason umilkł. Po chwili zauważył: – Wydaje się pan zaskoczony.

– Bo jestem. Nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktu od wielu lat. Nawet nie wiedziałem, że zna mój obecny stopień wojskowy. To zupełnie świeża sprawa.

– Cóż, bezdzietna wdowa... Poza tym, jak wcześniej wspomniałem, miała o panu doskonałą opinię. Była z pana bardzo dumna. Mówiła, że chciałyby mieć takiego syna.

Po tych słowach Puller poczuł się tak, jakby bez ostrzeżenia dostał silny cios w nerki.

– Aha – wycedził, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Miała różne inwestycje oraz dom. Nieruchomość będzie wymagała uwierzytelnienia testamentu. Zanim przejdzie na pańską własność, trzeba będzie poczynić wymagane kroki prawne. Obawiam się, że może to potrwać nawet rok.

– Żaden problem. Nie potrzebuję pieniędzy.

– Dysponuję spisem jej mienia osobistego. Sporządzam takie spisy dla wszystkich swoich klientów. Dzięki temu spadkobiercy dokładnie wiedzą, co otrzymają. Mogę dać panu teraz kopię, jeśli pan sobie życzy.

Puller wzruszył ramionami, ale skinął głową, Mason zaś wręczył mu kilka spiętych zszywką kartek.

– To wykaz majątku po najświeższej inwentaryzacji – oznajmił.

– Przeprowadzonej mniej więcej miesiąc temu.

– Podała powody inwentaryzacji?

– Nie. Zwykle spotykaliśmy się raz do roku, by wszystko zaktualizować i upewnić się, czy ciotka nie chce wprowadzić zmian w planowaniu spadkowym.

– Rozumiem.

Puller przebiegł wzrokiem po kartkach. Wyszczególniono tam książki, obrazy, biżuterię, kolekcję porcelanowych figurek według rysunków siostry Hummel i tym podobne. Wcale tego nie chciał.

– Zapiszę sobie pańskie dane kontaktowe i będę informował pana na bieżąco o kolejnych etapach postępowania spadkowego. Gdy dom zostanie przepisany na pańskie nazwisko, może pan zrobić z nim, co chce. Zamieszkać, wynająć albo sprzedać.

– Dobrze, pomyślę.

– Jej portfele akcji, obligacji i lokaty bankowe są dość okazałe. Na przestrzeni lat poczyniła sporo trafnych inwestycji. Mam pełną dokumentację.

– Okej.

Mason go obserwował.

– Jakoś nie wygląda mi pan na kogoś, kogo to szczególnie obchodzi.

– Nigdy nie miałem domu na własność. I chyba nawet nie wiem, jak wyglądają akcje czy obligacje.

Prawnik się uśmiechnął.

– Miło spotkać się z takim świeżym podejściem, naprawdę. Większość spadkobierców, z którymi mam do czynienia, chce zagarnąć wszystko. Im szybciej, tym lepiej.

– Kiedy ostatnio rozmawiał pan z moją ciotką?

Mason odchylił się na oparcie krzesła i splótł dłonie za głową,

ukazując plamy potu pod pachami, mimo że w pokoju było chłodno.

– Niech pomyślę. Chyba w zeszły czwartek. Zadzwoiła do mnie.

– Jaki miała głos?

– Jaki miała głos? Normalny.

– W jakiej sprawie dzwoiła?

– W rutynowej. Potrzebowała odpowiedzi na pytanie o zyski kapitałowe.

– Nie była niczym zaniepokojona?

Mason opuścił ręce.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Puller przesłuchiwał w życiu tysiące ludzi. Niektórzy mówili prawdę, większość kłamała. Kłamców zdradzały pewne wyraźne wysyłane przez nich sygnały. Ich oddech odrobinę przyspieszał. Słabł kontakt wzrokowy. Ramiona przywierały do tułowia, tworząc jakby kokon, pod którym można było ukryć fałszywe zeznania albo chociaż samego zeznającego. Wprawny śledczy potrafił rozpoznać kłamcę niemal w dziewięćdziesięciu procentach wypadków.

Dlatego teraz Puller miał całkowitą pewność, że Mason skłamał. Ciekawe tylko, w jakim stopniu.

Puller milczał. Czekał, aż prawnik zada pytanie, które powinien był już zadać, gdyby mówił prawdę.

– Sądzi pan, że ciotkę coś trapiło? – odezwał się wreszcie.

Puller nie odpowiedział od razu. Powtarzał sobie w myślach jedno ze sformułowań ciotki: ludzie mają podwójne oblicze.

Zastanawiał się, czy do tej kategorii należał także Griffin Mason.

I pożałował, że podzielił się z policją treścią listu. Ale nie mógł już niczego cofnąć.

– Nie wiem. Nie kontaktowałem się z nią od dawna.

Mason bacznie mu się przyglądał, a potem wzruszył ramionami.

– Wypadki się zdarzają, wiadomo. Chociaż wtedy równie trudno pogodzić się z czyjąś śmiercią. Pan może przynajmniej znaleźć pocieszenie w fakcie, że Betsy ceniła sobie pana tak wysoko, że zapisała panu cały swój majątek.

– Ma pan może klucz do domu? Oraz kopię testamentu, żebyśmy mógł ją sobie zabrać?

– Tak się składa, że mam. Betsy powierzyła mi klucze, kiedy jakiś czas temu przechodziła operację. Chciałem je oddać, ale nalegała, żebym zatrzymał.

Mason wysunął szufladę, wyjął srebrny sejf, otworzył, zaczął grzebać wśród kluczy i wreszcie wyjął dwa.

– Drzwi frontowe i od ogrodu. Proszę dać mi chwilę, zaraz skseruję testament.

Podszedł do kopiarki pod ścianą, a następnie wręczył Pullerowi jeszcze ciepłe kartki.

Puller wstał i wyjął z kieszeni wizytówkę.

– Oto moje dane kontaktowe na przyszłość.

Mason podziękował i zapytał:

– Wybiera się pan teraz do domu?

– Nie. Rano.

– Na długo zatrzyma się pan w Paradise?

– Nie wiem. Gdy już się trafi do Paradise, niełatwo je opuścić, prawda?

Odwrócił się i wyszedł.

25

Puller zaparkował corvette w odległości jednej przecznicy od domu i resztę drogi przebył pieszo. Pomimo tego, co powiedział Masonowi, postanowił od razu rozejrzeć się po mieszkaniu ciotki. Miał się na baczności przed wozami policyjnymi. Nawet uzbrojony w klucze i testament ciotki nie wierzył, że Hooper przegapiłby choćby najmniejszą okazję do wyprucia z niego wszystkich flaków.

Idąc podjazdem, zerknął na dom Cookiego. Światła były pogaszone. Puller wyobraził sobie, jak ten „młodzieniaszek” bawi się w Paradise do białego rana. Wydawało mu się, że słyszy ujadanie Sadie z wnętrza domu, ale się nie zatrzymywał. Szczekanie psa wywołało w nim tęsknotę za Dezerterem, jego kotem.

Otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka. Nie chciał zapalać świateł i tym samym wzbudzać podejrzeń, wyjął więc z kieszeni małą latarkę i zaczął penetrować wnętrze domu. Dość dobrze zapamiętał układ pomieszczeń podczas swojej poprzedniej wizyty.

Przeszedł przez kuchnię i znalazł się w sypialni ciotki. Łóżko było pościelone. Tamtego wieczoru nie kładła się spać, to pewne. Wyszła do ogrodu, z własnej woli albo pod przymusem, i tam dokonała żywota.

Na nocnym stoliku przy łóżku leżał stosik książek. Dawno temu, kiedy Puller regularnie się z nią widywał, ciotka wprost pożerała książki i najwyraźniej nie porzuciła tego zwyczaju. Omiótł światłem latarki tytuły. Głównie kryminały i thrillery. Nie podejrzewał jej o upodobanie do romansów. Jeśli miałyby ronić łzy, to z uzasadnionego powodu.

Światło ślizgało się po nocnym stoliku, a potem zatrzymało tam na dłużej. Puller, chcąc przyjrzeć się dokładnie, zaryzykował i włączył lampę.

Pochylił się nad stolikiem i przekonał, że pierwsze wrażenie go nie myliło. Mały prostokątny kształt, a wokół niego cieniutka warstewka kurzu. Wziął z półki niżej książkę Roberta Craisa w miękkiej oprawie i przymierzył ją do prostokąta. Nie pasowała.

Za mała.

Powtórzył to samo z książką Sue Grafton w twardej okładce.

Za duża.

Wysunął szufladę i znalazł w środku czarny pamiętnik. Wyjął, otworzył. Jego kartki były czyste. Umieścił go na prostokątnym śladzie. Pasował idealnie.

Musiał tu leżeć inny pamiętnik. Który najwyraźniej zaginął. I coś podpowiadało Pullerowi, że strony tamtego pamiętnika nie były czyste.

Ktoś zamordował ciotkę i zabrał pamiętnik z powodu jakiejś zanotowanej tam informacji.

Która być może rozwijała temat poruszony w liście.

Temat ludzi o podwójnym obliczu.

Tajemniczych wydarzeń w nocy.

Wrażenia, że coś jest nie w porządku.

Odłożył pamiętnik na miejsce, zgasił światło i wyszedł z pokoju.

Poświęcił kilka minut na sprawdzenie sypialni na górze, ale nie znalazł tam niczego interesującego, co mogłoby wnieść coś do śledztwa. Jedna szafa wypełniona starymi ubraniami. Były wśród nich męskie spodnie i koszule, które należały zapewne do wuja Lloyda. W innych szafach wisiały puste wieszaki, zalegały stare odkurzacze, pudła z zatęchłymi kołdrami oraz rozmaite drobiazgi,

gromadzone w ciągu długiego życia.

Na półce w głębi znalazł kilka pudełek. Jedno zawierało biżuterię, którą nawet niewprawne oko Pullera wyceniło bardzo wysoko. Oglądał ją metodycznie, sztuka po sztuce. Trafił też na klaser ze starymi monetami. One również wyglądały na wartościowe. Zastanawiał się, od jak dawna ciotka była w ich posiadaniu.

Zszedł ponownie na parter i przez kuchnię wszedł do garażu. Toyota lśniła czystością i była gotowa do drogi, nieświadoma, że jej właścicielka nie wybierze się już na żadną przejażdżkę. Puller oświetlił latarką wnętrze auta, szukając uszkodzeń lub nietypowych śladów, ale niczego takiego nie znalazł.

Samochód był w przyzwoitym stanie. Puller oszacował, że ma pięć, sześć lat. Ciotka kupiła go pewnie, zanim nasiliły się jej problemy z kręgosłupem.

Oparł się o ścianę i zaczął intensywnie analizować zebrane informacje, próbując uzupełnić luki w ostatniej aktywności ciotki.

Przede wszystkim rozmyślał nad tym, że jeśli zapłaciła życiem za bycie niewygodnym świadkiem jakiegoś zdarzenia, to musiało do niego dojść albo w najbliższej okolicy, albo gdzieś dalej. Jeżeli gdzieś dalej, musiała się tam jakoś dostać. I choć Cookie sądził, że Betsy nie wsiada już za kierownicę, to jednak wieczorami często wychodził z domu i mógłby nie widzieć sąsiadki w samochodzie, gdyby wyjeżdżała tylko po zmroku.

Otworzył drzwi od strony kierowcy i usiadł na fotelu. Zauważył, że choć było mu ciasno, siedzenie zostało odsunięte na tyle, by pomieścić wysoką kobietę.

Następnie zobaczył urządzenia, w jakie wyposażono samochód. W zasięgu rąk znajdowała się dźwignia z hamulcem i gazem.

A więc ciotka mogła prowadzić auto pomimo swoich schorzeń.

Dostrzegł też naklejkę w lewym górnym rogu przedniej szyby. Ze stacji obsługi pojazdów w Paradise. Z wyznaczoną datą następnego przeglądu oraz wskazaniem przebiegu, jaki samochód powinien osiągnąć do tego czasu. Minęła dokładnie trzydzieści dni temu. Puller spojrział na przebieg na nalepce, po czym oświetlił deskę rozdzielczą. Dokonał szybkich obliczeń, uwzględniając datę śmierci ciotki.

W ciągu mniej więcej dwudziestu sześciu dni, kiedy mogła korzystać z samochodu, auto przejechało średnio szesnaście kilometrów dziennie. Przeprowadzał w głowie błyskawiczną analizę. Czy ciotka z chorym kręgosłupem byłaby w stanie przejechać na raz setki kilometrów? Wątpliwe. A czy mogła wyprawiać się na krótsze dystanse? To bardziej prawdopodobne.

A jeśli codziennie pokonywała tę samą odległość? Czyli szesnaście kilometrów? Wydawało się to wykonalne nawet przy problemach z kręgosłupem.

A więc osiem kilometrów w jedną stronę i osiem z powrotem. Puller miał przynajmniej jakiś punkt zaczepienia, kierunek działania w tej jednej wielkiej płątanie niejasności. Mógł pokonać trasę tej długości we wszystkich możliwych kierunkach i przekonać się, dokąd go zaprowadzi.

Już po chwili szybko wysiadł z samochodu i cicho zamknął drzwi. Zgasił latarkę, wyciągnął swój M11.

Ktoś właśnie wszedł przez frontowe drzwi domu.

Puller przemknął z garażu do kuchni niemal bezszelestnie. Ten ktoś zachowywał się nieporównywalnie głośniejszy. Co mogło okazać się dla Pullera zarówno korzystne, jak i kłopotliwe.

Powolutku posuwał się w kierunku wejścia do salonu. Słyszał dobiegające z góry skrzypienie. Nieproszony gość był na piętrze. Przemknęło mu przez myśl, czy to przypadkiem nie policja, ale

przecież standardowo ogłosiliby swoją obecność przy wchodzeniu. Ale jeśli to Hooper, Puller mógł wkrótce znaleźć się w samym środku strzelaniny z nieobliczalnym gliniarzem. Ostatnia rzecz, jakiej sobie teraz życzył, to areszt za kropnięcie funkcjonariusza policji. Jednakże gdyby ktoś miał tu dzisiaj zginąć, Puller zdecydowanie wolałby uniknąć roli ofiary.

Dłoń zsunęła się na bezpiecznik broni. Gdy spocznie na spuście, Puller musi być gotowy do strzału.

I będzie.

Po chwili zobaczył, jak ktoś schodzi z góry.

Ryknął głosem żandarma wojskowego:

– Padnij! Już! Bo będę strzelał!

Ów ktoś nie padł na ziemię.

Wrzasnął i rzucił się do ucieczki.

26

Nie zdążyła dobiec do drzwi przed Pullerem. Był szybszy, wykręcił jej ramię i odwrócił twarzą do siebie.

– O Boże, błagam, niech mi pan nie robi krzywdy! Niech mnie pan nie krzywdzi!

Puller puścił ramię kobiety, cofnął się, ale trzymał broń pod kątem czterdziestu pięciu stopni, gotów wziąć ofiarę na muszkę, gdyby wystąpiła taka konieczność. Zapalił lampę stołową, częściowo oświetlając pokój.

– Kim pani jest?! – zapytał, mierząc ją wzrokiem.

Mogła mieć dwadzieścia pięć lat, blond włosy związane w koński ogon. Była ubrana w sprane i kuse dżinsowe szorty, obcisłą limonkową koszulkę i japonki z napisem *Corona*.

– Jane Ryon. A kim pan jest, do cholery?!

Gdy stało się jasne, że Puller nie zamierza do niej strzelać, ton jej głosu oraz sposób mówienia zmieniły się na dość wyzywające, ale wciąż nie odrywała przerażonego wzroku od lufy pistoletu i wydawała się roztrzęsiona.

– John Puller. – Pokazał identyfikator i odznakę. – Wojskowy agent CID.

– Dobry Boże, jest pan bratankiem Betsy! – wykrzyknęła.

– A pani jej opiekunką. Czy raczej była opiekunką – odparł Puller.

– Skąd pan wie?

– Zadaję pytania. Tak jak w tej chwili. Co pani tutaj robi?

Otworzyła torbę, żeby mógł zajrzeć do środka.

– Zostawiłam kilka rzeczy w sypialni na górze. Żakiet i spodnie. Myślałam, że zabiorę je przy okazji kolejnej wizyty u Betsy, ale oczywiście tak się nie stało.

Puller schował broń do kabury.

– Przepraszam, że panią przestraszyłem.

– Nie szkodzi. Przynajmniej wiem, że mam silne serce. W przeciwnym razie padłabym na zawał.

Miała około stu sześćdziesięciu siedmiu centymetrów wzrostu i była w dobrej formie. Wyrzeźbione mięśnie nóg i wyjątkowo szczupła sylwetka zdradzały, że uprawia biegi.

– Bardzo współczuję z powodu śmierci ciotki. Była miłą osobą. Wiadomo, jak zmarła?

– Jak się pani o tym dowiedziała?

– Przyjechałam tu w dniu, kiedy znaleziono ją martwą. Wybierałam się do innego podopiecznego na tej ulicy. Pod domem stały wozy policyjne, a później podjechał karawan. Rozmawiałam z policjantem. Powiedział, że Betsy znaleziono martwą w ogródku za domem. To wszystko, co wiem. Pomyślałam, że może dostała ataku serca czy coś.

– Oficjalną przyczyną śmierci jest utonięcie.

– Utonięcie? Mówili przecież, że znaleziono ją w ogrodzie. Więc jednak utopiła się w wannie?

– Nie, w sadzawce za domem.

– Przecież tam jest płytko.

– Najprawdopodobniej upadła, uderzyła się w głowę i nieprzytomna osunęła się do wody.

– O Boże, to okropne!

– Jeśli była nieprzytomna, nie czuła bólu ani strachu, ale i tak jest

to mało przyjemna śmierć.

– Kto ją znalazł?

– Sąsiad.

– Cookie?

– Tak.

– Musi być załamany. Przyjaźnili się. Zabawnie było patrzeć na nich razem. On niski, ona wysoka. Kojarzyła mi się z tą aktorką z serialu *Złotka*. Oglądałam go w dzieciństwie.

– Racja.

– Była niezależna i choć czasem trudna w kontaktach, podziwiałam jej charakter i odwagę.

– Tak, to cechy rodzinne – odparł Puller. – Cookie mówił, że jemu też pani pomaga?

– O tak. Mam wielu klientów w Paradise. Jestem w ciągłym biegu.

– Pochodzi pani stąd?

– Nie. I właściwie nie mieszkam w Paradise, tylko w Fort Walton Beach, niedaleko stąd. Przyjechałam z New Jersey pięć lat temu. Zimy są tu o wiele przyjemniejsze. To znaczy cieplejsze.

– Nie wątpię. Jak miewała się moja ciotka?

– Cierpiała na związane z wiekiem bóle i dolegliwości. Przyjmowała leki, co też nie jest niczym dziwnym. Używała balkonika. Była wysoka, znacznie wyższa ode mnie, ale przygarbiona. Miewała lepsze i gorsze dni, jak my wszyscy.

– Tak, ale ostatecznie przydarzył się jej naprawdę zły dzień.

– No cóż... Tak.

– A jak nastrój? Sprawiała wrażenie przygnębionej, zmartwionej, poirytowanej?

– Nie bardziej niż zwykle. Opiekuję się starszymi osobami już od

wielu lat i przekonałam się, że w ciągu dnia potrafią zaprezentować cały wachlarz emocji. W lepszym nastroju są zazwyczaj rano. Z upływem godzin stają się coraz bardziej chwiejni. Tak przynajmniej wynika z mojego doświadczenia.

– Samodzielnie prowadziła samochód? Czy wozila ją pani?

– Załatwiałam sprawunki. Sklep, apteka i tak dalej.

– Jej samochodem?

– Nie. Swoim. Firma, dla której pracuję, nie pozwala nam korzystać z aut naszych klientów. Ze względu na ubezpieczenie.

– Więc sama siadała za kierownicą?

– Przy mnie nie.

– Jak często pani ją odwiedzała?

– Dwa, trzy razy w tygodniu.

– Co tydzień?

– Zazwyczaj tak.

– Za każdym razem zostawała pani na noc?

– Nie, prawie nigdy. Jej stan tego nie wymagał.

– O której pani wychodziła?

– Około dziewiątej.

– Gdyby więc wybierała się po pani wyjściu na przejażdżkę, pani by o tym nie wiedziała?

– Nie. Ale po co miałyby gdzieś jeździć? Niby dokąd?

– Pyta pani niewłaściwą osobę. Jestem tu od kilku godzin. Nie znam jeszcze lokalnej topografii. A gdyby jeździła po okolicy, powiedzmy osiem kilometrów w jedną stronę i drugie osiem z powrotem, dokąd by dotarła?

Ryon się zamyśliła.

– Gdyby jechała na południe, dotarłaby nad Zatokę

Meksykańską. Gdyby kierowała się na północ, znalazłaby się nad zatoką Choctawhatchee. Ta część Emerald Coast jest stosunkowo długa, ale wąska, oblana wodą z obu stron.

– A na wschód i zachód?

– Jadąc na zachód, trafiłaby w okolice mola, tam są jednak same boczne drogi. Jakby nie zbaczała z autostrady numer dziewięćdziesiąt osiem, skręciłaby na północny zachód i dotarła do Destin.

– Został jeszcze wschód.

– To w kierunku Santa Rosa Beach. Tereny nadmorskie, a później, ale zdecydowanie dalej niż osiem kilometrów, Panama City.

– Jest po drodze coś interesującego?

– Mnóstwo plaż. Emerald Coast ciągnie się przez około sto sześćdziesiąt kilometrów. Na zachodzie znajduje się baza lotnicza Eglin, a na wschód od Panama City baza Tyndal.

– Sporo tu baz wojskowych – zauważył Puller.

– Zgadza się. Musi pan o tym wiedzieć, skoro służy pan w armii.

– Jest jeszcze Pensacola, gdzie wszyscy piloci marynarki wojennej uczą się latać. Oraz Hurlburt Field, choć to w zasadzie część bazy Eglin. Mieści się tam między innymi dowództwo operacji specjalnych sił powietrznych.

– Jest pan o wiele lepiej zorientowany niż ja.

– Prawdopodobnie nie aż tak. Ja służę w wojskach lądowych. Siły powietrzne operują na większych wysokościach.

– Naprawdę przykro mi z powodu pańskiej ciotki.

– A ja przepraszam, że panią wystraszyłem. Jestem bardzo wdzięczny za wszystko, co zrobiła pani dla Betsy.

Odprowadził ją do drzwi, włączył zewnętrzną lampę, żeby

oświetlić jej drogę, i obserwował, jak Ryon idzie podjazdem do swojego samochodu, niebieskiego forda fiesty ze sporym wgnieceniem w drzwiach od strony pasażera.

Gdy się oddaliła, Puller zauważył nadjeżdżający ulicą policyjny radiowóz. Nie zdążył zamknąć drzwi na czas. I miał świadomość, że w zapalonym na ganku świetle jest widoczny równie dobrze jak podświetlana tablica reklamowa.

Wóz policyjny ostro skręcił w lewo na podjazd, a kierowca wyłączył światła ostrzegawcze na dachu.

Puller obserwował, jak komendant Bullock wysiada z wozu i zmierza prosto do niego, z ręką na broni i świdrującym wzrokiem.

27

Bullock zatrzymał się w odległości półtora metra od stojącego na ganku Pullera.

– Może zechce pan wyjaśnić, co pan tu, do cholery, robi? A potem spróbuje podać mi powód, dla którego miałbym natychmiast pana nie zapudłować.

Puller pokazał klucze do domu.

– Dostałem je od prawnika ciotki. – Wyjął kopię testamentu i podsunął ją Bullockowi. – Zostawiła mi dom w spadku. Wszystko jest tu napisane. Niech pan zadzwoni do prawnika, jeśli nie wierzy pan ani mnie, ani dokumentom.

Bullock zrobił energiczny krok w przód, wyrwał Pullerowi z ręki testament i przeczytał go w zewnętrznym świetle zamontowanym nad wejściem do domu. Złożył kartki i oddał je Pullerowi.

– Nie jestem prawnikiem, ale wygląda na to, że trafił się panu dom. Oczywiście, gdyby ciotka została zamordowana, właśnie pan miałby pierwszorzędnny motyw do odebrania jej życia.

– Z tym że nie było mnie wtedy na Florydzie.

– I może pan to udowodnić?

– W razie konieczności – tak. A gdybym wiedział, że odziedziczę dom, miałbym przyjechać, zabić ciotkę, a potem obnosić się ze swoją obecnością i dać się aresztować? Żeby policja wiedziała, że w ogóle tu byłem?

– Może jest pan głupi.

– Będzie pan musiał wyjaśnić tę kwestię z armią.

– Wyjaśnię ją z panem, kiedy będzie mi się żywnie podobało,

dopóki jest pan w Paradise.

– Możemy zawrzeć rozejm? Przepraszam, jeśli pana rozdrażniłem. Nie miałem takiego zamiaru.

Bullock zakołysał się na piętach, głośno westchnął i powiedział:

– Zapomnijmy o tym. To także moja wina. Mam krótki lont.

– Nie ma sprawy. Rozumiem.

– Nadal uważa pan, że śmierć ciotki nie była wypadkiem?

– Nie wiem. Rozmawiałem z lekarką sądową, widziałem ciało. Nic nie zwróciło mojej uwagi.

– Ale nadal ma pan wątpliwości?

– Nigdy nie można mieć całkowitej pewności. Może szukam dziury w całym.

– Zdarza się każdemu.

Puller wyciągnął rękę.

– Wiem, że jest pan zajęty. Ta dzisiejsza robota na plaży to chyba jakiś większy kaliber. Zaraz wracam do swojego hoteliku. Dziękuję, że mnie pan nie aresztował.

Bullock uściśnął mu dłoń, a po chwili rzekł:

– Tak, to poważna sprawa. – Patrzył na Pullera. – Mam na myśli to, co zastaliśmy na plaży.

Puller potraktował te słowa jako zachętę do rozmowy.

– Utonięcie?

– Nie. Oboje postrzeleni w głowę.

– Oboje?

– Para. Państwo Storrowowie. Nancy i Fred. Pamięta pan to nazwisko z komisariatu. Dobrze znani w miasteczku. Mieszkali tu dłużej ode mnie. Co wieczór spacerowali po plaży. Tak jak i tym razem, tylko że z tego spaceru już nie wrócili.

– Są świadkowie? Tropy?

– Ciała były w stanie zaawansowanego rozkładu. Nikt niczego nie zgłaszał.

– A motyw? Rabunkowy?

– Pan Storrow miał w kieszeni dwadzieścia dolarów i złotą obrączkę na palcu. Pani Storrow pierścionek z brylantem.

– Mieli jakichś wrogów?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Byli na emeryturze. Oboje wychowali się w Fort Walton Beach. Szkolna para. Wiele lat temu przeprowadzili się do Paradise. On był właścicielem kilku drobnych interesów, stacji benzynowej, sklepu Subway, sklepu z telefonami komórkowymi. Sprzedał wszystko jakiś czas temu. Dość wygodnie spędzali z żoną swoje złote lata.

– A ta para, która zgłosiła ich zaginięcie i która była dzisiaj na plaży?

– Ich syn Chuck i jego żona Lynn.

– Nie rzucam żadnych oskarżeń, ale mogli mieć jakiś motyw?

Bullock pokręcił głową.

– Syn jest bankierem w mieście, wiedzie mu się doskonale. Nie potrzebował od rodziców ani centa. Żyli bardzo blisko. Co weekend grywali razem w golfa. Bywali u siebie nawzajem na przyjęciach. Łączyła ich autentyczna więź.

– Więc może to sprawa losowa. Znaleźli się w niewłaściwym czasie na niewłaściwym miejscu.

– Tak właśnie myślę.

– Czy na podstawie miejsca, w którym ocean wyrzucił ciała na brzeg, można ustalić, gdzie zostały do niego wrzucone?

– Ściągnąłem specjalistów od prądów morskich i pływów, którzy właśnie nad tym pracują. Mogą zawęzić obszar poszukiwań. Znamy

czas wyjścia państwa Storrowów z domu na spacer.

– Wiem, że nie mam do tego żadnych uprawnień, gdyby jednak przydała się dodatkowa para oczu, dopóki tu jestem, z chęcią pomogę.

– Okej, Puller, w zależności od tego, jak potoczą się sprawy, niewykluczone, że skorzystam z tej propozycji. Życzę miłego wieczoru. Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia.

– Tak, ja też.

Bullock powlókł się do samochodu, a Puller zamknął dom na klucz, wszedł do auta i ruszył przed siebie. Tam, gdzie morze wyrzuciło ciała.

Niewłaściwy czas, niewłaściwe miejsce. Być może. Co oznacza, że mogli coś widzieć albo natknąć się na kogoś. I kosztowało ich to życie.

Tajemnicze wydarzenia w nocy.

Zmierzył odległość, jaką przebył od domu ciotki.

Teraz to mój dom. Co ja z nim pocznę?

Trzy kilometry i czterysta metrów. Więc nie tu jeździła ciotka. W tej chwili nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to wyklucza związek zabójstwa państwa Storrowów z tym, co przydarzyło się ciotce.

Za mało wiem. I być może nigdy nie dowiem się więcej.

Czuł się nieswojo. Nie miał tu żadnych możliwości wszczęcia dochodzenia. Jego służbowa torba z całym sprzętem, którego zwykle potrzebował do prowadzenia śledztwa, została daleko stąd, w Wirginii. Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Złapał za telefon i zadzwonił do USACIL, czyli do Wojskowego Laboratorium Kryminalistycznego Armii Stanów Zjednoczonych w Fort Gillem w stanie Georgia. Miał tam znajomą, Kristen Craig, z którą nie raz współpracował. Zdawał sobie sprawę, że pora jest

późna, a w Georgii czas przesunięty o jeszcze jedną godzinę do przodu, ale wiedział również, że Craig często ślęczy w pracy do późnej nocy.

Okazało się, że ten wieczór nie był wyjątkiem. Odebrała po drugim sygnale. Wyjaśnił, co robi i czego potrzebuje.

– Jutro rano wysyłam do Eglin przesyłkę – poinformowała. – Mogę wpakować torbę do samolotu. Podjedź na lotnisko około południa swojego czasu, to ją sobie odbierzesz.

– Jesteś święta, Kristen.

– Tylko pamiętaj, żeby tam zadzwonić i powiadomić mojego szefa mniej więcej w porze przeglądu.

Podawała mu informacje niezbędne do odebrania torby. Nim skończyła rozmowę, zapytała:

– Czy ta miejscowość naprawdę nazywa się Paradise?

– Naprawdę.

– Skoro potrzebujesz swojego sprzętu śledczego, wnioskuję, że nie zasługuje na swoją nazwę?

– Twoją zdolność dedukcji przewyższa jedynie umiejętność czynienia cudów.

– Jak będziesz mi tak dalej kadził, trzeba będzie poważniej potraktować naszą znajomość. – Roześmiała się i rozłączyła.

Puller wsadził telefon do kieszeni i wrzucił bieg.

Jego praca na dziś jeszcze się nie skończyła.

W żadnym wypadku.

Puller zauważył to miejsce już wcześniej: wypożyczalnię samochodów Hertz, czynną do jedenastej w nocy. Podjechał pod nią i wysiadł. Zamiana corvetty na GMC tahoe zajęła tylko kilka minut. Mężczyzna za ladą wydawał się zdziwiony, że Puller chce zastąpić corvette wychwalanym SUV-em, zwłaszcza w nadmorskiej miejscowości, ale z uśmiechem wręczył mu kluczyki.

– Życzę fantastycznego pobytu w Paradise.

– Tak...

Następnie wstąpił do sklepu z odzieżą plażową i kupił czapkę z daszkiem z napisem *Paradise Is Forever*¹⁴, okulary przeciwsłoneczne oraz tenisówki. Japonki albo sandały bardziej nadawały się na plażę, ale raczej trudno w nich biegać, a już na pewno ani szybko, ani długo. Zaopatrzył się też w kilka podkoszulków oraz krótkie spodenki z dużymi kieszeniami, które mogą pomieścić większe przedmioty, na przykład broń. W przymierzalni przebrał się w szorty, podkoszulek i tenisówki, na głowę wcisnął czapkę z daszkiem, do kieszeni wsunął ciemne okulary oraz M11, po czym wyszedł na zewnątrz.

Miał na tyle imponującą posturę, że trudno przeoczyć go w tłumie, ale większość ludzi nie jest zbyt spostrzegawcza. Ubrany w ten sposób prawdopodobnie mógł spokojnie minąć białego, czarnoskórego i Latynosa, a ci nawet by się za nim nie obejrżeli. Taką miał przynajmniej nadzieję.

Zaparkował dwie przecznice od Sierry, ale przy tej samej ulicy. Mimo że zmrok zapadł już dawno, wokół panował zgiełk i ruch, i to

nie tylko na plaży. Samochody mknęły ulicami na pełnym gazie tam i z powrotem, ludzie pokrzykiwali. Słyszał tupot stóp. Nie wiedział, czy ktoś właśnie ucieka przed kłopotami, czy się w nie pakuje, i niewiele go to obchodziło.

Diego mówił, że jego *casa*, w której mieszka ze swoją *abuella*, stoi nieco dalej przy tej samej ulicy i na lewo.

Puller spojrział na zegarek, a następnie czujnie rozejrzał się po ulicy. Uznał, że biały, czarny i Latynos zdążyli się już ocknąć, sprawdzić, czy nadal mają w czaszkach mózgi, o ile w ogóle je mieli, i teraz pałają żądzą zemsty. Zapewne przeprowadzili rekonesans i dowiedzieli się, że zatrzymał się w hotelu Sierra i jeździ krzykliwą corvetta. Dlatego przesiadł się do tahoe. Poza tym w tahoe jest znacznie więcej miejsca, co Pullerowi będzie teraz potrzebne. Torba ze sprzętem śledczym jest spora, a bagażnik corvetty – nie bardzo. Tamta trójka bandziorów mogła też zwerbować dodatkowe siły z myślą o odwecie, skoro we trzech nie dali mu rady. Na domiar złego byli teraz wystraszeni i odczuwali skutki wstrząsu mózgu.

Tym razem zamiast pięści może pójść w ruch amunicja.

Zanim jednak Puller stawi im czoło, chciał coś sprawdzić.

Ruszył przed siebie ulicą, chyłkiem przemknął obok Sierry i niemal wpadł na idącego z naprzeciwka chłopca. Złapał go za ramię, żeby dzieciak nie upadł.

– Wszystko w porządku?

Twarz chłopca wykrzywiła się z gniewu. Sklął Pullera.

– Powiesz mi, gdzie mieszka Diego?

Chłopak odpowiedział kolejnymi przekleństwami miotanymi mieszaniną angielskiego i hiszpańskiego.

Puller wyjął z kieszeni banknot pięciodolarowy.

– Co wybierasz: kasę czy garść pieprzu do nosa?

Chłopak pospiesznie wskazał palcem ulicę.

– W tamtym niebieskim. Pierwsze piętro.

Puller dał mu banknot i dzieciak odbiegł.

„Tamten niebieski” był niewielkim budynkiem z niebieską markizą i dookólną werandą. Wyglądał jak dom z pokojami do wynajęcia ulokowanymi na dwóch kondygnacjach: czterema na górze i czterema na parterze. Puller wszedł po schodach. Zapukał do jednych drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Miał już pukać do następnych, gdy nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Diego.

Popatrzył na Pullera i od razu było wiadomo, że coś jest nie w porządku.

– Co się stało, Diego?

Za plecami chłopca coś się poruszyło i Puller mógł sam odpowiedzieć sobie na pytanie.

Za drzwiami stała Isabel, obok niej Mateo. Oboje mieli posiniaczone twarze. Ktoś zrobił z nich worki treningowe. Mateo chlipał i kasłał. Isabel milczała. Patrzyła tylko na Pullera nieprzyjaznym wzrokiem.

– Isabel powiedziała mi, co się stało – wyjaśnił Diego. – Chcę panu podziękować, że pomógł pan jej i Mateowi.

– Jesteście rodzeństwem?

– Kuzynostwem.

Isabel zrobiła krok w przód.

– Mieszkamy wszyscy z babcią.

– Gdzie ona jest?

– Pracuje – odparł Diego. – W restauracji nad oceanem. The Clipper. W kuchni.

– Jest kucharką?

– Nie, sprząta – sprostowała Isabel.

Puller wskazał na ich pobite twarze.

– Kto to zrobił?

– A jak pan myśli? – odpowiedziała pytaniem dziewczyna.

– Przepraszam, Isabel, ale musiałem zainterweniować. Nie mogłem pozwolić, by ci to zrobili.

– Bo co? To nie pierwszy raz.

– Nie jesteś *puta* – zaprotestował Diego.

Mateo się rozplakał.

– Może jestem – odburknęła Isabel.

– Nie, nie jesteś – powiedział Puller. – Nie taką drogą chciałabyś podążać.

– Och, no jasne. Pójdę na studia i zostanę lekarką albo kimś takim.

– A dlaczego nie? – zapytał Puller.

Spojrzała na niego z politowaniem.

– Na jakim świecie pan żyje?

– Nie jesteś *puta* – powtórzył Diego i odwrócił wzrok, delikatnie głaszcząc Matea po głowie, żeby go uspokoić.

Puller ponownie skupił uwagę na Diegu.

– Widziałeś tamten samochód?

Chłopak zerknął na Isabel, która czujnie ich obserwowała. Wyszedł za drzwi i zamknął je za sobą.

– Co się stało z waszymi rodzicami? – zainteresował się Puller.

Diego wzruszył ramionami.

– Jednego dnia tu byli, a następnego zniknęli. Może wrócili do Salwadoru. Nie wiem.

– Wasza babcia nie wie, co się z nimi stało?

– Nawet jeśli wie, to nie mówi.

– Rodzice tak po prostu by was tu zostawili?

– Pewnie myślą, że lepiej zostać tu niż wracać. Chcieli dla nas jak najlepiej. Teraz ja jestem w domu mężczyzną. O wszystko się zatroszczę.

– Okej, podoba mi się twoja odwaga, ale wciąż jesteś jeszcze dzieckiem.

– Może i jestem dzieckiem, ale znalazłem tamten samochód. – Przerwał. – Obiecał pan, że dostanę więcej pieniędzy.

– Tak obiecałem? – zapytał Puller, ale od razu wyciągnął dwadzieścia dolarów. – Podaj mi szczegóły.

Diego zaczął od numerów rejestracyjnych.

– Jak to zrobiłeś? Były niewidoczne.

– Ludzie muszą jeść, co nie? Kiedy jedli, wziąłem szmatę i starłem brud. Zanim wrócili, zapaćkałem rejestrację z powrotem.

– Opisz ich.

Diego spełnił prośbę.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Puller wręczył mu banknot dwudziestodolarowy.

– A Isabel i Mateo? Ktoś skrzywdził ich tu, na miejscu?

Chłopak zaprzeczył.

– Nie tutaj. Wyglądałbym wtedy tak samo jak oni, bo próbowałbym ich bronić.

– Powiedz mi, co to za jedni. Należą do gangu?

– Chcieliby, ale są tak głupi, że nikt nie chce ich przyjąć. Handlują dragami na własną rękę, ale tylko trochę. Napastują ludzi. I z tego żyją. To zwykłe śmieci.

– Mają kumpli?

– Wszyscy tutaj mają kumpli, jeśli tylko wystarcza im forsy, żeby ich opłacić.

Diego starannie złożył banknot i schował go do kieszeni.

– Myślisz, że czyhają na mnie pod hotelem?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Myślę, że musi pan bardzo uważać.

– Dzięki za pomoc.

– Robię to dla pieniędzy.

– Podziwiam twoją szczerość.

– Niech pan nie ufa nikomu w Paradise. Ze mną włącznie.

– Diego, czasem trzeba komuś zaufać. Gdybyś potrzebował pomocy, możesz się do mnie zgłosić.

– Jeśli pan przeżyje, proszę pana. Zobaczymy.

– Mów mi Puller.

– Okej, Puller. *Buena suerte*.

– Wzajemnie, Diego.

Puller się oddalił. Kołatała mu się w głowie myśl, że będzie musiał znów zmierzyć się z tymi trzema żalonymi kreaturami oraz opłaconymi przez nich pomagierami. Ale przede wszystkim nie dawał mu spokoju podany przez Diega rysopis dwóch mężczyzn z chryslera.

Szczupli, wysportowani, krótko ostrzyżeni. Ich wygląd wskazywał na to, że oni i Puller mają tego samego pracodawcę.

Armię Stanów Zjednoczonych.

29

Puller wrócił do samochodu, usiadł na tylnym siedzeniu, wyciągnął się i zaczął analizować świeżo zdobyte informacje.

Jeśli faceci z chryslera są byłymi wojskowymi, zmienia się układ sił. Mogą przejrzeć na wylot jego kamuflaż oraz zamianę auta. Strzelić do niego szybciej, niż zdążyłby zareagować.

A jeśli są w służbie czynnej, dlaczego go śledzą?

Jeżeli nie służą w armii, pytanie pozostaje to samo.

Po tym, co zaszło w Wirginii Zachodniej, możliwe, że wojsko przykleiło mu ogon. Puller postanowił sprawdzić, czy ta teoria się obroni. Ponownie zadzwonił do Kristen Craig.

Widocznie rozpoznała numer jego komórki, ponieważ zamiast powiedzieć „halo”, od razu spytała:

– Już się za mną stęskniłeś?

– Jak zawsze.

– Ale tak na serio: czy ty w ogóle sypiasz?

– I kto to mówi?

– No tak, ale słyszałam, co się wydarzyło w Wirginii Zachodniej. I nie chodzi mi o wersję oficjalną, bo taka nie istnieje. Tylko o pogłoski, to, co między wierszami. Myślę, że mógłbyś teraz dyktować warunki. Nawet wziąć urlop, gdybyś chciał.

– Ja jestem na urlopie. No, powiedzmy.

– iPad gotowy, mogę notować kolejne zadanie, szefie.

Puller zachichotał pod nosem. Kręciła go ta kobieta, naprawdę go kręciła. Gdyby nie była mężatką, może nawet by się z nią umówił.

- Potrzebuję sprawdzić numery rejestracyjne.
- Okej. To nie moja działka, ale znam parę osób.
- Znasz kogoś, kto zrobi to raczej prędzej niż później?
- Wiesz, jak to działa. Gdzieś na świecie personel departamentu obrony nie śpi, tylko czuwa i pracuje.
- W tym wypadku chodzi o dwie osoby.
- Dostaniesz informację zwrotną najszybciej, jak się da. Wtajemniczysz mnie, w co się zaangażowałeś?
- Dlaczego?
- Na wypadek gdyby ktoś cię sprzątnął, a ja musiałabym wyjaśnić swoje płatne nadgodziny. Czy to w ogóle dotyczy wojska?
- Pięć minut temu tak nie myślałem. Ale teraz już nie jestem taki pewien. Wszystko zaczęło się od listu ciotki, w którym pisała, że w Paradise na Florydzie dzieje się coś dziwnego. Wkrótce potem dowiedziałem się, że nie żyje, a okoliczności jej śmierci są podejrzane.
- Jezu, Puller, okropnie mi przykro.
- Tak, mnie też. Po przyjeździe do Paradise śmierdzi mi to wszystko jeszcze bardziej.
- A te numery rejestracyjne?
- Śledzi mnie dwóch facetów, najwyraźniej chcą się wtrącić w moje sprawy. Z opisu bardzo przypominają mi koleśki, którzy noszą albo nosili mundur.
- To mi się nie podoba. – Ton jej głosu uległ gwałtownej zmianie. Zniknęła gdzieś figlarność, a jej miejsce zajął autentyczny niepokój.
- Mnie też nie.
- Masz jakieś wsparcie?
- Już mówiłem. Jestem na wakacjach.

– W takim razie musisz przerwać wakacje i wrócić do pracy. Poważnie, Puller, niech ktoś cię ubezpiecza.

– Dobra rada. Zacznę się za kimś rozglądać. A tymczasem dowiedz się, czego możesz. Jutro odbiorę torbę zgodnie z planem.

– Obyś tylko dotrwał.

– Postaram się.

Zakończył rozmowę, nastawił swój wewnętrzny budzik na dwie godziny później i zamknął oczy. Rękę zacisnął na kolbie M11. Wiedział, że potrzebuje trzech sekund na obudzenie się, namierzenie agresora i oddanie strzału w jego kierunku. Gdyby nie wyrobił się w te trzy sekundy, to po nim. Takie są reguły gry.

Po dwóch godzinach obudził się na tylnym siedzeniu chevroleta tahoe wypoczęty i gotowy do działania. Była pierwsza w nocy. Uważał, że to odpowiedni czas na akcję. Zarówno wojsko, jak i policja lubią uderzać nocą. Cele są zmęczone, w łóżkach i – co bardzo dogodnie – często z bronią poza zasięgiem ręki.

Ale nawet głupi przestępcy ogarniają sens atakowania pod osłoną nocy.

Dziesięć minut później teoria Pullera stała się faktem.

Biały, czarny, Latynos oraz ich trzech kumple maszerowali ulicą zdecydowanym krokiem. Chyba oszacowali, że optymalny układ sił wynosi sześciu na jednego. Ich obliczenia wydawały się Pullerowi dość mętne, no ale może miał wyższe standardy. Właściwie nie było tu miejsca na wątpliwości: miał wyższe standardy.

Cała szóstka kroczyła z zaciętymi minami. Biały wyglądał chyba najbardziej ponuro, głównie dlatego, że miał zadrutowaną szczękę.

Musiałem przyłożyć mu mocniej, niż sądziłem.

Minęli chryslera, nawet nie rzucając na niego okiem. Na polu bitwy takie zaniedbanie przyniosłoby im natychmiastową śmierć. Ponieważ to Floryda, a nie Afganistan, Puller powstrzymał się

przed wpakowaniem im wszystkim w potylice serii z M11.

Widział, jak pod ich koszulami wybrzuszają się kolby broni – i z przodu, i z tyłu. Dwóch niosło kije bejsbolowe, trzeci ściskał w rękę metalowy pręt. Uzbrojeni po zęby. Przygotowani na wojnę. Gotowi do zabijania.

Oczywiście żaden z nich pewnie nie miał pojęcia, na czym polega prawdziwa walka.

Puller to wiedział.

A ci, którzy jej doświadczyli, za żadne skarby świata nie życzyliby sobie powtórki. Nie są to bowiem okoliczności, w których zdrowy na umyśle człowiek chciałby się znaleźć. Natomiast Puller, bądź co bądź zdrowy na umyśle, zakosztował prawdziwej walki tak wiele razy, że nie sposób zliczyć, ponieważ zgłosił się do tej roboty. Zmieniła go gruntownie i nieodwracalnie. Uczyniła z niego maszynę do zabijania. Potrafił szlachtować ludzi w sposób dla większości niepojęty.

Kalkulował, czy lepiej przeczekać noc i nie dopuścić do konfrontacji, doszedł jednak do wniosku, że lepiej mieć to z głowy. W przeciwnym razie będzie nieustannie oglądał się za siebie.

Zadzwoił w pewne miejsce, przekazał garść informacji osobie na drugim końcu linii i się rozłączył. Odczekał dziesięć minut, po czym wysiadł z samochodu.

Czas działać.

30

Ten odcinek plaży, położony nieco na uboczu, zazwyczaj bywał odludny. Dlatego znalazł się tu tej nocy. Przyjechał małym skuterem. Przy swoim wybujałym wzroście wyglądał dość zabawnie za kierownicą tego niewielkiego pojazdu, ale zupełnie go to nie obchodziło. Zawsze to lepsze niż drałowanie pieszo, a przy okazji szansa na zasłonięcie twarzy kaskiem.

Stał za palmą w pobliżu wydmy i obserwował piaszczysty brzeg przy pomocy noktowizora, który znalazł w swoim pakiecie powitalnym, otrzymanym tuż po przybyciu do Paradise. Czarny, nieskończony ocean niemal zlewał się z nocnym niebem, rozmazując widnokraż. Dodatkowo mgła ograniczała widoczność.

Morze przykuwało jego uwagę z konkretnego powodu. To, na co wyczekiwał tej nocy, zdecydowanie przybędzie drogą morską.

Spojrzał na zegarek. Podano mu parametry czasowe, ale nie dysponował niczym więcej. Cierpliwość miał niemal bezgraniczną. Długie lata życia upłynęły mu na czekaniu na mało istotne wydarzenia. Takich lekcji się nie zapomina. Pozostawiają blizny w mózgu i na duszy.

Wciągnął powietrze i wykrzywił twarz. Cuchnęło obrzydliwie, jak chyba zawsze w tym miejscu. Popatrzył przez noktowizor na piasek.

Emerald Coast nie zasługiwało tu na swoją nazwę. Piasek specyły sterczące wszędzie czarne skały, przypominające zwęglone kości, z których zdjęto cienką skórę.

Za dnia nie napotka się tu plażowiczów.

Nocą też nikt nie wytrzyma tu dłużej niż krótką chwilę, chyba że założy maskę gazową.

Czterdzieści minut później cierpliwość została nagrodzona. Mrugnięcie białego światełka, nic więcej. Nie dostrzegł czerwonego ani zielonego. Łódź miała wygaszone światła pozycyjne, co było całkowicie niezgodne z przepisami i wysoce niebezpieczne w warunkach nocnych na morzu.

Ale rozumiał tę niechęć do obwieszczenia obecności. Wiedział, że to nie ta sama łódź, która przywiozła go na opuszczoną platformę wiertniczą. Wtedy słyszał strzały. Widział ludzi naszpikowanych kulami, ciała spadające w morską toń.

To była inna łódź, prawdopodobnie znacznie większa niż tamta. Jedna z długiego ciągu jej podobnych, przewożących cenny towar z jednego miejsca na drugie. Ten brzeg, ta plaża stanowiły tylko kolejny przystanek w tym logistycznym ciągu. Dalsza podróż odbędzie się drogą lądową – pojazdem, którego nie skonstruowano z myślą o komforcie pasażerów. Na żadnym etapie nie liczone się z tymi ludźmi. A jednak podróż okaże się tylko niewinnym wstępem do tego, co czeka ich po dotarciu do celu.

Łódź nie dobieje do samego brzegu, tego był pewien. Przeładują towar na mniejszą, bardziej uniwersalną jednostkę, która może podpłynąć bliżej.

Kucając i chowając się w rosnących obok wydmy zaroślach, zlustrował drogę przebiegającą za plecami. Usłyszał zgrzyt hamulców, a potem otwieranie i zatraskiwanie drzwi. Odsunięto tylne.

Kucnął jeszcze niżej, przesunął się w lewo, a następnie położył płasko na piasku, obserwując ciężarówkę i dwa SUV-y zaparkowane na małym wyasfaltowanym placyku przy drodze. Obok ciężarówki stali trzech mężczyźni, tylne drzwi były otwarte.

Dwóch innych zamaszystym krokiem szło ścieżką w kierunku plaży. Przypuszczał, że mają broń i są gotowi jej użyć. Śledził ich ruchy do samego brzegu oceanu.

Jeden z mężczyzn dał sygnał latarką. Od strony wody nadeszła odpowiedź. Minęło kilka minut, po czym dał się słyszeć warkot silnika małej łodzi zbliżającej się do brzegu. Po chwili z ciemności wyłoniła się jej sylwetka. Był to ponton hybrydowy z usztywnionym kadłubem, często używany podczas misji przez wojskowe siły specjalne. Pomalowany na czarno i prawie niewidoczny nawet z bliska.

Podpłynął na odległość metra. Sternik wyłączył silnik i ponton łagodnie sunął ku brzegowi, póki dziób nie osiadł na piasku.

Mężczyźni podbiegli do pontonu i zaczęli wyciągać ludzi jednego po drugim, powiązanych, z ustami zaklejonymi taśmą – aż cała dwudziestka zebrała się na piasku. Nawet z daleka widać było, że znajdowało się wśród nich wiele dzieci.

Część miała na sobie niebieskie koszule, niektórzy czerwone, a jeszcze inni zielone. Nieprzypadkowo. Kolory wskazywały przeznaczenie oraz ostateczny cel podróży więźniów. Przeważały zielone. Wtajemniczono go w ten kod kolorystyczny, dlatego nie był zaskoczony. Wybór zielonej barwy także nie pozostawał zbiegiem okoliczności.

Niebieski i czerwony gwarantowały duży przepływ gotówki, ale prawdziwe pieniądze tkwiły w zielonym.

Dwaj mężczyźni prowadzili drewnianym chodnikiem sznur pojmanych, a potem sprawnie władowali ich do ciężarówki.

Sternik wrzucił wsteczny bieg, oddalił się od brzegu, zakręcił i wypłynął w morze. W tym samym momencie pojawił się drugi ponton, zgasił silnik, podryfował do plaży, po czym odbyło się kolejne przekazanie pojmanych. Sytuacja powtórzyła się jeszcze

dwa razy. Gdy dwa kolejne pontony wyruszyły w drogę powrotną i do ciężarówka zagoniono ostatnią grupę ludzi, zamknięto tylne drzwi na zamek, mężczyźni wskoczyli do szoferki i ciężarówka odjechała, a w ślad za nią oba SUV-y.

Siedział samotnie na plaży, obserwując kierujące się na zachód pojazdy. Następnie spojrzął na morze. Ledwo słyszał rżenie ostatniego pontonu. Po chwili i ono ucichło.

Dokonywał w głowie obliczeń. Cztery łodzie łącznie z osiemdziesięcioma osobami. Cały transfer trwał niespełna dziesięć minut. Dziesięć minut na przetransportowanie osiemdziesięciu istot ludzkich z punktu A do punktu B. Czterdziestu zielonych, reszta podzielona na niebieskich i czerwonych, mniej więcej po połowie.

Zobaczył, jak nielegalny towar potencjalnie wart miliony dolarów przemaszerował przez plażę.

Nie miał pojęcia, dokąd wiezie ich ciężarówka. Wiedział natomiast, że pontony płyną w stronę dużego statku czającego się na oceanie niczym wielki biały rekin, zostaną nań załadowane, a statek wróci do bazy. Kolejnej nocy cały proceder rozpocznie się od nowa. Bądź co bądź, jest to biznes. Duży. I jak w wypadku większości biznesów główną motywacją jest zysk. A żeby interes przynosił zysk, trzeba sprzedać towar jak najszybciej i jak najlepiej, dostać dobrą cenę, uszczęśliwić klientów, a tym samym ich utrzymać.

Więźniów wykorzystywano w niecznych celach, lecz większości świata nie obchodziło to na tyle, by podjąć jakiegokolwiek działania.

Lecz on nie był „większością świata”. Był pojedynczym człowiekiem. Którego to obchodziło.

Tej nocy handlarze żywym towarem odbyli swój zwykły, planowy kurs. On zaś odbył próbny rozruch i liznął trochę tej

operacyjnej wiedzy. Wkrótce nadejdzie pora, gdy zostanie ona odpowiednio spożytkowana. Żałował, że nie mogło do tego dojść już dziś. Choć najprawdopodobniej skończyłoby się zabicie wszystkich strażników, uwolnieniem pojmanyh i zaprzepaszczaniem tym samym wszelkich szans na osiągnięcie ważniejszego celu. Albo to on by zginął i został rzucony rybom na pożarcie.

Przeszedł plażą półtora kilometra, wsiadł na skuter i ruszył z powrotem do hotelu Sierra. Odrobinę się prześpi, choć wątpił, by sen przyniósł ukojenie. Obraz więźniów pozostanie w jego pamięci na długo, nie tylko przez tę jedną noc. Ci ludzie zasługują na to, by ktoś przejął się ich losem. On się przejmował. Ale chciał zrobić coś więcej.

Chciał położyć temu kres.

Chciał powstrzymać cały ten proceder.

Ale przede wszystkim chciał odnaleźć pewną osobę.

31

Puller nie wszedł do Sierry ani drzwiami frontowymi, ani tylnymi. Wbiegł na samą górę schodami przeciwpożarowymi, a potem zszedł z dachu wyjściem używanym głównie przez konserwatorów systemu wentylacji, klimatyzacji i ogrzewania umieszczonego na szczycie budynku. Teren rozpoznał już wcześniej. Lubił mieć kilka możliwości wejścia i wyjścia w każdym miejscu, w którym przebywał. Pokonawszy trzy kondygnacje schodów, wszedł na drugie piętro. Korytarz był ciemny i pusty. Jedyne źródło światła – lampa sufitowa – mrugało i pulsowało niczym rozedrgana błyskawica. Jego pokój znajdował się po lewej stronie za rogiem prawie na samym końcu. Puller skradał się po ciemku, ale miał jedną wyraźną przewagę – gogle noktowizyjne, które kupił w centrum Paradise w sklepie oferującym sprzęt nieodbiegający poziomem od tego używanego przez policję. Dotychczas korzystał z lepszych, ale i te okazały się przydatne. Nasunął je na oczy i mrok zamienił się w jasność, a rozmyte detale nabrały wysokiej rozdzielczości.

Doszedł do wniosku, że powinni właśnie zbliżyć się do celu ataku. Sześciu na jednego – przytłaczająca siła, przynajmniej tak im się wydawało. Puller został pierwszorzędnie wyszkolony do walki wręcz.

Ale nie był Supermanem.

To nie film, w którym mógłby ich pokonać jak w *Matriksie*. Walka byłaby straszliwa, niepozbawiona uchybień, ale z pewnością nieźle by oberwali.

Waga Pullera przekraczała sto kilogramów. Mężczyźni,

z którymi przyjdzie mu się wkrótce zmierzyć, ważą razem około czterystu pięćdziesięciu. Mają tuzin pięści i tuzin nóg.

Sześciu na jednego w walce wręcz... Bez względu na to, jak dobry by się okazał i jak nieudolni okazaliby się tamci, taka konfrontacja najprawdopodobniej skończyłaby się porażką. Puller mógłby uporać się dość szybko z trzema, czterema. Ale pozostali dwaj lub trzej pewnie będą mieli fart i rzuca go na deski. I to będzie koniec. Posypią się na niego ciosy kijami oraz prętami, a na koniec jeden strzał zwieńczy dzieło.

Superwyszkolony wojownik podejmuje walkę tylko w sprzyjających mu warunkach, oczywiście jeśli ma wybór – a czasem ma.

Pullerowi nie zostało zbyt wiele czasu – tamci szybko ustalą, że nie ma go w pokoju. Wtedy zrobią jedną z dwóch rzeczy: odpuuszczą i wrócą później albo zastawią na niego pułapkę i zaczekają. Pułapka będzie wymagała obstawienia wejść. Na to właśnie liczył, oznaczało to bowiem, że agresorzy będą musieli podzielić siły.

Wtedy z sześciu zrobi się czterech albo trzech, dwóch czy nawet jeden.

To dałoby Pullerowi szansę zwycięstwa. I coś mu podpowiadało, że taki właśnie będzie przebieg wypadków.

Dobrze przemyślana obstawa to podstawa sukcesu. Już po chwili Puller przekonał się, że ta nie jest dobrze obmyślona. A zatem będzie można przedrzeć się dość łatwo.

Dwóch stało pośrodku korytarza, w żaden sposób nie kryjąc swojej obecności. Jeden trzymał kij bejsbolowy, drugi broń palną. Rozmawiali przyciszonymi głosami, wyglądali na pewnych siebie i zadowolonych. Ten z kijem wywijał nim jak batutą. Ten z bronią trzymał ją niedbale, skierowaną w dół. Cztery palce obejmowały

kolbę, palec wskazujący nie znajdował się nawet w pobliżu spustu.

Innymi słowy, ich uzbrojenie było bezużyteczne.

Mężczyźni zareagowali dopiero wtedy, gdy jednemu z nich odebrano kij. Cios w żołądek zadany czubkiem pałki powalił go na podłogę. Drugi z bandziorów podniósł broń, ale nie oddał strzału, ponieważ już zdążył ją utracić.

Chwyciwszy pistolet za koniec lufy, Puller wziął zamach i wbił kolbę w skroń mężczyzny. Ten osunął się na podłogę, dołączając do swojego kumpla leżącego na postrzępionym chodniku, upstrzonym plamami wymiocin. Stuknięcie kijem w głowę wijącego się z bólu pierwszego z napastników wystarczyło, by przestał się wić.

Atak trwał w sumie pięć sekund. Puller niemal jednocześnie wyszarpnął pierwszemu kij i wyrwał pistolet drugiemu. Słyszeć było jedynie głuchy odgłos ciał zwalających się na podłogę.

Puller przykucnął z kijem w jednej ręce, drugą obejmując M11. Wyrzucił pistolet napastnika, wyjąwszy z niego magazynek i opróżniwszy komorę. Nie lubił strzelać z cudzej broni. Kiepsko utrzymany pistolet może być bardziej niebezpieczny dla strzelającego niż dla potencjalnej ofiary.

Odliczył w głowie kilka sekund. Dwaj unieszkodliwieni, czterech przed nim. Jego pokój znajdował się za rogiem. Te dwa półgłówki stały na pierwszej linii. Puller spodziewał się jednego na drugiej bramce oraz trzech w punkcie zero, gdzie mieli rozprawić się z nim ostatecznie.

Podkradł się na czworakach do narożnika, wystawił głowę i natychmiast ją cofnął. Panowała tu niemal nieprzenikniona ciemność, ponieważ ktoś wykręcił żarówki.

Nieźła taktyka, pomyślał. Ale mając gogle noktowizyjne, wołał mrok.

W połowie korytarza, gdzie ciemność była jeszcze bardziej

nieprzenikniona, kucał na posterunku trzeci. Zaczaił się w wąskiej wnęce. Jego bronią były kij, metalowy pręt albo pistolet. Puller rozważał kilka opcji. Mógłby natrzeć jak taran i zaatakować, zanim tamten zdąży zareagować. Albo zakraść się podstępnie, załatwić go po cichutku i ruszyć dalej.

Wybrał drugie rozwiązanie.

Pełzając na brzuchu, tak jak na bagnach Florydy i irackich piaskach, Puller posuwał się naprzód. Wiedział, że mężczyzna będzie patrzył w punkt znajdujący się na wysokości swojego wzroku, a później popatrzy wyżej. To naturalne zachowanie. Tylko wyszkolony personel prześledziłby wyimaginowaną pionową linię od podłogi do sufitu, doskonale zdając sobie sprawę, że doświadczony napastnik może uderzyć praktycznie z każdej pozycji. A ta najbardziej oczywista nigdy nie cieszyła się największą popularnością.

Zbliżył się do mężczyzny na niespełna pół metra. Puller patrzył w górę, tamten nadal wodził wzrokiem po zakrzywionym łuku. Gdy się odwrócił, kij Pullera poszedł w ruch i mężczyzna upadł. Z głowy płynęła mu krew. Rany tej okolicy ciała zawsze krwawią jak wszyscy diabli. A bólu, z którym się ocknie, tamten nie zapomni do końca życia.

Żadnego z tej trójki Puller nie uderzył na tyle mocno, by zabić. Wiedział, jakiej potrzeba siły do roztrzaskania czaszki. Nie miał nic przeciwko użyciu jej wobec mężczyzn, którzy gwałcą kobiety na oczach ich małych braciszków. Ale ci tutaj byli tylko zgrają mścicieli. W gruncie rzeczy mogli być równie źli albo i gorsi od tamtych, których Puller znokautował przy wcześniejszej konfrontacji. Z tymi obejdzie się jednak łagodniej. Będą mogli rozpowiadać, że zostawienie go w spokoju okazało się mądrą decyzją.

Trzeci mężczyzna był uzbrojony w metalowy pręt. Puller zabrał ze sobą tę prymitywną broń i poszedł dalej.

Trzech z głowy, trzech do kasacji. Szanse zdecydowanie wzrosły. Praktycznie powrócił do sytuacji wyjściowej: do tamtych trzech, z którymi rozprawił się na klatce schodowej. Trójka, którą przed chwilą wyeliminował z walki, to ekipa skrzyknięta do zemsty, z czego wynikało, że pozostałych trzech to banda gwałcicieli. Zapewne tych samych, którzy pobili Isabel i Matea.

Puller postanowił użyć tym razem większej siły.

Ruszył szybkim krokiem. Drzwi do jego pokoju były lekko uchylone. Z dezaprobatą pokręcił głową na taktykę zastosowaną przez przeciwnika. Częściowo otwarte drzwi to jak wymachiwanie czerwoną flagą ostrzegawczą i okrzyk: „Czekamy tu na ciebie!”.

W takich okolicznościach nie wchodzi się do środka. Trzeba przejść do sąsiedniego pokoju i spróbować ich zaskoczyć zza drzwi łączących oba pokoje. Oczywiście można też dać się zaskoczyć i skończyć z kulą w głowie.

Wyobraził ich sobie zgrupowanych wokół drzwi pomiędzy pokojami, wątpił jednak, by czuwali w pełnej koncentracji. Przedarcie się przez ich linię ataku aż tak daleko wymagałoby ze strony Pullera niemal bezgłośnego pozbycia się pierwszych czujek. To nie mieściło się im w głowie. Tej nocy wybrali dla siebie rolę tylnej straży, ponieważ mieli nadzieję, że Pullerowi żadną miarą nie uda się dotrzeć aż tutaj. Nie mieli ochoty na kolejne spotkanie. Kto przy zdrowych zmysłach by tego chciał, zebrawszy wcześniej taki łomot?

Spodziewał się, że będą grać w karty albo dla kurażu wlewać w siebie piwo, palić papierosy czy gapić się przez okno. Spodziewał się wszystkiego, tylko nie profesjonalnego zachowania.

Kopnął drzwi swojego pokoju z taką siłą, że wyskoczyły

z zawiasów. Tuż przed nim wyrosły dwie postaci. Tak jak przypuszczał, zebrali się przy drzwiach wewnętrznych. Metalowy pręt załatwił obu za jednym zamachem. Biały upadł na łóżko. Tym razem cios mógł być śmiertelny. Czarny z impetem poleciał na okno, roztrzaskał szybę i zawisł połową ciała na zewnątrz.

Został tylko Latynos.

Stał w drugim kącie pokoju z taką miną, jakby miał za chwilę narobić w gacie. Trzymał w ręku broń. Od Pullera dzieliło go mniej niż dwa metry. W ciemności, przy gwałtownym skoku adrenaliny, który obniża zdolności motoryczne do zera, równie dobrze mogłoby to być dziesięć kilometrów.

Wystrzelił i chybił celu o całe półtora metra.

Nie miał okazji oddać kolejnego strzału.

Pierwszy cios wytrącił mu broń z ręki.

Drugi cios powalił go na ziemię.

Trzeci cios nie pozostawił wątpliwości, że walka się skończyła.

Puller wstał, oddech powoli zaczynał mu się uspokajać. I wtedy to wyczuł.

Żar ciała.

Pot.

Oczy.

Przy wewnętrznych drzwiach.

Spojrzał.

Dwóch drobnych mężczyzn. Latynosi. Uzbrojeni. Obaj celujący w jego głowę z kompaktowych dziewiątek. Z tej odległości dwa pistolety nie mogą chybić.

Tylna straż, której nie uwzględnił.

Przyszło ośmiu.

Nie sześciu.

Spieprzył sprawę w niewybaczalny sposób.

Kara za to była jasna jak słońce.

Już nie żył.

32

Po raz pierwszy w życiu Puller zobaczył ludzi samorzutnie latających w powietrzu.

Tak to przynajmniej wyglądało.

Ich stopy oderwały się od podłogi, tak jakby były podłączone do kabla elektrycznego, a ktoś właśnie włączyłby prąd i wywindował ich pod sufit.

W następnej sekundzie zderzyły się ze sobą ich głowy. Towarzyszący temu odgłos przypominał uderzenie melona o melon. Puller widział, jak skutki tej brutalnej kolizji powoli obejmują oczy i usta. Oczy się zmrużyły i zapadły w głąb czaszki, a na koniec zamknęły. Usta rozdziawiły się szeroko w okrzyku bólu, a następnie zamknęły, podobnie jak oczy. Jednak w przeciwieństwie do oczu po chwili ponownie się rozwarły, zuchwy zaś bezwładnie obwisły. Ciało pod własnym ciężarem runęło na podłogę. Broń wypadła z rąk. Oberwali potężnie. Zęby głęboko wbiły się w języki, z otwartych ust płynęła krew.

Za dwoma leżącymi na podłodze kurdupłami stał olbrzym – mężczyzna, którego Puller widział już dwukrotnie. Wszystko wskazywało na to, że tylna straż uczyniła rzecz niewybaczalną. Bez zezwolenia zaanektowała pokój olbrzymia na swój posterunek. Pullerowi nie przychodził do głowy żaden inny powód, dla którego ten rosły mężczyzna zrobił to, co zrobił.

Puller się wyprostował i popatrzył na olbrzymia. M11 drgnął mu w dłoni. Olbrzym był nieuzbrojony, ale mimo to, stojąc tam i odwzajemniając spojrzenie, wyglądał nieprzyjemnie groźnie i nie miał w sobie cienia strachu.

– Dzięki – rzekł Puller.

Olbrzym milczał. Rzucił okiem na broń osobistą Pullera, jak gdyby oceniając, czy stanowi ona zagrożenie, z którym trzeba od razu się rozprawić. Następnie postawił na torsie jednego z Latynosów stopę w ogromnym bucie i pchnął ciało mężczyzny, które wsunęło się do pokoju Pullera. Chwilę później uczynił to samo z drugim Latynosem.

Olbrzym spojrział na Pullera.

Puller spojrział na olbrzyma.

– Postaram się zachowywać spokojniej – oznajmił Puller.

Wydawało mu się, że zdążył dostrzec nikły uśmiech na twarzy olbrzyma, nim ten zamknął drzwi do swojego pokoju. Chwilę później Puller usłyszał skrzypienie uginających się sprężyn łóżka. Olbrzym najwyraźniej zamierzał spać dalej po tym drobnym przerywniku.

Puller wsadził broń do kabury, ale w jednej sekundzie wyjął ją ponownie, namierzył cel i był gotów do oddania strzału.

– To ja! To ja!

Cheryl Landry podniosła pistolet w geście poddania.

Puller powoli opuścił M11 i zsunął gogle.

– Przepraszam.

Powiodła wzrokiem po bezładnie rozwalonych na podłodze ciałach.

– Cholera, Puller. Coś ty narobił? W korytarzu leży jeszcze trzech.

– Stawiałem im czoła po kolei. – Schował broń.

– Sprytnie, że do mnie zadzwoniłeś. Przepraszam, że nie zdążyłam na czas.

– Mogłem poczekać, ale to było zadanie dla mnie. Twoja

obecność niczego by nie zmieniła.

– Dlaczego nie zaczekałeś?! – naskoczyła na niego po tym wyznaniu.

– Bo to moje osobiste porachunki. Nie ma potrzeby się w nie mieszać.

– Czy mam przez to rozumieć, że twoim zdaniem nie dałabym sobie rady?

– Jesteś gliną, Landry. Gdybyśmy razem walczyli z tymi błaznami, utknęłabyś w papierach do końca życia, żeby wyjaśnić co, jak i dlaczego. A później twoja kariera i tak byłaby pozamiatana. Nie miałbym za to oporów, żeby poprosić cię o wsparcie w tym tutaj. A uwierz mi, niełatwo mi to przyznać.

To stwierdzenie jakby ją udobruchało, a zarazem zniechęciło. Wsadziła pistolet do kabury. Nie miała na sobie munduru, lecz dżinsy, tenisówki z czarną podeszwą oraz szarą bluzę z kapturem, spod której wystawał skrawek czarnego podkoszulka.

Obserwował, jak Landry oblicza coś w myślach.

Pięciu tutaj, trzech w korytarzu, tłumaczył sobie.

Podniosła na niego wzrok z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Sam położyłeś ośmiu chłopca? – Jej spojrzenie padło na pistolety, kije bejsbolowe i metalowy pręt. – W dodatku uzbrojonych?

Puller ukradkiem zerknął na drzwi sąsiedniego pokoju, zza których dobiegało chrapanie. Olbrzym zasnął błyskawicznie. Ale coś Pullerowi mówiło, że zdołałby się ocknąć i zabić napastnika w zaledwie dwie sekundy. Uznał, że wciągnięcie go w rozmowę z Landry byłoby zbyt skomplikowane.

– Ośmiu głupich chłopca – sprecyzował. – Broń zdaje się na nic, jeśli człowiek nie da sobie szansy jej użyć.

– Mówisz, że to ta sama trójka, która wcześniej napastowała dziewczynę?

Puller przytaknął i wskazał na białego, czarnego i Latynosa.

– Ci trzech idioci. Dziewczyna ze strachu nie będzie wnosić oskarżenia. Za to ja uczynię to z przyjemnością. Nie przyszli tu, żeby się ze mną przywitać. To podpada co najmniej pod usiłowanie zabójstwa. – Umilkł. – Poza tym wątpię, by mieli zezwolenie na broń palną. Znasz któregoś z nich?

Landry wyjęła z kieszeni bluzy małą, ale mocną latarkę i oświetliła każdego z leżących na podłodze oprychów.

Kiwnęła głową.

– Tych dwóch znam – odparła, wskazując czarnoskórego i białego. – Wedle mojej wiedzy nie należą do żadnych gangów. Ale figurują w naszych kartotekach.

– Podobno są zbyt tępi i niegodni zaufania, żeby mogli przydać się na coś w gangu.

– Skąd te informacje?

– Z poufnego źródła.

– Jesteś tu zaledwie od dwunastu godzin i już zdołałeś dotrzeć do poufnego źródła?

– Nad tym się pracuje.

– Wezwę transport.

– Okej.

– Trzeba będzie zająć się całą papierologią.

– Domyślam się.

– Można zaczekać z tym do rana.

– Byłbym wdzięczny.

– Masz gdzie przenocować?

Puller się zastanowił. Mógł skorzystać z domu ciotki. Na razie traktował go jednak jak nieprzebadane przez zespół kryminalistyczny miejsce zbrodni. Wprowadzenie się tam choćby na jedną noc mogłoby zatrzeć istotne ślady. Nie odważy się, mimo że byłoby to dużo bardziej komfortowe rozwiązanie.

– W samochodzie.

– W corvette?

– Nie. W innych czterech kółkach. Doszedłem do wniosku, że corvetta za bardzo rzuca się w oczy.

– Zgodzę się.

– Mogę więc spać w samochodzie.

– Na ulicy?

– A co? Nie pilnujecie na nich bezpieczeństwa?

– Puller, właśnie spuściłeś niezły łomot ośmiu kolesiom, którzy mieszkają w Paradise. Jestem pewna, że cała ósemka ma kumpli i rodziny, i wszyscy pewnie marzą o zemście. Będą cię szukać w całym mieście.

– To pożyczę koc i prześpię się na plaży.

– Chyba się nie rozumiemy. Oni mogą cię zabić.

– A masz jakieś sugestie? Bo mnie skończyły się pomysły.

Landry jakby się zawahała, a po chwili zaczęła sprawiać wrażenie skrępowanej. Zmiana wyrazu jej twarzy wzbudziła w Pullerze ciekawość. Zastanawiał się, co ona zamierza powiedzieć.

– Słuchaj, możesz przenocować u mnie. Tylko ten jeden raz – dodała pośpiesznie.

– W Paradise.

– Po sąsiedzku, w Destin.

– Nie chcesz mieszkać w Paradise?

– W Destin są ładniejsze widoki. Poza tym to zaledwie piętnaście minut drogi stąd. Istotne piętnaście minut. Istotne dla ciebie. Wątpię, by tam cię szukali.

– Nie musisz tego robić.

– Wiem. I nie robiłabym, gdybym nie chciała.

– Zupełnie mnie nie znasz.

– Wspomniałam, że mam brata w wojsku. Sprawdził cię na moją prośbę. Powiedział, że nie ma w służbie żołnierza o lepszej reputacji. Jedyne zarzut pod twoim adresem jest taki, że nie poszedłeś do West Point. Brat mówił też, że twój ojciec jest jak Patton i Schwarzkopf w jednym ciele.

– Z tym bym się zgodził. Choć bliżej mu chyba do Pattona, przynajmniej pod względem podejścia do ludzi.

– Więc zatrzymasz się u mnie?

– No dobrze. Tylko na jedną noc.

– Tylko na jedną noc – powtórzyła, po czym wyjęła telefon i wezwała policję oraz transport sanitarny dla ośmiu mężczyzn, którym porządnie porachowano kości.

Rozłączyła się, schowała telefon i rzekła do Pullera:

– Bullock chciałby się z tobą zobaczyć w tej sprawie.

– Nie wątpię. Prawdę mówiąc, już się z nim dzisiaj widziałem.

– Zmył ci głowę?

– Myślę, że osiągnęliśmy porozumienie.

– W porządku. Ale nie liczyłabym na to, że będzie nadal obowiązywać po dzisiejszej jatce.

– Racja.

– Ustanowiłeś w Paradise rekord pod względem siania zamętu.

– Widzę.

- Na długo tu zostaniesz?
- Chciałbym odpowiedzieć, ale nie potrafię.
- Z powodu ciotki?
- Z powodu ciotki.
- Ty nigdy nie odpuszczasz, co?
- Bo nie widzę sensu – odparł Puller.

Puller jechał za Landry. Kierowała granatową toyotą fj cruiser z białym dachem i napędem na cztery koła. Samochód wyglądał na solidny i wytrzymały, nadający się i na asfalt, i na piaszczyste podłoże. Zresztą prawdopodobnie dlatego go kupiła. Puller zaszufłdkował ją jako osobę wyjątkowo zasadniczą i rozsądną. Potwierdzał to również fakt, że w drodze do Destin ściśle przestrzegała dozwolonej prędkości.

Puller zadzwonił do brata w USDB. Zgodnie z wymaganą procedurą umówił się na rozmowę z wyprzedzeniem i choć pora była późna, czekał na połączenie zaledwie kilka sekund.

Robert Puller natychmiast odebrał telefon.

– Przepraszam, że tak późno – odezwał się John. – Coś mi wypadło.

– Nie szkodzi. Miałem zamiar wyskoczyć gdzieś w miasto, ale postanowiłem zostać i zaczekać na twój telefon.

– Miło słyszeć, że zachowałeś poczucie humoru.

– To najważniejsze, co mam. Może nawet jedyne.

– Rozumiem.

– Kiedy mówisz, że coś ci wypadło, zwykle oznacza to, że ktoś leży w rowie w kałuży krwi.

– Nie leżą w rowie – sprostował Puller. – Są w areszcie.

– Opowiadaj.

Puller zrelacjonował niemal wszystko, co zaszło w Paradise w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Opisując wydarzenia, zdumiał się, że zmieścił tak wiele w tak krótkim czasie.

- Nie próżnowałeś – skwitował Robert.
 - Nie z wyboru.
 - Więc z domu Betsy zniknął pamiętnik?
 - Tak to wygląda.
 - Szesnastokilometrowe przejażdżki nocą?
 - To tylko domysły. Będę musiał potwierdzić.
 - I śledzi cię dwóch gości?
 - Mam wtyki w USACIL. Sprawdzają ich. Wkrótce powinienem się czegoś dowiedzieć.
 - Współczuję, że musiałeś oglądać ciotkę Betsy w takim stanie.
 - Ile to letnich wakacji spędziliśmy z nią i z wujem Lloydem? Pamiętasz?
 - Mniej więcej co drugie. Niezapomniana postać. Trochę jak nasz Stary, tyle że obdarzona sercem i zdolnością empatii.
- Puller pokiwał głową.
- Przeżyliśmy tam nasze najlepsze chwile – zauważył.
 - Czasem myślę, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, bardziej dzięki niej niż naszemu ojcu – powiedział Robert.
 - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – odparł John. – Ale im jestem starszy, tym bardziej się do niego upodabnam.
 - Przestań. Zwariujesz, jak będziesz tak myślał.
 - Może już zwariowałem.
 - Nie znam drugiego człowieka, który byłby tak zdrowy na umyśle jak ty. A to o czymś świadczy.
 - Być może, Bobby. Ale niekoniecznie.
 - Więc jak sądzisz? Zamordowano ją?
 - Wziąwszy pod uwagę wszystkie czynniki: zaginiony pamiętnik, jeśli rzeczywiście zniknął, deptających mi po piętach

facetów, fakt, że moim zdaniem jej prawnik łąze jak pies, a wreszcie treść listu ciotki – tak, myślę, że ją zamordowano.

– Policja tak tego nie widzi?

– Na razie nie. To się może zmienić.

– No a ci, którzy wylądowali w areszcie, co to za jedni?

– Miejscowi. Mieliśmy małe spięcie. Bez związku ze sprawą, w której tu przyjechałem.

– Tego nigdy nie można być pewnym.

– Masz rację, nie można. To tylko moje przeczucie.

– Co dalej zamierzasz?

– Wyspać się. Wyczerpują mi się baterie.

– Coś jeszcze?

Puller się zawahał, a potem zdecydował się powiedzieć.

– Jest tu pewien człowiek. Większy ode mnie. Silniejszy. Prawdopodobnie mógłby zrobić ze mnie miazgę.

– To warte odnotowania. Co go z tobą łączy?

– Chyba nic. Może po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

– Mogłeś go po prostu zastrzelić.

– Prawdę mówiąc, pomógł mi dzisiaj w nocy. Nie sądzę, by zrobił to dlatego, że jest dobrym samarytaninem. Myślę, że po prostu się wkurzył, że ktoś zakłóca mu sen.

– Okej. Chyba rozumiem, choć nie do końca.

– Co u ciebie?

– Perspektywy się nie zmieniły.

Puller się uśmiechnął, lecz po chwili spoważniał.

– No tak...

– Więc jak już się wyśpisz, to co dalej?

– Przejadę się te szesnaście kilometrów, które być może pokonywała Betsy. Spróbuję rozpracować prawnika. Skontaktuję się z USACIL. Jutro odbieram z bazy Eglin moją torbę ze skarbami. I wtedy będę mógł zacząć działać jak śledczy z prawdziwego zdarzenia.

– Czyli masz plan. Ale uważaj na siebie, John. Jesteś tam sam jak palec i nie wiesz, komu można ufać. Jak dotąd wiele wskazuje na to, że masz powody, by nie ufać co najmniej kilku osobom.

– Dobra rada, Bobby.

– A jak dom?

– Co?

– Dom ciotki Betsy. Jak wygląda?

– Ładny. Niedaleko oceanu.

– Zamierzasz się tam przeprowadzić, skoro teraz jest twój?

– Wątpię.

– No wiesz? Mnóstwo ludzi wynosi się na Florydę.

– Szczerze mówiąc, Paradise robi się zbyt niebezpieczne jak na mój gust.

Puller się rozłączył i podążył dalej za Landry.

34

Mieszkanie Landry znajdowało się na dziewiątym piętrze dziewiętnastopiętrowego budynku położonego kilka kroków od plaży, która rozpościerała się przed nim zamiast pasa zieleni. Wjechał za policjantką do garażu i zaparkował obok jej samochodu. Wysiedli, ruszyli do rzędu wind. Puller przewiesił przez ramię niewielką torbę z ubraniami.

– Przyjemne miejsce – powiedział.

– Mnie się podoba. Dobra mieszanka lokatorów. I młodzi, i starzy.

– Plaża tuż obok. To chyba nie przypadek?

– Lubię sporty wodne.

– Co jeszcze robisz dla rozrywki?

Brzdęknęła winda i rozsunęły się jej drzwi.

– Strzelam do celu. Łapię przestępców.

Weszli do środka.

– Czy te rzeczy wzajemnie się wykluczają?

Drzwi się zamknęły.

– Mam nadzieję, że nie – odparła.

Wysiedli na dziewiątym piętrze. Wewnętrzny korytarz był wyłożony marmurową posadzką z przyprawiających o zawrót głowy kolorowych płytek. Landry zatrzymała się pod drzwiami apartamentu numer tysiąc siedemnaście i włożyła klucz do zamka.

Gdy weszli do mieszkania i Puller zamknął za sobą drzwi, powiedziała, wskazując na lewo:

– Mam gościnną sypialnię. Z łazienką. Kuchnia jest tam. Nie przepadam za gotowaniem, ale częstuj się tym, co jest – lodówka zaopatrzona. Patio tam, z niesamowitym widokiem na zatokę. Mam też pralnię, gdybyś potrzebował.

– Nie potrzebuję – odparł Puller.

Poszedł do pokoju, cisnął torbę na łóżko i wrócił się rozejrzeć. Meble wyglądały na stosunkowo nowe i w dobrym guście. Nie znał się na dekoracji wnętrz. Jego mieszkanie w Quantico było schludne, z niewielką liczbą sprzętów, lecz pod wszystkimi innymi względami do złudzenia przypominało pokój w akademiku.

Rozsunął drzwi prowadzące na patio i wyszedł na powietrze. Na tej wysokości wiatr wiał dość mocno, niosąc intensywny, słony zapach oceanu.

Stały tam leżak, mały grill na węgiel drzewny i okrągły stół zawalony książkami. Pod ścianą deska surfingowa oraz dłuższa deska wiosłowa z wiosłem. Na poręczy wisiało kilka par bikini przyczepionych klamerkami. Puller przyglądał się im przez chwilę, po czym przeniósł wzrok na ocean, gdy Landry wyszła na patio i dyskretnie zebrała kostiumy kąpielowe. Wniosła je do domu i dopiero wtedy dołączyła do swego gościa.

Ten oparł się o barierkę i oglądał deski.

– Więc na serio uprawiasz sporty wodne?

– Głupio byłoby mieszkać w takim miejscu i tego nie robić.

– Pochodzisz z Destin?

– Z Miami. Przeprowadziłam się tu pięć lat temu.

– Jak to się stało? Wydaje mi się, że rozrywkowe Miami jest wprost stworzone dla młodych ludzi.

– Pewnie tak. Dla części młodych. Mnie nie odpowiadało. Poza tym tam się wychowałam. Wszystko już widziałam, wszystkiego użyłam. Żadna atrakcja. W dodatku zrobił się tam tłok. Istne

szaleństwo. Bardziej pasuje mi Emerald Coast. Zwane też przez niektórych Riwierą Wieśniaków.

– A jak było ze wstąpieniem do policji?

– O tym marzyłam. Mój ojciec był detektywem w Miami. Od początku dorastałam w otoczeniu gliniarzy. Podobała mi się ta robota. Więc wstąpiłam do służby w Miami. Ojciec pewnie myślał, że mój brat też pójdzie w jego ślady, ale jego marzeniem było wojsko.

– Ojciec żałował, że zostawiłaś Miami dla Destin?

– Pewnie by żałował, gdyby żył. Pomógł mu jakiś szajbus nafaszerowany PCP.

– Współczuję. Ale detektywi zwykle nie kończą w ten sposób. Wchodzą do akcji po fakcie.

– Nie był wtedy na służbie. Siedział w barze jak zwykły obywatel, pił drinka, a temu naćpanemu anielskim pyłem nagle odbiło. Tato próbował go powstrzymać. Nie udało się.

– A mama?

Landry podniosła wzrok na Pullera.

– Myślę, że już dość o sobie powiedziałam.

– Nie chciałem być wścibski. Po prostu podtrzymuję rozmowę.

– Niepotrzebnie. Milczenie mi nie przeszkadza.

– Prawdę mówiąc, mnie też nie.

– Padam na nos, więc już się położę. Śniadanie we własnym zakresie. Wstaję wcześnie, idę na plażę, a potem do siłowni na dole. Możesz tam do mnie dołączyć. Po treningu jadę do pracy.

– No to dłużej nie przeszkadzam.

Zostawiła go samego. Chwilę później usłyszała, jak zamykają się drzwi jej sypialni.

Puller wpatrywał się w ocean. Miał wrażenie, że z tej wysokości

widać cały świat. On natomiast chciał jedynie ujrzeć prawdę stojącą za śmiercią ciotki.

Słyszał lejącą się wodę i pomyślał, że Landry bierze prysznic przed snem. Była skryta, nie odsłaniała kart. Interesująca osoba. Inna sprawa, że Puller spędził tu niewiele ponad dwanaście godzin, a zdążył spotkać całe zastępy „interesujących osób”.

Szum wody ustał, słychać było otwieranie się drzwi kabiny prysznicowej. Liczył w głowie sekundy, dając jej czas na wytarcie ciała ręcznikiem i położenie się do łóżka. Wkrótce usłyszał ciche skrzypienie sprężyn.

Zerknął na zegarek. Było naprawdę późno. A dla niego jeszcze później, ponieważ jego zegar biologiczny wciąż nie nadrobił utraconej godziny.

Wszedł do środka. Działała klimatyzacja, ale wydawało się, że w mieszkaniu jest goręcej niż na dworze.

Zamknął drzwi i po chwili w samych zielonych wojskowych bokserkach położył się do łóżka. Pościel chłodziła skórę. Włożył M11 pod poduszkę. Tego rytuału będzie pewnie przestrzegał do grobowej deski. Służba na Bliskim Wschodzie odciskała trwałe piętno.

Tam nigdy nie wiedziało się, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Raz tak, raz inaczej, zależnie od dnia. A w kolejnym dniu role mogły się odwrócić. Co jest szczególnie niepożądane, gdy w grę wchodzi sprawy życia i śmierci.

Powrócił myślami do olbrzyma. Tej nocy okazał się przyjacielem. A jak będzie następnej? Nie miał powodu sądzić, że ten człowiek jest w jakikolwiek sposób zamieszany w sprawę, w jakiej Puller tu przyjechał. Wiedział jednak, że to się może zmienić. W Wirginii Zachodniej wiele osób podawało się za kogoś, kim w rzeczywistości nie było. A powiązania, które wcześniej

wydawały się absurdalne, okazywały się aż nadto prawdziwe.

Wyciągnął szyję, rozprostował długie nogi, zamknął oczy i ułożył się do snu. Pomyślał, że jeśli coś mu się przyśni, nie będzie miało absolutnie nic wspólnego z pobytem w Paradise.

Podobnie jak Landry, wolał widok stąd.

35

Cheryl Landry obudziła się o szóstej.

Dziesięć minut później była ubrana w szorty kąpielowe i górę od bikini, na którą włożyła koszulkę z krótkim rękawem. W japonkach na nogach i z dużym plażowym ręcznikiem pod pachą otworzyła drzwi sypialni i zastała Pullera siedzącego w kuchni przy małym okrągłym stole, pijącego kawę przy porannej gazecie. Miał na sobie strój do ćwiczeń: czarne szorty, podkoszulek w kolorze wojskowej zieleni i sportowe buty.

Podniósł wzrok i zobaczył przyglądającą mu się Landry. Wziął do ręki kubek z kawą.

– Może kawy, zanim wskoczysz do wody?

– Nie, dziękuję. Staram się ograniczać. – Poszła na patio i wzięła deskę z wiosłem.

– Zastanawiam się, czy nie przerwucić się na herbatę ziołową – oznajmił Puller, gdy weszła z powrotem do kuchni.

– Serio?

– Kofeina upośledza celność strzału. To wystarczający powód, by zakazać jej w wojsku, ale nigdy do tego nie dojdzie. Picie kawy jest zbyt głęboko zakorzenione w psychice departamentu obrony. – Wskazał gazetę. – Mam nadzieję, że nie masz mi za złe. Leżała pod drzwiami.

– Żaden problem. Biorę ją tylko dlatego, że jest darmowa. Na ogół czytam wiadomości w Internecie.

Puller spojrział na pierwszą stronę. Zdominowało ją duże zdjęcie nieżyjących państwa Storrowów.

– Rozpisują się o zabójstwie Storowów.

Kiwnęła głową.

– Nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że sprawę rozdmuchali ludzie z sąsiednich miejscowości, żeby odstraszyć turystów od Paradise.

– Tak zaciekle się o nich biją?

– Tak, o ich dolary.

Puller wstał, opłukał kubek i wstawił do zmywarki.

– Idziesz na plażę?

– Pobiegam w czasie, gdy ty będziesz pływać na tym czymś, czy co tam się z tym robi – powiedział, wskazując na długą czerwoną deskę.

– To jest deska wiosłowa – wyjaśniła, zdumiona jego niewiedzą.

– Aha.

– Stoisz na niej i wiosłujesz.

– Jasne. Tak to sobie z grubsza wyobrażałem.

– Pojawily się już jakiś czas temu. Chyba nieczęsto bywasz na plaży.

– Chyba nieczęsto.

– Zabawa z tą deską nie jest taka łatwa, jak się wydaje.

– Wcale nie wydaje mi się łatwa. Nie jestem nawet pewien, czy to coś utrzymałoby moją wagę.

Gdy szli korytarzem, zapytała:

– Jak długo będziesz biegać?

– A jak długo będziesz wiosłować?

– Mniej więcej czterdzieści pięć minut.

– W takim razie ja tyle będę biegał – odparł.

– Później idę na siłownię.

– Okej.

– Ty też?

– Ja też. Ostatnio trochę to zaniedbałem. Muszę wrócić do ćwiczeń.

– Wydajesz się być w doskonałej formie.

Puller przytrzymał drzwi windy, by Landry mogła wstawić do kabiny deskę.

– Pozory czasem mylą.

Puller znalazł pas ubitego piasku i rozpoczął bieg. Obserwował, jak Landry zrzuca koszulkę i wchodzi z deską do wody, przestępując fale. Położyła się płasko na desce i wypłynęła dalej od brzegu, gdzie powierzchnia wody była gładsza. Podciągnęła się do pionu i zaczęła wiosłować, zmieniając strony.

Płynęła równolegle do plaży w tym samym kierunku, w którym biegł Puller, więc mógł mieć ją na oku. Tak wcześniej rano jeszcze niewiele osób powychodziło z domów. Kilku starszych wędkarzy gawędziło i popijało kawę z termosów, zatknąwszy wędkę we wbitą w piasek rurkę z PCV. Niemłoda kobieta szła wzdłuż brzegu z pochyloną głową, wymachując przy tym ramionami, zataczając elipsy. Prawdopodobnie wykonywała jakiś rodzaj ćwiczeń fizjoterapeutycznych. Może uszkodziła sobie oba barki.

Jakaś para biegła z seterem irlandzkim o lśniącej sierści, który dzielnie dotrzymywał im kroku. Mewy wzbijały się w górę i pikowały, wypatrując śniadania w zielonych wodach oceanu.

Spojrzał na zegarek, zawrócił i zaczął biec z powrotem tą samą trasą. Rzucił okiem na wodę i zobaczył, że Landry wykonała ten sam manewr.

Po prawie dwudziestu pięciu minutach biegu Puller czuł się przyjemnie rozgrzany. Płuca działały pełną parą, nogi były dobrze

ukrwione, ramiona poruszały się miarowo. Żeby zostać Rangerem, przebiegł tysiące kilometrów. W siłach specjalnych liczyły się przede wszystkim sprawność w posługiwaniu się bronią oraz wytrzymałość. Tak, wszyscy podnosili ciężary. Wszyscy byli silni jak tur. Ale w istocie rzeczy to odporność psychiczna rozstrzygała o życiu lub śmierci.

Na zakończenie czterdziestopięciminutowego biegu stanął w tym samym miejscu, z którego wystartował, poruszał rękami i nogami, utrzymując podwyższone tętno, ale powoli schładzając ciało.

Landry wiosłowała do brzegu. Gdy deska zderzyła się z przybrzeżnymi falami, policjantka zaczęła się przez nie przebijać, aż dotarła z powrotem na piasek. Wzięła podkoszulek i ręcznik i podeszła z deską do Pullera.

– Muszę szybko się przebrać – powiedziała. – Jak bieg?

– Bieg jak bieg – odparł. – Wszystkie są takie same.

– Nie jesteś zdyszany po przebiegnięciu tak długiej trasy.

– Nie była taka znów długa. Jak wiosłowanie?

– Pouczające.

– Czyżby? – zapytał ze sceptyczną miną.

– Ma się wtedy czas na myślenie. Tylko ja, deska i woda. – Umilkła i popatrzyła na Pullera. – A ty? Rozmyślałeś nad czymś w trakcie biegu?

– W zasadzie – tak.

– No i?

– No i muszę pomyśleć więcej.

Przed wejściem do budynku Landry wytarła się ręcznikiem, a następnie wjechali windą na dziewiąte piętro.

Oplukanie ciała z soli i przebranie się w suchy strój zajęło jej

pięć minut. Wyłoniła się w czarnych obcisłych spodenkach nad kolano, równie obcisłym podkoszulku założonym na sportowy biustonosz, krótkich skarpetkach i sportowych butach. Mokre włosy związała zieloną gumką.

Siłownia była duża i funkcjonalnie rozplanowana. Wyposażona w rozmaite maszyny, wolne ciężary, stojaki pod sztangi, hantle, sekcję cardio z bieżniami, orbitreki, schody, miała też dużą wolną przestrzeń, gdzie prowadzono zajęcia grupowe.

Landry zaczęła od bieżni, Puller się rozciągał, a później przeszedł do podciągania się i pompek, kalisteniki oraz ćwiczeń na nogi, dając wycisk dolnym partiom ciała.

Po treningu wytarli pot ręcznikami, wzięli butelki wody z ustawionej przy wyjściu lodówki i ruszyli do windy.

– Widzę, że stawiasz na trening mięśni nóg. Większość mężczyzn skupia się na bicepsach.

– Nie umiem biegać na rękach.

Roześmiała się.

– Ćwiczysz tak każdego ranka? – zapytał Puller.

– Tak, kiedy tylko mogę.

– To będziesz żyć wiecznie.

Uśmiechnęła się, lecz po chwili spoważniała.

– Chyba że zginę na służbie.

– Zawsze istnieje takie ryzyko.

– W twoim wypadku chyba też.

Zmierzyła wzrokiem jego łydkę i przedramię z wyraźnie widocznymi bliznami, pamiątkami z walki. Wskazała na nie z pytaniem:

– Irak? Afganistan?

Wypił łyk wody i odparł:

- Jedno i drugie.
- Mój brat nadal tam jest.
- Mam nadzieję, że wróci wkrótce cały i zdrowy.
- Ja też.
- Przyjedzie tutaj?
- Wątpliwe. Planuje zostać w wojsku na dobre.
- Armia jest dobrym pracodawcą. Nie pożałuje.
- Ale jesteś do niej trochę uprzedzony, prawda?
- Jestem nawet mocno uprzedzony.
- Jaki masz plan na dziś?
- Wrócę do domu ciotki, sprawdzę to i owo.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Puller, słyszałeś, co mówił komisarz Bullock.

– Wszystko załatwione. Pamiętasz, że go wczoraj spotkałem? Właśnie pod domem ciotki. Zapisała mi go w spadku. Potwierdzają to dokumenty prawne, a prawnik przekazał mi klucz.

Cofnęła dłoń.

– Ach tak. To wspaniale. – Po krótkiej pauzie dodała: – Więc naprawdę uważasz, że jej śmierć to coś więcej niż nieszczęśliwy wypadek?

- Kiedy będę wiedział na pewno, tobie pierwszej powiem.

Wrócili do mieszkania, wzięli prysznic i się przebrali.

Puller zaparzył świeżą kawę. Kiedy Landry wyszła ubrana w mundur, napełnił jej kubek. Wypili kawę na patio, obserwując pnące się coraz wyżej na niebie słońce. Plaża w dole zaczynała zapełniać się ludźmi, rodziny z dziećmi walczyły o najlepsze miejsca na piasku.

- Widzisz siebie w tej pracy na długo?

– Właściwie się nad tym nie zastanawiałam. A ty?
Przypuszczam, że też masz pełny etat u Wujka Sama.

– W sumie tak.

– A co potem? Wciąż będziesz młody.

– Kto wie?

– Mógłbyś zostać policjantem.

– Może.

Znów się uśmiechnęła.

– Zawsze jesteś taki rozmowny?

– W porównaniu z dawnymi czasami to wprost gadatliwy.

Zawibrowała komórka Pullera. Rzucił okiem na wyświetlacz. Kristen Craig z USACIL. Puller miał nadzieję, że dowie się w końcu, kto go śledzi.

Landry spojrzała na telefon.

– Powrót do pracy? – zapytała z lekkim rozczarowaniem.

– Powrót do pracy – potwierdził.

36

Landry i Puller się rozdzielili. Wtedy odebrał połączenie.

– Cześć, Christine.

Ale to nie była Christine. Odezwał się męski głos.

– Agent John Puller?

– Kto pyta?

– Pułkownik Peter Walmsey, żołnierzu.

– Tak jest, sir – rzekł Puller i odruchowo stanął na baczność, choć przecież tylko rozmawiał przez telefon. – Czym mogę służyć, sir?

– Chcę wiedzieć, dlaczego dzwonicie do USACIL i prosicie o wykonanie zadania dotyczącego sprawy niezwiązanej z waszymi obowiązkami w CID. Cholernie chcę to wiedzieć. Uważacie główne laboratorium kryminalistyczne armii za swój osobisty folwark?

Puller oblizwał usta i kombinował, jak na to odpowiedzieć.

– Czy to nawiązanie do mojej rozmowy telefonicznej z panią Craig?

– Owszem, nawiązuję do tej rozmowy, zwłaszcza do prośby o sprawdzenie pewnych numerów rejestracyjnych. Oraz do tego, dlaczego torba zawierająca sprzęt śledczy będący własnością armii znajduje się w drodze do bazy wojskowej Eglin i ma zostać użyta w sprawie niedotyczącej CID.

Niech to szlag.

– Przepraszam za to nieporozumienie, sir.

– Twierdzicie więc, że to nieporozumienie? Może zechcecie mi

to wyjaśnić w taki sposób, żeby odeszła mnie ochota na wytoczenie oficjalnych zarzutów?

– Pułkownik Walmsey, na Florydzie śledziło mnie dwóch mężczyzn wyglądających na żołnierzy. Poprosiłem panią Craig, żeby spróbowała użyć odpowiednich środków, którymi dysponuje, w celu ustalenia, czy ci mężczyźni są członkami armii. Wydawało się, że namierzenie samochodu jest najszybszym i najskuteczniejszym sposobem. Zdobyłem numery rejestracyjne pojazdu i przekazałem je pani Craig.

– Dlaczego mieliby was śledzić wojskowi, Puller?

– Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, sir, nie angażowałbym pani Craig.

– A torba?

– Wiąże się z tą samą kwestią, sir. Przyjechałem tu w sprawach rodzinnych. Nie zabrałem ze sobą żadnego wyposażenia. Gdyby zaszła konieczność wszczęcia śledztwa, chciałem być stosownie wyekwipowany.

– Kiedy dokładnie zamierzaliście powiadomić o tym wszystkim swojego przełożonego?

– Po ustaleniu, że mam do zraportowania coś, co dotyczy innych wojskowych, sir. Chcę jasno powiedzieć, że biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Pani Craig odniosła wrażenie, że jestem upoważniony do wykonywanego zadania. Nie powinno to odbić się na ocenie jej pracy, sir.

– Dobrze kryjecie przyjaciół, Puller, muszę to przyznać. A do waszej informacji: pani Craig została zwolniona z pełnienia obowiązków zawodowych do czasu całkowitego wyjaśnienia tej sprawy.

Jasna cholera.

– Przykro mi to słyszeć, sir.

– Jej było jeszcze bardziej przykro. Porozmawiajmy teraz o was.

– Tak jest, sir.

– Rozumiem, że oficjalnie przebywacie obecnie na urlopie.

– Tak jest, sir.

– I że z powodzeniem przeprowadziliście w Wirginii Zachodniej operację, która oszczędziła temu krajowi potężnego bólu głowy.

Puller milczał.

– Więc sugerowano mi, że trzeba wam odpuścić. Ani trochę mi się to nie podoba, Puller. Od każdego żołnierza należy wymagać tych samych standardów, zgodzicie się ze mną?

– Tak jest, sir.

– A jakie to standardy?

Puller poczuł się jak na obozie dla rekrutów.

– Najwyższe, sir – odpowiedział jak automat.

– W tym jednak wypadku nie są przestrzegane. Wygląda mi to na wciskanie kitu, Puller.

– Tak jest, sir.

– Ale możecie zachować się jak mężczyzna i to naprawić. Zebrać dupę w troki, przyjechać tu i ponieść konsekwencje.

Puller podziwiał łatwość, z jaką pułkownik zapędził go w kozi róg.

– Tak właśnie uczynię, gdy tylko dokończę tu moje zadanie, sir.

– Co to za zadanie, do ciężkiej cholery? – zapytał Walmsey, który wyraźnie liczył na inną odpowiedź.

– Moja ciotka.

– Wasza ciotka? Co się, psiakrew, dzieje z ciotką?

– Tego właśnie usiłuję się dowiedzieć, sir.

– Nie możecie jej zapytać?

– Zapytałbym, sir, ale ktoś ją zamordował.

– Ktoś zamordował waszą ciotkę? – powtórzył sceptycznie Walmsey. – I po to wam torba ze sprzętem? Czy ciotka służyła w armii?

– Nie, sir.

– Czyli nic do was nie dociera, Puller. To, co planujecie zrobić, jest bezprawnym...

W tym momencie wyczerpała się cierpliwość Pullera. Zazwyczaj w rozmowach z wyższym rangą oficerem zachowywał się powściągliwie, może jednak krótki urlop od służby stępił jego zawodowy instynkt. Wyszedł z założenia, że tak właśnie się stało.

– Jeśli mógłbym wdać się w szczegóły, sir... Ciotka wysłała list do mojego ojca, który aktualnie przebywa w szpitalu dla weteranów wojskowych. W liście poinformowała, że dzieją się tu rzeczy, które wydają się jej podejrzane, i wyraziła swoje obawy. Ojciec poprosił mnie o zbadanie tej sprawy. Przybyłem tu w tym właśnie celu. Na miejscu dowiedziałem się, że ciotka nie żyje. Oczywiście wzbudziło to we mnie podejrzenia.

Gdy Walmsey się odezwał, ton jego głosu brzmiał znacznie mniej konfrontacyjnie.

– Wasz ojciec? W szpitalu dla weteranów?

– Tak jest, sir. Nie miewa się zbyt dobrze, ale się nie poddaje. Chociaż wydaje mu się czasem, że nadal dowodzi Sto Pierwszą Dywizją.

Nastąpiło długie milczenie, po czym Walmsey zapytał:

– Waleczny John Puller jest waszym ojcem?

– Tak jest, sir. A ja to John Puller junior.

– Tej informacji nie załączono. Nie mam cholernego pojęcia dlaczego.

Puller od razu wyobraził sobie gromy, jakie posypią się na głowę doradcy lub doradczynie pułkownika Walmseya.

– Osoba mojego ojca nie powinna rzutować na tę sprawę.

– Nie powinna – przyznał Walmsey niepewnym głosem.

– Rzecz w tym, że ojciec nie miał innego rodzeństwa prócz tej ciotki. Bardzo to przeżywa. Jest jej młodszym bratem. A pan ma rodzeństwo, sir?

– Dwie starsze siostry. To szczególna relacja... Starsze siostry i młodsi bracia.

– Tak jest, sir, też tak słyszałem.

Nastąpiła kolejna długa pauza.

– Kontynuujcie na miejscu swoje działania, agencie Puller, a do tej kwestii powrócimy później.

– Tak jest, sir, dziękuję. A co z panią Craig?

– O nią się nie martwcie. Wierzę wam na słowo, że nie dokonała żadnego aktu samowoli. Jeszcze dziś zostanie przywrócona do swoich obowiązków.

– Jestem wdzięczny, sir.

– Pozdrówcie ode mnie ojca i przekażcie mu najlepsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

– Przekażę, panie pułkowniku. Dziękuję. Hmm... Jest jakaś szansa na sprawdzenie tej rejestracji, sir?

Ale w telefonie zapadła już cisza.

Nie należało się spodziewać, że armia pospieszy z pomocą.

Puller udał się do wynajętego tahoe.

Musiał odebrać torbę ze sprzętem śledczym.

37

Pot spływał mu po karku.

Była dopiero ósma rano, a on harował jak wół już od godziny. Temperatura wynosiła dwadzieścia osiem stopni, a prognozowano, że osiągnie nawet dziesięć stopni więcej.

Znajdował się w tej samej posiadłości co poprzednio. Powiedziano mu, że jej teren jest tak rozległy, że wymaga codziennej obecności ekipy ogrodniczej. Podjął kroki, żeby przydzielono mu akurat to zlecenie. Wymagało to złożenia pewnych obietnic oraz przekupienia ludzi, których guzik obchodziło, dlaczego chce pracować właśnie tu. Potraktowali to jak zwykłą wymianę, coś za coś. Kiedy ma się do czynienia z ludźmi potrzebującymi pieniędzy, barter staje się sposobem na życie. Pewnie sądzili, że próbuje przeprowadzić rozeznanie przed planowanym rabunkiem rezydencji. Było im wszystko jedno, czy ktoś okrada bogatych, czy nie. Bogaci mają wszystko. Najwyżej dodrukują sobie więcej pieniędzy.

Był najemnym robotnikiem. Dostawał wypłatę, która ledwo pozwalała na przeżycie. Od bezdomności dzieliła go jedna kontuzja.

Rozejrzał się po pracujących obok ludziach. Właściwie opisywał ich sytuację, nie swoją. Pieniądze nie znaczyły dla niego nic. Znalazł się tu we własnym celu, bez żadnego innego powodu. Gdy zrobi swoje, odejdzie.

Chyba że będzie martwy. Wtedy pozostanie w Paradise na wieczność.

Otarł pot z czoła i przystąpił do strzyżenia żywopłotu. Właściciele posesji wymagali precyzyjnego cięcia krzewów. Skupiał się na pracy, jednocześnie myśląc o tym, co zobaczył w nocy na plaży.

Tamci ludzie przepadli na zawsze. W chwili gdy ich wywieziono, wszystko się dla nich skończyło. Łodzią. Ciężarówką. Bez różnicy. Nic nie mogło przerwać długiego łańcucha własności i podległości, bo do tego się to sprowadzało.

Majątek ruchomy.

Szesnasty wiek czy dwudziesty pierwszy – nie miało to znaczenia. Ludzie dzierżący władzę i dysponujący środkami zawsze będą wykorzystywać innych, tych zasobów pozbawionych.

Przycinał krzew i obmyślał kolejny krok.

Powiódł wzrokiem po szczycie żywopłotu, przy okazji obejmując spojrzeniem granice rezydencji. Na kolistym brukowanym podejździe stało to samo maserati. Przypuszczał, że para, którą widział wczoraj, została tu na noc. Kto by wyjeżdżał z takiego miejsca bez potrzeby? Dzięki dyskretnym pytaniom dowiedział się od służącej, która wyszła odebrać pocztę, że domowy personel składa się z dziesięciu osób. Należą do niego pokojówki, kucharz, kamerdyner oraz różni inni, którzy są tanią siłą roboczą i mogą mieszkać w kwaterach dla służby przy najokazalszej rezydencji na Emerald Coast.

Rodzina, która ją zamieszkiwała, liczyła cztery osoby.

Mąż – bankomat.

Rozpieszczona druga żona.

Jeszcze bardziej rozpieszczony syn.

Teściowa.

Bankomat miał czterdzieści kilka lat, stosunkowo niewiele jak na kogoś, kto zgromadził taką fortunę. Nie trzeba było pytać służącej,

jak zbił tak wielki majątek.

On to już wiedział.

Druga żona, chodząca niegdyś po wybiegach modelka, przekroczyła trzydziestkę i większość czasu spędzała na zakupach.

Syn bankomatu – pasierb drugiej żony – miał siedemnaście lat i uczęszczał do prywatnej szkoły z internatem w Connecticut. Został już przyjęty na uczelnię Ligi Bluszczonej – nie tyle dzięki swym akademickim osiągnięciom, ile szczodrości ojca wobec uniwersytetu. Przyjechał do domu na wakacje, grywał w polo, rozbijał się swoim porsche i zabawiał się z lokalnymi dziewczynami, które bez zażenowania rywalizowały o możliwość zamieszkania w okazałym domu ze służbą. Tego również się dowiedział, zanim tu trafił.

Matka drugiej żony zajmowała urządzonego z przepychem dom dla gości i była, jak wynikało z większości relacji, żoną o potężnych rozmiarach.

W pewnej chwili ta sama kobieta, którą widział dzień wcześniej przy basenie, wyszła z przeszklonych drzwi rezydencji. Była ubrana w białą spódnicę podkreślającą opalone gołe nogi, jasnoniebieską bluzkę koszulową oraz szpilki bez pięt. Włosy rozpuściła na ramiona. Wyglądała dość szykownie jak na tak wczesną porę. Może ma umówione spotkanie.

Obserwował, jak kobieta idzie w stronę domu dla gości i wchodzi do środka, chcąc być może złożyć uszanowanie rezydującej tam teściowej.

Ogrodowe drzwi rezydencji otworzyły się ponownie i tym razem pojawił się w nich mężczyzna.

Bacnie mu się przyjrzał. Około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, szczupły, zadbany, wysportowany, ubrany w białe szorty eksponujące opalone, muskularne nogi. Na stopach

skórzane mokasyny, które wyglądały na drogie i bez wątpienia takie były. Stroju dopełniała wzorzysta jasnoniebieska koszula marki Bugatchi, z długim rękawem. Nie włożył jej do spodni, chcąc w ten sposób zademonstrować, że pomimo zgromadzenia niewyobrażalnego majątku jest mężczyzną nonszalanckim i na czasie. Miał brązowe kręcone włosy lekko przyprószone na skroniach siwizną.

Mężczyzna także wszedł do domu dla gości.

Wiedział, kto to. Bankomat. Właściciel tej posiadłości oraz wszystkiego, co się w niej znajdowało.

Nazywał się Peter J. Lampert.

Zbił, a później stracił wielomiliardową fortunę jako zarządca funduszy hedgingowych – wraz z większością pieniędzy powierzonych mu przez klientów. Następnie zarobił kolejne wielkie pieniądze, by kupić tę posiadłość oraz rozmaite inne zabawki dla krezusów. Wynagrodzeniem strat swoich klientów nie przejmował się ani trochę.

Po to ogłasza się bankructwo, odparł, zapytany kiedyś, czy czuje jakiegolwiek wyrzuty sumienia z powodu zniszczenia życia tak wielu ludziom.

Lampert miał też prywatny odrzutowiec, Dassault Falcon 900LX, czekający w gotowości na prywatnym lotnisku pół godziny drogi stąd. Maksymalna wysokość kabiny wynosiła sto dziewięćdziesiąt centymetrów, co znaczyło, że Lampert mógł stanąć w niej wyprostowany. On nie dałby rady. Ale i nie oczekiwał, że kiedykolwiek znajdzie się na pokładzie. Prywatne odrzutowce nie są przeznaczone dla najemnych robotników.

Na końcu głównego pomostu posiadłości, wychodzącego w morze na odległość trzydziestu metrów, cumował na głębokiej wodzie megajacht Lamperta, Lady Lucky. Lampert nazwał go tak

na cześć drugiej żony, która miała na imię Lucille, ale wszyscy mówili na nią Lucky, ponieważ jako żona Petera J. Lamperta rzeczywiście była szczęściarą.

Lucky obecnie nie przebywała w rezydencji, jak dowiedział się od tej samej służącej. Wyjechała na zakupy do Londynu i Paryża. Cóż, bogaci muszą wydawać na coś pieniądze.

Gdy o tym rozmyślał, doszedł do wniosku, że w wozach prawdopodobnie towarzyszy jej matka. Jeśli tak, nie ma po co wchodzić do domu dla gości.

Może z jednym wyjątkiem.

Zaczął posuwać się w stronę lewej ściany budynku. Rosły tam krzewy wymagające przycięcia. Udało mu się pozorować pracę, w rzeczywistości nie wydając nożycami żadnych dźwięków. Podeszedł bliżej okna. Zasłony były częściowo rozsunięte. Najpierw usłyszał, później zobaczył.

Jęki i postękiwanie.

Rozejrzał się, czy nie widać gdzieś ochrony. Najwyraźniej nie pojawiała się w tym sektorze.

Jeszcze bardziej zbliżył się do okna, przykucnął.

Rzucił okiem za szybę.

Kobieta miała teraz na sobie samą bluzkę. Spódnica i szpilki leżały na łóżku. Majtki były zsunięte do kostek. Stała na palcach, przytrzymując się jednego z czterech słupków łóżka, pochylona do przodu pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Lampert stał za nią. Nie zawracał sobie głowy zdejmowaniem ubrania. Stać go było co najwyżej na rozpięcie rozporaka. Kobieta wyginała szyję i wydawała stosowne odgłosy, ponagając kochanka.

Lampert wchodził w nią gwałtownie, na koniec ciężko stęknął, pochylił się i oparł na jej plecach, kompletnie wyczerpany. Wciąż jeszcze dysząc, wyprostował się i zapiął szorty. Ona odwróciła się

i go pocałowała. Odpowiedział pieszczotą, a potem klepnął ją w pośladki.

Lampert powiedział coś, czego nie dosłyszał, ale widział, że kobieta się śmieje. Chwilę później mężczyzna zniknął. Miał pewnie inne spotkania.

Patrzył, jak kobieta kładzie się na łóżku, wyjmuje z kieszeni bluzki buteleczkę pigulek, kładzie sobie kapsułkę na język i ją połyka. Następnie zdejmuje bluzkę, idzie nago do łazienki, by wyłonić się z niej chwilę później.

Kontynuował swoją obserwację. Kobieta szybko się ubrała, wygładziła bluzkę i zapięła suwak spódnicy, a na koniec wsunęła na stopy szpilki. Kiedy wyszła z pokoju, poszedł za róg budynku, schylił się i zaczął wrywać chwasty z trawnika.

Opuściwszy dom dla gości, kobieta spojrzała w prawo i wtedy go zauważyła. Na jego widok rozjaśniła się jej twarz. Uśmiechnęła się. Otaczał ją zapach seksu. Zastanawiał się, czy ona zdaje sobie z tego sprawę, bo przecież zdążyła odświeżyć się w łazience. Zastanawiał się również, co powiedziałby młody mężczyzna z maserati, który ją tu przywiózł, gdyby wykrył dowody tej porannej schadzki.

– Dzień dobry – przywitała się.

Skinął głową i nadal ją obserwował spod spuszczonej powiek.

– Byłeś tu wczoraj. Jak ci na imię?

– Mecho.

– Mecho? Nigdy nie słyszałam takiego imienia.

– W moim kraju znaczy „niedźwiedź”. Bo jestem wielki jak niedźwiedź. Byłem dużym dzieckiem, więc mój ojciec postanowił mnie tak nazwać. – Umilkł i nieśmiało się uśmiechnął.

Władał angielskim znacznie lepiej, niż dał po sobie poznać, i z natury wcale nie był nieśmiały, nie chciał jednak, żeby o tym wiedziała. Mecho to nie imię, tylko przydomek, które nadano mu

właśnie z powodu jego imponujących rozmiarów.

– Co to za kraj? – zapytała.

– Daleko stąd. Ale tu mi się podoba. W moim kraju często bywa zbyt zimno.

Uśmiechnęła się i odegnała ręką muchę. Uśmiech miała promienny, policzki lekko zaróżowione.

Seks jej służy, pomyślał.

– W Paradise zawsze jest ciepło – odparła.

– Hej!

Oboje obejrzelili się i ujrzeli krzepkiego ochroniarza, który zmierzał w ich kierunku. Mecho pospiesznie wstał i oddalił się od kobiety.

– Hej! – zawołał ponownie ochroniarz, zbliżywszy się do Mecha. Ten sam, co wczoraj. – Wystawiasz moją cierpliwość na próbę, chłopie.

– To ja go zagadnęłam – wyjaśniła kobieta. – Wykonywał swoje obowiązki. Zadałam mu pytanie.

Ochroniarz spojrział na nią, jakby była naćpana.

– Zadała mu pani pytanie? Po co?

– Ponieważ chciałam usłyszeć odpowiedź – odparła z gniewnym grymasem. – Więc niech pan go zostawi w spokoju.

Ochroniarz miał coś powiedzieć, ale po namyśle zrezygnował.

– Dobrze, pani Murdoch. Tylko się upewniałem, czy wszystko w porządku. Na tym polega moja praca.

– Wszystko w jak najlepszym porządku – rzekła stanowczo.

Gdy mężczyzna się wycofał, zwróciła się do Mecha:

– Mam na imię Christine. Przyjaciele wołają mnie Chrissy. Miło się gawędziło.

Patrzył za oddalającą się kobietą. Obejrzała się raz za siebie, zauważyła jego spojrzenie i znów się uśmiechnęła, okraszając uśmiech subtelnym machnięciem ręką.

Dostrzegł coś interesującego w tym porozumiewawczym uśmiechu. Był niemal pewien, że ona wie, że obserwował jej seks z Lampertem. I wydawała się tym zupełnie nieprzejęta. Wprost przeciwnie: podniesiona na duchu.

Niezwykła kobieta o wielkiej urodzie.

W głębi duszy miał nadzieję, że nie będzie musiał jej zabić.

38

Podróż do bazy lotniczej Eglin zajęła około pół godziny. Torba czekała tam, gdzie miała czekać. Puller podpisał niezbędne dokumenty, zapakował rzeczy do wynajętego auta i wrócił do Paradise. Mijając po drodze Destin, rzucił okiem na wieżowiec Landry.

Wtedy sobie przypomniał, że musi znaleźć inny nocleg.

Przybył do Paradise około południa.

Nie tęsknił za tym miejscem ani przez minutę.

Wstąpił do domu pogrzebowego, ponieważ chciał jeszcze raz zobaczyć ciało Betsy Simon.

Stamtąd udał się prosto do domu ciotki. Słońce stało wysoko, dzień był upalny, wilgotność powietrza niepostrzeżenie wzrosła do takiego poziomu, że zwykły spacer wywoływał strużki potu. Ale Puller spędził wiele lat życia w jeszcze gorszym skwarze i ten nie robił na nim większego wrażenia.

Otworzył drzwi domu ciotki kluczem wręczonym mu przez prawnika. Skoro miał już swoją torbę, mógł przystąpić do właściwego śledztwa.

Wypakował sprzęt i kolejne pięć godzin spędził na oględzinach domu pomieszczenie po pomieszczeniu.

Niezwykłe było tylko to, że nic nie znalazł.

Jedynie odciski palców należały do ciotki. Po to wstąpił po drodze do domu pogrzebowego – chciał pobrać odciski palców Betsy Simon do analizy porównawczej.

Nie natknął się na żadne ślady włamania ani walki.

Znalazł pudełko z albumami fotograficznymi, upchnięte w szafie obok pokoiku gospodarczego. Przejrzał kilka z nich, a potem wrzucił pudełko do torby. Resztę obejrzy później.

Przeniósł się ze śledztwem do ogrodu, przemierzając domniemaną drogę ciotki od domu do fontanny. Ukłęknął i dokładnie zbadał kamienne obrzeże sadzawki, poruszone kamienie pod wodą oraz dziury w trawniku pozostawione przez balkonik. Gdyby ciało ciotki leżało tu nadal, mógłby dostrzec coś podejrzanego, ale ponieważ było jak było, nie miał tu nic więcej do roboty.

Poczuł, że ktoś go obserwuje. Odwrócił się i zobaczył wyglądającego zza płotu Cookiego.

– Urósł pan? – zapytał Puller.

– Stoję na skrzynce. A co pan robi? – zainteresował się Cookie.

– Zaspokajam swoją ciekawość.

– Więc naprawdę myśli pan, że ją zamordowano?

– A pan?

Cookie wydawał się wystraszony tym pytaniem.

– Nie mam zdania. Sądziłem, że to wypadek, ale nie wiedziałbym, na co zwrócić uwagę.

– No cóż, ja to wiem i za wiele nie znajduję.

– Rozmawiał pan z Masonem?

Puller wstał i podszedł do ogrodzenia. Stojący na skrzynce Cookie niemal zrównał się z nim wzrostem.

– Rozmawiałem. Był uczynny. Co pan o nim wie?

– Dobry prawnik, jak już wspominałem. Zajmuje się też moimi sprawami majątkowymi. Robi to dla wielu ludzi.

– Zna go pan prywatnie?

– Trochę. Ale nie utrzymujemy bliskich kontaktów towarzyskich.

– Słyszał pan o wyrzuconych na plażę zwłokach?

Cookie ze smutkiem pokiwał głową.

– Storrowowie. Znałem ich. Mili ludzie. Ciekawe, co się mogło stać.

– Bada to policja.

– W gazecie nie podano zbyt wiele szczegółów. Wie pan coś?

– Gdybym wiedział, i tak nie byłbym upoważniony do ich zdradzenia.

– Współpracuje pan z policją?

– Nie. Zwykle działam solo. Z natury nabieram wody w usta w tego rodzaju sytuacjach.

Cookie spojrział na fontannę ponad ramieniem Pullera.

– Wciąż dostaję gęziej skórki na myśl, że tu umarła.

– Muszę załatwić formalności pogrzebowe i tak dalej – powiedział Puller. Nie miał pojęcia, z czym się to wiąże.

– Betsy mówiła mi, że chce być skremowana. Powinna być o tym wzmianka w testamencie.

– Mason nic nie napomknął.

– Dał panu kopię testamentu?

– Tak.

– Powinien pan go przeczytać. Betsy miała konkretne wymagania co do swojego pogrzebu. Na pewno wszystko wyszczególniła.

– Dziękuję. Powinienem był już zapoznać się z treścią.

– Jest pan młody. Nie myśli pan o testamentach ani pogrzebach.

– Jestem też żołnierzem. Zwykle myślimy o tych sprawach częściej niż większość ludzi.

Puller zostawił Cookiego, wszedł z powrotem do domu i spakował sprzęt. Na koniec jeszcze raz omiół spojrzeniem całe

wnętrze, po czym zaniósł torbę do samochodu. Usiadł za kierownicą, wyjął testament ciotki. Szybko przebiegł wzrokiem prawniczy żargon, łącznie z fragmentem o zapisie domu, aż dotarł do postanowień dotyczących ostatnich przygotowań.

Betsy Simon rzeczywiście chciała zostać poddana kremacji. Opłaciła tę usługę zawczasu w domu pogrzebowym Bailey'a. Koszt obejmował urnę oraz rozsypanie prochów na wiejskich terenach Pensylwanii, tam, gdzie się wychowywała.

Wsadził testament z powrotem do kieszeni. Omówi to później w zakładzie pogrzebowym. Domyślał się, że mają tu spore doświadczenie w kremowaniu zwłok.

Umierał z głodu i nie miał gdzie spać. Najpierw zatroszczył się o swój żołądek, potem o nocleg. Musi też zgłosić się na komendzie. Sądził, że Landry będzie potrzebowała jego złożonych pod przysięgą zeznań, aby móc wytoczyć proces tym ośmiu durniom, którzy napadli go poprzedniej nocy.

Sprawdził telefon i z zaskoczeniem stwierdził, że nie przysłała żadnej wiadomości.

Bullock też nie.

Zastanawiał się, czy ten kretyń Hooper skończył już rzygać.

Tuż potem zapomniał o Hooperze.

Włożył kluczyk do stacyjki, wyjął pistolet i wcisnął gaz, nakierowując chevroleta tahoe prosto na inny samochód.

Czasem najprostsze rozwiązania są najlepsze.

Puller podjechał do drzwi pasażera drugiego samochodu. Siedzący tam mężczyzna patrzył na niego w zdumieniu. Kierowca próbował wycofać. Puller ostrożnie podsunął się jeszcze bliżej, aż dotknął maską drzwi pasażera. Gdyby kierowca cofnął się jeszcze odrobinę, poważnie uszkodziłby pojazd.

Puller obserwował, czy mężczyźni nie wykonują żadnych gwałtownych ruchów. Podniósł broń tak, żeby była widoczna, opuścił szybę i pokazał na migi, by pasażer uczynił to samo.

Mężczyzna posłuchał.

– Co ty, człowieku, wyprawiasz? – warknął.

– Nie to chciałem usłyszeć – odparł Puller, wysiadając z tahoe i stając obok samochodu z M11 w dłoni – ustawionym pod takim kątem, by mógł oddać strzał w ciągu ułamka sekundy i nie spudłować. – Chciałbym wiedzieć, dlaczego mnie śledzicie. A w następnej kolejności zapytam, kim, do cholery, jesteście.

Wszyscy trzej odwrócili głowy, słysząc pisk opon, po którym rozległo się wycie syreny. W ulicę skręcił radiowóz i pędził w ich kierunku.

Puller najpierw dostrzegł kierowcę i od razu stracił całą werwę.

Hooper.

Obok niego Landry.

On wydawał się ożywiony.

Ona niepewna.

Gdy oboje wysiedli z radiowozu, Puller schował pistolet. Hooper szedł z wyciągniętą bronią.

Jakżeby inaczej.

Landry trzymała broń w kaburze, ale położyła dłoń na kolbie.

Hooper kroczył przed siebie, wymachując pistoletem, aż wreszcie wycelował lufą w Pullera.

– Jakoś nie umiesz trzymać się z dala od kłopotów, kowboju. – Policjant triumfował.

– Nie byłem świadom, że jestem w kłopotcie – odparł Puller.

Hooper spojrzał na minimalny dystans między samochodami i zapytał:

– Zawsze parkujesz tak blisko innych pojazdów?

– Zawsze, gdy chcę porozmawiać z kimś na osobności – odrzekł Puller.

Na ten komentarz Landry parsknęła, Hooper zaś gniewnie wykrzywił twarz.

– Będziesz dalej serwował mi te głodne kawałki, to twój zadek wylądował w pierdłu tak szybko, że aż puści ci się krew z nosa – warknął.

Puller zbył tę idiotyczną pogroźkę milczeniem, bo i co miał odpowiedzieć.

Nawet mężczyźni w samochodzie obok mieli takie miny, jakby chcieli ryknąć śmiechem i pewnie by to zrobili, gdyby nie fakt, że tym razem Hooper wziął ich na muszkę.

Puller rzekł do Landry:

– Możesz poprosić swojego kolegę o schowanie broni? Trzyma palec za bezpiecznikiem. Jak na mój rozum, to oznacza, że ma zamiar strzelać.

– Hoop – powiedziała Landry karcącym tonem. – Żadnych więcej wypadków, okej?

„Żadnych więcej wypadków?”, powtórzył w myślach Puller.

– Wiemy, że jest uzbrojony – rzekł Hooper, wskazując na Pullera.

– Jestem uzbrojony, ponieważ takie są wymogi rządu Stanów Zjednoczonych – zauważył Puller. – Można skonsultować się z Pentagonem, myślę jednak, że prawo federalne góruje nad stanowym, przynajmniej w tym wypadku.

Wskazał na dwóch mężczyzn w samochodzie.

– Tamci też mogą być uzbrojeni. Nie jestem pewien.

Wzrok Landry błyskawicznie pomknął w stronę mężczyzn. Podeszła do nich, nie odrywając dłoni od kolby pistoletu.

– Zechcą panowie wysiąść z rękami w górze?

– Nie mogę otworzyć drzwi – oznajmił pasażer. – Jego auto je blokuje.

– Więc proszę wysiąść od strony kierowcy – nakazała Landry ostrym tonem.

Hooper stracił zainteresowanie Pullerem i skierował uwagę na dwóch mężczyzn, którzy wysiedli z samochodu z wyciągniętymi przed siebie rękami.

– Mają panowie broń? – zapytała Landry.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Nie mamy – odpowiedział kierowca.

– Proszę rozchylić marynarki – poleciła.

Wykonali polecenie. Pod marynarkami mieli tylko koszule i paski.

– Dlaczego mnie śledzicie? – spytał Puller.

Kierowca zwrócił się w jego stronę. Miał mniej więcej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, szerokie barki, szczupłą talię. Jego towarzysz był zbudowany podobnie. Ostrzyżone na jeża włosy też się zgadzały. Z bliska jeszcze bardziej wyglądali na

wojskowych.

– Kto mówi, że pana śledzimy?

– Ja – odparł Puller. – Spotykam was po raz czwarty. Z czego dwukrotnie na tej ulicy.

– To mała miejscowość.

– Proszę o dokumenty – rzekła Landry.

Mężczyźni wyjęli portfele i podali jej prawa jazdy. Zanotowała ich dane, a Puller bezskutecznie starał się dojrzeć nazwiska i adresy.

Landry oddała dokumenty.

Pierwszy z mężczyzn powiedział:

– Rozumiem, że możemy odjechać, skoro nie ma powodu do zatrzymania?

Landry zerknęła na Pullera, a potem znów na swoich rozmówców.

– Co panowie robią w Paradise?

– Jesteśmy na wakacjach.

– Śledziliście tego pana?

– Nie. Rozważam kupno mieszkania przy tej ulicy. Nawet kontaktowałem się w tej sprawie z biurem nieruchomości. – Wyciągnął wizytówkę. – To nazwisko i dane kontaktowe agentki. Może za mnie poręczyć. Siedzieliśmy tu sobie, decydując, które miejsca chcielibyśmy obejrzeć, gdy ten człowiek się w nas wpakował. Wydaje mi się, że zamiast urządzać nam przesłuchanie, powinniście aresztować jego. Myślałem, że chce nas staranować tym swoim SUV-em.

Landry rzuciła okiem na wizytówkę, zmarszczyła czoło i jeszcze raz popatrzyła na Pullera. Widział wątpliwości malujące się na jej twarzy.

Zwróciła wizytówkę.

– Dziękuję za współpracę. Przepraszam za kłopot.

– Chcecie wnieść przeciwko niemu oskarżenie? – zapytał Hooper, pokazując na Pullera.

Mężczyzna zmierzył Pullera wzrokiem, jakby chłonał każdy szczegół jego twarzy.

– Nie. Nie warto zwracać nim sobie głowy. – Uśmiechnął się do Pullera, a jego kolega parsknął. – Niech pan cofnie samochód, bo nie możemy odjechać. – Przysunął się bliżej. – Ale jeszcze jeden taki numer i nie będę taki ugodowy.

Landry wkroczyła między nich. Może dostrzegła minę Pullera, sugerującą, że za sekundę zada cios, od którego tamten zegnije się w pół.

– Dostyc tego – upomniała obu mężczyzn, odpychając ich od siebie. – Puller, proszę przestawić samochód. Teraz. Panowie, życzę miłego dnia.

Wsiadł za kierownicę i cofnął wóz tylko na tyle, by tamci mogli powolutku się wysunąć. Potem przyspieszyli, skręcili za róg i tyle było ich widać.

Puller wysiadł z tahoe.

– Jak się nazywają? – zapytał.

– Nie twój zasrany interes – burknął Hooper.

Puller spojrzał pytająco na Landry.

Pokręciła głową.

– Nie twoja sprawa, Puller. I ciesz się, że nie wnieśli oskarżenia. Od tej pory trzymaj się od nich z daleka.

– Ja się trzymam. Problem w tym, że to oni depczą mi po piętach.

– Już słyszeliśmy – uciął opryskliwie Hooper. – Co wcale nie znaczy, że to prawda.

– Puller, ich wersja brzmi logicznie. Jeśli szukają tu domu – rzekła Landry i rozejrzała się w obie strony. – Widzę stąd trzy tablice z informacją „Nieruchomość na sprzedaż”.

Puller wiedział, że to kit. Faceci wymyślili sobie tę bajeczkę. Diego widział ich przecież w pobliżu Sierry. Raczej nie byliby zainteresowani żadną nieruchomością w tamtej okolicy. Zachował jednak te uwagi dla siebie.

– Okej – powiedział. – Pewnie masz rację.

Widać było wyraźnie, że Landry mu nie wierzy, Hooper zaś równie wyraźnie nadal chciał go aresztować.

Puller odwrócił się, by wsiąść do tahoe.

– Skąd wiadomo, że z tobą skończyliśmy? – zapytał Hooper.

Puller patrzył na niego wyczekująco.

– W porządku. Skończyliście?

Hooper zdawał się zaskoczony tym pytaniem i szukał ratunku u Landry.

– Hoop, skończ patrolować ulicę – powiedziała. – Chcę zamienić słowo z panem Pullerem.

Hooper wsiadł do radiowozu, włączył światła alarmowe i uruchomił syrenę. Rozdzierający uszy hałas kompletnie zaskoczył Landry.

– Hoop, niech to szlag, po prostu jedź! – warknęła.

Ruszył z kopyta, szybciej niż pozwalały na to przepisy w dzielnicy mieszkaniowej.

– Jak znosisz pracę z takim idiotą?

Pomineła to milczeniem, a sama zapytała:

– Co się z tobą dzieje?

– Słucham?

– Popadasz w paranoję?

- Nie jestem paranoikiem. Ci faceci mnie obserwują.
 - Masz dowód?
 - Zdobędę.
 - Puller, zamiast cokolwiek zdobywać, powinieneś po prostu dać spokój. Wyglądają na takich, z którymi lepiej nie zadzierać.
 - A zadzieram?
- Spojrzała ponad jego ramieniem, splótłszy ręce na piersi.
- Wiem, że muszę iść na komisariat i oskarżyć tamtych bandziorów z wczoraj o napaść – powiedział.
 - Może jednak nie.
 - Dlaczego?
 - Bo oni chcą oskarżyć ciebie.
 - Co?!
 - Powiedzieli, że to ty ich zaatakowałeś.
 - Owszem. Zanim oni zaatakowali mnie.
 - Może lepiej się z tym nie obnosić.
 - Byli w moim pokoju, zasadzili się na mnie. Trochę trudno tu odwrócić kota ogonem.
 - Zostali już wypuszczeni za kaucją.
 - W Paradise wszystko odbywa się tak szybko?
 - Nie wiem, co mam odpowiedzieć.
 - Słyszałem, że ci ludzie nie mają powiązań z gangiem. Ale ktoś wyraźnie pociąga tu za sznurki.
 - Jestem zwykłym krawężnikiem, Puller. Nie zagłębiam się w takie rzeczy.
 - Więc wyszli na wolność i tylko czekają, żeby dobrać mi się do skóry?
 - Nie sędzę, byś musiał się o to martwić.

– Dlaczego?

– Ponieważ powiedziałam im, że jesteś superagentem sił specjalnych, maniakalnym zabójcą, który może pozbawić ich życia na mnóstwo różnych sposobów, o jakich nawet się im nie śniło. Dodałam też, że następnym razem wyślesz ich wszystkich na tamten świat, a później ściągniesz tu kumpli z wojska, którzy pomogą ci posłać do piachu także ich rodziny.

Puller się uśmiechnął.

– Naprawdę tak im powiedziałaś?

– Taki był sens. Latynosom przekazałam to po hiszpańsku, żeby dotarło do nich od razu, bez konieczności tłumaczenia. Powiedziałam, że jeśli dadzą ci spokój, mogę zagwarantować im bezpieczeństwo. W przeciwnym razie wszystko może się zdarzyć. Kiedy wychodzili, wyglądali tak, jakby ze strachu mieli pełne gacie. I naprawdę nie wierzę, że wniosą oskarżenie. Za bardzo się ciebie boją.

– Okej, doceniam tę pomoc – rzekł Puller.

– Proszę bardzo. Teraz możesz skupić się na sprawie ciotki.

Puller się uśmiechnął.

– Chciałbym, żeby każdy lokalny policjant, z którym współpracuję, był równie skory do pomocy.

– Traktujesz mnie z szacunkiem, więc się odwzajemniam. Gdy tylko się to zmieni, zmienię się i ja.

– Nie sprawia mi to problemu.

Umilkł, zastanawiając się, czy zaryzykować i pociągnąć ją jeszcze za język. Poza tym doszedł do wniosku, że lubi towarzystwo Landry. Jej pomoc mogłaby być cenna, gdyby okazało się, że śmierć ciotki nie była nieszczęśliwym wypadkiem.

– Masz wolny wieczór? Może wspólna kolacja?

Wydawała się zaskoczona, a także, pomyślał sobie Puller, dość zadowolona z zaproszenia.

– Przenocowałam mnie za darmo – powiedział żartobliwie. – Chciałbym się jakoś odwdzińczyć.

Zastanawiała się przez kilka sekund. Puller po części spodziewał się odmowy.

– Kończę służbę za dwie godziny. Dokąd chcesz pójść?

– Zdaję się na ciebie. Gdzieś w twojej miejscowości.

– Przy głównej ulicy jest knajpka Darby's.

– Okej. Widziałem ją.

– Powiedzmy o ósmej?

– Brzmi dobrze.

Wsiadł do samochodu i odjechał. Natychmiast przestał myśleć o kolacji z Landry.

Dyludi i Dyludam¹⁵ w sedanie. Musi się dowiedzieć, kim są i czy ich obecność w Paradise wiąże się z jego osobą czy z tym, co przydarzyło się ciotce.

I może miał na to sposób.

Chwycił za telefon.

40

– Proszę, proszę. Byłam ciekawa, kiedy wreszcie, do diabła, się odezwiesz.

– Byłem trochę zajęty, pani generał – odparł Puller.

– Pani generał? Wydawało mi się, że ostatnio stanęło na Julie.

– Dzwonię w godzinach służbowych. Nie byłem pewien, jak pani to odbierze.

Julie Carson była generałem brygady stacjonującym w Pentagonie w sztabie J2, a J2 był generałem dywizji dokonującym codziennej odprawy przewodniczącego Kolegium Szefów Połączonych Sztabów. Carson zajmowała stanowisko wiceprzewodniczącej i robiła odprawę pod nieobecność J2. Pomagała Pullerowi w Wirginii Zachodniej.

Miała czterdzieści jeden lat, była bardzo atrakcyjna, wysportowana jak triathlonistka i nieustępliwa jak Puller. Ich znajomość zaczęła się burzliwie, ale wszystko się zmieniło, od kiedy znaleźli płaszczyznę porozumienia.

– Odbieram to tak, że możesz mówić mi Julie.

– Okej. Chcę prosić o przysługę, Julie.

– Jak to? Tak bez wspólnej kolacji?

– Zawsze coś wypada nie w porę.

Usłyszał, jak Carson wzdycha.

– No dobra, czego potrzebujesz?

Puller przedstawił jej swój dylemat w zwięzłych, jak przystało na wojskowego, konkretnych zdaniach, przekazując minimum treści,

której potrzebowała do podjęcia działań. Ten nawyk tkwił w nim zakorzeniony tak głęboko, że nawet nie zdawał sobie sprawy, że się w ten sposób komunikuje.

– Cholera, Puller, podobno jesteś na urlopie. Co, do licha, robisz na Florydzie w środku jakiejś akcji? Masz zamiar przedzierać się tak przez wszystkie pięćdziesiąt stanów, pakując się w burdy i zabójstwa?

– Uwierz mi, nie z wyboru. Gdyby nie chodziło o moją ciotkę, moja noga by tu nie stała.

– Współczuję straty – wtrąciła pospiesznie. – Uważasz więc, że doszło do przestępstwa?

– Tak to wygląda, choć nie mam nawet skrawka dowodu.

– A ci dwaj w samochodzie... Naprawdę sądzisz, że to wojskowi?

– Obecni albo byli. Muszę się dowiedzieć.

– Sprawdzenie rejestracji to nie problem. Ale samochód może być wypożyczony.

– I prawdopodobnie właśnie tak jest. A skoro tak, musieli podać nazwisko i pokazać prawo jazdy. Może to wystarczy do dalszych poszukiwań.

– Zaraz się do tego zabiorę.

– Jestem zobowiązany, Julie.

– Właśnie to chciałam usłyszeć.

– Jak sprawy w J2?

– Prawdę mówiąc, dość nudzi mnie ta rutyna.

– Myślisz o przeniesieniu się?

– Cała reszta mojej kariery wojskowej będzie serią przenosin, wyborów dyktowanych w dużej mierze przez innych ludzi. Tak już jest, gdy goni się za kolejnymi gwiazdkami.

– Wiem, poznałem to od podszewki na przykładzie ojca. Pewnie

też dlatego zdecydowałem się zatrzymać poniżej rangi oficera. Tam, gdzie zaczynają się belki i gwiazdki, trzeba za dużo główkować.

– Jesteś żołnierzem i światłym człowiekiem, Puller. – Umilkła, a gdy odezwała się ponownie, usłyszał subtelną zmianę w jej głosie, tak jakby przełączała się z trybu wojskowego na bardziej ludzki. – Więc jakie są twoje plany długoterminowe?

– Zakończyć sprawę tutaj i zabrać stąd swój zadek z powrotem do Quantico. CID na pewno znajdzie mi jakieś zajęcie.

– Nie wątpię. Od przestępstw popełnianych przez żołnierzy nie ma wakacji, Puller. Zwłaszcza gdy ma się do czynienia z setkami tysięcy mężczyzn, głównie młodych, rozsianych po świecie, z których każdy próbuje zachowywać się jak prawdziwy macho. Dodaj do tego miliardy dolarów z pieniędzy podatników i sprawy się komplikują. Ręce sięgają po zakazany owoc.

– Oraz do cudzych gardeł.

– Więc widzisz siebie w żandarmerii do końca kariery?

– Szczerze mówiąc, nie wybiegałem tak daleko w przyszłość.

– A powinieneś. Młodszy już nie będziesz.

Przez moment Pullerowi wydawało się, że miała zamiar powiedzieć: „Młodszy już nie będziemy”.

– Cenna rada.

– Pod warunkiem, że weźmiesz ją sobie do serca. Zadzwoń, jak tylko dowiem się czegoś na temat tego samochodu. A w międzyczasie zadbaj o to, żeby nie dać się zabić. Dopiero zaczynam cię lubić.

– Postaram się.

– Mówisz, że ciotka zapisała ci dom w spadku?

– Tak powiedział prawnik.

– Dom w Paradise?

– W rzeczy samej.

– Chyba będę musiała przyjechać i go obejrzeć.

– A to dlaczego?

– No wiesz? Czy to nie oczywiste? Nigdy nie byłam w Paradise. Chętnie sprawdzę, czy ta miejscowość zasługuje na swoją nazwę.

– Jak na razie nie.

Puller zakończył rozmowę i rozmyślał nad kolejnym krokiem. Spojrzał na zegarek. Skoro nie musi jechać na policję i wnosić oskarżenia, ma trochę wolnego czasu przed kolacją z Landry.

Na liście rzeczy do zrobienia figurowało kilka pozycji.

Wybadać prawnika Griffina Masona.

Sprawdzić, co u Diega i jego kuzynostwa.

Odtworzyć szesnastokilometrową trasę tam i z powrotem, którą ciotka pokonywała swoim samochodem.

Szybko podjął decyzję: zajrzy do Diega.

Tak na wszelki wypadek.

41

– Nie ma go.

Puller stał w progu ciasnego mieszkania Diega i spoglądał na Isabel. Mały Mateo z kciukiem w buzi wychylał się z za jej pleców.

– Czy to wyjątkowa sytuacja? Że go tu nie ma? Wydawało mi się, że spędza dużo czasu na ulicy.

– Wraca na lunch. Ale nie wrócił. Zawsze przychodzi przed szóstą, tym razem nie przyszedł – wyjaśniła Isabel.

– Masz telefon?

Pokręciła głową.

– Kiedy wyszedł?

– Dziś rano. Pracowałam do późna w restauracji z *mi abuela*. Diego był tu i opiekował się Mateem. Wyszedł, zanim wstałam. *Mi abuela* też nie słyszała, jak wychodził. Bardzo się martwię.

– Mówił wczoraj, co zamierza dzisiaj robić?

Ponownie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Zwykle chodzi na plażę. Sprzedaje różne rzeczy turystom. Czasem pracuje dla hoteli.

– Chyba jest na to za młody, prawda?

Popatrzyła na niego, jakby urwał się z choinki.

– Okej, rozejrzę się za nim – rzekł Puller.

Spojrzał na sińce, pamiątkę po pobiciu przez gang trojga.

– Kręcił się tu któryś z tych drani, Isabel?

– Żadnego nie widziałam. Słyszałam, że znów ich pan stłukł. A także ich kumpli.

– Od kogo o tym słyszałaś?

– Po prostu słyszałam.

Puller pokiwał głową.

– Podrzucę ci jednorazowy telefon i zostawię swoje namiary. Dzięki temu będziesz mogła mnie złapać, a ja będę miał z tobą kontakt. Okej?

Przytaknęła.

Dostarczenie dziewczynie komórki zajęło Pullerowi pół godziny. Potem wsiadł do tahoe i odjechał.

Diego będzie musiał zaczekać, choć to nie bardzo się Pullerowi podobało. Miał nadzieję, że chłopiec jest cały i zdrowy. Coś mu jednak podszeptywało, że rzeczywistość wygląda inaczej.

Dwadzieścia minut później skręcił w ulicę, przy której znajdowała się kancelaria Masona. Na podjeździe stało to samo infiniti.

Nie zatrzymał się jednak pod biurem Masona. Kawałek dalej zauważył niewielki dom z sztyldem od frontu i tam zaparkował. Wysiadł z auta, zapukał do drzwi. Otworzyła atrakcyjna blondynka po czterdziestce. Niska, o kobiecych kształtach, ubrana w krótką czarną spódnicę, czarne rajstopy i żakiet w tym samym kolorze. Rozpięta u góry biała bluzka odsłaniała dekolt i skrawek obfitego biustu. Ponieważ na dworze panował nadal ponadtrzydziestostopniowy upał, Puller przypuszczał, że wystarczy stanąć w otwartych drzwiach w tym oficjalnym stroju, i na dodatek w rajstopach, żeby oblać się potem.

– Czym mogę służyć?

– Nazywam się John Puller. Miałem wczoraj spotkanie z Griffinem Masonem w sprawie masy spadkowej. Nie jest moim prawnikiem. Reprezentował moją ciotkę, która niedawno zmarła.

Powiedział, żebym sprawdził referencje, zanim zdecyduję się wynająć go do zajęcia się formalnościami.

Pobladła.

– Grif wskazał mnie jako osobę, która udzieli mu referencji?

– Właśnie tak, pani Dowdy. Sprawia pani wrażenie zaskoczonej.

Jej nazwisko oraz zdjęcie znajdowały się na szyldzie przed domem. Zamieszczono tam również pomocną informację, że biegle włada hiszpańskim.

– Bo jestem. I naprawdę nie mam czasu na rozmowę.

Zacząła zamykać drzwi, ale Puller pokazał wojskowy identyfikator.

– Przyjechałem tu wczoraj z Waszyngtonu. Moja ciotka zmarła nagle. Nie znam w tym mieście żywej duszy. Próbuję działać na gorąco, zachowując przy tym należyta staranność. Jak w wojsku. Będę wdzięczny za wszelką pomoc z pani strony.

– Mój syn służy w marynarce.

– Nieraz korzystałem z ich transportu.

Patrzył na nią wyczekująco.

Zerknęła w stronę kancelarii Masona.

– Za dwadzieścia minut muszę wyjść na spotkanie, ale do tego czasu mogę odpowiadać na pańskie pytania. Proszę wejść.

Chwilę później siedzieli w jej biurze, które prezentowało się znacznie schludniej niż gabinet Masona.

– A więc, jak już wyjaśniłem, pani Dowdy...

– Proszę mówić mi Sheila – zaproponowała i wyjęła papierosa. – Bez obaw, jest elektroniczny. To cholerstwo naprawdę działa. Palłam przez dwadzieścia lat, a rok temu rzuciłam z dnia na dzień. Mam nadzieję, że moje płuca zdołają się zregenerować.

Puller obserwował, jak z papierosa unosi się smuga pary,

i ponownie skupił wzrok na kobiecie.

– Jak już mówiłem, Sheilo, sprawdzam referencje Masona. Zakładam, że pani go zna?

– Och, znam Grifa bardzo dobrze.

– Godzien polecenia?

– Jestem prawniczką. Jeśli powiem coś negatywnego, ktoś może mnie pozwać. Kto jak kto, ale Grif zrobiłby to z pewnością.

– No cóż, już sama ta uwaga jest czymś w rodzaju przeczącej odpowiedzi – zauważył Puller.

– Ale niepodlegającej zaskarżeniu – zaznaczyła pośpiesznie.

– Więc by go pani nie poleciła.

Oparła się na krzesło i uważnie mu się przyjrzała.

– Jak nazywała się pańska ciotka?

– Betsy Simon.

– Nie znałam jej. Skoro jednak powierzyła Grifowi obsługę prawną majątku, prawdopodobnie opłaca się mu ją pozostawić. Udzielę jednak pewnej rady: proszę pilnować rozliczeń finansowych.

– Bywają z tym problemy?

– Nie użyłabym słowa „bywają”.

– Więc dlaczego ludzie korzystają z jego usług?

– Musi dobrze zacierać ślady.

– Pani jednak swoje wie. Jak to się stało?

– Powiem tak: praktykuję tu prawo niemal tak długo jak on. Grupa naszych klientów jest bardzo podobna. Zajmujemy się takimi samymi sprawami. Prawnicy od prawa spadkowego to nie grube ryby z Wall Street od fuzji i przejęć. My się na naszej pracy nie bogacimy. Mnie się w każdym razie nie udało, choć, za przeproszeniem, zapieprzam jak motorek.

– Natomiast Mason się wzbogacił?

– Niech pan nie da się zwieść tej lichej kancelarii w starym domu. Ja mieszkam w East Paradise dwa kwartały zabudowań od wody, ponieważ nie stać mnie na nic lepszego. Jeżdżę ośmioletnią toyotą camry. Mason ma sporą działkę nad samym oceanem, której wartość zdecydowanie opiewa na siedmiocyfrową sumę. Prócz infiniti ma jeszcze porsche i astona martina. I podróżuje po całym świecie – Afryka, Azja, Bliski Wschód, Ameryka Południowa. Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się, że klienci by mu tego wszystkiego nie zapewnili. Przynajmniej nie świadomie.

– Więc ich okrada? Jak to możliwe, że nikt się nie połapał? Czyżby tylko u pani jego posiadłość oraz samochody wzbudziły podejrzenia?

– Trzeba to jeszcze udowodnić. Trzeba chcieć to udowodnić, a najwyraźniej nikt się nie kwapi. Jego klienci są starzy, później umierają. Spadkobiercy zwykle są spoza miasta. Wiem o tym, ponieważ pracuję w tym samym zawodzie.

– Coś jeszcze?

Postukała papierosem o biurko.

– Nie słyszał pan tego ode mnie... Poza tym jest coś jeszcze, co przyprawia mnie o gęsią skórkę.

– Co takiego?

– Wydaje się lubić dzieci. Lubi je zdecydowanie za bardzo, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Na jakiej podstawie pani tak uważa?

– Byłam z nim raz na przyjęciu dla prawników. Urznął się jak bela w hotelowym barze. Miałam już wychodzić, kiedy zaciągnął mnie z powrotem do stolika. Sądziłam, że chce wynająć pokój i zrobić ze mną szybki numer, choć coś takiego z nim nawet nie przemknęłoby mi przez myśl.

– Więc narzucał się już pani wcześniej?

– Ujmijmy to w ten sposób... Zawsze próbuje zaglądać mi w dekolt i obmacywać tyłek. Kiedy tylko ma okazję. A potem zaczął pokazywać mi zdjęcia wyjęte z portfela. – Umilkła i z obrzydzeniem zacisnęła usta. – Na wszystkich byli mali chłopcy i dziewczynki.

– Wyjaśnił, dlaczego je przy sobie nosi?

– Twierdził, że to jego dzieci. – Roześmiała się. – Od alkoholu chyba pomieszało mu się w głowie. Pewnie nawet nie pamięta, że mi je pokazywał.

– Jest pani pewna, że to nie jego dzieci?

Uśmiechnęła się i zaciągnęła papierosem.

– No cóż, zważywszy na fakt, że jest jasnowłosym Irlandczykiem, a dzieci na zdjęciach były Azjatami albo miały czarną skórę... Nie, jestem całkowicie przekonana, że nie są spokrewnieni.

42

Po kolejnym upalnym dniu ociekający potem robotnicy byli złąknieni zimnego piwa w klimatyzowanym barze.

Mecho zostawił ich przy butelkach i wrócił do swojego pokoju. Nie nawiązywał z nimi kontaktu podczas pracy i nie interesowało go ich towarzystwo w wolnym czasie. Im raczej to nie przeszkadzało. Gdyby było inaczej, też nie miałyby to dla niego znaczenia.

Nie miał pojęcia, o co chodziło we wczorajszej awanturze w pokoju obok – i niewiele go to obchodziło.

Widział za to, jak tamten mężczyzna się bije. Był dobry. W zasadzie doskonały.

A jednak pozwolił się osaczyć. Zginąłby, gdyby Mecho mu nie pomógł.

I może powinienem był na to pozwolić.

Ta myśl nie wydała się Mechowi wcale od rzeczy. Tamten mężczyzna nie jest stąd. A ludzie, którzy są gdzieś obcy, zwykle znaleźli się w tym obcym miejscu nie bez powodu.

Miał broń.

Siga P228. Lekko przerobionego. Dostrzegł to z daleka, pomimo kiepskiego oświetlenia.

Jego sprawność fizyczna, krótko ostrzyżone włosy, umiejętność walki wręcz wiele mówiły.

Mężczyzna był wojskowym. Amerykańskim wojskowym, sądząc po sposobie, w jaki odezwał się wczoraj do Mecha.

Wokół znajdowało się wiele baz wojskowych. Co nasuwało

pytanie, dlaczego wojskowy zatrzymał się w takim miejscu jak Sierra. Oraz czym rozjuszył ulicznych chuliganów.

Może niczym.

Mecho nie zrobił nic, czym mógłby wkurzyć ludzi, którzy ścigali go tamtej nocy po ulicach. Byli jak hieny wypatrujące ofiar we wszystkich przewidywalnych miejscach i od czasu do czasu trafiające na kogoś, kto stawiał opór. Wtedy hieny uciekały. Nieodmiennie.

Siedząc na łóżku, zapomniał o Pullerze i analizował dodatkowe informacje zebrane tego dnia w posiadłości Lamperta.

Po krótkiej rozmowie z Chrissy Murdoch sumiennie pracował dalej. W pobliżu kępy drzew zobaczył jedną ze służących rozmawiającą z człowiekiem zajmującym się basenem. Przesunął się w ich stronę i nasłuchiwał. Kiedy służąca zakończyła rozmowę, podszedł jeszcze bliżej.

Wydawała się przestraszona jego widokiem. Ale odezwał się do niej po hiszpańsku i uśmiechnął rozbrajająco. Zagaił rozmowę, nie przerywając pielęgnacji trawnika. Jej rezerwa osłabła. Odpowiedzi się wydłużały.

Nazywała się Beatriz. Była bardzo piękna. Miała gładką jasnobrązową cerę. Włosy ciemne, bujne, pachnące kokosem. Widać było, że o nie dba. Rzadko pracowała na zewnątrz. Świadczyły o tym kondycja skóry oraz gładkość dłoni. Pochodziła z Salwadoru, tak powiedziała. Pracowała tu od dwóch lat. Wyglądała zdrowo, musiała stosować właściwą dietę. Miała nieskazitelnie czysty mundurek. Nie przypłynęła tu jedną z tamtych łodzi, przynajmniej tak mu się wydawało. Ale nie miał pewności.

Zapytał ją po hiszpańsku, jak tu trafiła.

I otrzymał odpowiedź.

Dziewczyna odwróciła wzrok i czmychnęła.

Zastanawiał się, czy wie, co jej imię oznacza po hiszpańsku.

Szczęśliwa.

Nie przybyła z bardzo daleka – w sensie geograficznym. Odbyła jednak podróż będącą odpowiednikiem lotu na Księżyc. Dobrze to wiedział.

Mieszkała teraz w wielkim domu, nosiła swój nieskazitelnym mundurek i miała pod dostatkiem jedzenia. Wątpił, by tego doświadczyła w swym ojczystym kraju.

Powinna więc być szczęśliwa.

Wiedział jednak, że tak nie jest.

Nie można być szczęśliwym, kiedy jest się niewolnikiem, bez względu na to, jak dobrze cię traktują.

Wciąż jesteś niewolnikiem.

Uklęknął i zaczął zbierać drobne gałązki oraz liście. Lampertowie, powiedziano mu, wymagają perfekcyjnie utrzymanych trawników, nie tolerują żadnych niedoskonałości. Dobrze za to płacili. Prawdopodobnie tygodniowo wydawali więcej na usługi ogrodnicze niż większość ludzi zarabia w ciągu roku.

I może Lampert nie chciał żadnych skaz na swoim wymuskanym trawniku, by zrekompensować szpetne rany, które zadawał innym. A może nie był człowiekiem aż tak refleksyjnym i nie poświęcał tej kwestii najmniejszej uwagi.

Mecho wstał i wsypał odpadki ogrodowe do worka, który ze sobą nosił.

Wiedział, że ochrona baczniej go teraz obserwuje, ale najwyraźniej pogawędka ze zwykłą pokojówką nie urastała do rangi występkę wymagającego podjęcia działań, tak jak w wypadku rozmowy z którąś z pań na włościach.

Poczuł w pobliżu czyjąś obecność, obrócił się i ujrzał Chrissy

Murdoch wychodzącą z głównego budynku w towarzystwie mężczyzny, który przywiózł ją tu swoim maserati.

Mężczyzna miał na sobie garnitur z gniecionego lnu, białą koszulę oraz czerwoną muszkę, do tego mokasyny wsunięte na bose stopy. Był chodzącą reklamą z kolorowego magazynu, gdzie wszyscy wyglądają perfekcyjnie i wiodą perfekcyjne życie.

Czy pańskie życie jest doskonałe, sir? Może zechciałby pan odrobiny niedoskonałości? Żebym zajął się pańską doskonałą, zadowoloną z siebie twarzą i rozłupał ją na dwie połowy?

Chrissy była ubrana w długą powłóczystą suknię z białej bawełny, ozdobioną falbanką przy dekolcie. W ostrym świetle mocno prześwitywała, pozwalając Mechowi napawać oczy rozpalającym wyobraźnię widokiem. Kapelusz z szerokim rondem chronił twarz przed prażącym słońcem. Sandały odsłaniały szczupłe opalone stopy z pomalowanymi różowym lakierem paznokciami.

Chrissy go zauważyła i do niego pomachała. Mecho rozejrzał się dokoła, czy nie ma w pobliżu kogoś, do kogo byłby skierowany ten gest, ale nikogo nie dostrzegł. Mężczyzna nawet tego nie zauważył. Był zatopiony we własnym świetle do tego stopnia, że nie zdawał sobie sprawy, że Peter J. Lampert posuwa jego kobietę.

Mecho zaczął robić się podejrzliwy. To nienaturalne, by ktoś taki jak ona zwracał uwagę na kogoś takiego jak on. Musiał istnieć jakiś inny powód. Nie odwzajemnił pozdrowienia, tylko wrócił do pracy.

Odjechali maserati, a Mecho zastanawiał się, czy Chrissy zmyła z siebie zapach seksu, zapach Petera J. Lamperta. Może o to nie dbała. Może jej mężczyzna też o to nie dbał.

Życie mimo wszystko jest piękne.

Wyszedł przez główną bramę i zajął się krzewami. Ustawiwszy się w miejscu, gdzie nikt nie mógł go widzieć, pstryknął telefonem kilka zdjęć bramy oraz urządzeń monitoringu. Był przekonany, że

zdoła znaleźć po ciemku dokładną lokalizację linii przesyłowej. Lepiej, żeby zdołał.

Długi dzień wreszcie dobiegł końca i oto Mecho siedział w swoim pokoju.

Powrócił myślami do Chrissy Murdoch. Coś tu wyraźnie nie grało. Nie umiał jednak sprecyzować co. Będzie musiał głębiej się nad tym zastanowić. Wiele rzeczy może pójść źle i w przypadku niektórych tak się stanie. Ale części z nich da się zapobiec. Chrissy Murdoch może należeć do tej drugiej grupy.

Położył się na łóżku w wilgotnym upale. Parne powietrze mu nie przeszkadzało. Wytrenował swój umysł, by ignorował taki fizyczny dyskomfort. A gdy umysł nie zwraca na takie rzeczy uwagi, ciało też nie reaguje. Umysł kontroluje doznanie bólu. I potrafi ten ból odegnąć. Ta prosta filozofia pozwoliła mu przetrwać niejedną mękę.

Tego wieczoru będzie zajęty. Ma do zrobienia dwie rzeczy.

Pierwsza z pewnością nastęrczy problemów.

Druga może okazać się katastrofalna.

Ale przyjechał tu po to, by podjąć ryzyko, nie zaś po to, żeby go unikać.

43

Cheryl Landry nie przyszła w mundurze. Miała na sobie błękitne spodnie do połowy łydki, żółtą bluzkę bez rękawów i białe sandały. Uwolnione spod policyjnej czapki włosy rozpuściła na ramiona.

Puller wstał od restauracyjnego stolika, żeby ją przywitać.

Wziął za opłatą prysznic w lokalnym YMCA i przebrał się w świeże ubranie – spodnie khaki, koszulę z krótkim rękawem oraz mokasyny.

Kiedy usiadła, Puller odniósł wrażenie, że wygląda na nieco skrepowaną, jak gdyby lepiej się czuła w mundurze i ciężkich buciorach niż w stroju, w którym się pojawiła.

Kelnerka przyniosła karty. Puller przeglądał menu, jednocześnie lustrując wzrokiem gości przy innych stolikach.

Landry go na tym przyłapała.

– Inspekcja lokalu?

– Zawsze dobrze jest orientować się w wyjściach awaryjnych. Tak na wszelki wypadek.

– Jedno za barem, drugie na lewo od kuchni.

– Widzę, że ty też lubisz się rozejrzeć.

– Nigdy nie zawadzi.

– Co tu podają dobrego? – zapytał, wskazując na menu.

– Przegrzebki, mieczniki, małże. Oraz nowojorski befsztyk, jeśli gustujesz w krowach.

Zamówili napoje i dania. Puller wybrał miecznika zamiast wołowiny.

Rozsiedli się wygodniej na krzesłach i Landry wreszcie skupiła uwagę na Pullerze.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie wiem. A powinnam?

– Możemy tak kręcić się w kółko bez końca.

– To ty zaprosiłeś mnie na kolację, nie odwrotnie.

– Zgadza się.

– Wiesz, Puller, naprawdę wprowadzasz nerwową atmosferę.

– Już mi to kiedyś mówiono.

– Nie wątpię. Rozprawienie się z ośmioma facetami naraz. Staranowanie samochodu, no, prawie. Prowadzenie śledztwa na własną rękę. Dowiedzieliśmy się też, że pobrałeś odciski palców ciotki do badań porównawczych. Komendant nie był zachwycony.

– Prawo nie zabrania zobaczenia zwłok własnej ciotki.

– Zabrania natomiast utrudniania policji dochodzenia.

– Odniosłem wrażenie, że go nie prowadzicie, więc co konkretnie utrudniam?

– To nie takie proste i dobrze o tym wiesz.

– Doprawdy?

Zaserwowano napoje oraz przystawki. Oboje rzucili się na talerze, może chcąc uniknąć w ten sposób dalszej rozmowy, przynajmniej jak długo się da. Powrócili do tematu dopiero po zjedzeniu przekąsek.

Landry wypiła łyk rieslinga i popatrzyła na Pullera.

– Gotowa do wznowienia wojny Dwóch Róż¹⁶?

– Och, nawet jej nie zaczęłam.

– Myślę, że powinniśmy być po tej samej stronie. Podzielić się kompetencjami.

- Nosimy różne mundury.
 - Aż tak bardzo się od siebie nie różnią.
 - Posłuchaj, nie twierdzę, że twoja ciotka nie została zamordowana.
 - A ja nie upieram się, że to na pewno zabójstwo. Śledztwo prowadzi się, aby to ustalić. Więc nie widzę problemu.
 - Przyjeżdżasz, robisz swoje i, powiedzmy, odkrywasz, że ją zamordowano.
 - No i?
 - I co dalej?
 - Znajduję zabójcę.
 - Błąd. To zajęcie dla policji. Czyli moja działka.
 - Więc chcesz, żebym odwalił całą czarną robotę, a samo aresztowanie pozostawił tobie?
 - Nie potrzebuję twojej pomocy, żeby zebrać pochwały – rzekła obruszona.
 - Wcale tego nie powiedziałem. Więc na czym stanęło?
 - Nie wiem.
 - Mogłabyś ze mną współpracować.
- Rzuciła mu ostre spojrzenie.
- Zwykle działam w pojedynkę – dodał. – Więc to niezwykła propozycja. Świadczy o moim ogromnym zaufaniu.
 - A jak miałyby wyglądać ta współpraca? Zajmowałabym się tym w wolnym czasie, którego mam tak niewiele?
 - Tak.
 - Co potem? Rozwiązujemy sprawę i ostentacyjnie popisujemy się tym przed moim szefem? A co z moją policyjną karierą?
 - Nie twierdzę, że to pchnęłoby ją naprzód. Jeśli kariera jest

twoim jedynym celem, powinnaś odrzucić moją propozycję.

– A jaki miałabym mieć inny cel?

– Postawienie przed sądem osoby, która zabiła starszą panią. – Pochylił się do przodu z grymasem gniewu, który nagle go ogarnął.

– Miałem nadzieję, że właśnie po to przypięłaś policyjną odznakę.

– Nie stawiaj mnie do kąta. Nie zasłużyłam sobie na to.

– Jeszcze dwadzieścia sekund temu bym się z tobą zgodził.

– Naprawdę chcesz brnąć dalej? Mogę solidnie uprzykrzyć ci życie.

– Odnoszę wrażenie, że lokalna policja już się o to znakomicie postarała.

– Mam znacznie więcej wyczucia niż Hooper.

– Cheryl, nie zależy mi na robieniu sobie wrogów. Próbuję jedynie dociec prawdy. Gdyby coś takiego wydarzyło się w twojej rodzinie, nie wierzę, że tak po prostu byś odpuściła.

Ta uwaga najwyraźniej przebiła mur wzniesiony przez Landry w trakcie rozmowy. Odwróciła wzrok, spuściła oczy, zdradzając tym samym wszystkie klasyczne oznaki kapitulacji, dobrze znane Pullerowi z przesłuchań wielu podejrzanych.

– Rozumiem, jak się czujesz – rzekła po chwili. – Naprawdę rozumiem.

– Okej. Myślę więc, że pozostaje kwestia ustalenia, co dalej. Dla jasności: zamierzam nadal sondować sprawę. Taką mam naturę.

Umilkł, szukając na twarzy Landry reakcji. Ponieważ się nie odzywała, kontynuował:

– Jeżeli natknę się na coś istotnego, przyjdę z tym do ciebie. Wtedy zadecydujemy, jakie podjąć kroki. Czy taki plan wydaje się realny?

– Co określasz mianem istotnej informacji? Jeśli podejrzanego

albo zwłoki, może być za późno na działanie.

– Będę starał się informować cię o wszystkim na bieżąco. Co ty na to?

– A gdybym współpracowała z tobą w wolnym czasie?

Wnikliwie się jej przyglądał.

– Tak wolisz?

– Myślę, że tak. Zresztą sugerowałeś to na początku rozmowy, prawda?

– Prawda. Ale nie spodziewałem się, że na to pójdziesz. Skąd taka decyzja?

– Nie lubię, jak ludzie umierają bez powodu.

– No to się dogadaliśmy.

Gdy wychodzili z restauracji, zawibrował telefon Pullera. Wiadomość od generała Carson. Sprawdziła numery rejestracyjne.

Przeczytawszy informację, Puller szeroko otworzył oczy.

Sprawa wkroczyła właśnie na zupełnie inny poziom.

44

– Masz ochotę do mnie wstąpić i jeszcze o tym pogadać? – zapytała Landry po wyjściu z restauracji.

Puller nie zwracał na nią uwagi. Wpatrywał się w telefon. A konkretnie w wyświetloną na ekranie wiadomość.

– Przepraszam, jeśli cię zanudzam – rzuciła ze złością Landry, spoglądając na komórkę w jego dłoni.

Schował telefon do kieszeni.

– Przepraszam, właśnie dostałem wiadomość. Co mówiłaś?

– Pogadamy jeszcze? U mnie? Możemy też pospacerować po plaży. Jak wolisz. Jeśli odmówisz, nie obrażę się. Po prostu staram się być miła. No i odciągnąć cię od ulicy i kłopotów.

Puller się zastanawiał. Nie miał noclegu, nie sądził jednak, by ponowne wpraszanie się do Landry było dobrym pomysłem. I choć zakończył zbieranie śladów w domu ciotki, wciąż czuł się nieswojo na myśl o spędzeniu tam nocy. Oczywiście miał wszelkie prawo z niego korzystać, ponieważ ciotka zapisała mu go w spadku. Rzecz sprowadzała się w istocie do tego, że Puller uważał, że nie zasługuje na to lokum, póki nie wyjaśni okoliczności śmierci ciotki. Zwłaszcza po tylu latach zaniedbań, braku kontaktu, dopuszczenia do tego, by wypadła z jego życia jak niepotrzebny grat.

– Znasz w Paradise jakieś miejsce, gdzie mógłbym zatrzymać się na noc? – Umilkł i się uśmiechnął. – Jeśli uważasz, że to dla mnie bezpieczne.

– Dlaczego nie przenocujesz w domu ciotki?

– Jeśli ci goście z chryslera mnie śledzą, z łatwością mnie

namierzą.

– Naprawdę uważasz, że cię szpiegują?

– Trudno jednoznacznie powiedzieć. Póki nie mam pewności, wolę nie ryzykować.

– Jest takie jedno miejsce. Gull Coast przy Gulfstream Avenue. Dwie przecznice na południe od Sierry. Trochę droższe, ponieważ znajduje się bliżej plaży, ale nie będziesz się musiał martwić, że ktoś cię zamorduje w trakcie mycia zębów.

– W sam raz dla mnie. Dziękuję.

– To jak? Chcesz się później spotkać? Zwykle spaceruję wieczorem po plaży w pobliżu mojego wieżowca.

– Spotkajmy się tam za godzinę. Wcześniej zdążę się jeszcze zameldować w Gull Coast.

– Okej. Do zobaczenia.

Każde wsiadło do swojego samochodu. Wyjechawszy z parkingu, Puller wstukał numer telefonu.

– Ciekawe, dlaczego to tyle trwało – powiedziała Carson po drugiej stronie linii. – Sądziłam, że zadzwonisz natychmiast po odczytaniu mojej wiadomości.

– Coś mnie zatrzymało. Ale wyjaśnij mi jedną rzecz. Jak to możliwe, żeby ktoś kazał Pentagonowi odstąpić od sprawdzania jakiejś głupiej rejestracji?

– Namierzyliśmy ją. W dużej chmurze gdzieś po drugiej stronie Pacyfiku. Okej, żartuję, ale równie dobrze mogłoby tak być. Całkowicie ślepa uliczka. Byłam tak samo zaskoczona jak ty. Spodziewałam się, że to będzie jakaś prywatna firma. I wtedy otrzymaliśmy telefon, by zaprzestać inwigilacji.

– Telefon od kogo?

– Oficjalne źródło nie chciało się przedstawić niskiej rangą

generał brygady. Dostałam rozkaz od zwierzchnika.

– Będziesz miała kłopoty?

– Nie sędzę. Ale mogę się mylić.

– Poprosiłem znajomą w USACIL o namierzenie tej rejestracji. Zadzwoił do mnie pułkownik Walmsey. Próbował wzbudzić we mnie poczucie winy i wymusić na mnie powrót oraz ogarnięcie bałaganu, ale gdy zorientował się, kim jest mój ojciec, nagle się wycofał. Ciekawe, czy i on dostał ostrzeżenie.

– Tego nie wiem. W każdym razie my tak. A J2 nie przywykł do obrywania po łapach, zapewniam.

– Kto ma taką moc?

– Lista nie jest długa. Gdy wierchuszka chce zachować coś w tajemnicy, to zachowa, czy to słuszne, czy nie.

– Jako żołnierz rozumiem. Jako podatnik jestem więcej niż trochę wkurzony.

– Wkurzaj się do woli. Jest jak jest.

– A co z tamtymi dwoma?

– Diabli wiedzą. Jak wyglądali?

– Tak jak ja, tylko niżsi.

– A zatem byli wojskowi, jak sugerowałeś podczas naszej ostatniej rozmowy.

– Nie jestem w stu procentach pewien, pani generał.

– Pani generał?

– Znów rozmawiamy w godzinach służbowych.

– Okej – odparła rozbawionym tonem.

– Mogą być po naszej stronie. Skoro przyszedł rozkaz ucięcia poszukiwań, może właśnie tak jest.

– Niewykluczone. Nasuwa się w takim razie pytanie, w co ty się,

Puller, do ciężkiej cholery, wplątałeś.

– Reperkusje z Wirginii Zachodniej?

– Tak sobie pomyślałam. Dotknęliśmy wielu bardzo wrażliwych kwestii. Wydawało się, że wszystko poszło znakomicie, zostałeś bohaterem, ale znasz D.C. Sporo mogło się zmienić. Może szukają kozła ofiarnego z nieznanych nam obojgu powodów. Zresztą nie pierwszy raz.

– I to ja miałbym być tym kozłem ofiarnym?

– Racz sobie przypomnieć, że też byłam w to zaangażowana.

– Po co mieliby śledzić mnie aż tutaj...

Ścisnął telefon z taką siłą, że odniósł wrażenie, jakby pod palcami ugięła się obudowa.

– Puller?

– Oddzwonię później.

– O co chodzi?

– Oddzwonię.

Rozłączył się i ostro skręcił w prawo.

Uznał, że faceci z chryslera na niego polują, ponieważ nieustannie spotykał ich na swojej drodze.

Nie powinien był wyciągać takich wniosków.

O ile prawdą było, że go szpiegują – bądź co bądź widziano ich w okolicy Sierry – musieli podjąć gdzieś trop.

Wiedział, gdzie mogło się to stać.

Dom ciotki.

Może wcale nie śledzą jego. A cała sytuacja nie ma związku z tym, co wydarzyło się w Wirginii Zachodniej. Niewykluczone, że obserwują dom Betsy Simon.

Podejrzewanie ich o zabójstwo ciotki nie wydawało się aż tak

wielką przesadą. Nie obchodziło go, czy są z Pentagonu albo czy ktoś na samej górze próbuje uciszyć sprawę. Jeśli zamordowali jego ciotkę, to za to zapłacą.

Docisnął pedał gazu i pomknął w mrok.

45

Puller zaparkował dwie przecznice od domu ciotki i resztę drogi przebył pieszo.

Wybrał bardzo okrężną trasę. Jeśli rzeczywiście maczali w tym palce ludzie, którzy byli zdolni powstrzymać Pentagon, Puller musiał przeskoczyć na wyższy poziom gry, stosownie do okoliczności.

Stanął niedaleko ogrodzenia i obserwował teren. Była dziesiąta wieczorem, ciemność spowiła nawet Emerald Coast, gdzie słońce rzekomo nigdy nie zachodzi. Na Orion Street panował spokój. Od wody wiała lekka orzeźwiająca bryza. Ktoś gdzieś zapalił silnik, jego warkot zakłócił ciszę.

Puller przykucnął i schował się za krzakiem, żeby usunąć się z linii reflektorów. Samochód przejechał obok. Nie był to sedan z dwoma mężczyznami w środku.

Ale Puller i tak go rozpoznał.

Niebieski ford fiesta, za kierownicą Jane Ryon. Światło ulicznych latarni wyraźnie wydobyło z mroku wgniecenie w drzwiach.

Co ona tutaj robi? Przecież zabrała już swoje rzeczy z domu ciotki.

Nie miał szans jej śledzić. Ford już prawie zniknął za zakrętem. Zanim Puller dobiegłby do swojego samochodu i ruszył w pościg, na drodze zostałyby tylko kurz.

Wychynął zza krzewu na otwartą przestrzeń i szedł dalej chodnikiem, wodząc wzrokiem na wszystkie strony niczym radar.

Dotarł do domu ciotki i postanowił wejść drzwiami od ogrodu. U Cookiego paliły się światła. Najwyraźniej emerytowany piekarz spędzał wieczór w domu. Albo jeszcze nie wyszedł.

Idąc przez ogród za domem, usłyszał ciche szczeknięcie. Potruchtął do płotu i zajrzał na drugą stronę.

Sadie zadarła głowę i znów szczeknęła.

Puller przyjrzał się psu, a potem przeniósł wzrok na dom Cookiego. I jeszcze raz spojrzął na psa.

Co mówił mu Cookie? Znał Storrowów, parę znaną martwą na plaży. Przyjaźnili się. Ich śmierć go zszokowała. Podobnie jak śmierć Betsy. Nie było w tym nic zaskakującego. Ale jedno pytanie pozostawało bez odpowiedzi.

Czy Betsy Simon znała państwa Storrowów?

Patrzył na szczekającą Sadie. Piesek wydawał się smutny. I samotny. Oraz, jeśli to możliwe, jakby lekko skonsternowany.

Cookie opowiadał, że zwykle wypuszcza Sadie do ogrodu późnym rankiem, żeby załatwiła swoje sprawy. Podczas poprzedniej wizyty w jego domu Puller widział kolekcję smyczy wiszących na kołku przy tylnych drzwiach. Widział też, jak Cookie wyprowadza pieska.

Na Florydzie nierzadko zdarzały się węże, aligatory oraz inne nocne drapieżniki. Czy Cookie zostawiłby małego pieska samego na dworze o tej godzinie, nawet na ogrodzonym terenie?

Puller przesadził płot i wylądował obok Sadie. Zdezorientowane zwierzę odskoczyło i znów zaczęło ujadać. Jedną ręką podniósł psa, drugą wyciągnął broń. Sadie ucichła, być może wyczuwając, że coś jest nie w porządku. Delikatnie polizała ramię Pullera.

Nie spuszczał wzroku z budynku. Dotarł do ogrodowych schodów i wspiął się po nich bezszelestnie. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wśliznął się do środka, sprawdzając wszystkie

miejsca, w których można było urządzić zasadzkę. Dopiero potem odważył się wkroczyć głębiej.

Przygarbiony penetrował pomieszczenie po pomieszczeniu, posuwając się wzdłuż ścian i ograniczając w ten sposób komuś zaczajonemu we wnętrzu okazję do wzięcia go na muszkę.

Przeszukiwanie domu zakończyło się w łazience na piętrze.

Postawił Sadie na podłodze. Piesek zaczął zlizywać wodę.

Odłożył pistolet i patrzył na Cookiego.

Był nagi. W wannie.

A dokładniej – leżał na dnie wanny.

Puller nie poruszył się, żeby go wyciągnąć i podjąć próbę reanimacji. Na nic by się to nie zdało.

Oczy patrzyły na Pullera.

Oczy martwego mężczyzny.

Oficjalną przyczyną śmierci będzie utonięcie, nie miał co do tego wątpliwości.

Tak samo jak w wypadku ciotki.

Osoby znalezione pod wodą zwykle umierały z powodu niepożądanego obecności wody w płucach.

Rodziło się pytanie, jak doszło do całkowitego zanurzenia.

I tu nasuwały się trzy możliwe scenariusze.

W grę wchodziły: nagłe zachorowanie, atak serca, udar, napad padaczki albo reakcja na lek, która spowodowała utratę przytomności. Cookie osunął się pod wodę i umarł.

Albo uderzył się w głowę, zemdlął i opadł na dno wanny.

Albo ktoś przytrzymał go pod wodą.

Puller nie brał pod uwagę czwartej możliwości, czyli samobójstwa. Wydawało mu się nierealne.

Organizm reagował awaryjnie na próbę samobójstwa przez utopienie. Walczył o powietrze. Można odebrać sobie w ten sposób życie w oceanie, ponieważ odcina się sobie możliwość dopłynięcia do brzegu.

Ale nie w wannie.

Puller dostrzegł na umywalce obok wanny buteleczki z lekarstwami. Nie dotykał ich, odczytał tylko etykiety.

Tabletki na nadciśnienie. Kapsułki przeciw zatrzymywaniu się wody w organizmie. Lek na artretyzm. Na poprawę krążenia. Beta-blokery. Pigułki, które przypuszczalnie miały zapobiegać interakcji z innymi lekami. Rząd buteleczek ciągnął się bez końca.

Witajcie w świecie ludzi starych w Ameryce, kraju bezkarnego nadużywania leków.

Puller rozejrzał się jeszcze raz, rejestrując drobne szczegóły, które mogą mieć wielkie znaczenie. Nie zauważywszy nic więcej, doszedł do wniosku, że wystarczająco długo naruszał przestrzeń, która przestała być domem na przedmieściach, a stała się potencjalnym miejscem zbrodni.

Wyjął telefon i zadzwonił na dziewięćset jedenaście.

Zanosilo się na długą noc.

46

Długa noc nie zaczęła się zbyt dobrze.

Policyjny radiowóz z włączonymi światłami alarmowymi i ryczącą syreną, rozdzierającą spokój nocy, zatrzymał się gwałtownie przy krawężniku.

Wsiadł z niego Hooper i wyciągnął broń, gdy tylko Puller odsunął się od budynku. Drugi policjant był tak podobny do Hoopera, że mógłby być jego bratem. On też wyjął pistolet.

– Niech to szlag, nie do wiary! – powiedział Hooper, taksując Pullera wzrokiem.

– Landry jest już po służbie. Dlaczego pan nadal pracuje?

– Nie twój interes – warknął Hooper. Zwrócił się do swojego kolegi. – Boyd, to ten palant, o którym ci opowiadałem.

– Zwłoki są w łazience na górze – poinformował Puller.

– Jeśli coś majstrowałeś na miejscu zbrodni, tkwisz po uszy w gównie – rzucił Hooper, trzymając wymierzony w Pullera pistolet.

– Hoop – odezwał się Boyd. – A skąd wiadomo, czy to nie nasz ptaszek?

– To ja zawiadomiłem policję – rzekł Puller. – Czekałem na wasz przyjazd. Po co miałbym to robić, gdybym był „waszym ptaszkiem”?

Hooper odezwał się protekcyjnym tonem:

– Po to, żebyśmy cię nie podejrzewali. Ja nie mogę, czy wszyscy w tym wojsku jesteście tacy tępi?

– A motyw? – zapytał Puller.

– Nie nasze zmartwienie – odparł Hooper. – Tylko twoje.

– Tak się składa, że nasz system sądownictwa karnego przestrzega zasady domniemania niewinności, dopóki wina nie zostanie udowodniona poza wszelką wątpliwość – przypomniał Puller. – Więc to akurat wasze zmartwienie.

Podjechał drugi wóz policyjny, za nim karetka. Wsiadł komendant Bullock. Był w ubraniu cywilnym, Puller doszedł zatem do wniosku, że odebrał zgłoszenie w domu.

Minął policjantów i podszedł prosto do Pullera.

– Co mamy?

– Martwy mężczyzna w wannie. Brak śladów walki. Mógł nagle zasłabnąć i stracić przytomność. Autopsja powie nam znacznie więcej. Kilka minut przed znalezieniem ciała widziałem odjeżdżający stąd samochód. Niebieski ford fiesta ze sporym wgnieceniem w drzwiach od strony pasażera.

– Kto był w środku?

– Niejaka Jane Ryon. Opiekowała się moją ciotką. Znała również denata. Nie wiem, czy odjechała spod tego domu, czy nie. Jeśli tak, będzie musiała gęsto się tłumaczyć.

Hooper i Boyd stali beczynnie z rozdziawionymi ustami, podczas gdy Bullock rozmawiał z Pullerem.

Wreszcie komendant obejrzał się na nich i powiedział:

– Ej, Hoop, na co, do cholery, czekasz? Zabezpiecz teren. Mamy tu potencjalne miejsce zbrodni. Ty też, Boyd.

Obaj policjanci schowali broń do kabury i pospiesznie zabrali się do pracy.

Bullock ponownie odwrócił się do Pullera.

– Czasem nie wiem, po co w ogóle się staram, skoro mój

personel składa się z osobników takich jak oni.

– Ma pan Landry.

– Gdybyśmy tu mieli tylko takie Landry, nie skarżyłbym się ani przez sekundę.

Popatrzył na dom.

– Jeśli okaże się, że to zabójstwo, będzie czwartym takim zdarzeniem w ciągu zaledwie kilku dni. To mi się nie podoba. Zupełny brak proporcji w stosunku do liczby mieszkańców. Odstraszy turystów. Rada miejska nie będzie zachwycona.

– Są jakieś tropy w sprawie zabójstwa państwa Storrowów?

– Ani jednego. Nikt nic nie widział. Nikt nic nie słyszał. Ale zostali zamordowani, co do tego nie ma wątpliwości.

– Cookie, ten mężczyzna w wannie, znał Storrowów.

– A skąd pan wie, do diabła?

– Mówił mi.

– Jest jakieś powiązanie.

– Tak.

– Moi technicy zjawią się tu lada chwila. A ja pójdę teraz zobaczyć to na własne oczy.

– Lepiej tak.

Ruszył przed siebie. Puller został na miejscu.

– Idzie pan?

– Za chwileczkę. Muszę najpierw coś sprawdzić.

Bullock wszedł do środka, Puller zaś pospieszył do swojego samochodu, mijając najpierw Hoopera, a następnie Boyda, którzy rozciągali żółtą taśmę policyjną. Obydwaj łypnęli na niego spode łba. Zwyczajnie ich zignorował.

Otworzył tylne drzwi chevroleta tahoe i zaczął grzebać w torbie.

Znalazł fotografie, które zabrał z domu ciotki. Szybko przerzucił je w palcach.

Znalezienie właściwej zajęło mu pełne dwie minuty. Przysunął ją ku lampce w kabinie samochodu.

Fotografia przedstawiała ciotkę.

Oraz otaczających ją z dwóch stron państwa Storrowów. Rozpoznał ich twarze ze zdjęcia w porannej gazecie.

Najwyraźniej się z nimi przyjaźniła, podobnie jak Cookie.

A teraz wszyscy nie żyli.

Spojrzał na dom Cookiego, a później na dom ciotki.

Jeśli tak dalej pójdzie, przy Orion Street nie zostanie żywa dusza.

47

Puller zadzwonił do Landry i zrelacjonował, co się stało.

– Nie zdążę dojechać za godzinę – oznajmił. – Przepraszam.

– Czy komendant Bullock mnie potrzebuje?

– Nie, myślę, że sytuacja jest opanowana. Prowadzą czynności śledcze. Twój kumpel Hooper pracuje na nocnej zmianie.

– Pewnie za karę, że jest takim durniem.

– Zaczynam coraz bardziej lubić twojego szefa. Zobaczymy się, kiedy się zobaczymy. Może być całkiem późno?

– Zaczekam ze spacerem. Ale tylko pod warunkiem, że wtajemniczysz mnie w szczegóły od razu, jak przyjedziesz.

– Zgoda.

Rozłączył się i wszedł z powrotem do domu. Bullock kręcił się na piętrze wraz z technikiem kryminalistyki.

Cookie wciąż leżał na dnie wanny. Martwy.

Bullock rozglądał się po łazience.

– Na wodzie nie zostają odciski palców.

– Ale większość innych powierzchni doskonale nadaje się do ich pobrania – zauważył Puller. – Jeśli są jakieś ślady, świetnie. Jeśli nie ma żadnych, to też wiele nam mówi. Znaczący, że zostały wytarte. A to z kolei sugerowałoby zabójstwo. – Wskazał na podłogę. – Wilgotna. Może od rozbryzgującej się z wanny wody. Na przykład w sytuacji, gdyby ktoś przytrzymał go pod jej powierzchnią.

– Zajmij się tym – polecił Bullock technikowi.

Obaj patrzyli na ciało Cookiego na dnie wanny.

- Paskudna śmierć – stwierdził Bullock.
- Paskudna jest za każdym razem, gdy decyduje o niej kto inny niż ten na górze.
- Więc myśli pan, że właśnie z tym mamy do czynienia? Z zabójstwem?
- Zaczekam na sekcję zwłok. Ale tak, nie byłbym zaszokowany, gdyby okazało się, że ktoś go zabił.
- Sytuacja bardzo przypomina tę z pańską ciotką.
- Owszem.
- Wysłałem samochód, żeby sprawdzili tę całą Ryon.
- Świetnie.
- Sądzi pan, że to może być jej robota?
- Cookie był stary i niski. Ona jest młoda, wyższa, silniejsza. Więc tak, mogła to zrobić.
- Jaki miałyby motyw?
- W tej chwili trudno powiedzieć. – Puller się zastanawiał, po czym postanowił podzielić się swoim spostrzeżeniem. – Moja ciotka także знаła Storrowsów.
- Uważa pan, że to znaczące?
- Każde powiązanie między ofiarami zabójstwa jest znaczące. A przynajmniej może się takie okazać.
- Słusznie.
- Zamierzam zameldować się w Gull Coast.
- A co do tych ludzi w pana pokoju wczoraj w nocy...
- Tak?
- Nie mogliśmy zatrzymać ich w areszcie.
- Landry już mi mówiła.
- Wierzę panu, choć pewnie niewiele to zmienia. Ośmiu na

jednego mówi samo za siebie.

– Powinno.

– Niech pan na siebie uważa.

– Zawsze uważam.

W drodze do samochodu Puller wziął Sadie na rękę, zabrał dla niej jedzenie oraz smycz. Piesek spojrzał na niego smutnym wzrokiem.

– Tak, Sadie, wiem. Ale się nie martw. Będzie dobrze.

48

Najpierw trzeba ich zastraszyć.

A właściwie zastraszyć jego.

Przestraszeni ludzie często robią wszystko, by przestać się bać.

Reagując strachem, popełniają błędy.

Błędy są korzystne, gdy przydarzają się drugiej stronie.

Mecho patrzył w mroku na okazałą posiadłość. W blasku księżycy wyglądała inaczej. Ale dokładnie wiedział, gdzie co się znajduje.

Tej nocy nie przypuści głównego ataku. Tej nocy nastąpi tylko przygrywka.

Nie podszedł pod główną bramę. Czas na wykorzystanie zebranych potajemnie informacji przyjdzie później.

Posesję patroluje sześciu ochroniarzy. Nie towarzyszą im psy stróżujące. Punkt dla niego, ponieważ już by go wywęszyły. Pod tym względem psy są znacznie lepszymi strażnikami niż ludzie. Ale to ludzie są bardziej niebezpieczni.

Psy mają jedynie kły i pazury.

Ludzie noszą broń. I zabijają w złych zamiarach. Jako jedyny gatunek.

Zbliżył się od strony oceanu, wspiął na czworakach po wydmie, a później doczołgał się w wysokiej trawie aż do ogrodzenia. W przeciwieństwie do frontowej bramy nie było wyposażone w żadne systemy alarmowe ani kamery monitoringu. Ani nie znajdowało się pod napięciem. Miało natomiast czujniki ruchu podłączone do jasnych reflektorów. Wystarczyło niechący któryś

uruchomić, aby zdradzić swoje położenie. Lecz Mecho wybadał ich lokalizację podczas pracy. Reflektory nie wyłowią go z mroku, lecz i tak musi bardzo uważać.

Zastosowana tu strategia obrony była prosta, ale skuteczna. Zainstalować zasadne środki bezpieczeństwa, takie jak ogrodzenie i bramy, wzdłuż granic posesji. Jeśli ktoś się przez nie przedrze, zadziała właściwa obrona, skupiona w wewnętrznym wzmocnionym pierścieniu wokół celu ataku, i zatrzyma intruza.

Przynajmniej w teorii.

Wdrapał się na ogrodzenie i cicho zeskoczył na ziemię. Rozejrzał się na wschód, następnie na zachód. Strażnicy robili obchód na przemian. Wiedział o tym z poprzednich obserwacji. Zdobył tę wiedzę także dzięki trafnym pytaniom zadawanym innym członkom służby domowej, z którymi zetknął się w trakcie prac porządkowych w ogrodzie. Zdecydowanie nie kochali swojego pracodawcy.

Być może wzięli Mecha za zwykłego włamywacza kombinującego, jak okraść bogaczy.

Co ich to obchodziło? Cóż się takiego stanie, gdy ktoś, kto ma wszystko, straci drobną część swojego majątku?

Pewnie myśleli: nie będziemy utrudniać.

On jednak dostrzegł jeszcze inny powód ich uczynności. Najbardziej zatrwajający ze wszystkich. Który sprawiał, że jego serce kipiało gniewem. Że miał ochotę rzucić się na kogoś i roznieść go w pył.

Zdławi w sobie te uczucia. Tej nocy nikogo nie zmiażdży.

Chyba że będzie zmuszony.

Przeszedł zygzakiem przez trawnik, unikając czujników ruchu zainstalowanych na drzewach. Przy kępie krzewów zaczekał, aż nadejdzie jeden ze strażników robiących obchód posesji. Gdy

mężczyzna go minął, Mecho zaatakował.

Ochroniarz runął nieprzytomny na ziemię, z rany na głowie płynęła krew. Cios nie był śmiertelny, Mecho to wiedział. Wymierzył go tak, by ranić zamiast zabić. A doskonale wiedział, jak to zrobić.

Zabrał broń mężczyzny. Półautomatyczny magnum 44 oraz MP5. Pewna nadwyżka środków bojowych jak na patrol wokół rezydencji, bez względu na zamożność jej mieszkańców. Należało bowiem przemnożyć to uzbrojenie przez sześć, ponieważ pozostali ochroniarze byli wyposażeni podobnie. Na Florydzie obowiązywało bardzo liberalne prawo w kwestii posiadania broni palnej.

Gdy Mecho spojrzał na znokautowanego, nie mógł się nie uśmiechnąć. Gość najwyraźniej pracował na podwójnym etacie, ponieważ był to ten sam ochroniarz, który za dnia wrzeszczał na Mecha za rozmowę z Chrissy Murdoch.

No cóż, tej nocy wyśpi się do woli.

Mecho posuwał się dalej, zbliżając się do domu.

Na dziedzińcu stał zabytkowy bentley kabriolet. Uwagę przykuły odgłosy dobiegające z mniejszego budynku.

I tym razem z domu dla gości.

Spojrzał na zegarek.

Czy to możliwe?

Zakradł się bliżej. Mała lampka oświetlała front.

Mecho dostrzegł drugiego strażnika ustawionego pod drzwiami. Jego magnum 44 był schowany do kabury, MP5 luźno przewieszony przez pierś. Mężczyzna wyglądał na znudzonego. Palił papierosa.

Mecho natychmiast zorientował się, że strażnik nie jest zawodowcem. Ludzie znający się na swojej robocie nigdy nie palą

na służbie. Wyczucie obecności przeciwnika, zanim zdąży zaatakować, przesądza czasem o życiu lub śmierci. Podobnie jak ułamek sekundy potrzebny do rzucenia niedopałka i zaciśnięcia dłoni na kolbie.

Nie zdążysz – stracisz życie.

Zginiesz z ręki kogoś, kto jest większym profesjonalistą niż ty.

Trzy sekundy później facet leżał plackiem na ceglanej ścieżce przed domem. Mecho usunął magazynki z obu pistoletów i schował je do kieszeni. Następnie odciągnął strażnika za krzak, a sam zakradł się pod drzwi.

Dochodzące z wnętrza odgłosy przypominały te, które słyszał rano.

Otworzył drzwi i wśliznął się do środka. Jego plan na tę noc tego nie uwzględniał, ale dlaczego nie skorzystać z drogi na skróty, skoro nadarza się okazja.

W domu panowała ciemność, posuwał się po omacku. Sypialnia znajdowała się na końcu korytarza po prawej stronie. Dotarł tam pięć sekund później. Drzwi były uchylone. Z pewnością nie spodziewali się, że ktoś im przeszkodzi, skoro ustawili pod drzwiami strażnika.

Zajrzał do środka. Wlewające się przez okno światło księżyca rozpraszało mrok na tyle, że Mecho widział, co się tam odbywa.

Tym razem Peter J. Lampert był pod spodem.

Ale nie towarzyszyła mu Chrissy Murdoch.

Tylko Beatriz, młoda służąca, z którą Mecho rano rozmawiał.

Nie miała na sobie wykrochmalonego fartuszka.

Nie miała na sobie zupełnie nic.

Jeśli Mecho był ciekaw, czy jej ciało jest równie piękne jak cała reszta, dostał odpowiedź. Dziewczyna była wyjątkowo śliczna.

Siedziała okrakiem na swoim pracodawcy. On trzymał ją rękoma w pasie i przyciągał do siebie ze zdecydowanie zbyt dużą siłą. Petera J. Lamperta wyraźnie rajcował bardzo intensywny kontakt cielesny z kobietami.

Beatriz nie jęczała tak jak Chrissy Murdoch. A przynajmniej nie jęczała z rozkoszy. Ona jęczała z bólu. Drobne piersi podskakiwały w górę i w dół, Mecho widział, jak marszczą się jej pośladki przy każdym silnym zderzeniu z udami Lamperta.

Mecho cały się naprężył, instynkt kazał mu atakować.

Jednak zamiast tego się wycofał, szybko oddalił korytarzem i dotarł do salonu. Rozejrzał się i uznał, że to miejsce nadaje się równie dobrze jak inne.

Zrobił, co miał zrobić, i wyszedł.

Leżącego za krzakiem strażnika kopnął na odchodnym w głowę, wyobrażając sobie, że to Peter J. Lampert.

Sprawiło mu to satysfakcję.

Zanim opuścił teren rezydencji, wykonał jeszcze jedno zadanie. Paczuska została umieszczona w odległości dwudziestu metrów od domu, przy bentleyu, na którego tablicy rejestracyjnej widniały litery PAN.

Przegramolił się przez ogrodzenie i zaczął odliczać w myślach sekundy.

Doszedł do plaży, nie przestając liczyć.

Pięćdziesiąt sekund później, gdy stał już na twardym gruncie, nastąpił wybuch, a imponująco wypieszczony zabytkowy bentley wyleciał w powietrze na półtora metra. Gdy spadł z powrotem na ziemię, nie wyglądał już imponująco.

Eksplozja rozjaśniła niebo nad Paradise.

Zapalając silnik skutera, Mecho nie patrzył na lunę nad

rezydencją.

Za to pozwolił sobie na uśmiech.

Dobrej nocy, Peterze J. Lampercie.

PANIE.

49

Puller pojechał do Gull Coast i zameldował się w hotelu. Recepcjonistka była młoda i zaspana, a może po prostu znudzona.

Zaniósł torbę do pokoju i zaczął się zastanawiać, co dalej. Zadzwoił do Landry i powiedział, że właśnie wyrusza w drogę. Wskoczył do tahoe i po dwudziestu minutach skręcił na kryty parking w Destin.

Noc była parna, prawie bezwietrzna.

Landry przywitała go przy windzie parkingu. Przebrała się w szorty, koszulkę bez rękawów i sandały. Trzymała w ręku dwie butelki piwa. A potem przyjrzała się Sadie.

– Masz psa?

– Z braku wyboru. – Wyjaśnił, że Sadie to pies Cookiego.

– Nie mogę go przygarnąć, jeśli na to liczyłeś. W naszym bloku obowiązuje zakaz posiadania zwierząt.

– Nie ma sprawy. Nie chciałem zostawiać jej dzisiaj samej.

– Przejdźmy się plażą. Nad wodą jest chłodniej, zrelacjonujesz mi najświeższe nowiny. – Zerknęła na Sadie. – I wyprowadzisz na spacer swojego nowego pupila.

Stopy grzęzły w piasku. Fale rozbijały się na brzegu z narastającą siłą.

– Nocą morze zawsze jest tak wzburzone? – zapytał.

– Nie oglądasz wiadomości?

– Ostatnio nie.

– Nad Atlantykiem uformowała się tropikalna burza Danielle,

która wdarła się do zatoki. Nie przybierze już raczej na sile, ale solidnie skotłuje wodę. Prędzej czy później doprowadzi do osunięcia się gruntu. Tylko dokładnie nie wiadomo kiedy.

Oprócz kilku młodych mężczyzn zataczających się z puszkami piwa w dłoni plaża była wyludniona.

Puller poświęcił kilka minut na wtajemniczenie Landry w szczegóły śmierci Cookiego. Sadie posłusznie dreptała obok, od czasu do czasu spoglądając w górę. Biedne zwierzę jest pewnie dezorientowane jak wszyscy diabli, pomyślał Puller. Musi zadzierać głowę znacznie wyżej niż w towarzystwie swojego byłego pana.

– Puller, jak myślisz, co tu się, cholera, wyprawia? – zapytała Landry, gdy skończył relacjonować wypadki.

Wzruszył ramionami.

– Jeżeli ludzie o czymś wiedzą, bardzo skutecznie zamyka im się usta.

– O czym?

Znów wzruszył ramionami.

– Gdybym znał odpowiedź, cała reszta też stałaby się jasna.

Szli brzegiem, popijając piwo. Sadie ciągnęła i szarpała smycz, była jednak tak maleńka, że Puller ledwo to zauważał. Jakby prowadził świerszcza.

Zimne piwo sprawiło, że poczuł w ciele ciepło – większe nawet niż nadal wysoka temperatura powietrza. Rytmicznie uderzające o brzeg fale działały na niego odprężająco. W normalnych okolicznościach nie czułby się tak zrelaksowany, zwłaszcza po odnalezieniu Cookiego.

Przyłapał Landry, jak mu się przygląda.

– Wstąpisz do mnie? – zaproponowała.

– Dlaczego pytasz?

Spuściła wzrok.

– Ja... My...

Tłumacząc sobie jej skrępowanie, powiedział:

– Zrobiłbym to z przyjemnością, ale nie mogę.

– Okej, rozumiem. Nie mam dziewczęcego wdzięku, w pracy noszę broń, ale jestem kobietą. Podobają mi się mężczyźni.

– A ty z pewnością podobasz się im.

– Przystawiał się do mnie każdy facet w okolicy, taki przed sześćdziesiątką. W każdym razie odnoszę takie wrażenie. Przyjeżdżają też gówniarze spod miasta, którym wydaje się, że straszne z nich ciacha, a są zwykłymi idiotami.

– Wielu facetów to idioci. Mnie też to zarzucano.

Spojrzała mu w oczy i dotknęła jego ramienia.

– Ale nie w stosunku do kobiet.

– Nie, nie wobec kobiet.

– Więc jesteś inny. I atrakcyjny.

Teraz dopiero zrobiło mu się gorąco. Tak gorąco, że nie dało się usprawiedliwić tego doznania temperaturą powietrza. Pot zrosił mu czoło. Czuł też żar bijący od Landry. Jakby siedzieli w piekarniku.

– Współpracujemy – przypomniał.

– Ale ty nie jesteś z policji. Gdybyś był, nie poszłabym z tobą do łóżka.

– Hooper chyba nie jest w twoim typie.

– On jeszcze tego nie pojął. Nigdy nie daje za wygraną.

– Nie dziwię się.

– Ale nie rozmawiamy o Hooperze, prawda?

– Trudno przewidzieć, dokąd nas to zaprowadzi, Cheryl.

Z łączenia pracy z przyjemnością nigdy nie wynika nic dobrego. Jesteś szalenie atrakcyjną kobietą i w innych okolicznościach moja odpowiedź brzmiałaby twierdząco. Jednak warunki są jakie są. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Westchnęła.

– Rozumiem. Przepraszam, że poruszyłam ten temat. To okropnie nieprofesjonalne.

– Nie możemy bez przerwy być profesjonalni.

Uśmiechnęła się z rezygnacją i podjęli przerwany spacer.

Puller miał zamiar coś powiedzieć, ale przeszkodził mu w tym dzwonek telefonu.

Telefonu Landry.

A później już nic nie było takie samo.

50

Puller pojechał za Landry. Jej toyota mknęła drogą, a on musiał wciskać gaz niemal do dechy, żeby za nią nadążyć. Tym razem Landry zdecydowanie nie przestrzegła ograniczenia prędkości. Sadie leżała obok Pullera na przednim siedzeniu. Nie spuszczał z oka świateł hamowania toyoty, o ile w ogóle hamowała.

Odebrała telefon na plaży, przyciskając komórkę do ucha. Słuchała, sama nie mówiła prawie nic, po czym zakończyła rozmowę i zwróciła się do Pullera:

– Dzwonił komendant Bullock. W posiadłości Lamperta doszło do wybuchu.

Puller spojrzął na zegarek. Szesnaście po pierwszej. Pora na eksplozję dobra jak każda inna, pomyślał.

– Posiadłość Lamperta? Co to jest?

– Rezydencja, której właścicielem jest Peter Lampert. Najbogatszy człowiek w Paradise, a pewnie i na całym Emerald Coast... Cholera, może nawet na całej Florydzie. Nie jestem pewna, ale to diabelnie dziany gość.

Landry błyskawicznie przebrała się w mundur, więc Puller nie musiał długo na nią czekać. Wziął pod pachę Sadie, pobiegł do samochodu, wsiadł za kierownicę i już po chwili pruli naprzód.

Czuł, że Landry dręczą potężne wyrzuty sumienia. Nie wróciła na służbę po zabójstwie Cookiego. Nie było takiej potrzeby. Mieli dość ludzi do pracy na miejscu zbrodni. A potem, kiedy doszło do eksplozji, spacerowała po plaży z Pullerem. I tym razem nie było podstaw do poczucia winy, wiedział jednak, że Landry jest tym

typem policjantki, która będzie czynić sobie wyrzuty.

Dotarli do Paradise w rekordowym czasie. Landry podążała na wschodni kraniec miejscowości. Skręciła w prywatną drogę. Jej toyota zatrzymała się przed imponującą stalową bramą, która wyglądała na wystarczająco mocną, by stawić opór czołgowi Abrams.

Policjantka wyskoczyła z samochodu. Obejrzała się za siebie na Pullera, który już ku niej biegł. Wcześniej odsunął szyby w samochodzie, gdzie zostawił Sadie, i napełnił wodą jej miskę.

– Iść z tobą? – zapytał.

Miała niepewną minę. Poprosiła, by tu z nią przyjechał. Teraz jednak stanęła przed oczywistym dylematem, Puller był tego świadom.

Dochodziła druga w nocy. Dlaczego zjawili się tu we dwoje?

– Powiem Bullockowi, że usłyszałem wybuch, widziałem, jak pędzisz przez miasto i postanowiłem za tobą pojechać – zaproponował Puller.

– Dzięki, Puller, jestem ci wdzięczna.

Przy frontowej bramie stał Boyd. Puller pomyślał, że Hooper prawdopodobnie został w domu Cookiego, żeby zabezpieczyć miejsce przestępstwa. Dobrze, że Bullock wezwał Landry. Będzie potrzebował ludzi. Wydział Policji w Paradise nie jest chyba zbyt liczny.

Boyd popatrzył na Landry tak, jak patrzy na kobietę mężczyzna, który dostał od niej kosza. Puller wyszedł z założenia, iż taki jest prawdziwy powód tego urażonego wzroku. Landry wspominała o próbach zaciągnięcia jej do łóżka przez Hoopera i wszystkich innych policjantów. Z miny Boyda jasno wynikało, że źle przyjął odmowę. Gdy zauważył za jej plecami Pullera, twarz pociemniała mu jeszcze bardziej.

– Co on tutaj z tobą robi, psiakrew? – warknął.

Uprzedzając Pullera, Landry odparła ostro:

– Pomaga nam zabezpieczyć ślady na miejscu przestępstwa, Boyd. Jeśli masz z tym problem, skonsultuj się z komendantem.

Zanim Boyd otworzył usta, Landry przepchnęła się obok niego, Puller zaś poszedł w jej ślady.

Najpierw ujrzeni szczątki bentleya. Chromowana kratka chłodnicy – teraz szerniała i pogięta – była jedyną stosunkowo mało uszkodzoną częścią, która zdradzała model samochodu.

Obok wraku stał Bullock. Technik kryminalistyki dokonywał jakichś obliczeń, obchodząc miejsce wybuchu.

Zauważywszy Landry i Pullera, Bullock przywołał ich do siebie. W przeciwieństwie do Boyda nie zawracał sobie głowy pytaniem, dlaczego zjawili się razem, zatem Puller nie musiał przedstawiać swoich wyspanych z palca wyjaśnień.

– Przyjechałam najszybciej, jak mogłam, szefie – rzekła pospiesznie Landry.

– Wygląda na to, że bomba znajdowała się pod samochodem – stwierdził Bullock. – Wypadły też szyby w kilku oknach rezydencji.

– Ten Lampert ma wrogów? – zapytał Puller.

– Cóż, wydaje się, że co najmniej jednego – odparł Bullock.

– Co o tym człowieku wiadomo?

– Pięć lat temu przyjechał tu z South Beach. Zbudował ten dom. Właściwie rozpoczął budowę przed przyjazdem. Wykończenie tego cuda zajęło prawie trzy lata.

– Na czym się wzbogacił?

– Na operacjach finansowych czy czymś takim. Kto wie, jak ci goście robią takie pieniądze. Jednym zabierają, innym dają.

– Zakładam, że w samochodzie nikogo nie było? – zapytał Puller.

– Nie.

– Coś jeszcze?

– Bomba w samochodzie to mało? – wtrąciła Landry.

– Zaatakowano dwóch ochroniarzy – wyjaśnił Bullock. – Jednego przy ogrodzeniu z tyłu, drugiego pod domem dla gości. – Wskazał w kierunku drugiego budynku. – Znalazłem ich obu nieprzytomnych. Krzepkie z nich osiłki. Ten, kto ich załatwił, dysponuje siłą, z którą trzeba się liczyć. W końcu się ocknęli. Przesłuchaliśmy obu, ale żaden z nich nie widział napastnika.

Puller przeniósł wzrok na dom gościnny.

– Ktoś tam teraz mieszka?

– Nie – odrzekł Bullock.

– Mogę rozejrzeć się po posesji?

– Za czym? – zainteresował się Bullock.

– Zwykle wiem to dopiero wtedy, gdy zobaczę.

Oddalił się i zaczął obchodzić teren. Tu i ówdzie widział przyczajonych mężczyzn w czarnych koszulach, wyposażonych w broń osobistą oraz MP5. Ochrona. Która zebrała tej nocy porządne cięgi. Lampert pewnie też skopie im dupską.

Ale po co wysadzać samochód? To jakieś ostrzeżenie? Czy to jedno wystarczy?

Rzucił okiem na rozjarzony światłami główny budynek.

Następnie jego wzrok zapuścił się w stronę ciemnego domu dla gości. Nie potrafił pojąć, po co komu osobny dom gościnny, skoro mieszka w rezydencji większej od Białego Domu. Przypuszczał, że na tym pułapie dochodów nie chodzi o realizację potrzeb, tylko o zaspokajanie pragnień i zachcianek.

Po chwili przyszły mu do głowy pewne możliwości. Po co stawiać ochronę pod budynkiem, w którym nikt aktualnie nie

przebywa?

Odważył się podejść pod jedno z okien i oświetlił rabatę latarką.

Nic.

Obszedł dom, przyglądając się ziemi.

Nic.

Aż do trzeciego podejścia.

Odciski stóp. Wielkich. Przyłożył własną stopę do jednego z nich. Dużo mu brakowało. Oszacował rozmiar na jakąś pięćdziesiątkę. Rosły mężczyzna. Sfotografował ślad telefonem.

Może to pracownik porządkujący kwiatowe rabaty.

Zajrzał przez okno. Widok prosto na sypialnię.

Okej, wyjaśnienie chyba nie jest takie proste. Może to wcale nie pracownik. Poza tym odcisk buta znajdował się od strony budynku, nie trawnika. Po co podchodzić tak blisko okna?

Ślad nie wyglądał na świeży. Trudno powiedzieć, ale z pewnością działa tu system nawadniania. Wątpił, by odcisk utrzymał się na ziemi dłużej niż jeden dzień. Woda by go rozmyła.

Teraz trzeba sprawdzić, na co patrzył właściciel wielkiej stopy.

51

Drzwi nie były zamknięte na klucz. W środku panowała zupełna ciemność. Puller oświetlał sobie drogę latarką.

Oficjalnie nie powinien się tu znajdować, dlatego nie chciał zwracać na siebie uwagi. Analizując układ przestrzenny domu, wykombinował, przez które okno zaglądał właściciel wielkiej stopy.

Chwilę później wszedł do pomieszczenia.

Potwierdziło się, że rzeczywiście jest to sypialnia. Na taki pokój w hotelu Puller nie mógłby sobie pozwolić nigdy w życiu.

Przyjrzał się łóżku. Było pościelone, ale Puller przywykł do wojskowej precyzji kątów prostych oraz prześcieradeł naciągniętych tak mocno, że rzucona na nie moneta dwudziestopięciocentowa odbijała się od gładkiej powierzchni. To łóżko nie trzymało wojskowych standardów. I zdradzało widoczną niedoskonałość.

W nogach odznaczało się lekkie wybrzuszenie. Trudno byłoby je dostrzec nawet w świetle dziennym. W ciemnościach było w zasadzie niewidoczne. Ale nie dla Pullera.

Ostrożnie uniósł narzutę i poświecił pod spód latarką.

Para damskich majtek. Pstryknął zdjęcie komórką. Ktoś ścielił łóżko w pośpiechu i zapomniał o tym elemencie garderoby.

Opuścił narzutę i spojrzał na okno. Łóżko stało dokładnie na linii wzroku.

Jego uwagę zwróciły dwa ślady po szklankach na nocnym stoliku. Powąchał je. Rozlało się kilka kropli napoju.

Choć sam pił niewiele, rozpoznał zapach.

Szkocka whisky.

Ulubiony trunek ojca.

Następnie uważnie przyjrzał się kolumnom łóżka i dostrzegł na nich ślady zadrapań. Może paznokcie? Wszedł do przylegającej do sypialni łazienki, zajrzał do kubła na śmieci, obejrzał umywalkę, kosmetyki, przybory toaletowe, prysznic i toaletę.

Wszystkie te rzeczy razem wzięte powiedziały Pullerowi dużo na temat tego, co się tutaj działo.

Wyszedł z łazienki i wtedy to zobaczył. W pokoju dziennym. Poświecił sobie latarką.

Ktoś napisał mazakiem na ścianie: *Twój czas się kończy, Pete.*

Puller ponownie zerknął na drzwi sypialni, a potem jego wzrok powędrował znów na napis na ścianie. Napis też sfotografował.

Oto wiadomość jeszcze bardziej bezpośrednia niż wysadzenie w powietrze luksusowej fury.

Nie miał wątpliwości, że wiadomość została odczytana. Był też pewien, że z czasem zostałyby usunięta. Bullock nic na ten temat nie wspominał, a więc Lampert, jeśli tu był, wyraźnie nie chciał, żeby policja o tym wiedziała. Zresztą nie miała powodu tutaj zaglądać.

I nie zaglądała.

Zrobił to tylko Puller. Wymknął się z budynku i wrócił do wraku bentleya, przy którym Landry rozmawiała z Bullockiem.

Podszedł do technika przeszukującego szczątki samochodu.

– Znalazł pan źródło wybuchu?

– We fragmentach. – Pokazał torebkę strunową zawierającą poskręcany kawałek spalonego metalu. – Myślę, że to detonator. A przynajmniej jego część.

Puller obejrzał zawartość z bliska. Widywał już takie odłamki. W zasadzie naoglądał się ich tyle na Bliskim Wschodzie, że wystarczy mu do końca życia. Analizował pozostałości wielu takich improwizowanych ładunków wybuchowych. Większość składała się z takich samych komponentów: materiału wybuchowego, detonatora, zapalnika czasowego oraz źródła zasilania. Ale różni zamachowcy stosowali różne techniki do tworzenia swoich wybuchających pułapek. Fachowo określa się to jako podpis bomby. Puller doszedł do takiej wprawy, że wystarczył mu rzut oka, by rozpoznać, który lokalny zamachowiec skonstruował dany ładunek.

Ten odłamek detonatora nie zdradzał bliskowschodnich proveniencji. Puller go w każdym razie nie rozpoznał, a z całą pewnością by potrafił. W zasadzie można stwierdzić, że zamachowiec nie pochodzi z tamtej części świata. Zresztą byłoby to dość naciągane. Dżihadysta w Paradise na Florydzie? Zbyt duża ironia.

Podeszli do niego Bullock i Landry. Komendant wskazał na torebkę z dowodem i zapytał:

– Czy może pan coś powiedzieć na podstawie tego fragmentu?

– Cóż, nie jestem ekspertem od materiałów wybuchowych, ale widziałem mnóstwo bomb na Bliskim Wschodzie i ta nie jest do nich podobna. Gdybym miał zgadywać, typowałbym, że to konstrukcja rosyjska.

– Rosyjska! – Bullock wyglądał jak rażony gromem. – Rosjanie wysadzają samochody w zachodniej Florydzie?

– Niekoniecznie. Bomba może być konstrukcji rosyjskiej, a ten, kto ją odpalił, innej narodowości. Rosjanie sprzedają każdemu, kto płaci.

Oddał technikowi torebkę strunową i omiół spojrzeniem główny

budynek. Nigdy nie widział tak wielkiej rezydencji. Dom gościnny miał mniej więcej trzysta siedemdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni. Puller nie był w stanie oszacować, ile może mieć budynek główny. Pewnie nie liczyło się tego w metrach kwadratowych. Raczej w arach. A w jednym arze mieści się sto metrów kwadratowych.

Peter Lampert musi radzić sobie naprawdę nieźle.

Ale jego czas się kończy, tak głosił napis pozostawiony na ścianie w drugim budynku. Puller już zdecydował, że nie pisnie o nim słówka ani Bullockowi, ani Landry. Nie powinien był wchodzić do tamtego domu, a zdradzając się z tą wiedzą, przyznałby, że to zrobił.

Wskazał na główną rezydencję.

– Już ich przesłuchaliście?

– Właśnie miałem ten zamiar – odparł Bullock. – Chce pan być przy tym obecny?

Puller utkwiał w nim wzrok, nagle zaniepokojony tym miłym traktowaniem. Nawet Landry uniosła brew, usłyszawszy tę propozycję.

– Będę się tylko przyglądał.

– Jak pan woli. Gdyby jednak coś się panu nasunęło, proszę zabrać głos. Skoro mamy wokół grząskie bagno, potrzebna mi wszelka pomoc, jaką tylko uda się zdobyć. W przeciwnym razie stanę się wkrótce byłym szefem policji w Paradise.

Przekroczyli próg rezydencji i udali się na przesłuchanie Petera J. Lamperta i spółki.

52

Pierwsza rzecz, na jaką zwrócił uwagę Puller, to kompletny strój Lamperta. Luźne białe spodnie, ciemna koszula i sandały. Ale włosy miał lekko wilgotne, więc niedawno brał prysznic.

Prysznic o tej porze?

Może po seksie?

Puller był ciekaw, kto jeszcze się wykąpał.

Lampert sączył drinka z baru zajmującego całą ścianę pokoju o rozmiarach hangaru lotniczego, ale urządzonego w stylu pałacu Buckingham.

Podszedł do Bullocka i wyciągnął rękę na powitanie.

– Miło, że zjawił się pan osobiście, komendancie – rzekł sympatycznym tonem.

Bullock skinął głową i uścisnął mu dłoń.

– Nie mógłbym inaczej, panie Lampert.

Spojrzenie Lamperta pomknęło ku Landry, a następnie spoczęło na Pullerze. Potrząsając lodem w szklance ze rżniętego kryształu, zapytał:

– A kogo tu mamy?

– John Puller – przedstawił się. – Wojskowy Wydział Śledczy.

– Jest tu tylko obserwatorem, panie Lampert – wtrącił pospiesznie Bullock.

Lampert jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w Pullera, po czym uśmiechnął się i dopił drinka.

– Jest pan szalenie spokojny jak na kogoś, komu właśnie

wysadzono samochód – rzekł Puller, postanowiwszy jednak wejść na scenę.

Lampert podniósł pustą szklanę.

– Od tego jest trzydziestoletni Macallan. Pomaga odzyskać hart ducha w mgnieniu oka.

Szkocka.

Tak jak w domu dla gości. Teraz wszystko sprowadza się do pytania, do kogo należy porzucona bielizna.

Do salonu weszły jeszcze dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Wyglądali jak para modeli z reklamy Ralpha Laurena. Na wskroś amerykańscy i bez jednej skazy. Mężczyzna był ubrany w szorty i podkoszulek. Kobieta miała na sobie błękitny jedwabny szlafrok do połowy uda. Prawdopodobnie spali, gdy doszło do wybuchu. Facet włożył to, co miał pod ręką. Kobieta narzuciła szlafrok.

Nie miała wilgotnych włosów.

– James Winthrop i Christine Murdoch – przedstawił ich Lampert. – James ze mną pracuje, a Chrissy jest jego... drugą połówką. – Uśmiechnął się pod nosem do kobiety, po czym znów skierował wzrok na Pullera.

Ten uważnie przyjrzał się przybyłym. Winthrop wydawał się przestraszony, Murdoch po prostu zaintrygowana. Ich reakcje na wydarzenia tej nocy były całkowicie rozbieżne, na przeciwnych biegunach emocjonalnego barometru. Puller zastanawiał się, dlaczego mężczyzna oraz jego „druga połówka” tak się pod tym względem różnią. W końcu bomba to bomba.

– Oczywiście słyszeliśmy wybuch – powiedziała Murdoch.

– Która była wtedy godzina? – zapytał Bullock.

– Zerwałam się z łóżka i zerknęłam na zegarek. Dochodził kwadrans po pierwszej.

Landry zanotowała tę informację.

– Czy któreś z państwa widziało bądź słyszało coś nietypowego przed eksplozją lub po niej? – kontynuował Bullock.

Oboje przecząco pokręcili głowami.

Komendant policji zwrócił się do Lamperta.

– Gdzie pan był w czasie wybuchu?

– W swojej sypialni. Żona wyjechała. Czytałem książkę i wtedy rozpętało się to całe piekło. Wcześniej nie widziałem ani nie słyszałem niczego podejrzanego.

Puller nie wiedział, czy Landry i Bullock zwrócili uwagę na mokre włosy mężczyzny. Albo czy zastanawiali się, dlaczego w przeciwieństwie do swoich gości Lampert był kompletnie ubrany.

– Czy ochrona coś widziała? – ciągnął komendant.

– Najwyraźniej zupełnie nic. Myślałem, że zatrudniam najlepszych w swoim fachu. W tej chwili mam ochotę ich wszystkich pozwalniać i wynająć nową ekipę.

Spojrzał na Pullera.

– Wojskowy Wydział Śledczy?

Puller przytaknął.

– A wcześniej?

– Rangerzy.

– Byłby pan zatem pierwszorzędnym pracownikiem ochrony. Podwoję stawkę, którą płaci panu Wuj Sam.

Puller nie miał pojęcia, czy facet mówi serio, czy nie, ale na wszelki wypadek odpowiedział:

– Niestety, to nie takie proste.

– Wszystko jest proste. Dla chcącego nic trudnego.

– No tak... Domyśla się pan, kto mógł to zrobić? – zainteresował

się Puller.

– Moja kariera zawodowa to droga wzlotów i upadków. Narobiłem sobie wrogów.

– Oszukiwanie w interesach zwykle prowadzi do procesu sądowego, ale nie do podkładania bomby – zauważył Puller.

– Kto mówi, że kogoś oszukałem? – Lampert porzucił swój przyjazny sposób bycia.

W tym momencie wtrąciła się Murdoch.

– Sądzę, że pan mówił ogólnie, Peterze.

Mężczyzna świdrował Pullera wzrokiem.

– Istotnie? Generalizował pan?

– Załóżmy, że tak. Czy na pańskiej liście wrogów jest ktoś, kto mógłby wysadzić samochód?

– Być może.

– Będą nam potrzebne nazwiska – rzekł Bullock.

– W porządku.

W odczuciu Pullera Lampert zdawał się nieporuszony całym tym wydarzeniem. Większość ludzi, którym wybuchłaby pod nosem bomba, wykazywałoby silniejsze zdenerwowanie. Lampert był albo naprawdę głupi, albo za jego zachowaniem coś się kryło. Na głupiego bynajmniej nie wyglądał.

– Coś jeszcze? – zapytał Lampert. – Chciałbym się przespać.

– Będziemy kontynuować śledztwo na zewnątrz – oznajmił Bullock. – Jutro dalszy ciąg.

– To mi odpowiada – powiedział Lampert.

Bullock i Landry odwrócili się w stronę drzwi wyjściowych.

Murdoch i Winthrop odwrócili się w stronę drzwi do sypialni.

Puller nie odwrócił się w żadną stronę. Stał w miejscu.

Jasnoniebieski szlafrok opinał sylwetkę kobiety. Puller widział z tyłu zarys bielizny Murdoch. Majtki porzucone w domu dla gości byłyby na nią odrobinę za ciasne. To oczywiście o niczym nie przesądza, niemniej wątek jest interesujący.

Zerknął na Lamperta i zobaczył, że ten lustruje go wzrokiem, tak jakby czytał w jego myślach.

– Czy w pańskim domu przebywają jeszcze inni goście, panie Lampert? – zapytał.

Na twarzy mężczyzny pojawił się nikły uśmiech.

– Nie. Tylko pomoc domowa.

Bullock i Landry zawrócili, gdy zaczęła się ta wymiana zdań. Oboje wpatrywali się w Pullera z wyrazem konsternacji na twarzach.

– Tylko pomoc domowa? Dziękuję, panie Lampert, to wszystko, co chciałem wiedzieć.

Lampert uśmiechnął się i podniósł szklankę.

– Z pewnością, panie śledczy. Z pewnością.

Puller wyszedł.

53

Tej nocy dostarczono kolejnych osiemdziesięciu.

Jak w zegarku.

Cztery łodzie.

Transport wyglądał tak samo jak poprzedni.

Wyniszczeni, złamani ludzie.

Tej nocy Mecho prowadził obserwację z innego miejsca. Nie lubił schematów. Schematy można przypłacić śmiercią. Nie miał powodów przypuszczać, że ktokolwiek podejrzewa tu jego obecność. Ale i nie miał powodów, by nie snuć takich przypuszczeń. Wyobrażał sobie, że podejrzliwość jest chlebem codziennym tych ludzi.

Z nim było tak samo.

Po eksplozji bomby w posiadłości Lamperta będą musieli postępować ostrożnie. Odwołanie dzisiejszego transportu mogło być dla nich kuszące, ale najwyraźniej pokusa góry dolarów była większa. Zresztą gdy Bentley wylatywał w powietrze, łódź pewnie i tak znajdowała się już na pełnym morzu.

A więc proceder trwał w najlepsze.

Ludzie byli oznakowani różnymi kolorami, tak jak poprzednia grupa. Na podstawie obserwacji Mecho wywnioskował, że tym razem dominują kurierzy narkotykowi i prostytutki, grupy zdecydowanie najbardziej dochodowe. Prości robotnicy, ci, którzy w milczeniu koszą trawę na ładnych przedmieściach Południa albo bez słowa dźwigają kartony w magazynach Środkowego Wschodu, przynoszą najmniejszy dochód.

Choć zysk i tak jest doskonały, po prostu nie tak kosmicznie wysoki jak strumień dochodów płynących z prostytucji i szmugłu narkotyków.

Czwarty ponton zawrócił i odpływał w stronę macierzystego statku.

Mecho przeniósł uwagę na ciężarówkę, do której wpakowano osiemdziesiąt osób. Tylne drzwi opuszczono i zaryglowano. Naczepa ciężarówki z pewnością jest dźwiękoszczelna. Nie będzie słycać żadnych krzyków, choć Mecho sądził, że więźniowie są tak przerażeni, że siedzą cicho jak mysz pod miotłą.

Spiesznie dobiegł do skutera i wskoczył na siodełko. Konwojowana przez dwa SUV-y ciężarówka ruszyła, a Mecho pojechał za nią, trzymając się jakieś siedemset metrów w tyle. Nie martwił się, że ją zgubi. Kiedy do plaży dobijał pierwszy transport, umieścił pod podwoziem lokalizator. Strażnicy popełnili błąd, ponieważ odeszli od pojazdów, chcąc znaleźć się bliżej plaży. Nawet nie przemknęło im przez myśl, że niezabezpieczenie tyłów może przysporzyć problemów.

A problem był, i to spory. Jednak to, co dla jednego jest problemem, drugiemu podsuwa okazję.

Jechali sześć kilometrów na wschód, trasa stopniowo oddalała się od zatoki.

Cel podróży nie zaskakiwał: magazyn w samym środku podupadłego parku przemysłowego. Z dala od mekk turystów, nieskazitelnych białych plaż i szmaragdowozielonej wody.

To miejsce wyglądało i cuchnęło jak ponura rzeczywistość. Rzeczywistość, w której ludzie wykonują gównianą robotę za gówniane pieniądze, zastanawiając się, kiedy przyplynie ich statek.

Mecho doskonale to rozumiał. Zastanawiał się dokładnie nad tym samym. Tylko daleko stąd. Jakby w innym świecie.

Gdzie mój przeklęty statek?

A raczej ponton motorowy z ludzkim bydłem na pokładzie.

Ciężarówka wjechała przez otwarte drzwi magazynu, które zasunęły się za nią ze szczękiem. Jeden SUV zniknął w środku razem z nią. Drugi pozostał na zewnątrz. Mecho dobrze wiedział, co dzieje się w hangarze.

Z jednej strony przypominało to amerykańskie procedury celne. Z drugiej trudno wyobrazić sobie coś bardziej od nich odmiennego. Ludzi z ciężarówki ubranych w różne kolory wyprowadzano, wyposażano w pewne dokumenty, dawano marny posiłek oraz wydzielano wodę do picia. Mówiono im rozmaite rzeczy. Takie, które jeszcze bardziej osłabiają ich ducha.

Na przykład: „Zrobisz dokładnie to, co każemy”.

A jeśli nie, zginiesz nie tylko ty, ale i cała twoja rodzina we wsi, miasteczku lub mieście, z których cię wywieziono. Żadnych wyjątków. Nigdy.

Wydadzą im instrukcje. Będą mogli trochę się przespać. Zostaną posegregowani wedle przeznaczonej im funkcji. Przyszłe prostytutki dostaną najlepsze kwatery i racje żywnościowe. Ich wygląd oraz ogólne zdrowie mają znaczenie, przynajmniej do pewnego czasu. Później przestaną się liczyć. Na koniec zostaną wyrzucone, w większości znarkotyzowane do tego stopnia, że nie będą kwalifikować się na odwyk. Powłoką się gdzie oczy poniosą i umrą w samotności.

Kurierom też podadzą różne środki, takie, które pozwolą ich wnętrznościom przyjąć więcej woreczków z narkotykami, niż wydawałoby się to możliwe. U dziesięciu procent torebki z narkotykami się rozerwą. Te dziesięć procent umrze. Ludzki organizm nie został stworzony do tolerowania heroiny lub kokainy w tak potężnych przenikających do krwiobiegu dawkach, ponieważ

na żadnym etapie ewolucji człowiek nie musiał przystosowywać się do tych substancji.

Ludzkość na tym korzystała, te dziesięć procent nie.

Stratę tych dziesięciu procent uznawano w branży za niewygórowany i dopuszczalny koszt prowadzenia biznesu. Tak jak firmy wydające karty kredytowe windują stopy procentowe, by pokryć straty z tytułu działalności hakerów i wyłudzaczy, tak handlarze niewolników podnoszą ceny swojego towaru w tym samym celu.

W każdym biznesie przerzuca się koszty, czy ktoś handluje młotkami, czy żywym towarem.

Mecho nie mógł zrobić nic, by pomóc tym osiemdziesięciu osobom w magazynie. Nie po to tu przyjechał.

Siedział na skuterze pod bramą ogrodzenia otaczającego park przemysłowy i czekał.

Wyjął z kieszeni fotografię. Choć było ciemno, a Mecho, zanim zbliżył się do terenu magazynu, zgasił światło skutera, oczyma wyobraźni widział młodą kobietę ze zdjęcia.

Była bardzo do niego podobna. Nie bez powodu.

Rodzina to rodzina.

Miała na imię Rada. W jego języku to imię oznaczało „radość”.

Kiedyś miała jej pod dostatkiem.

Teraz już nie. Wiedział o tym, nie potrzebował żadnych dowodów.

Czasem wolałby, żeby Rada nie żyła.

Robienie tego, co robiła, musi być gorsze od śmierci.

Nie miał pojęcia, gdzie rzucił ją los.

Przyjechał tu, żeby się zorientować.

Ale to nie wszystko.

Nosił w kieszeni także i inne zdjęcia. Na wszystkich były kobiety. Wyłącznie młode.

Nie łączyły go z nimi więzy krwi.

To jednak bez znaczenia. Istniał inny związek. Silny. To mu wystarczało.

Nie wiedział, w którym zakątku świata wylądowały.

A świat jest duży.

Przydałaby się pomoc.

Tej nocy podejmie pierwsze próby zdobycia takiej pomocy.

Po godzinie podniosły się wrota magazynu. Ze środka wyjechał SUV. Drzwi znów się zatrzasnęły.

Drugi SUV został na miejscu. Pierwszy podjechał pod bramę. Otworzyła się automatycznie i pojazd szybko pomknął dalej.

Mecho wiedział, że w środku siedzi czterech mężczyzn.

Gdy odpalił silnik skutera, żeby podążyć za nimi, było mu obojętne, który z tej czwórki udzieli mu pomocy.

Będzie pracował nad nimi wszystkimi, póki nie dostanie tego, czego chce. W jego oczach nie byli już istotami ludzkimi, bo wiedział, jak traktowali ludzi w ciężarówce.

Wykorzysta ich do osiągnięcia swoich celów, jak tylko będzie mu się podobało.

W pewnym sensie on też był biznesmenem.

Tylko że jego motywacja, jego zysk nie liczyły się w pieniądzu.

Miarą była sprawiedliwość.

Przelicznikiem – zemsta.

Dla Mecha niczym się one od siebie nie różniły.

54

Ten hotel był znacznie ładniejszy niż Sierra. I położony nad oceanem.

SUV został zaparkowany w hotelowym garażu. Czterej mężczyźni wjechali windą do lobby, po czym rozeszli się do swoich pokoi. Każdy z nich miał osobny, to jedna z zalet tej pracy. Żadnych ograniczeń finansowych.

Mężczyzna, który jechał na miejscu obok kierowcy, dotarł do pokoju na czternastym piętrze i otworzył drzwi kartą magnetyczną. Zdjął marynarkę, odsłaniając glocka dziewiątkę. Ruszył prosto do minibaru, zmieszał gin z tonikiem, podszedł do okna i spoglądał na zatokę. Głęboko odetchnął, wyjął z kieszeni papierosa i zapalił.

W pokoju obowiązywał zakaz palenia, on jednak ewidentnie miał to gdzieś.

Pół godziny później usłyszał pukanie do drzwi. Nie tych od strony korytarza, tylko drugich, łączących jego pokój z sąsiednim. Zajmowanym przez drugiego z ich czwórki.

Podszedł bliżej.

– Donny?

– No.

– Co jest?

– Telefon od szefa. Musimy się związać – odparł Donny.

– Niech to szlag.

– Mam coś dla ciebie – powiedział Donny.

Mężczyzna otworzył drzwi.

Cios był tak mocny, że zmiotł go z nóg. Poleciał do tyłu i wylądował na miękkim łóżku, nieprzytomny i ze złamanym nosem.

Do prawej skroni Donny'ego przystawiono lufę pistoletu.

Za plecami Donny'ego stał Mecho.

– Proszę, stary, nie zabijaj mnie – skomlał Donny.

Mecho wepchnął go do pokoju i zamknął za nim drzwi. Potężny cios w głowę powalił Donny'ego na podłogę.

Gdy się ocknął, był przywiązany do łóżka razem ze swoim kolegą, który także zdążył już oprzytomnieć. Spojrzeli po sobie.

Mecho stał nad nimi i patrzył na nich z góry. Zakleił im usta mocną taśmą, ściągnął im spodnie oraz bieliznę i przyłożył nóż do genitaliów.

Gdy ostrze rozcięło ciało, Donny krzyknął, choć ów krzyk był prawie niemy, taśma skutecznie go stłumiła.

W następnej sekundzie Mecho wbił nóż w pierś mężczyzny z taką siłą, że ostrze przebiło go na wylot i ugrzęzło w materacu.

Głowa Donny'ego bezwładnie opadła.

Drugi mężczyzna patrzył z przerażeniem na martwego kolegę.

Mecho odkleił mu taśmę z ust.

Mężczyzna szykował się na uderzenie noża, ale Mecho tylko na niego patrzył.

Tamten przeniósł wzrok na nieżywego Donny'ego.

– Dlaczego go zabiłeś? Wyśpiewałby ci wszystko, co tylko byś chciał.

– Zabiłem go – odparł Mecho – bo mogłem.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał mężczyzna z paniką w głosie.

Mecho usiadł obok niego na łóżku.

– Jak masz na imię? – zapytał spokojnie.

– Joe.

– Skąd jesteś, Joe?

– Z New Jersey.

– Co to jest New Jersey?

– Stan. W Stanach Zjednoczonych.

– Masz rodzinę?

Joe się zawahał, ale Mecho skierował ostrze w jego pierś i Joe od razu odpowiedział:

– Żonę i dwie córeczki.

– W New Jersey?

Kiwnął głową, a do oczu napłynęły mu łzy.

– Chciałbyś je jeszcze zobaczyć?

– Tak – wykrztusił Joe. – Niczego bardziej nie pragnę.

– A co z ludźmi na łodziach?

Pierś Joego zafalowała, z gardła dobył się szloch.

– Taka praca.

– Oni też mają rodziny.

– Robię to wyłącznie dla pieniędzy, przysięgam na rany Chrystusa. To jedyny powód. Nic do nich nie mam.

– Oni też kogoś kochają, ktoś kocha ich.

– To tylko cholerna robota. Nic więcej – wyjęczał Joe.

Mecho wyjął zdjęcie Rady i przytrzymał je przed mężczyzną.

– Rozpoznajesz ją? Ma na imię Rada.

Joe miał tak załzawione oczy, że ledwo cokolwiek widział.

– Ja... Nie wiem.

Mecho chwycił go za gardło i szarpnął w górę, podsuwając mu fotografię pod sam nos.

- Znasz ją?
- Nie... Nie jestem pewien. Być może.
- Ma na imię Rada.
- Nie znam ich imion. Nie podają nam.
- Jest piękną kobietą. Przyjechała tu miesiąc temu. Byłeś tu wtedy?

Joe zaczął kiwać głową, wyczuwając być może, że jeśli przekaze cenne informacje, ocali własne życie.

– Czekał, tak, chyba ją pamiętam. Zgadza się, miesiąc temu. No jasne, Rada.

– Rada – powtórzył Mecho. – Miesiąc temu.

– Chcesz ją odnaleźć? Może uda mi się pomóc.

– Miesiąc temu – powtórzył Mecho. – Rada. Jest piękna.

– Rzeczywiście – przyznał Joe. – Prawdziwa piękność. Pomogę ci. Jeśli mnie rozwiążesz...

Mecho zamachnął się nożem i wbił go w pierś Joego po samą rękojęść. Joe się zatrząsł i dołączył do Donny'ego w krainie umarłych.

Mecho utkwiał w nim wzrok.

– Rady nie ma od roku. – Dotknął fotografii. – I to nie ona jest na zdjęciu.

Spojrzał na martwego Donny'ego.

– Twój kumpel powiedział mi już wszystko, co chciałem wiedzieć. W swoim pokoju.

Wyciągnął nóż. Z rany trysnęła krew. Ponieważ serce stanęło, a ciśnienie krwi jest zerowe, dużo więcej już jej nie wypłynie.

– Dlatego nie potrzebuję twojej pomocy – rzekł Mecho. – Może zapomniałem ci o tym wspomnieć. Wybacz, Joe. Jestem pewien, że rodzina w tym twoim New Jersey będzie cię oplakiwać.

Wstał, wytarł nóż w pościel i wpatrywał się w obu mężczyzn.

Dla pieniędzy. Tylko dla pieniędzy.

Nie znają imion. Nigdy im ich nie podają.

Ale ja znam ich imiona.

Znam je wszystkie.

55

Puller siedział w swoim pokoju w Gull Coast, gapiąc się w ścianę. Sadie leżała zwinięta w nogach łóżka. Wypiła tyle wody, że zsiusiała się w samochodzie. Puller posprzątał i przed pójściem do pokoju wyprowadził psa na spacer.

Była czwarta rano, a on wciąż nie zmrużył oka.

W głowie kłębiły mu się różne myśli.

O wpół do piątej zamknął oczy i zmusił się do trzygodzinnego odpoczynku.

Po obudzeniu czuł się wypoczęty, jakby spał pełne osiem godzin.

Wziął prysznic, ubrał się, wyszedł z Sadie, a potem nakarmił ją zapasami zabranymi z domu Cookiego. Ponownie wyprowadził psa, by załatwił swoje potrzeby, a później poszedł na śniadanie, zostawiając swoją małą towarzyszkę w klimatyzowanym, na szczęście, pokoju. Zdawał sobie sprawę, że musi znaleźć dla niej jakieś docelowe lokum, ale to nie znajdowało się obecnie na czele listy priorytetów.

Przeszedł dwie przecznice w stronę nabrzeża i natknął się na małą, tanią restaurację o wnętrzu stylizowanym na lata pięćdziesiąte. Zamówił największe serwowane tam śniadanie. Ze względu na panujący na dworze upał – temperatura przekroczyła już dwadzieścia siedem stopni – zamiast kawy zamówił wodę z lodem.

Pełen energii wyszedł z restauracji i ruszył przed siebie ulicą.

– Najadłeś się?

Odwrócił się i ujrzał ją przy skrzynce na listy.

Julie Carson nie była w mundurze. Miała na sobie dzinsy, sandały i zieloną bluzkę bez rękawów.

Nie wyglądała jak generał. Wyglądała jak turystka. Bardzo wysportowana, atrakcyjna turystka.

Puller do niej podszedł.

– Cóż za zaskoczenie, pani generał – powiedział.

– Uznaję to za komplement, ponieważ wiem, jak trudno pana zaskoczyć, agencie Puller. I może pan zwracać się do mnie po imieniu. Dzisiaj nie jestem na służbie.

– A ty możesz zwracać się do mnie *per* John. Kiedy przyjechałaś?

– Załatwiłam sobie wolne miejsce w samolocie transportowym do Eglin. My, generaliczka, mamy pewne profity. Dotarłam wczoraj około północy.

– Jak mnie znalazłaś?

– Ilu jest w Paradise facetów, którzy wyglądają tak jak ty?

Przyglądał się jej, czekając na prawdziwą odpowiedź.

– No dobra, prześledziłam operacje na twojej karcie kredytowej. Widziałam, że zameldowałeś się w Gull Coast.

– W takim razie powinnaś była zjeść ze mną śniadanie.

– Zaspałam. Wiedziałam, że zerwiesz się bladym świtem, żeby wrzucić coś na ząb. Ta restauracja wyglądała mi na miejsce w twoim guście. Właśnie miałam do niej zajrzeć, kiedy stamtąd wyszedłeś.

– A przyjechałaś tu, bo...?

– Miałam tydzień zaległego urlopu. Zorientowałam się, że J2 poradzi sobie te kilka dni beze mnie. Twój opis Paradise brzmiał tak zachęcająco, że decyzja podjęła się w zasadzie sama.

– Mogę nie sprostać twoim oczekiwaniom.

– Pozwól, że dziewczyna oceni to sama, John.

– Domyślam się, że choć jesteś na urlopie, chcesz, żebym przekazał ci najświeższe nowiny o moim śledztwie.

– Wprost łaknę informacji. Wróćmy do tej restauracji, ja zjem śniadanie, ty wypijesz litry wody, żeby nie odwodnić się w tym upale, i utniemy sobie miłą pogawędkę.

Tak zrobili.

Puller przekonał się, że Carson dopisuje apetyt. Spałaszowała jajka, naleśniki, bekon i kaszę kukurydzianą, popiła trzema szklankami wody oraz dwiema kawami.

W tym czasie Puller wtajemniczał ją we wszystkie wydarzenia, łącznie z eksplozją w rezydencji Lamperta minionej nocy.

Carson wypiła ostatni łyk wody i odstawiła szklankę.

– Nie próżnowałeś.

– Byłem reaktywny, a to nie jest idealny wzorzec działania.

– Ośmiu koleś. Jestem pod wrażeniem.

– Załatwiłem tylko sześciu. Gdyby nie zjawił się tamten wielkolud, nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy.

– O ile dobrze rozumiem, badasz podejrzone okoliczności śmierci ciotki. Oraz zabójstwo jej sąsiada. Dochodzi do tego zniknięcie tego dzieciaka, Diega. Śledzą cię dwaj faceci, którzy mają takie koneksje, że Pentagon trafia na mur i zostaje odprawiony z kwitkiem. Jakiemuś bogatemu fiutowi spektakularnie wysadzają w powietrze bentleya. Ach, byłabym zapomniała... Jeszcze te morderstwa na plaży.

– Ci dwaj być może mnie nie śledzą, a po prostu zaczęli deptać mi po piętach, od kiedy zjawiłem się w domu ciotki.

– Co by znaczyło, że nie ty, lecz ona była w centrum ich zainteresowania, a to z kolei uwiarygodniałoby teorię zabójstwa.

– Tak to widzę – potwierdził Puller.

– Nasuwa się zatem pytanie, w co, do licha, się wmieszała, że ściągnęła na siebie ich uwagę. Jesteś pewien, że nie była emerytowanym szpiegiem z mroczną przeszłością?

– Jeśli nawet, to doskonale się z tym kryła. Nie, sędzę, że wpadła na jakiś trop i przypłaciła to życiem. Szkoda, że nie podała w liście więcej konkretów. Trudno.

– Wspomniałeś o przebiegu jej samochodu.

– Racja. Osiem kilometrów w jedną stronę i osiem z powrotem. Takie są przynajmniej moje przypuszczenia. Jane Ryon twierdziła, że najbardziej prawdopodobny jest kierunek wschodni. Wziąwszy jednak pod uwagę, co stało się z Cookiem, nie wiem, czy można jej ufać.

– Policja ją przesłuchała?

– Nie mam pojęcia. Myślę, że do tego czasu już to zrobili.

– Może Ryon rozjaśni nam nieco obraz, jeśli maczała w tym palce.

– Zobaczymy.

– Więc jaki jest kolejny ruch?

– Jesteś pewna, Julie? Przecież nie musisz tego robić.

– W trakcie niemal całej kariery wojskowej ochraniałam żołnierzy. Dlatego zwykli szeregowi mnie kochają. Poza tym kilka ostatnich wakacji powielalo ten sam schemat, który już mi się znudził. A przydział do sztabu J2, aczkolwiek niezbędnym na drodze zawodowej, bywa cholernie mało porywający. Potrzeba mi trochę podniet.

– No to trafiłaś idealnie – rzekł Puller. – Ale pamiętaj, do tej pory zginęły już co najmniej cztery osoby.

– Potrafię o siebie zadbać.

– Ja myślałem tak samo, a niewiele brakowało. Dranie, z którymi się starłem, to płułki. Spartaczyłem robotę, ale miałem szczęście. Nie mogę liczyć na to, że dopisze mi ponownie.

Rozbawiona dotąd Carson spoważniała.

– Więc traktujemy to jak prawdziwą walkę?

– Jak prawdziwą walkę – potwierdził.

– Następny krok?

– Najbardziej oczywisty. Dowiemy się, czy policja zatrzymała Jane Ryon.

– A jeśli nie?

– Znajdziemy ją sami, przed innymi.

– Naprawdę myślisz, że zabiła tego Cookiego?

– Nie mam pojęcia. Ale gdyby tak było, mogła też zamordować moją ciotkę.

– A co z resztą wydarzeń? Sądzisz, że to wszystko jakoś się ze sobą łączy?

Puller zastanawiał się przez kilka długich sekund przy wzmagających się odgłosach ruchu ulicznego. Paradise budziło się do życia.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Co to konkretnie znaczy?

– Dokładnie to. Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

56

Gdy wychodzili z restauracji, ulicą przemykał właśnie policyjny samochód. Zatrzymał się z piskiem, z okna wychyliła się głowa Cheryl Landry.

– Nie uwierzysz... – zaczęła, po czym jej wzrok spoczął na Carson.

Puller to zauważył i powiedział:

– Generał Julie Carson, Cheryl Landry z policji.

Wodząc wzrokiem między jedną a drugą kobietą, Puller poczuł wyrzuty sumienia. Dwukrotnie umawiał się z Carson, choć za pierwszym razem nie była to prawdziwa randka. Wyczuwał jednak, że generał była zainteresowana czymś więcej niż zwykłą przyjaźnią. Landry również wyraźnie chciała wejść z nim w większą zażyłość. Dlatego towarzystwo tych dwóch kobiet naraz okazało się dla niego wysoce kłopotliwe.

Carson skinęła głową i rzekła:

– Miło mi poznać.

– Nigdy dotąd nie poznałam generała.

– No cóż, teraz już pani poznała. Wyglądamy tak samo jak wszyscy inni.

– W co nie uwierzę? – Puller zwrócił się do Landry.

– Kolejne dwa zabójstwa. W hotelu Plaza dwie przecznice stąd. Z tego, co wiem, dwóch mężczyzn śmiertelnie ugodzonych nożem w hotelowym pokoju.

– Dwóch mężczyzn – powtórzył Puller.

Landry kiwnęła głową.

– Wiem, co myślisz. Ale nie mam pojęcia, czy to ci sami, którzy twoim zdaniem cię szpiegują.

– Pojechać z tobą?

Landry zerknęła na Carson, a następnie na Pullera.

Wyczuwając jej niezdecydowanie, dodał:

– Przekaż tę propozycję Bullockowi. Jeśli zechce, może do mnie zadzwonić.

– Dzięki.

– Zatrzymaliście Jane Ryon?

Ale Landry zdążyła już wcisnąć gaz i odjechać.

Puller spojrzał na Carson.

– Kolejne dwa trupy.

– Kto by przypuszczał, że Paradise okaże się takim krwawym miejscem – odparła. – I oczywiście to nie może być zbieg okoliczności – dodała, unosząc brwi.

– Raczej nie.

– Czekamy więc na akceptację tego całego Bullocka? A co z Ryon?

– Możemy spróbować ją znaleźć. Ale skoro jesteśmy w tej okolicy, chciałbym sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

Poszła za nim ulicą w kierunku przeciwnym do plaży. Słońce zdawało się piąć do zenitu ze zdumiewającą prędkością. Carson otarła z czoła kroplę potu i przyspieszyła kroku, by zrównać się z Pullerem.

– Dokąd idziemy?

– Do Diega.

Minęli hotel Sierra i znaleźli się pod budynkiem z niebieską

markizą. Puller wspiął się po schodach i zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiadał.

Zapukał ponownie.

I po raz trzeci.

Usłyszawszy kroki, odrobinę się rozluźnił. Carson patrzyła na niego wyczekująco.

Otworzyły się drzwi. Puller spodziewał się zobaczyć jedną z dwóch osób. Diega albo Isabel. No, może jedną z trzech, jeśli liczyć małego Matea.

Nie zobaczył żadnej z nich.

Stojąca w progu kobieta była po sześćdziesiątce, niska, pulchna, o brązowych włosach mocno przyprószonych siwizną. Miała bardzo pomarszczoną twarz, w bruzdzie między policzkiem a nosem wyrosło jej wydatne znamię. Była ubrana w spodnie dresowe, tanie tenisówki i ciemną bluzkę. Z ciekawością przenosiła spojrzenie z Pullera na Carson.

– *Sí?*

A więc to jest *abueta*, pomyślał Puller. Babcia.

– *Habla inglés, señora?* – zapytał.

– Tak. *Poquito*.

– Nazywam się John Puller. Znam Diega, Isabel i Matea. Pomogłem im któregoś dnia. Może pani opowiadali.

– Tak, mówili. – Nagle zapadła się jej twarz i zaczęły trząść się ramiona.

Puller chwycił ją pod pachę, by kobieta nie osunęła się na podłogę.

– Co się stało?

– *Los niños...* Nie ma ich.

– Gdzie są?

– *Donde están los niños?* – poprawiła Carson.

– *No sé. Desaparecido.*

Puller popatrzył na Carson.

– Zniknęły?

Carson przytaknęła.

– Tak powiedziała.

– Zawiadomiła pani policję? *He llamado a la policía?* – zapytał.

Pokręciła głową.

– *No policía. Nunca la policía.*

– Zdaje się, że nie przepada za policją – zauważyła Carson.

– Może jest niezarejestrowana. Dzieciaki też nie.

– Racja.

Puller spojrzał na szlochającą kobietę i rzekł do Carson:

– Być może to robota tamtych kanalii, którym spuściłem łomot.

Ale coś mi mówi, że nie. Diego pomagał mi wysledzić tamtych dwóch facetów w samochodzie.

– I to oni stoją za zniknięciem dzieci?

– To chyba najbardziej prawdopodobna odpowiedź. Diego ich szpiegował. Może go zauważyli, a Isabel i Mateo byli razem z nim.

Pullera nagle dopadło poczucie winy, że wplątał w to Diega.

– Chyba że ci dwaj leżą nieżywi w hotelu Plaza.

– Też niewykluczone. Może dzieciakom udało się uciec.

– A najpierw tamtych dwóch zamordowali? – zapytała sceptycznie Carson.

Puller zwrócił się do starszej kobiety:

– *Lo siento. Podemos ayudar de alguna manera?*

Pokręciła głową i powiedziała, że teraz może pomóc jej tylko Bóg. Zamknęła drzwi. Puller patrzył przed siebie ponad ramieniem

Carson.

– Powinniśmy to zgłosić? – zastanawiała się.

– Jeśli dzieciakom nic się nie stało, narobimy w ten sposób więcej szkody niż pożytku. Mogłoby skończyć się deportacją.

– To lepsze niż śmierć, John.

– Tak, wiem.

– Zasięgnijmy języka w okolicy. Może ktoś ich widział.

– Dobry pomysł. Diego ma tu kilku kumpli. Mogą coś wiedzieć.

Zlokalizowanie dwóch kolegów chłopca zajęło im dwadzieścia minut. Pierwszy nie widział Diega od dwóch dni. Drugi widział go poprzedniego dnia.

– Był z kimś?

Chłopak wyciągnął rękę. Puller położył na niej pięć dolarów.

– Tak.

– Z kim? – zapytała Carson.

Dzieciak znów wyciągnął rękę. Carson dała mu dolara. On nadal milczał.

– Jeśli powiesz nam coś przydatnego, dostaniesz więcej. W przeciwnym razie bankomat nieczynny – rzekł Puller.

Chłopak rozejrzał się i oznajmił:

– Z *dueños de la calle*.

– Z królami ulicy?

– Tak. Z królami ulicy.

– Co z nimi robił?

Chłopak wyciągnął rękę, do której Carson włożyła kolejny banknot jednodolarowy.

– Chyba próbuje się z nimi spiknąć. Jeśli tak, to jest głupi. To bardzo zły gang.

– A co z Isabel i Mateem?

Chłopak cofnął rękę i schował pieniądze do kieszeni. Wzruszył ramionami.

– O nich nic nie wiem.

– Gdzie znajdziemy królów ulicy?

– Nie chce pan ich znaleźć, *señor* – odparł chłopak.

– Tak się składa, że chcę. Gdzie?

Puller wyciągnął dwadzieścia dolarów.

– *Ahora!*

Dzieciak podał im adres i odbiegł.

Puller patrzył na Carson.

– Nie musisz ze mną iść.

– Żartujesz? Właśnie zaczyna robić się interesująco.

– Masz broń?

– Pytasz generała, czy ma broń? Inne kobiety lubią pewnie buty i lakier do paznokci. Ja wychowywałam się z winchesterami i koltami na farmie w Oklahomie. Zabrałam ze sobą trochę zabawek.

– Okej. Chyba trzeba porządnie się uzbroić.

– Cholera, John, moim zdaniem nie ma tu żadnego „chyba”.

Niewielka szopa była schowana za opuszczonym na pierwszy rzut oka budynkiem położonym dziesięć przecznic od oceanu. Okolica znajdowała się, jak można by delikatnie opisać, w fazie przejściowej, co oznaczało: nie chodź tam w nocy i staraj się unikać bywania tam za dnia. Miejsce było martwe, leżało odłogiem i w niczym nie przypominało widokówkowego Paradise ze szmaragdowymi plażami. Wyglądało na to, że uroda miasteczka jest wyłącznie powierzchniowa. Kilka warstw głębiej ujawniała się cała jego szpetota.

Trzej młodzi mężczyźni stali pod budynkiem i na przemian rzucali nożami w puszkę ustawioną na szczycie kontenera na śmieci. Mieli wprawę, każdy z nich konsekwentnie strącał puszkę z odległości trzech metrów.

– Niezłe oko.

Mężczyźni obrócili się gwałtownie, sięgając do pistoletów za pasem.

I nagle zrezygnowali.

Puller stał ze swoim MP5 przełączonym na serię dwustrzałową. Carson nie żartowała w sprawie broni. Lot wojskowym samolotem transportowym pozwalał jej na zabranie dowolnego uzbrojenia.

– Mądra decyzja – rzekł Puller, posuwając się w ich stronę i przenosząc wzrok na okna szopy za nimi. Były zasłonięte, nie zauważył, aby ktoś próbował przez nie wyglądać i brać go na muszkę. – Mam pytanie.

Czujnie go obserwowali. Puller widział, że próbują wymyślić

sposób na obrócenie jego taktycznej przewagi na swoją korzyść.

Nie przejął się, ponieważ MP5 z tak bliskiej odległości to twardy orzech do zgryzienia.

– Nazywa się Diego. Ma dwoje kuzynów. Isabel i Matea. Gdzie oni są?

Milczeli.

Puller podszedł bliżej.

– Diego, Isabel i Mateo. Gdzie oni są?

Nadal nie odpowiadali.

Puller zbliżył się o kolejne pół kroku. Jedną serią z MP5 mógł położyć ich wszystkich trupem.

Przełączył selektor ognia na tryb ciągły.

– Zapytam ostatni raz. Potem już nie będzie żadnych pytań.

– Nie wiemy, gdzie teraz są – odezwał się jeden z mężczyzn, wpatrując się w wylot lufy.

– Ale wiedzieliście, prawda?

Spojrzeni po sobie. Ten, który przemówił, wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć.

– Nie, wcale nie trudno. Wystarczy to zrobić.

Puller postawił kolejny krok w przód.

Mężczyźni się uśmiechnęli.

Puller sądził, że wie dlaczego.

– Nie próbowałbym – powiedział. – Nie jestem tu sam.

Uśmiech zgasł na ich twarzach.

Puller dostrzegł go kątem oka. Czwartego mężczyznę.

Wyłonił się zza wschodniej ściany budynku. Miał płaski kompaktowy pistolet wycelowany w głowę Pullera.

– Zerknij na swoją klatę – krzyknął Puller.

Mężczyzna się wzdrygnął, wydawał się zdenerwowany, ale nie spuścił wzroku, wyraźnie wietrząc podstęp.

Pozostali na niego spojrzeli. Ten, który podjął rękawicę, zaklął pod nosem na widok czerwonej kropki w miejscu serca.

Powiedział coś po hiszpańsku. Facet z pistoletem pochylił głowę, zobaczył kropkę. On też zaklął i opuścił broń.

Puller wycelował w niego swój MP5.

– Może odłożysz spluwę i dołączysz do grupy dyskusyjnej?

Nie zabrzmiało to jak propozycja.

Tamten rzucił broń i podszedł do pozostałych. Czerwona kropka wędrowała razem z nim.

– Diego i jego kuzyni. Byli tu, a teraz ich nie ma. Dokąd poszli?

Cała czwórka wymieniła nerwowe spojrzenia.

– Rozglądanie się i milczenie zwykle mocno mnie wkurza – rzekł Puller. – A kiedy porządnie się wkurzę, staję się nieobliczalny.

Przełączył selektor ognia z powrotem na serię dwustrzałową i oddał kilka strzałów ponad ich głowami. Wszyscy instynktownie padli na ziemię.

Puller zsunął palec ze spustu i powtórzył pytanie:

– Gdzie?

Podnieśli się na chwiejnych nogach. Jeden z nich powiedział:

– Zabrali ich.

Inny spiorunował go wzrokiem i wydawał się gotów wymierzyć mu cios pięścią.

Ten pierwszy to wyczuł, a mimo tego szybko dodał:

– Zabrali ich wczoraj w nocy. Tamten człowiek zapłacił za dwóch tysięcy dolarów.

– Za dwóch? Za jakich dwóch?

– *Los niños. Diego y Mateo.*

– Kto zapłacił tysiąc dolarów? – spytał ostro Puller.

– Mówiłem, *un hombre*.

Dwaj inni syknęli, ale on spojrział na nich wyzywająco.

– Jak się nazywał? Jak wyglądał? – dociekał Puller.

Zanim mężczyzna zdążył odpowiedzieć, rozległ się ryk. Puller zobaczył nadjeżdżające z lewej strony pick-upy. Na platformach z tyłu stali mężczyźni z bronią o dużej sile rażenia, patrzący złowrogo w jego kierunku.

W słuchawce zatrzeszczał głos Carson.

– Następnym punktem programu jest odwrót.

Puller chwycił mężczyznę, z którym rozmawiał, i obaj puścili się biegiem. Samochody zawróciły, by ruszyć za nimi w pościg, ale powietrze rozdarło kilka strzałów i oba pojazdy zostały unieruchomione, ponieważ miały przedziurawione opony. Dwaj mężczyźni wypadli za burty przy ostrym hamowaniu.

Puller skręcił za róg, mężczyzna za nim. Widział przed sobą chevroleta tahoe. Podwoił tempo i zobaczył, jak Carson schodzi ze swojego wysoko położonego stanowiska na sąsiednim budynku, niosąc wyposażony w lunetę karabin. Wskoczyła na fotel pasażera. Puller wepchnął mężczyznę na tylne siedzenie, a sam błyskawicznie usiadł za kierownicą, słysząc dudnienie stóp na drodze i wrzeszczących po hiszpańsku mężczyzn.

Wcisnął gaz, ruszył z kopyta, skręcił za róg i zniknął w labiryncie ulic.

Carson trzymała na muszce karabinu siedzącego z tyłu mężczyznę. Przyglądała mu się w milczeniu.

– Kto zabrał chłopców? – rzuciła.

Puller spojrział na nią pytająco.

– Słyszałam w słuchawce – wyjaśniła.

– Potrzeba nam kilku szczegółów – zwróciła się do mężczyzny.

Ten przecząco pokręcił głową.

– Zabrnąłeś już dość daleko – rzekła Carson. – Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

Mężczyzna spojrział na Pullera.

– Jesteś wielki. Jak tamten gość.

Puller widział go w lusterku wstecznym.

– Jaki gość?

– Wielki. Większy niż ty. Umie się bić.

– Mieszka w hotelu Sierra?

Kiwnął głową.

– Podniósł jednego z naszych jak piórko. Potrafi wbić nóż w ścianę z odległości sześciu metrów. *El Diablo*.

– To ten sam człowiek, który uratował mi życie – rzekł Puller do Carson.

– *El Diablo* ma jakieś imię? – zainteresowała się.

Facet wzruszył ramionami.

– *No sé*.

– To on zabrał *los niños*?

– Nie.

– No to kto?

– *No sé*.

Carson przesunęła palec bliżej spustu. Przez twarz mężczyzny przemknął uśmiech.

– Nie zastrzelisz mnie.

– Bo?

– Bo jesteś w wojsku. W randze generała.

Carson zerknęła na swój pierścionek z jedną gwiazdką.

– Też byłem kiedyś wojskowym. Nie u was. W moim kraju.

– Przykro patrzeć, jak nisko upadłeś – prychnęła Carson.

– Chcemy pomóc Diegowi i Mateowi – powiedział Puller. – To wszystko. Pomóż nam. To jeszcze dzieci.

– Nie da się im już pomóc.

– Tego nie wiesz.

– Wiem. I mnie to nie obchodzi. Nie mój problem.

Carson popatrzyła na Pullera i wzruszyła ramionami.

– Otwórz drzwi – nakazała.

– Że co? – zapytał mężczyzna.

– Otwórz drzwi i wyskakuj.

– Co?

– Skacz!

Wycelowwała lufę karabinu prosto w jego krocze.

– Generał nie generał, albo skaczesz, albo stracisz pewne niezbędne części swojej anatomii.

Facet otworzył kopniakiem drzwi i wyskoczył, przekoziółkował po drodze i się zatrzymał. Patrzyli, jak się podnosi i powoli kuśtyka.

– Podoba mi się twój styl – pochwalił Puller.

Carson zmierzyła go surowym spojrzeniem.

– No co?

– Planując następny urlop, wybierz bezpieczniejsze miejsce niż Paradise.

Zabrzęczał telefon Pullera. Odebrał, chwilę słuchał, aż w końcu powiedział „okej” i się rozłączył.

– No mów. – Carson się niecierpliwiła.

– Zostałem oficjalnie zaproszony do udziału w śledztwie.

Mecho obserwował policjantów.

Pakował do worka śmieci ogrodowe, a policja pakowała do worków szczątki bardzo drogiego samochodu.

Był ciekaw, czy znaleźli fragmenty tablicy rejestracyjnej z napisem PAN. Miał nadzieję, że nie. Że wpadła do oceanu i została połknięta przez rekina.

Grabiąc suche gałązki, które opadły na ziemię, obserwował, jak służąca Beatriz idzie przez trawnik, niosąc tacę z lemoniadą i przekąskami. Zmierzała w stronę basenu, przy którym odpoczywali Lampert, James Winthrop i Chrissy Murdoch. Miała podpuchnięte oczy i obsługiwała wszystkich ze spuszczonego wzrokiem. Widział, jak Lampert odprowadza ją spojrzeniem.

Gdy zbliżyła się do domu i zniknęła pozostałym z oczu, Mecho dźwignął worek ogrodowy i robiąc użytek ze swoich długich nóg, pospieszył, by przeciąć jej drogę. Na jego widok przystanąła. Był od niej wyższy o kilkadziesiąt centymetrów i ważył co najmniej dwa razy tyle.

Odezwał się do niej po hiszpańsku, pytając, czy wszystko w porządku.

Bąknęła, że tak, i ruszyła dalej. Dotrzymywał jej kroku.

Zadał jeszcze kilka pytań, a na końcu zagadnął Beatriz o jej pracodawcę. Wtedy rysy jej twarzy stwardniały.

Mecho skwapliwie wykorzystał ten czuły punkt.

– O ile mi wiadomo, twój szef wkrótce wyjeżdża z kraju.

Posłała mu surowe spojrzenie.

– Skąd wiesz?

– Mówił mi jeden z jego ludzi. Do Azji?

– I do Afryki. Tak przynajmniej usłyszałam.

– Kiedy wyjeżdża?

– Dlaczego tak cię to interesuje? – zapytała podejrzliwie.

– Chciałbym cię gdzieś zaprosić. Pewnie byłoby łatwiej podczas jego nieobecności.

Z jej miny nie dało się wywnioskować, czy pojęła sens jego słów, czy nie.

– Chcesz się ze mną umówić? – wycedziła.

– Nie zawsze byłem robotnikiem – wyznał Mecho zgodnie z prawdą. – Traktuję kobiety z szacunkiem i kurtuazją.

– To nie wchodzi w grę.

– Rozumiem.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie, nie rozumiesz. Nie wolno mi opuszczać terenu rezydencji.

– Nie możesz stąd wyjść?

Pokręciła głową i wyjaśniła przyciszonym głosem:

– To zabronione. Nie powinnam nawet z tobą rozmawiać.

– Jestem nikim. Tacy jak ja ich nie obchodzą.

Podniosła na niego wzrok.

– Myślę, że jesteś kimś – odparła z nadzieją w głosie.

– Ochrona nie pozwala ci wyjść?

– Nie tylko ochrona. – Obejrzała się przez ramię w kierunku basenu.

– Mogłabyś zawiadomić policję.

Pokręciła głową.

– Nie.

- Dlaczego?
- Bo nie chodzi tylko o mnie.
- Nie rozumiem.
- Są inni.
- Rodzina?

Przytaknęła. Z jej oczu zaczęły kapać łzy. Przyspieszyła kroku i po chwili zniknęła w domu.

Mecho niespiesznie niósł wypakowany liśćmi i gałązkami worek. Załadował go na skrzynię furgonetki i przyglądał się, jak Lampert zmierza do bramy, przez którą wychodzi się na pomost, i ją otwiera. Od frontu ogrodzenie miało prawie dwa metry wysokości i było wykonane z kutego żelaza. Lampert najwyraźniej nie obawiał się wścibskich spojrzeń od strony oceanu. Zarośla były na tyle gęste, że osłaniały główny budynek oraz dom dla gości przed niepożądanym wzrokiem. Mecho śledził, jak Lampert idzie pomostem, wsiada na jacht i znika pod pokładem.

Mógłbym go zabić. I może powinienem.

Ale nie ruszył się z miejsca. Częściowo ze względów praktycznych. Naliczył w zasięgu wzroku pięciu członków ochrony.

Nie bardzo mógł przedostać się za bramę. W dodatku nie miał broni. Za każdym razem, kiedy ich tu przywożono, cała ekipa ogrodnicza musiała przejść przez bramkę magnetyczną, a potem jeszcze była sprawdzana przez ochroniarzy ręcznym wykrywaczem metalu. Lampert był bardzo ostrożnym człowiekiem. Zanim Mecho dotarłby do jachtu, zostałby zastrzelony. I co by w ten sposób osiągnął?

Nie, lepiej realizować plan zgodnie ze wcześniejszymi założeniami.

Kontynuując pracę w palącym słońcu, rozmyślał o tym, co powiedział mu w hotelu tamten facet, Donny.

Transporty przybywają prawie każdej nocy. Ostatnia platforma wykorzystywana jako punkt przerzutowy znajduje się trzydzieści kilometrów od wybrzeża w kierunku zachodnim. Mecho przypuszczał, że to ta sama, na której i on się znalazł.

Dowiedział się także, że z początkiem kolejnego miesiąca planują przemyt jeszcze większych grup. Między innymi z Azji i Afryki. Wszystko się zgadzało, skoro Lampert wybierał się w podróż na te kontynenty.

Problemów może nastęrczyć data tego wyjazdu. A jeśli coś pójdzie nie tak i wyruszy, zanim Mecho będzie mógł zacząć działać?

Nie pozwolę na to. Nawet gdybym musiał jakimś cudem zestrzelić jego samolot. Już się nie wymknie.

Nigdy więcej.

Mecho wyczuł, że ktoś go obserwuje. Odwrócił się i ujrzał Chrissy Murdoch przyglądającą mu się znad basenu. Miała na sobie bikini i krótką sukienkę frotté.

Nie przerywał pracy. Uklęknął i wyrywał chwasty z rabaty. Ujrzał z bliska jej pomalowane paznokcie. Podniósł wzrok.

– Mecho?

– Tak?

– Bardzo ciężko pracujesz.

Wzruszył ramionami, wrzucając chwasty do worka, który przyniósł sobie z furgonetki.

– Inaczej nie potrafię. Tylko tak.

Uśmiechnęła się, jakby ta uwaga ją rozbawiła.

– Słyszałeś, co się stało w nocy?

Mecho nie odrywał wzroku od ziemi. Bardzo dziwne, że w ogóle z nim rozmawiała, a już zwłaszcza o bombach wybuchających pod

osłoną nocy.

– Widziałem samochód – powiedział cicho.

– Mnie też widziałeś, prawda?

Spojrzał na nią, osłaniając ręką oczy przed oślepiającym blaskiem słońca.

– Nie rozumiem.

– Wczoraj rano przez okno domu dla gości. Patrzyłeś. Zauważyłam twoje odbicie w wiszącym na ścianie lustrze.

Mecho zaklął w duchu.

– Nie przejmuj się. Nie jestem zła. Podobało ci się to, co widziałeś?

Przekomarza się z nim? A jednak coś mu podpowiadało, że ona naprawdę chce usłyszeć odpowiedź.

– A pani podobało się to, co pani robiła? – odparował.

Zastanowiła się.

– To skomplikowane.

– Skomplikowane rzeczy są w istocie proste.

– Tak uważasz?

– A pani nie?

– Być może. I jak sądzisz? Podobało mi się?

– Nie. Ale to nie moja sprawa.

Obejrzała się przez ramię na jacht.

– Ma wszystko, co najlepsze – powiedziała. – Domy, samoloty, jachty.

– I panią? Pani też należy do tych najlepszych rzeczy?

– Nie wydajesz się typowym członkiem ekipy ogrodniczej.

– Przyjechałem tu po lepsze życie. Jeszcze go nie znalazłem. W moim kraju miałem dobrą pracę. Używałem do niej mózgu.

Tutaj używam wyłącznie mięśni.

- Więc dlaczego wyjechałeś?
- Musiałem.
- W twoim kraju źle się działo?
- Źle – padła krótka odpowiedź.
- Rozumiem.
- Czyżby?

Popatrzyła na niego ze spesjonym wyrazem twarzy.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że ta rozmowa dotyczy nie tyle ciebie, ile mnie?
 - Czy tamten drugi wie?
 - James? James siedzi w kieszeni Petera po czubek głowy.
 - Tego wyrażenia nie rozumiem.
 - James jest własnością Petera. Więc nie, jego to nie obchodzi.
 - Czyli James nie jest mężczyzną.
 - Wiem o tym doskonale.
 - Dlaczego w ogóle sili się pani na tę rozmowę? Bo widziałem?
 - Ufam swojej intuicji co do ludzi. A ty zdałeś egzamin.
 - Nie ma to nic do rzeczy. Tacy ludzie jak pani nie rozmawiają z takimi jak ja.
 - Czy to reguła?
 - Tak.
 - Lubię łamać zasady, Mecho. Zawsze lubiłam.
- Wzruszył ramionami i powrócił do pielienia grządki.
- Zostaniesz tu na dłużej? – zapytała.
 - A pani?
 - Nie wiem. To zależy od Petera.

Mecho pomyślał, że z nim jest tak samo.

Hotel Plaza nie przypominał osławionego hotelu na obrzeżach Central Parku w Nowym Jorku. Fasadę pokrywał zwykły beżowy tynk, dach – zwykłe terakotowe dachówki, a każdy balkon z widokiem na ocean wspierały kolumny zbliżone kształtem do palm.

Wchodząc z Carson do budynku, Puller nie zwracał uwagi na architekturę. Myślał o Diegu. O tym, jak odzyskać go wraz z Mateem pod inną postacią niż w worku na zwłoki. Poza tym wciąż nie miał pojęcia, gdzie jest Isabel.

– Opowiemy policji o naszej przygodzie? – zapytała Carson, przemierzając spieszny krok bogato zdobione lobby z fontanną, która była główną atrakcją wystroju.

Przedstawiała Neptuna na postumencie w otoczeniu skaczących wokół niego delfinów i syren. Mogłaby nawet być zabawna, gdyby aż tak nie biła w oczy tandetą.

– Tak. Muszą natychmiast wystawić list gończy.

Landry spotkała się z nimi przy windach. Wjechali na piętro, gdzie dokonano zabójstwa. Po drodze Puller opowiedział jej o Diegu i Mateo oraz przepychance z królami ulicy.

– Macie szczęście, że żyjecie. Ci goście to prawdziwe bestie.

– W Afganistanie nie przetrwaliby nawet minuty – skwitował Puller.

– Święta prawda – dodała Carson.

Landry przekazała zgłoszenie.

– Dam znać, jak tylko będziemy coś wiedzieli – obiecała,

odłożywszy telefon.

Przy wychodzeniu z windy Puller przyłapał Landry i Carson na mierzeniu się nawzajem wzrokiem w taki sposób, w jaki robią to tylko kobiety. Większość mężczyzn nawet by nie zauważyła. Ale Puller zauważył i znów poczuł się nieswojo.

Poza dwoma denatami w pokoju hotelowym był tylko Bullock. I żadnych widocznych śladów przeprowadzenia czynności śledczych.

Komendant podszedł do nich, jak gdyby czytał w myślach Pullera.

– Wezwałem posiłki z policji stanowej. Staram się też wymyślić sposób na zaangażowanie FBI. Sytuacja wymyka się spod kontroli. Na razie nikt się ze mną nie skontaktował. Floryda okroiła budżet, podobnie jak wszystkie pozostałe stany. Nie jestem pewien, czy otrzymamy jakąś pomoc.

Puller słuchał jednym uchem. Skupił uwagę na łóżku, gdzie leżeli dwaj mężczyźni. Podszedł bliżej. Carson uczyniła to samo.

– Kto zgłosił przestępstwo? – zapytał Puller.

– Hotel. Obsługa pokoiów przyniosła śniadanie zamówione przez jednego z nich poprzedniego wieczoru. Nikt nie otwierał. Dziewczyna uchyliła drzwi i, mówiąc wprost, puściła pawia oraz tacę. Na szczęście ktoś posprzątał przed naszym przyjazdem.

– Rany wyglądają na głębokie – zauważyła Carson.

– Bo takie są – potwierdziła Landry. – Ostrze przeszło obu na wylot.

– Długi nóż i silny zabójca – rzekł Puller. Przypatrzył się twarzom. Już się zorientował, że to nie ci dwaj, którzy deptali mu po piętach.

Kiedy zapytała go o to Carson, pokręcił przecząco głową.

– Nie. To jacyś inni. Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Czas zgonu? – zwrócił się z pytaniem do Landry.

– Lekarka sądowa stwierdziła zgon, ledwie rzuciwszy okiem. Później oceniła, że nastąpił między drugą a czwartą nad ranem.

Puller powiódł wzrokiem po ciałach.

– Związani. – Baczniej przyjrzał się twarzom. – Mieli zaklejone usta? Widzę pozostałości kleju.

– Tak to wygląda, ale zabójca zabrał taśmę. Jest jeszcze to.

Landry zsunęła spodnie i bieliznę jednego z mężczyzn.

– Zabójca naciął mu krocze? – zapytała Carson.

Landry skinęła głową.

– Zauważyliśmy krew na spodniach, a lekarka sprawdziła.

– Tortury? Żeby zmusić ich do mówienia? – zastanawiał się Puller.

– Ta technika podziałałaby pewnie na większość facetów – zauważyła z przekąsem Landry.

– Kim są ci dwaj?

– Ten po prawej to Joe Watson. To jego pokój. Trup po lewej to Donald Taggart. Zajmował sąsiedni pokój.

– Co jeszcze o nich wiemy?

– Niewiele. Przyjechali tu około dwóch tygodni temu. Obaj pochodzą z New Jersey. Sprawdzamy ich przeszłość. Powiadamy najbliższą rodzinę. Standardowe procedury.

– Dwa tygodnie w takim miejscu – rzekł Puller. – Dość kosztowna rekreacja.

– Tak, może uderzyć po kieszeni – odparła Landry.

– Ładne garnitury – stwierdziła Carson, odchylając marynarkę, żeby zobaczyć metkę. – Wypielęgnowane dłonie, drogie buty. Widać tu pieniądze.

Dołączył do nich Bullock.

– Dodajmy do tego bombę w posiadłości Lamperta. Morderstwa na plaży. Napady gangów. Nie mam pojęcia, co się tu, do cholery, wyprawia. Jeszcze tydzień temu było tu spokojnie jak w małej miejscinie w sercu Kansas.

– Nawet małe miejsciny miewają problemy – rzekł Puller, wspominając swoją ostatnią eskapadę do sielskiej Wirginii Zachodniej.

– W tej chwili zamieniłbym się z każdą inną miejscowością – odparł Bullock.

Spojrzał pytająco na Carson, a Puller pospiesznie ją przedstawił.

– Generał? – zdziwił się Bullock. – Imponujące.

– Nie tak bardzo. W armii jest wielu generałów z jedną gwiazdką.

– Założę się, że kobiety są w tej grupie rzadkością – powiedział Bullock.

– Zdecydowanie mogłoby się pod tym względem poprawić – przyznała Carson.

– Są jakieś ślady zabójcy? – zapytał Puller.

– Na razie żadnych. Nikt niczego nie widział. A na nieszczęście hotel nie ma na korytarzach monitoringu.

– Dlaczego? – zainteresowała się Carson.

– Co dzieje się w Paradise, nie wychodzi poza nie – odparł Bullock.

– Las Vegas ma miliony kamer – wytknęła.

– W kasynach. Przypuszczam, że jesteśmy tu bardziej wyrozumiali.

– Raczej nie wobec tych dwóch – zauważył Puller, wskazując na zwłoki.

– Jak posuwa się śledztwo w sprawie śmierci ciotki? – zapytała Landry.

– Posuwa się. Znaleźliście Jane Ryon?

– Nie zastaliśmy jej w domu. Nagraliśmy wiadomość, żeby się z nami skontaktowała.

– A list gończy?

– Nie mamy wystarczającego powodu do jego wydania. Widziałeś tylko, jak jedzie ulicą. Mogła wracać z czyjegokolwiek domu albo zwyczajnie tamtędy przejeżdżała. Sprawdziliśmy, że ma też innych klientów na tej ulicy. Lekarka sądowa nie przedstawiła jeszcze raportu z autopsji. Nawet nie wiemy, czy to morderstwo.

– I zamierzacie tak po prostu czekać, aż Ryon się z wami skontaktuje? A jeśli tego nie zrobi? Jeśli uciekła już z kraju?

– Można wprowadzić do systemu markery korzystania z paszportu, karty kredytowej i telefonu komórkowego. I w ten sposób ją namierzyć.

Bullock miał sceptyczną minę.

– Potrzebowałbym do tego nakazu sądowego. Spróbujmy wnikliwiej przeanalizować sprawę. Nie chcę być ciągnany po sądach, gdyby się na przykład okazało, że wyjechała na wakacje. A teraz muszę zająć się tym tutaj. Bo tu nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z zabójstwem.

Puller odwrócił się w stronę leżących na łóżku ciał.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Jest pan wyszkolonym śledczym. Niech się pan rozejrzy i powie, czy coś rzuciło się panu w oczy.

– Torbę ze sprzętem śledczym zostawiłem w samochodzie. Jeśli mam tu powęszyć, wolałbym zrobić to profesjonalnie i po swojemu.

– Do licha, śmiało! Nie mam w sobie tyle dumy, by nie umieć się

przyznać, że się w tym wszystkim gubię.

Puller wyszedł po torbę.

60

Cztery godziny później wstał z klęczek i włożył do torebki jeszcze jeden dowód. Podał Landry wszystkie zebrane dowody, zdjął lateksowe rękawiczki oraz ochraniacze na obuwiu.

Carson, Landry i Bullock obserwowali, jak Puller metodycznie bada miejsce zbrodni, robiąc zdjęcia, pomiary, opylając przedmioty proszkiem daktyloskopijnym dla ujawnienia odcisków palców i generalnie przetrząsając pokój w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek co do tożsamości zabójcy. Tak samo potraktował też sąsiednie pomieszczenie.

– Armia dobrze cię wyszkoliła, John – przyznała Carson, gdy chował do torby rękawiczki i ochraniacze. Praca Pullera wywarła na niej niemałe wrażenie.

– To prawda, John – natychmiast dodała Landry.

Pakując do torby narzędzia, Puller starał się nie myśleć o swojej coraz bardziej skomplikowanej sytuacji z tymi dwiema kobietami.

Bullock przycupnął na skraju komody. W trakcie pracy Pullera Landry wyskoczyła po kanapki i wodę. Na stanowcze nalegania Pullera zjedli na zewnątrz, żeby nie zatrzeć śladów na miejscu zbrodni.

– Jakież wnioski? – zapytał Bullock.

– Mam częściowy odcisk buta przy krawędzi łóżka w sąsiednim pokoju. Ślad brudu przyniesionego prawdopodobnie z zewnątrz. Żadnych wyraźnych zapachów. Zabójca najprawdopodobniej nie użył intensywnej wody kolońskiej, której zapach mógłby się utrzymać. Pobrałem od zmarłych eliminacyjne odciski palców.

W obu pokojach dominują te same. Zakładam, że pozostałe należą do personelu. Dla porównania będziemy musieli zdjąć odciski wszystkich osób z obsługi, które tu wchodziły.

– Chyba że zabił ich któryś z pracowników hotelu – zauważyła Carson.

– Racja – rzekł Puller. – A więc trzeba będzie pobrać je od wszystkich pracowników.

– Bierzemy się do tego od razu – rzekł Bullock. Skinął na Landry, która posłusznie wyszła wykonać zadanie.

Puller omiótł pokój wzrokiem.

– Coś jeszcze? – zainteresowała się Carson.

– Pod względem kryminalistycznym nie. Dowiemy się więcej, gdy poznamy przeszłość tych dwóch. – Przeniósł spojrzenie na Bullocka. – To nie są uliczni gangsterzy. Ale macie tu problem z narkotykami, prawda?

– Które miasto go nie ma? – odpowiedział chłodnym tonem.

– Jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

Carson powiodła wzrokiem od Pullera do Bullocka.

Komendant policji utkwiał spojrzenie w agencie CID.

– Na przykład co?

– Nie wiem. Dlatego pytam. Zna pan tę miejscowość lepiej ode mnie.

– Jeśli chodzi o przestępczość, nie dzieje się w Paradise nic szczególnego. W gruncie rzeczy przed tą falą przemocy żadnych poważnych zbrodni tu nie było.

Puller zerknął na Carson. Wyłapawszy to spojrzenie, Bullock zapytał:

– Wiecie o czymś, o czym ja nie wiem?

– Czy zdarza się, że znikają tu ludzie?

– Czy znikają? Co niby ma pan na myśli? Samozapłon?

– Że jednego dnia są, a następnego już ich nie ma.

– Mówi pan o zaginięciach? Nie. Mamy tu niewiele takich przypadków.

– Ilu jest tu niezarejestrowanych i nielegalnych imigrantów? – dociekała Carson.

– To wypoczynkowa miejscowość nad zatoką. Niechroniona granica. Mekka turystów. Tania siła robocza jest ważna.

– Innymi słowy macie wielu niezarejestrowanych – podsumował Puller.

– Nie powiedziałbym, że wielu.

– Ale gdyby zaginęli, niekoniecznie by pan o tym usłyszał. Ludzie mogą tego nie zgłaszać.

– Może tak być. Do czego pan zmierza?

– Jak się dowiem, dam panu znać.

Landry, która zdążyła już wrócić, pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Już tłumaczę, szefie. Zaginęły dzieci. Przygotujemy komunikaty poszukiwawcze.

Zanim Bullock zdążył zareagować, Puller przewiesił torbę przez ramię i zwrócił się do Carson:

– Gotowa?

– Chodźmy.

– I na tym zamierza pan skończyć? – zdziwił się Bullock.

– Przyjechałem tu, by poznać przyczynę śmierci mojej ciotki. Mam zamiar zakończyć tę misję.

– A co z całą resztą tego, co się tutaj dzieje?

– Jeśli ma związek z ciotką, zajmę się i resztą.

Wskazał łóżko.

– Lepiej ich stąd zabrać. Zapach będzie coraz przykrzejszy, szczególnie w tym skwarze.

Carson wyszła za Pullerem, a Bullock i Landry zostali na środku pokoju, patrząc na zwłoki.

Puller załadował torbę do bagażnika, usiadł za kierownicą, Carson zaś zajęła miejsce obok. W ostatniej chwili podbiegła do nich Landry.

– Już jedziecie?

– Teraz tak. Co z odciskami palców do eliminacji?

– Właśnie wszystko organizuję.

– Daj znać, gdy się czegoś dowiecie o tych dwóch truposzach. Nie przyjechali tu na wakacje.

– Jasne.

Landry zerknęła ukradkiem na Carson, a potem na Pullera.

– Masz czas, żeby się później spotkać?

Puller oblizał usta i poczuł falę gorąca na twarzy.

– Niewykluczone. Zadzwońię.

Landry miała taką minę, jakby wymierzono jej policzek. Znów popatrzyła na Carson.

– Zatrzymaliście się w Gull Coast?

Z początku Puller myślał, że Landry tak naprawdę zwraca się do niego, po chwili jednak stało się jasne, że jest w błędzie.

– Tak. Właśnie się zameldowałam – odparła Carson.

– Pewnie przyjechałaś na urlop.

– Tak.

– Może warto rozejrzeć się za jakimś miejscem bliżej plaży. Z Gull jest kawał drogi. Szkoda słońca.

– Dziękuję za radę.

- Proszę – burknęła Landry, odwróciła się i odeszła skwaszona.
 - Czyżbym w czymś przeszkadzała? – zapytała Carson.
- Puller wrzucił bieg i wycofał samochód.
- Nie.
 - Okej. Dokąd jedziemy?
 - Chcesz wpaść na plażę?
 - Masz na to ochotę? – zdziwiła się.
 - Nie. Ale ja tu pracuję, a ty nie.
 - Nie jestem typem plażowiczki. Przyjechałam tu, bo ty tu jesteś, więc czas zakasać rękawy.
 - W porządku.
 - A zatem dokąd?
 - Tam, gdzie wszystko się zaczęło. Do domu ciotki.

61

– Czego szukasz?

Carson obserwowała Pullera, który przetrząsał szafę ciotki.

– Rzeczy, których tu nie ma.

Wyszedł na zewnątrz, pogrzebał w torbie, wyjął z niej spięte razem kartki i zaczął je przeglądać. Policzył pozycje na liście i kiwnął głową.

– Przełom? – zapytała Carson.

– Coś w tym rodzaju.

Wsunął kartki do kieszeni i spojrzał na dom Cookiego. Nadal otaczała go żółta taśma policyjna, ale przed wejściem nie stał policyjny radiowóz. Prawdopodobnie funkcjonariusze udali się na nowe miejsce zbrodni w hotelu Plaza.

– John, co jest grane?

– Próbuję poskładać kilka elementów w całość.

– Związanych z zabójstwami?

– Może tak. A może nie.

Podążyła za nim w stronę domu Cookiego i weszła przez furtkę do ogrodu.

W domu było ciemno.

Drzwi zamknięte na klucz.

Dziesięć sekund później stały otworem.

– Nauczyci cię tego w wojsku? – szepnęła zza ramienia Pullera, gdy ostrożnie uchylał drzwi.

– W wojsku nauczyli mnie wielu rzeczy. W większości

przydatnych.

Wśliznęła się za nim do środka.

– Przy okazji zabiorę trochę jedzenia dla psa.

Otworzył kuchenne szafki, znalazł psie zapasy i wpakował je do plastikowej torby, wyciągniętej ze stojącego przy drzwiach spiżarni kubła do segregacji odpadów.

– Przyszedłeś tu po karmę dla psa?

Puller nie odpowiedział. Podszedł do szklanej gabloty, w której Cookie przechowywał kolekcję zegarków. Tu też zaczął liczyć.

– Puller, to się robi trochę męczące – rzekła uszczypliwie Carson.

– Staram się złożyć kilka spraw do kupy, zanim zdecyduję o dalszym kierunku działania.

Rzuciła okiem na zegarki.

– Czy ta kolekcja ma tu coś do rzeczy? – zapytała.

– Ma. Ale musimy sprawdzić jeszcze jedno miejsce. – Zerknął na zegarek. – Tylko że jest za wcześnie. Mamy trochę czasu do zabicia. Przejedźmy się.

– Dokąd?

– Nie tyle dokąd, ile jak daleko. Osiem kilometrów.

Wyszli z domu Cookiego i wsiedli do tahoe. Puller spojrzął w lusterko wsteczne.

– Widzisz gdzieś tamtych dwóch?

– Nie, ale wcale się ich nie spodziewałem. – Rzucił okiem na licznik przebiegu. – Okej, osiem kilometrów w jedną stronę i osiem kilometrów z powrotem. Pojedziemy na wschód. Wedle słów Jane Ryon kierunek wydaje się właściwy.

Wyjechali z Orion Street, a później z osiedla Sunset by the Sea. Po przebyciu pięciu kilometrów wszelkie pozory cywilizacji pozostały w tyle. Po kolejnych kilometrach byli już tylko oni,

piasek i ocean.

Osiem kilometrów od domu Puller zatrzymał samochód i rozejrzył się dokoła. Znajdowali się na głównej drodze. Północna strona wyglądała na bardziej uczęszczaną, w dali rysowały się zabudowania. Na południu ciągnął się rząd palm.

– Ocean powinien być za tymi drzewami – rzekł Puller.

– Zapewniają naturalną osłonę – zauważyła Carson.

Skęcili w boczną drogę i szybko przekonali się, że za drzewami rozpościera się odcinek gęstych zarośli, kolejne drzewa oraz kilka biegnących między nimi utwardzonych dróg.

A potem piasek.

Dalej ocean.

Puller zatrzymał samochód w wyasfaltowanej zatoczce. Wysiedli. Rozejrzył się we wszystkich kierunkach z wyjątkiem oceanu.

– Dość odizolowane miejsce – zauważył. – Ani żywej duszy.

– Ciekawe dlaczego? Plaża wygląda całkiem dobrze – oceniła Carson.

Poszli w stronę brzegu i po chwili zrozumieli, dlaczego plaża nie cieszy się popularnością. Piasek był gruby jak żwir, wszędzie wystawały ostre skały, a na domiar złego ten zapach...

Carson zatkała nos.

– Siarka.

– Jakiś geologiczny wybryk natury, że akurat ten odcinek plaży tak wygląda. A na dodatek jeszcze to. – Wskazał ustawioną na wydmie dużą tablicę.

Napis na niej ostrzegał: *Uwaga. Silny prąd odpływowy. Pływanie zabronione.*

– A więc nie całe Paradise jest rajem – skwitowała Carson.

– Myślę, że zostawiliśmy Paradise jakiś kilometr w tyle. Nie wiem, jak nazywa się to miejsce. Może w ogóle nie ma nazwy.

– To cud, że woń siarki nie psuje powietrza na innych plażach.

– Wiatr prawdopodobnie nie niesie jej aż tak daleko – odparł Puller. – Albo istnieje jakaś przyczyna meteorologiczna. Poczułem ją, dopiero kiedy zbliżyliśmy się do piasku.

– Ja też nic wcześniej nie czułam. Ale po co, na litość boską, miałaby tu przyjeżdżać twoja ciotka?

– Nie wiem. Była stara, nie w pełni sprawna. Korzystała z balkonika.

– Spacer po takiej plaży byłby dla niej wielce problematyczny. Sama omal się dwukrotnie nie przewróciłam.

Stanęli, rozglądając się wokoło.

Puller utkwiał wzrok w oceanie.

– Prowadzą tamtędy jakieś tory wodne? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. To Zatoka Meksykańska. Przypuszczam, że przepływa tam mnóstwo statków. No i są jeszcze platformy wiertnicze.

– Słusznie. Jak tamta, która wybuchła i przez długi czas pluła ropą.

– Pamiętam wybuch platformy BP. J2 badał sprawę ze względów bezpieczeństwa. Zebraliśmy sporo informacji o tym rejonie. Na wodach zatoki są tysiące platform. Większość skupia się u wybrzeży Luizjany, Missisipi i Teksasu, ale niektóre sięgają aż do Panhandle.

– Ropa króluje.

– Tak, przynajmniej na razie. – Carson schyliła się po kamień i cisnęła go w fale. – Możemy już iść? Niedobrze mi od tego smrodu. Muszę wziąć prysznic i go z siebie zmyć.

– W wojsku cuchnie o wiele gorzej – rzucił cierpko Puller.

– Prawda. Ale nie znaczy to, że muszę znosić smród podczas wakacji.

Wrócili do samochodu. Zanim wsiedli, Puller zatrzymał się i przyklęknął.

– Co tam masz? – zainteresowała się Carson.

– Królową.

– Co takiego?

Dołączyła do niego.

Przeciagnął palcem po asfalcie. Opuszka zrobiła się czarna. Podsunął ją sobie pod nos i powiedział do Carson:

– Ropa, ale nie z platformy. Z jakiegoś pojazdu.

Mecho wjechał kosiarką po rampie furgonetki i ustawił ją obok dwóch innych sprzętów ogrodniczych z napędem silnikowym. Odwrócił się i objął wzrokiem posiadłość Lamperta. Nie miał pojęcia, ile ten człowiek wydaje na ogród, ale musiała to być ogromna kwota. Ich ekipa przyjeżdżała tu przecież codziennie i pracowała od rana do wieczora. Kiedy jedna część terenu została doprowadzona do porządku, przenosili się na inną. Gdy ten cykl dobiegł końca, rozpoczynał się od nowa.

Mecho zapytał szefa, ten jednak tylko pokręcił głową i mruknął:

– Wydaje więcej na trawniki niż ja zarobię w ciągu całego życia. I gdzie tu sprawiedliwość?

– Kto mówi, że życie ma być sprawiedliwe – odparł Mecho.

– Masz rację. Życie ma dawać człowiekowi w kość. Chyba że jest się bogatym.

– Istnieją jeszcze inne rzeczy niż pieniądze – rzekł Mecho. – Na przykład dawanie ludziom szczęścia.

Mężczyzna ironicznie się uśmiechnął.

– Powtarzaj to sobie w kółko, może w końcu uwierzysz.

– Ja w to wierzę – szepnął Mecho, gdy kierownik się oddalił.

Mecho zszedł na ziemię i opłukał szyję zimną wodą z wiadra. Zerknął w stronę jachtu. Lampert z niego nie wysiadł. Spędził tam prawie cały dzień. Inna sprawa, że jak się ma taki jacht, po co w ogóle go opuszczać?

Mecho zaczął się zastanawiać, czy Lampert jest tam sam. Wątpliwe. Wiedział, że nie ma z nim Chrissy Murdoch, widział

bowiem, jak wchodziła do domu.

Służąca Beatriz też nie szła w tamtym kierunku.

Ale były tu także inne kobiety. Ktoś mógł przybyć bezpośrednio na jacht od strony wody. Małą motorówką. Mecho nie byłby w stanie tego zobaczyć. Jacht blokował widok od strony wody na całej swojej długości.

Mecho przesunął wzrok na dom dla gości, a następnie na szczątki bentleya. Policja wreszcie odjechała, najwyraźniej wyczerpawszy wszystkie możliwości zbierania dowodów na miejscu przestępstwa.

Tak się składa, że żadnych nie znajdują, ponieważ ich nie pozostawił. Jeśli szukali podpisu bomby, też go nie znajdują. Postarał się, by była całkowicie pozbawiona cech charakterystycznych. Dostarczy im tysiąca tropów do sprawdzenia i żadnej realnej możliwości wytoczenia sprawy na końcu każdego z nich.

Spojrzał w górę akurat w momencie, gdy promienie słońca odbiły się od czegoś w pokoju na piętrze rezydencji. Natychmiast odszedł w przeciwnym kierunku, schował się za drzewem i uklęknął, udając, że wypatruje chwastów do wyrwania albo rozsypanej ściółki, którą trzeba uprzętnąć z trawnika.

Częściowo ukryty pod koroną drzewa zadarł głowę, wielką dłonią osłaniając oczy przed oślepiającym słońcem. Policzył okna. Drugie piętro, drugie okno od lewej. Południowo-zachodnia ściana domu.

Zmrużył oczy, próbując dostrzec, kto trzyma lornetkę. Nie zdołał rozpoznać.

Prześledził linię wzroku od okna do punktu, który obserwowała ta osoba.

Prosta czynność dała prostą odpowiedź.

Jacht.

Dysponując przyzwoitym sprzętem optycznym, można było z tej

wysokości dojrzeć całkiem sporo szczegółów. To zaś oznaczało, że ktokolwiek lornetuje jacht, zdecydowanie wyprzedza Mecha w kwestii rozpoznania terenu.

Zobaczył wychodzącą z domu Beatriz.

Czym prędzej ruszył z miejsca, żeby przeciąć jej drogę. Przez chwilę szedł obok niej. Zadał pytanie, na które potrzebował znać odpowiedź.

Początkowo nie była chętna do odpowiedzi, sądząc być może, że Mecho przeprowadza rekonesans przed włamaniem. W końcu jednak się ugięła.

Podziękował i obiecał, że postara się jej pomóc.

– Jak? – zapytała natychmiast.

– Może uda mi się ciebie stąd wydostać.

– Nie możesz tego zrobić – odparła, blednąc na tyle, na ile pozwalała na to jej migdałowa cera. – A moja rodzina?

– Wiem. To skomplikowane.

– Nic w tym skomplikowanego – odparła szeptem. – Nie próbuj mi w żaden sposób pomagać. Mnie nie można już pomóc.

Odwróciła się i umknęła.

Mecho rozejrzał się, chcąc sprawdzić, czy ich rozmowa wzbudziła czyjeś zainteresowanie, członków ochrony albo kogoś innego.

Nie zauważył, by ktokolwiek zwracał na nich uwagę.

Byli przecież tylko służbą. Może przewidywano takie pogawędki.

W obrębie tej samej klasy.

Obruszali się dopiero wtedy, gdy ktoś próbował wmieszać się między ludzi spoza swojej klasy. Gdy pasażerowie najniższej kategorii pojawiali się na głównym pokładzie w świetle dziennym.

Tak czy owak, uzyskał informację, na której mu zależało.
Pokój z lornetką należał do Christine Murdoch.
To ona szpiegowała Lamperta na jachcie.
A Mecho zachodził w głowę dlaczego.

63

Peter Lampert siedział wygodnie na skórzanym fotelu w prywatnym gabinecie na Lady Lucky. Otaczało go w życiu wszystko, co najlepsze. Najlepszy jacht, najlepsze wyposażenie, najlepsza załoga, najlepsze wina, najlepsze widoki i najlepsza lala, jaką można kupić za pieniądze.

Aczkolwiek długo na to tyrał. W South Beach trudno przetrwać, a co dopiero stworzyć dochodowy biznes. Przez długie lata Lampert próbował działać zgodnie z literą prawa. Ostatecznie uznał, że te wszystkie zasady i regulacje za bardzo go ograniczają i podcinają mu nogi. Nie lubił, jak agencje nadzoru zaglądały mu przez ramię. Nie znał nikogo, kto by to lubił.

Kiedy załamał się jego fundusz hedgingowy, postanowił stworzyć inny model biznesowy. Dlatego przeflancował swoje talenty do innej branży. Wprowadził sprawdzone metody biznesowe do dziedziny, która opierała się na prymitywnej przemocy i kreatywnej księgowości.

Zbudował przynoszące ogromne zyski imperium, pobierając opłaty zależnie od rentowności, tak jak tantiemy z książki. Liczył sobie standardową stawkę za wyszukanie towaru i transport do końcowego odbiorcy. Jeśli towar po ulokowaniu go w miejscu docelowym osiągał pewien pułap wydajności, zaczynały spływać dodatkowe pieniądze.

Jeżeli prostytutka przyniosła plon w postaci kwoty sześciocyfrowej, pieniądze zaczynały do niego wracać. Kiedy kurier narkotykowy z powodzeniem wypełnił dziesięć misji – znów płynęły pieniądze. Towar najniższego szczebla, zwykły robotnik,

musiał przekroczyć skromniejszy próg, ponieważ jego koszt początkowy był najmniejszy. Wypracowywane przez nich zyski sumowały się, tworzyli bowiem rozlokowaną w terenie ogromną armię. Liczebność robi swoje.

Praca niewolnicza w cywilizowanych krajach stanowiła jeden z najszybciej rozwijających się segmentów przestępczego świata. I Lampert nie dostrzegał w tym jakichkolwiek znamion przestępstwa. Uważał, że wyświadcza tym biedakom przysługę. Choć w niewoli, mieli jednak zapewnione wyżywienie, dach nad głową i wiedli przyzwoite życie.

Często zabierano tych ludzi ze światów, gdzie powszechne były głód, bezdomność i gdzie marzyło się o zarabianiu pieniędzy, ale nigdy się ich nie dostawało.

Jego zdaniem wolność była zdecydowanie przereklamowana.

Miał księgowych usytuowanych w strategicznych obszarach, z pełnym dostępem do rozliczeń jego wspólników. Owi wspólnicy, częstokroć niezbyt skorzy do współpracy, zgadzali się na jego żądania wyłącznie dlatego, że dzięki niemu interes się kręcił, stał się o wiele bardziej lukratywny i stabilny niż kiedykolwiek wcześniej. To on gwarantował stały dopływ towaru do świadczenia wszystkich usług. Był to kluczowy czynnik w tym biznesie i wymagał ciągłego przetrząsania najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej w poszukiwaniu siły roboczej. W tym segmencie rynku margines błędu nie istniał.

W rezultacie łódź, która spóźniła się z dostarczeniem towaru, szybko szła na dno wraz z kapitanem i załogą.

Wyjrzał przez okno w sterburcie i zerknął na zegarek. Następnie ponownie rzucił okiem na ekran komputera, gdzie spływał strumień danych transferowanych bezpiecznymi sieciami.

Bawił się na całego, ale i na całego pracował. Niełatwo przyszło

mu zbudować swoje imperium. Większości ludzi zabrakłoby sił albo odwagi. On, w czepku urodzony na brzegach jeziora Michigan, był synem dyrektora generalnego firmy z listy Fortune 500¹⁷. Matka – piękna lwica salonowa – często i wystawnie podejmowała gości w licznych należących do rodziny domach. Wiedli życie, o jakim marzyła większość Amerykanów.

Ukończył najbardziej elitarne uniwersytety, a później wypłynął na szersze wody. Zaczynał na Wall Street wraz z grupą kolegów ze studiów. Wielu z nich było teraz potentatami w branży i wołało trzymać pieniądze oraz wiążące się z nimi wpływy w ściśle kontrolowanych kręgach podobnych im ludzi. Awans jest dobry dla mas. Osoby na jego poziomie już nie zaprzatają sobie głowy takimi sprawami. Ciastko ma określoną wielkość. Po co dzielić się nim z ludźmi, którzy nie reprezentują twoich wartości?

Twojej wizji na przyszłość.

Twojej przynależności do bractwa.

Większość nie rozumiała tego, że Ameryka jest potężna właśnie dzięki tym, którzy nie boją się ryzyka. Mówi się, że zamożni zagarnęli niemal cały majątek oraz dochód wygenerowany w ciągu ostatniej dekady. No cóż, myślał Lampert, i tak powinno być. To słuszne i sprawiedliwe. Jediną wadą nierówności ekonomicznych jest to, że nie są dostatecznie nierówne.

Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent społeczeństwa to potulne baranki, które tkwią tam, gdzie ich miejsce. Anonimowi zawodnicy. Są ich miliardy, a wszyscy wyglądają tak samo. Ta jedna dziesiąta procent zasługuje na wszystko, ponieważ tworzy elitę. To ludzie wyjątkowi. Którzy pchają świat do przodu.

Lamperta ani trochę nie zniechęcał fakt, że działa po ciemnej stronie mocy. Ludzie pragną dziwek, narkotyków i niewolników do

pracy. Dlatego jest na nich zapotrzebowanie.

On jedynie zaspokaja te potrzeby. Tylko tyle. Karmi ludzkie żądze i nałogi tak samo jak producenci papierosów, strony z pornografią, tanie bary z szybką obsługą i kasyna. Ten prosty model napędza sukces od zarania dziejów.

Znajdź potrzebę i zaspokajaj ją najlepiej, jak potrafisz.

Po dziesięciu minutach ponownie zerknął na zegarek i wyjrzał przez okno. Zaczynało się ściemniać. Bardzo dobrze.

Godzinę później usłyszał terkot.

Wstał i podszedł do okna. Światła helikoptera zbliżały się coraz bardziej od strony zatoki, gdzie kotwiczył statek większy od jachtu Lamperta.

Po kilku kolejnych minutach poczuł, jak maszyna siada na lądowisku na rufie. Helikopter zmniejszył moc, a Lampert wyobrażał sobie – nie był bowiem w stanie niczego usłyszeć w hałasie silnika – jak drzwi śmigłowca się otwierają, a potem zamykają z głuchym łoskotem.

Usiadł wygodnie na fotelu, złączył palce i czekał, odliczając w myślach sekundy.

Otworzyły się drzwi jego gabinetu i do środka wszedł mężczyzna w eskorcie członka ochrony Lamperta.

Lampert odesłał ochroniarza zdawkowym ruchem głowy. Mężczyzna wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Przybyły z wizytą człowiek miał jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, mocną budowę ciała i o połowę za dużą głowę, nawet przy tak muskularnej sylwetce.

W tej wielkiej głowie wiele się mieści, Lampert to wiedział.

Mężczyzna był ubrany w czerni. Nosił buty na masywnym obcasie, by dodać sobie wzrostu.

To pouczające, pomyślał Lampert, że człowiek tak wpływowy wciąż czuje wewnętrzny przymus sztucznego podwyższania się.

Tamten przywitał Lamperta skinieniem głowy i usiadł naprzeciwko.

– Jak minęła podróż? – zapytał Lampert.

Mężczyzna szybkim ruchem wyjął z kieszeni koszuli papierosa i zapalił, nie pytając o pozwolenie.

Lampert nie sprzeciwiłby się tej jego decyzji w swoim pływającym pałacu.

Peter Lampert bał się niewielu ludzi.

Siedzący przed nim człowiek należał do tych nielicznych, których się bał.

– Podróż, która doprowadza cię bezpiecznie do celu, jest, *de facto*, szczęśliwą podróżą – odparł gość z akcentem wskazującym, że angielski nie jest jego ojczystym językiem.

– Interes się kręci – oznajmił Lampert.

– Interes mógłby kręcić się lepiej – zauważył mężczyzna, wydmuchując dym i obserwując, jak unosi się ku misternie rzeźbionemu sufitowi.

– Sprawy zawsze mogą iść lepiej – odparł Lampert, delikatnie pochylając się do przodu.

Gość stuknął papierosem o podłokietnik, strząsając popiół na dywan.

Lampert nie zaprotestował. Nie zareagował w żaden sposób.

– Sprawy mogłyby iść lepiej – powtórzył mężczyzna. – Na przykład w Paradise doszło do kilku zabójstw. Policja węszy. Pod twój samochód podłożono bombę. Tym też interesują się mundurowi.

Umilkł i wpatrywał się w siedzącego po drugiej stronie biurka

Lamperta.

Wyraz twarzy Lamperta się nie zmienił.

– Trzeba było podjąć pewne kroki. Skutki są jakie są. Śledztwa utkną w martwym punkcie.

Choć bał się tego mężczyzny, nie mógł okazać strachu. A Lampert potrafił spierać się z najlepszymi.

– Śledztwa zaprowadzą donikąd, bo takie jest twoje zdanie? – Mężczyzna uważnie obserwował rozmówcę i zginał w palcach wypaloną zapałkę.

– Moje zdanie opiera się na konkretnych uwarunkowaniach.

– A jeśli się mylisz?

– Nie sędzę.

– A jeśli tak?

– Będą konsekwencje.

– Oczywiście. Dla ciebie.

– Mam więc motywację, by dowieść słuszności moich przekonań.

Mężczyzna przesunął się odrobinę w lewo, zaskrzypiało skórzane siedzisko fotela.

– Następna rzecz... Coraz trudniej zdobyć towar. Cena musi wzrosnąć. Odbijesz to sobie w przyszłości.

– O ile?

– Na razie o dziesięć procent. Od podstawy. Plus pięć procent za każdą kategorię powyżej podstawowej.

– Czyli wzrost o dwadzieścia procent za najwyższą klasę?

– Tak.

– Słono.

– Mogłoby być więcej. Ale jestem rozsądnym człowiekiem.

– Muszę to przetrwać.

Mężczyzna rozejrzył się po luksusowym wnętrzu jachtu.

– Myślę, że dasz sobie radę.

– Z pewnością.

– Pod warunkiem, że twoja poparta wiedzą opinia okaże się słuszna. Pieniądze to nie wszystko.

Lampert się uśmiechnął.

– Tu bym się nie zgodził. Pieniądze są wszystkim, ponieważ prowadzą do wszystkiego, co przedstawia wartość.

– Chciałbyś odwiedzić moją łódź? Mam nową, podwodną. Mieści ponad trzydzieści osób. Tutejsza flora i fauna morska są naprawdę fascynujące.

– Chętnie, ale nie pozwalają mi na to wymogi sytuacji.

Lampert nie miał najmniejszej ochoty stać się przekąską miejscowej fauny morskiej.

Mężczyzna wstał.

– Ktoś, kto wysadza w powietrze bentleye i znika jak kamfora, jest groźny. To było ostrzeżenie.

– Tak. Może nawet bardziej bezpośrednio niż sądzisz.

– I masz na nie odpowiedź?

– Właśnie nad nią pracuję.

– Udzielić ci drobnej rady?

Lampert patrzył wyczekująco.

– Wysłucham z przyjemnością.

– Dym często zwiastuje duży pożar, który może wymknąć się spod kontroli. – Zawiesił głos i zgasił papierosa na blacie zbudowanego na zamówienie biurka, wartego czterdzieści tysięcy dolarów. – Więc pracuj szybciej.

W następnej sekundzie już go nie było.

Zniknął jak smuga dymu, którą wiatr rozwiął nad oceanem.

64

Mecho lekko wynurzył głowę z wody i obserwował, jak helikopter odrywa się od lądowiska i kieruje na południe w stronę oceanu.

Przewrócił się na plecy i lekko poruszał rękami w wodzie, by podплыnąć bliżej jachtu.

Na pokładzie dyżurowała ochrona, a na pomoście stało dwóch kolejnych mężczyzn wyposażonych w MP5. Samej wody nie pilnował nikt. To poważny błąd strategiczny. Inna sprawa, że o tej porze żerowały rekiny.

I choć Lampert płacił hojnie, najwyraźniej to nie wystarczało.

Mecho podплыnął na tyle blisko, że dotknął kadłuba od strony sterburty. Spojrzał w kierunku oceanu, gdzie wciąż jeszcze mrugały światła helikoptera.

Gdy wcześniej obserwował jacht z lądu przez lornetkę, mignęła mu postać mężczyzny, który wysiadł ze śmigłowca, a później wsiadł do niego ponownie.

Mecho natychmiast go rozpoznał.

Stiven Rojas.

Policja na całym świecie bladła na dźwięk tego nazwiska.

Nigdy nie doszło do skazania Rojas, choć podjęto wiele prób. Kiedy jednak w trakcie procesu mordowani są świadkowie, prokuratorzy, a nawet sędziowie, wyrok skazujący zapada nadzwyczaj rzadko. Ten człowiek nadał zupełnie nowy wymiar określeniu „bezwzględny” i sprawił, że najniebezpieczniejsi światowi terroryści w porównaniu z nim wydawali się nieszkodliwi

i niewinni.

Zaczął jako sierota na ulicach Cali, a wyrósł na niemal legendarnego szefa kartelu. Pomimo skromnej postury na jego widok padali na kolana mężczyźni dwa razy od niego wyżsi. Potrafił zabić bez ostrzeżenia czy prowokacji. Nie był pierwszym lepszym socjopata, a tylko przy okazji międzynarodowym przestępcą.

On był socjopata pełną gębą, a przy okazji międzynarodowym przestępcą.

Wydarzyło się jednak coś, czego nie przewidział nawet Rojas.

Obserwował, jak na jego półkuli kanał przerzutu narkotyków do Ameryki przenosi się z jego ojczystej Kolumbii do Meksyku. Wtedy przystosował się do nowych okoliczności i warunków tego biznesu. Postanowił rozlokować kurierów do rozprowadzania narkotyków po całych Stanach Zjednoczonych. A wraz z nimi sprowadzać inny cenny towar, mianowicie prostytutki i niewolników. Zwłaszcza niewolnicy stanowili nowy, szybko rozwijający się segment rynku. Należy zapomnieć o nielegalnych imigrantach. Oni oczekują wolności oraz wynagrodzenia, choćby minimalnego. Niewolnicy nie oczekują niczego. Chcą tylko żyć. Wszystko poza śmiercią jest dla nich dobre – choć w ich sytuacji trudno znaleźć jakieś plusy.

Rojas i Lampert byli współnikami w największym na świecie gangu parającym się handlem niewolnikami. I szykowali się do jego powiększenia.

Chyba że ktoś ich powstrzyma.

Nadal zanurzony w wodzie Mecho przesuwiał się wzdłuż sterburty. Rząd bulajów znajdował się na tyle nisko, że zdołał zajrzeć do środka. Chwytał się krawędzi jednego z bulajów i podciągnął się na rękach.

W kajucie było ciemno. I pusto. Zanurzył się ponownie i dotarł do następnego okna.

Dopiero w czwartym ujrzał coś innego niż ciemność i pustkę.

Beatriz była ubrana w mundurek służącej. Stała w kącie, natomiast Lampert siedział przy stole i jadł kolację. Powoli, metodycznie przeżuwał każdy kęs. Gdy zerknął na butelkę wina, Beatriz rzuciła się napełnić mu kieliszek.

Nalewając wino, delikatnie się pochyliła, a ręka Lamperta chwyciła ją za pośladek. Dziewczyna nie drgnęła ani nie upuściła butelki. Najwyraźniej przywykła do takiego traktowania. Gdy skończyła, wycofała się do rogu i spuściła oczy.

Chwilę później Lampert spojrzał na koszyk z bułkami.

Beatriz znów doskoczyła do stołu, wybrała bułkę, rozerwała ją na pół, wzięła nożyk i zaczęła smarować ją masłem.

W tym czasie Lampert ujął w dłoń jej lewą pierś, a drugą rękę wsunął pod spódnicę. Mecho widział jej twarz, gdy smarowała bułkę masłem. Tuż pod powierzchnią kipiała udręka, której towarzyszyła nienawiść. W ciągu całego życia Mecho rzadko widywał taką odrazę. Zauważył, że ręka trzymająca nóż leciutko drży. Wiedział, co dziewczyna ma ochotę zrobić. Gdy Lampert ją pieścił, chciała wbić mu ostrze prosto w pierś.

Mecho zastanawiał się, dlaczego tego nie robi.

Beatriz, dawaj!

Wtedy spojrzał na prawo i zrozumiał, dlaczego się powstrzymała.

Stał tam mężczyzna z bronią wycelowaną prosto w jej głowę.

Skończyła smarować bułkę, położyła ją Lampertowi na talerzu, odłożyła nóż i ponownie wycofała się do rogu.

Mężczyzna rozluźnił się i schował broń do kabury.

Mecho zanurzył się w wodzie.

Peter J. Lampert nie lubił ryzykować.

Mecho położył się na wodzie i dał się ponieść prądowi. Gdy oddalił się od jachtu na bezpieczny dystans, zaczął ciąć wodę długimi, silnymi pociągnięciami ramion.

Przy każdym ruchu wyobrażał sobie, jak zatapia ostrze w piersi Lamperta.

65

Puller jechał z dużą prędkością.

Carson przyglądała mu się z siedzenia pasażera.

– Dokąd teraz?

– Muszę zobaczyć się z moim prawnikiem – odparł enigmatycznie.

Gdy dotarli do ulicy, przy której mieściła się kancelaria Griffina Masona, Puller zaparkował chevroleta tahoe około stu metrów dalej. Sięgnął do torby, wyjął z niej okulary noktowizyjne i założył je sobie na nos. Wycelował je w biuro Masona.

Spojrzenie Carson powędrowało za jego wzrokiem.

– Z twoim prawnikiem?

– Ściśle mówiąc, z prawnikiem ciotki. Zajmuje się jej majątkiem.

– I jak sobie z tym radzi?

– Tak sobie.

Puller zlustrował inne budynki przy ulicy. Nigdzie nie paliło się światło.

W kancelarii Masona również. Na podjeździe nie parkował żaden samochód.

– Co powiesz na małe włamanko? – zapytał.

– To poważne przestępstwo. Tyle powiem.

– Więc zaczekaj tutaj. Niedługo wrócę.

Złapała go za ramię.

– Puller, zastanów się. Chyba nie chcesz zmarnować swojej kariery wojskowej, co?

– Przede wszystkim chcę zachować się w porządku wobec ciotki. A to obejmuje ostre rozprawienie się z mendą, która ją kantuje. Oraz z innymi.

Carson westchnęła.

– Idę z tobą. Stanę na czatach.

– Proszenie cię o to byłoby nie *fair*. W porównaniu ze mną masz o wiele więcej do stracenia.

– Więc nie daj się złapać. W razie czego wszystkiego się wyprę.

– A ja na sto procent potwierdzę twoje zeznanie.

– Nawet nie waż się inaczej, żołnierzu.

Po chwili szli już ulicą. Gdy dotarli do kancelarii Masona, Puller odbił w lewo i wszedł do ogródka za domem. Poprosił Carson, żeby zaczekała i czuwała przy ogrodzeniu.

– Powinienem szybko się uwinąć – powiedział.

– Postaraj się.

W biurze Masona był zainstalowany alarm, ale rzut oka przez tylne drzwi wystarczył, by Puller zorientował się, że nie jest uzbrojony. Paliła się zielona lampka.

To go zaskoczyło. Po co komuś system alarmowy, skoro go nie używa?

Drzwi były zamknięte na zasuwkę. Uporanie się z nią przy użyciu wyjętego z torby pistoletowego wytrycha zajęło mu raptem kilka sekund.

Otworzył drzwi i latarką typu „pen” oświetlił sobie drogę do gabinetu prawnika.

Znalezienie tego, czego szukał, zajęło mu około pół godziny.

Mason skrupulatnie prowadził dokumentację.

Nieco zbyt skrupulatnie.

Puller spojrział na kartki, które ze sobą przyniósł: spis

zinwentaryzowanych rzeczy osobistych ciotki wręczony mu przez Masona. Porównał go z listą w aktach Masona.

Zgadzały się co do joty.

Następnie poszukał spisu majątku Cookiego. Znalazł go i przebiegł wzrokiem całą listę.

Zobaczył to, czego się spodziewał.

Schował do kieszeni oba spisy. Zasunął szufladę z teczkami i się rozejrzał.

Przypomniało mu się, co mówiła inna prawniczka od spraw majątkowych, Sheila Dowdy.

Mason posiadał kilka samochodów. Między innymi astona martina. Jeździł na kosztowne wakacje. Miał też duży dom.

Wszystko się zgadzało, elementy układanki wpasowywały się w odpowiednie miejsca szybciej i łatwiej niż zwykle.

W tym momencie zawibrował jego telefon. Przeczytał wiadomość.

Obcy wóz na szóstej, napisała Carson.

Ktoś właśnie wjechał na podjazd przed kancelarią Masona.

Teraz Puller zrozumiał, dlaczego alarm był wyłączony.

Wywnioskował też, że prawdopodobnie to nie Mason wracał do biura. On uzbroiłby, a potem rozbroił alarm. To był ktoś, komu Mason nie chciał podać kodu dostępu.

A może ta osoba wcale nie miała się tu zjawić.

Wysłał Carson wiadomość.

Opis?

Mały, niebieski. Młoda szczupła kobieta, blondynka.

Przeczytawszy te słowa, Puller wiedział, że nie muszą dłużej szukać Jane Ryon.

Zgłosiła się sama.

66

– Coś pani przynosi czy zabiera?

Gdy zapaliło się światło, Jane Ryon wrzasnęła i odskoczyła w tył.

Puller przeszywał ją wzrokiem.

Ryon odwróciła się i rzuciła do ucieczki, ale wtedy wpadła prosto na Carson, która weszła drugimi drzwiami.

Ryon odbiła się od Carson, zanim jednak zdążyła wykonać kolejny ruch, Puller zacisnął dłoń na jej nadgarstku. Nawet nie próbowała się szarpać, rozumiejąc, że się nie wyrwie.

– Co pani tu robi? – zapytał ponownie.

– Mogłabym zadać panu to samo pytanie – odparła wyzywająco.

– Wolno mi tu być. Mam pozwolenie. – Pokazała klucz. – Dał mi go pan Mason.

– Dlaczego Mason dał pani klucz do swojej kancelarii? – zainteresowała się Carson.

Ryon na nią spojrzała.

– A co to panią obchodzi?

– Widziałem, jak wychodziła pani wczoraj wieczorem z domu Cookiego – oznajmił Puller. – A później zastałem go na dnie wanny.

Uważnie obserwował jej reakcję.

– Cookie nie żyje?

Puller z politowaniem pokręcił głową.

– Kiepska z pani pokerzystka, Jane. Wiedziała pani, że on nie

żyje. Poza tym szuka pani policja. Gdzie się pani ukrywała?

– Nie ukrywałam się. Niby dlaczego miałabym się ukrywać? I dlaczego miałabym skrzywdzić Cookiego? Lubiłam go.

Wolną ręką Puller wyjął z kieszeni plik połączonych zszywką kartek.

– Spis osobistych rzeczy mojej ciotki. Dostałem go od Masona. Jedyne szkopuły w tym, że nie wyszczególnia całej biżuterii mojej ciotki. Brakuje dwóch pierścionków, trzech par kolczyków oraz naszyjnika. Wszystkie wyglądały na cenne. Brakuje też tuzina starych złotych monet z jej klasera.

– Nic o tym nie wiem.

– Wie pani o tym wszystko. Te kosztowności znajdowały się w pani torbie, gdy natknąłem się na panią w domu ciotki. Powiedziałem Masonowi, że zjawię się tam rano, ale potem zmieniłem zdanie i pojechałem jeszcze tego samego wieczoru. Posłał tam panią po biżuterię i monety, żeby mnie ubiec. Zinventaryzowała pani wszystkie przedmioty odpowiednio wcześniej, a Mason zdecydował, które ma pani buchnąć. Skorygował prawdziwy spis, żeby uwzględnił te braki. Pani zadaniem było wyniesienie wskazanych rzeczy, nim będę miał okazję je zobaczyć. Tak przynajmniej myślał. A tak się składa, że widziałem już wcześniej biżuterię i monety, tylko on nie miał o tym pojęcia. Kiedy wróciłem później do domu ciotki, te przedmioty zniknęły. Pani je zabrała. Tak samo było w wypadku Cookiego. Ukradła pani kilka zegarków. Znalazłem tu spis inwentaryzacyjny majątku Cookiego. Nie zawierał brakujących zegarków. A wiem, że tam były, ponieważ Cookie pokazywał mi swoją kolekcję. Wymyśliliście z Masonem niezły przekręt. Pani ma dostęp do domów starszych ludzi, których reprezentuje Mason, i sprawdza, co mają wartościowego. Kiedy umierają, wynosi pani kosztowności,

Mason odpowiednio koryguje spis majątku, sprzedaje fanty paserom, a biedni spadkobiercy nie mają o niczym pojęcia. Dlatego Masona stać na astona martina oraz podróże dookoła świata. Założę się też, że i pani jest cholernie dobrze opłacana za swoją część roboty.

Z każdym kolejnym słowem Pullera twarz Ryon bladła coraz bardziej.

– I być może pomaga pani swoim podopiecznym przejść do wieczności – dodała Carson. – Zabija pani Cookiego, dzięki czemu szybciej kładziecie rękę na jego majątku.

– Nie zabiłam Cookiego.

– Ale była pani w jego domu.

Puller przyglądał się jej torbie.

– Niech pani otworzy.

– Co?

– Niech pani otworzy torbę.

– Nie ma pan prawa...

Wyrwał jej torbę z ręki. W środku znajdowały się cztery zegarki Cookiego zawinięte w jedwabną apaszkę.

Puller świdrował ją wzrokiem.

– Niech się pani pożegna z dotychczasowym życiem, Jane.

Ryon płakała.

– Nie zabiłam go. Przysięgam na Boga.

– Powie to pani policji. Tak po prostu weszła pani do jego domu, zabrała rzeczy, które można było wynieść tylko po jego śmierci, i dziwnym zbiegiem okoliczności on umiera nagle we własnej wannie. Ława przysięgłych będzie zrywać boki ze śmiechu, zanim skaże panią na dożywocie.

– Mason kazał mi tam pójść po zegarki. Więc poszłam.

– Kazał pani to zrobić?

– Tak! – wykrzyknęła.

– Nie zastanowiła się pani, jak to możliwe, skoro Cookie żyje?

Zadrżał jej oddech.

– No dobrze... On... powiedział mi, że Cookie... że Cookie nie żyje – odparła chwiejnym głosem.

– A skąd o tym wiedział?

– Nie mam pojęcia.

Carson wymownie popatrzyła na Pullera.

– Mason go morduje, a potem wysyła ją po rzeczy.

– Dlaczego Grif sam nie rąbnął tych zegarków, skoro i tak tam był? – zapytała Ryon.

– A więc teraz już Grif, a nie pan Mason? – Puller ze znużeniem pokręcił głową. – Odpowiedź brzmi: ponieważ zależało mu, żeby zrobiła to pani. Żeby znalazła się pani na miejscu zbrodni. Informacja o śmierci Cookiego wzbudziłaby pani podejrzenia. A tak wiadomo, że będzie pani trzymać język za zębami, bo też była pani w tamtym domu. Wrobił panią.

– Kurdupłowaty sukinsyn – warknęła Ryon. Już nie płakała.

– Ale dlaczego miałyby zabić Cookiego? – zapytała Carson.

Puller ścisnął Ryon za ramię.

– Jakiś pomysł?

– Nie. Nigdy nic o tym nie wspominał. Nie miałyby powodów do zabójstwa.

– Kiedy zadzwonił z poleceniem pójścia do jego domu? – zapytał Puller.

– Wczoraj wieczorem. Byłam w okolicy, więc dotarcie tam zajęło mi tylko kilka minut.

- Czy Mason mógł być wcześniej u Cookiego?
- Nie wiem. Może wstąpił na drinka. Albo żeby wydębić trochę wypiekanych przez niego smakołyków – dodała bezdusznie.

Puller nią potrząsnął.

– Staruszek nie żyje. Miała pani coś wspólnego ze śmiercią mojej ciotki?

– Przysięgam, że nie.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Mówię prawdę! – krzyknęła Ryon.

– O tym rozstrzygną przysięgli. A gdzie kurdupłowaty sukinsyn?

– Nie wiem.

Puller ponownie szarpnął ją za ramię.

– Mało przekonujące. Niech pani spróbuje jeszcze raz.

– Jest u siebie w domu? – wtrąciła się Carson.

– Nie sędzę.

– Dlaczego? – zapytał Puller.

– Jeździ w jeszcze inne miejsce. Bardziej na uboczu.

– Dlaczego zależy mu na odosobnieniu?

– Po prostu czasami tak lubi.

– Czy ma to związek ze zdjęciami dzieci, które nosi w portfelu?

Ryon spojrzała na niego ze zdumieniem.

– O czym pan mówi?

– Ten facet jest pedofilem? – warknęła Carson.

– Gdzie jest to miejsce? – zapytał ostro Puller.

– Na północ stąd, blisko zatoki. Kompletnie odludzie.

– Zna pani adres?

– Tak.

– Pani też lubi dzieci?

– Nie! Oczywiście, że nie! – krzyknęła Ryon i znów się rozpłakała.

Puller jeszcze raz ścisnął jej ramię, chwycił ją za brodę i obrócił jej głowę tak, by patrzyła mu prosto w oczy.

– Damy pani szansę poprawy, Jane. Ale tylko jedną. Jak pani ją zmarnuje, to po zawodach. Rozumiemy się?

Na twarzy miała wyryty strach.

– Rozumiemy.

Po zakończeniu rozmowy Mecho odłożył telefon.

Nigdy w życiu tak długo nie rozmawiał. Człowiek po drugiej stronie linii miał decydujący wpływ na powodzenie misji Mecha. Wiedział o tym on, wiedział o tym Mecho.

Obaj poszli na ustępstwa. Jeśli Mecho chce osiągnąć swój cel, musi dać to, czego tamten żąda. A w całym swoim życiu Mecho niczego nie pragnął bardziej.

– Będziesz musiał to udowodnić – rzekł mężczyzna. – Słowami może szafować każdy, kto ma gębę i połówkę mózgu.

– Zrobię to – zapewnił Mecho.

Teraz pozostawało mu tylko wymyślić jak.

Wyszedł z pokoju w hotelu Sierra i wstąpił do pobliskiej taniej restauracji. Zjadł posiłek, dość skromny jak na tak rosnącego mężczyznę. Nigdy nie jadał za wiele z tej prostej przyczyny, że zwykle brakowało pożywienia. Po latach żołądek i apetyt się skurczyły.

Ale głód był po części jego siłą napędową, utrzymywał go w stanie gotowości. Sytość i wygodą to słowa, których nie uznawał, a właściwie nawet nie rozumiał.

Wypił za to sporo wody. Trud przepłynięcia przez zatokę wciąż dawał o sobie znać. Miał wrażenie, że nigdy nie zdoła dostarczyć organizmowi wystarczającej ilości płynów.

Zapłacił za posiłek pieniędzmi, które zarabiał u Lamperta, utrzymując jego posiadłość w idealnym stanie.

Uważał, że to brudne pieniądze. Zdaniem Mecha pieniądze za

jakąkolwiek formę pracy na rzecz tego człowieka są skalane.

Rozejrzał się po małym lokalu i nie był zbyt zaskoczony widokiem dwojga posilających się policjantów w mundurach.

Mężczyzna był niski i krępy, miał ogoloną głowę. Kobieta wyższa, o sportowej sylwetce i blond włosach. Dyskutowali z ożywieniem. Mężczyzna wydawał się poirytowany, kobieta chyba go pocieszała.

Taka już dola kobiet, pomyślał Mecho. Łagodzić niedorzeczny gniew mężczyzn.

Gdy wstał od stolika, oboje podnieśli na niego wzrok. Skinął głową, uśmiechnął się z wysiłkiem i wyszedł.

Nie przepadał za policjantami. Byli dla niego takim samym przeciwnikiem jak prawdziwy wróg. Ich obowiązkiem było stać na straży prawa.

A przecież żadne prawo nie dosięgnie nigdy Petera Lamperta czy Stivena Rojasa. Są zbyt sprytni i odrobinę zbyt niebezpieczni, by przejmować się czymś tak bezsilnym jak prawo. Muszą zostać ukarani w inny, prostszy sposób.

Wędrował ulicą, strużki potu spływały mu po ramionach i szerokich plecach. Postanowił przejść się po plaży, schłodzić się oceaniczną bryzą przed powrotem do tego ciasnego piekarnika, jakim był jego hotelowy pokój.

Brnął przez piasek, nie zważając na turystów, ale jego radary znajdowały się w stanie najwyższej czujności.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

– Mecho?

Odwrócił się, ale i bez tego wiedział, czyj to głos.

Chrissy Murdoch stała przed nim z sandałami w dłoni. Ubrana w białą sukienkę plażową, trzepoczącą na wietrze i smagającą

długie nogi.

Mecho stał w miejscu, nie zbliżał się ani nie cofał.

– Co pani tutaj robi? – zapytał.

– Spacerowałam po plaży i cię zauważyłam.

– Pan Lampert ma prywatną plażę, ładniejszą od tej.

– To prawda. Choć jestem zdziwiona, że o tym wiesz.

– Miłego spaceru.

Wykonał zwrot w tył i chciał wracać do Sierry. Wszystkie dzwonki alarmowe w jego głowie dźwięczały tak głośno, że niemal go ogłuszały.

– Mecho?

Zatrzymał się, ale stał odwrócony do niej plecami. Poczul na ramieniu jej dłoń. Nadal na nią nie patrzył.

– Podobno pytałeś o lokalizację mojej sypialni – rzekła.

Takich słów się nie spodziewał.

Stanęła naprzeciwko niego.

– Miałeś powód, by się o to dowiadywać? Poza tym oczywistym?

– Jaki jest ten oczywisty?

Uśmiechnęła się rozbijającąco.

– Oczywiście seks.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Nie miał powodu do radości. Grała z nim w jakąś dziwną grę. Ale tak naprawdę nie była to gra. Gdy giną ludzie, nie można mówić o grze.

– Wątpię, by ochrona wpuściła mnie do głównego budynku.

– Cóż, w tej chwili nie jesteśmy w głównym budynku, prawda?
Gdzie mieszkasz?

Odwrócił się i zaczął się oddalać, stopy grzęzły mu w piasku.

Ruszyła za nim sprężystym krokiem.

Przystanął tak gwałtownie, że niemal się z nim zderzyła. Odwrócił się do niej.

– Więc jaki jest ten nieoczywisty powód? – zapytał.

Nie wydawała się zaskoczona tym pytaniem.

– Ponieważ jest nieoczywisty, trudno mi odpowiedzieć.

– Wszystko traktuje pani tak swobodnie?

– W mieście twój angielski brzmi znacznie lepiej.

– Szybko się uczę.

– No więc co z tą moją sypialnią?

– Kto mówił, że pytałem?

– Lubię być na najwyższym piętrze. Zyskuje się stamtąd dość interesujący punkt widzenia.

– Na co?

– Na wiele rzeczy.

– Dlaczego przebywa pani w domu Lamperta?

– Przyjechałam z panem Winthropem.

– Mężczyzną, którego nie obchodzi, że ktoś bzyka jego partnerkę?

– Takich mężczyzn jest wielu, Mecho.

– Ja taki nie jestem.

– Nie, ciebie bym o to nie podejrzewała. – Wsunęła stopy w sandały. – Piasek jest gorący nawet o tej porze. Więc gdzie się zatrzymałeś?

– Dlaczego chce pani wiedzieć?

– Jestem dociekliwa.

Odwrócił się i odszedł.

– Mogę cię znaleźć, przecież wiesz. Bez niczyjej pomocy.

Stała i na nią spojrzała. Podeszła bliżej.

– Czego pani chce?

– Być może tego samego, co ty.

– Skąd pani wie, czego chcę?

– Może nie działasz tak skrycie, jak ci się wydaje.

Mecho świdrował ją wzrokiem.

– Szkopuł w tym, Mecho, że oboje nie możemy dostać tego, czego chcemy. Tylko jedno z nas.

– Tylko jedno z nas – powtórzył.

I odszedł. Tym razem została w tyle, a on się nie obejrzał.

Myślał tylko o jednym.

A jednak będę musiał ją zabić.

68

– Jane, co ty tu, do diabła, robisz?

Griffin Mason gapił się na Ryon, która stała na ganku jego domu w pobliżu zatoki Choctawhatchee. Był w szlafroku, włosy miał w nieładzie.

– Tak się składa, że jest nas tu troje – rzekł Puller, wyrastając na prawo od Ryon.

Carson wyłoniła się z lewej strony.

Mason zbladł.

– Musimy wejść i porozmawiać – powiedział Puller.

Mason nerwowo obejrzał się przez ramię.

– To nie jest dobry moment.

Zanim zdążył zrobić coś więcej, został mocno pchnięty przez Pullera w głąb domu. Szlafrok się rozchylił, odsłaniając nagie ciało.

– Nie mówiłem, że to prośba – rzucił Puller, stanąwszy nad Masonem, który wylądował na plecach na podłodze. – Gdzie oni są?

– Gdzie jest kto?! – wrzasnął Mason.

Puller złapał go za ramiona i podciągnął do pionu.

– Dzieciaki – warknął. – Gdzie są?

– Jakie dzieciaki?

– Diego i Mateo.

Carson spojrzała na niego przenikliwie.

– Przyszło mi to do głowy po drodze – wyjaśnił Puller. – Tego fiuta stać na kupienie dzieciaka za tysiąc dolców.

Wszyscy usłyszeli hałas z sąsiedniego pokoju. Puller rzucił się do drzwi i otworzył je na oścież.

Mason krzyknął:

– Nie może pan tam wejść!

– Nie mogę?! Wolne żarty!

Zastygł w progu, a pozostali do niego podeszli.

Wszyscy zaglądali do pokoju.

Sypialnia.

Na łóżku siedziała jakaś postać.

Nie Diego. Ani Mateo.

Była to Isabel.

Naga.

Ledwo zdążyła podnieść prześcieradło i zakryć ciało.

– Isabel? – zdumiał się Puller.

Spojrzała na niego ze wściekłą miną.

– Grif, cholera, o co tu chodzi?! – krzyknęła do Masona, jednocześnie łypiąc na Pullera.

Mason złapał Pullera za ramię i próbował się z nim szarpać, ale Puller był tak duży i silny, że prawnik stracił równowagę i upadł.

Natychmiast zerwał się na równe nogi i ryknął:

– Zaskarżę cię! Jeszcze popamiętasz!

– Co ona tutaj robi?

– Nie twój zasrany interes! – wrzeszczał doprowadzony niemal do apopleksji Mason.

– Owszem, mój – oznajmił Puller i spojrzał na Isabel. – Przyszłaś tu dobrowolnie?

– Oczywiście, że tak.

– Zabieraj stąd swój tyłek! – darł się Mason. – I lepiej znajdź

sobie cholernie dobrego prawnika. Zawłaszczę twoją wojskową emeryturę i cały twój majątek, z domem ciotki włącznie!

– A te zdjęcia dzieci w portfelu? – zapytał Puller. – Azjaty i czarnoskórego?

– Skąd o nich wiesz?

– Kim są?

– To moje dzieci! – wybuchnął znów Mason.

– Co?

– Adoptowaliśmy je z moją byłą żoną wiele lat temu. Obaj są już dorośli. Ale noszę ich fotografie z czasów, gdy byli jeszcze dziećmi. Zresztą nic ci do tego.

– Isabel, ile masz lat? – zainteresowała się Carson.

– Szesnaście – odparła odruchowo dziewczyna.

– Isabel, powiedz prawdę. Możemy się tego łatwo dowiedzieć, ale lepiej, żeby informacja pochodziła od ciebie.

Zawahała się i rzekła:

– Prawie szesnaście. Skończę szesnaście za półtora roku.

Puller z obrzydzeniem popatrzył na prawnika.

– Chodzisz do łóżka z czternastolatką?

– Powiedziała mi, że ma szesnaście. Patrz na jej cycki. Wygląda na osiemnaście.

– Ile ci płaci? – zwrócił się Puller do Isabel.

– Nie płacę jej ani grosza! – wydzierał się Mason. – To nie jest prostytutka!

– Jasne. Daje się posuwać staremu tłustemu dziadowi, bo to dużo fajniejsze niż seks z młodym jurnym byczkiem.

– On mi daje różne rzeczy – wtrąciła Isabel.

– Na przykład? – zaciekała się Carson.

– Nic nie mów, Isabel – rozkazał Mason. – Próbują cię wykiwać. Dzwonię do mojego prawnika.

– Seks z nieletnią to seks z nieletnią, Mason. Trudno znaleźć tu coś na obronę.

Mason cofnął się o krok.

– Możemy to wyjaśnić. To zwykłe nieporozumienie.

– Bez różnicy. I tak trafisz do paki, czy uprawiasz seks z nieletnią, czy nie.

– Co? – zapytał zbity z tropu prawnik.

– Przyłapaliśmy cię na przekręcie.

– Na jakim przekręcie?

Puller popatrzył na Ryon, Ryon na Masona.

– Złapałem ją z kradzionymi przedmiotami. Wsypała cię. Teraz już rozumiemy, jakim cudem prawnik od spraw majątkowych może sobie pozwolić na astona martina. Może lepiej sam poszukaj sobie cholernie dobrego obrońcy.

Mason przez kilka sekund wpatrywał się w Pullera, po czym zaatakował Ryon.

– Ty głupia dziwko!

Złapał ją rękami za szyję i zaczął z całej siły ścisnąć.

Puller oderwał go od kobiety i pchnął na ścianę. Ryon osunęła się na ziemię, próbując złapać oddech. Miała przerażoną minę.

Puller wykręcił prawnikowi ręce do tyłu i założył mu plastikowe kajdanki.

– Okej, teraz będziesz siedział dodatkowo za napaść oraz usiłowanie zabójstwa. Dzięki za przysługę.

– Ty tępa dziwko! – wrzasnął znów Mason do szlochającej Ryon.

– To już słyszeliśmy – rzekła Carson.

Puller chwycił Masona za kark.

– I może pomagasz wybranym ofiarom szybciej przejść na tamten świat, żeby zainkasować pieniądze, co, Grif?

Mason patrzył na niego z konsternacją.

– Co?

– A Cookie? Na dnie wanny. Byłeś tam. Wysłałeś Ryon do jego domu po najcenniejsze zegarki. Warunek powodzenia był jeden: Cookie musiał być martwy.

– Ja go nie zabiłem.

– Aha, jasne. A moja ciotka? Zmusiłeś ją do skoczenia na główkę do fontanny? Przytrzymałeś ją pod wodą?

– Przysięgam na Boga, że tego nie zrobiłem.

– Wiemy, że byłeś w domu Cookiego! – ryknął Puller.

– Okej, okej, byłem. Mieliśmy się spotkać. Znalazłem go martwego.

– Niezły kit.

– Naprawdę nie żył. Dlatego kazałem Jane zawijać się tam od razu. Chciałem zabrać zegarki, zanim ktoś się tam pojawi. Wiesz, ile są warte?

– Zachowaj te informacje dla sądu.

Puller znów spojrzał na Isabel.

– Ubieraj się. Zabieram cię do domu. À propos, twoja *abuela* ze zmartwienia odchodzi od zmysłów.

– Mam własne życie.

– Gdzie Diego i Mateo?

– Nie wiem.

– Wiedziałaś, że zaginęli?

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie i wzruszyła ramionami.

– Pewnie wróca.

– Ubierz się – powtórzył cicho i zamknął drzwi.

Gdy wyprowadzali Masona i Ryon z domu, zabrzączał telefon Pullera. Odczytał świeżo otrzymaną wiadomość. Ze zdumienia otworzył usta.

– O w mordę!

– Co się stało? – zapytała Carson, gdy już wpakowali Masona i Ryon na tylne siedzenie tahoe i zatrzasnęli drzwi.

– Lekarka sądowa zakończyła sekcję zwłok Cookiego. Nie został zamordowany. Zmarł wskutek pęknięcia tętniaka.

– Więc Mason nie jest zabójcą?

– Ani pedofilem.

– Tylko kanalią okradającą starszych ludzi i uprawiającą seks z nieletnimi dziewczynami.

Puller westchnął i oparł się o dach samochodu.

– No to wróciliśmy do punktu wyjścia.

– Tak samo jak w wypadku Matea i Diega – dodała Carson.

– Prawdę mówiąc, pod każdym względem – odparł cicho Puller.

Spojrzał na zegarek. Kwadrans po pierwszej. I w tym momencie coś w jego mózgu zaskoczyło. Tkwiło tam cały czas, jak przypuszczał, ale dopiero teraz dało o sobie znać.

– Puller, o co chodzi? – zapytała Carson.

Nie słyszał. Po części nie mógł w to uwierzyć. Po części mógł. Będzie musiał się upewnić. Zadzwoić w kilka miejsc. Powęszyć. Znów wcielić się w śledczego.

Najwyższy czas. Do licha, najwyższy czas.

Mason i Ryon trafili do aresztu śledczego komisariatu policji w Paradise. Puller zdał pełny raport Bullockowi, który zarwał przez to noc. Wtajemniczenie komendanta we wszystkie szczegóły zajęło mnóstwo czasu, a wypełnienie dokumentów drugie tyle. Wymiar sprawiedliwości miał, jak się zdawało, obsesję na punkcie papierologii.

Bullock nie sprawiał wrażenia zadowolonego, że jeszcze jedna rzecz zwała mu się na głowę, niemniej nakazał swoim ludziom wypełnić niezbędne raporty i odprowadzić Ryon oraz Masona do cel. Mason wrzeszczał, że pozwie całe Paradise, natomiast Ryon podpisała zeznanie. Potwierdzono, że Isabel ma dopiero czternaście lat, a zatem zarzut utrzymywania stosunków seksualnych z nieletnią wydawał się mieć solidne podstawy.

Isabel wypuszczono i po poświadczeniu przez nią na piśmie relacji z zaistniałych wydarzeń przekazano pod opiekę babci.

Puller zgłosił także zaginięcie Diega i Matea. Powiedział Bullockowi o domniemaniu, jakoby jakiś mężczyzna zapłacił za nich tysiąc dolarów.

Słuchając tego, Bullock wyraźnie spochmurniał.

Kręcąca się w tle Carson zapytała:

– Macie w Paradise problem z tego typu sprawami?

Bullock rzucił jej surowe spojrzenie.

– Co ma pani na myśli?

– Kupowanie ludzi – pospieszył z odpowiedzią Puller.

Bullock zmarszczył czoło.

– Z powodu kryzysu mamy tu pokaźną liczbę niezarejestrowanych – pomimo zjawiska odwrotnej migracji. Skoro ludzie przebywają tu nielegalnie, trudno powiedzieć, czy ktoś znika. Przyjeżdżają i wyjeżdżają.

– To są dwaj mali chłopcy – argumentował Puller. – Mieszkali z babcią.

– Rozumiem, Puller. Ale brakuje mi ludzi, żebym mógł zajmować się każdym przypadkiem zniknięcia. Nie robi tego nawet policja w dużych miastach. Tak już jest.

– W takim razie jest do bani – skwitował Puller.

– Zgadza się, do bani. Czego pan ode mnie oczekuje?

– Skierował pan spore środki do badania zdarzenia u Lamperta.

– Tam eksplodowała bomba.

– Ale nikomu nic się nie stało.

– To inna sytuacja.

– Różni się tylko tym, że Lampert ma największą posiadłość w Paradise.

Bullock przerzucał papiery i nie odpowiadał.

– Trafiliście na ślad zamachowca? – dociekała Carson.

– Nie – odparł komendant, nie przestając grzebać w papierach.

– Co z Cookiem?

– Nie było zabójstwa. O tym już pan wie. Pękł mu tętniak. Jeśli więc obstawiał pan teorię, że na Orion Street grasuje niebezpieczny maniak, który zabił także pańską ciotkę, czas ją porzucić.

– Fakt, że śmierć Cookiego nastąpiła z przyczyn naturalnych, nie wyklucza zabójstwa mojej ciotki.

– Puller, doceniam schwytanie Masona i Ryon, naprawdę doceniam. Jeśli potwierdzą się zarzuty, mamy do czynienia z odrażającymi kanalami, które zasługują na więzienie. Natomiast

nie podoba mi się, że krąży pan po mieście, bawiąc się w detektywa.

– Już wcześniej proponowałem swoje usługi. Powiedział pan wtedy, że być może pan skorzysta.

– Otóż to. Być może. Ale zdecydowałem inaczej. Nie należy pan do policji. Służy pan w wojsku. Nie ma pan tutaj żadnej władzy, tak jak ja nie jestem pańskim zwierzchnikiem. Sytuacja szybko by się skomplikowała.

– W porządku, rozumiem.

– Dziękuję. A teraz proszę wybaczyć, muszę przygotować papiery Masona i Ryon.

Puller i Carson wyszli na zewnątrz. Wstał nowy dzień, słońce wspięło się już wysoko na niebie, a w parnym powietrzu czuli się tak, jakby ktoś wylał na nich dzban ciepłego piwa.

Carson się przeciągnęła, by rozluźnić napięcie w szyi.

– Oficjalnie oznajmiam, że jestem zmęczona.

– Tak, nieprzespana noc daje człowiekowi w kość. – Zerknął na zegarek. – Już dziesiąta.

– Powinniśmy się przekimać, John. W przeciwnym razie będziemy do niczego.

Puller wrócił do pokoju i wziął prysznic. Sadie leżała na dużym plażowym ręczniku w kącie. Wytarł się, wciągnął na siebie bokserki i runął na łóżko. Chciał zasnąć, ale nie mógł. Jeszcze za wcześnie. Wstał i przez kolejne dwie godziny zużywał minuty w swojej komórce. Dowiedział się mnóstwa interesujących rzeczy. Wszystko pięknie współgrało z jego przypuszczeniami. Gdyby wczoraj w nocy nie spojrział na zegarek, nigdy by na to nie wpadł. Czasem mózg pracuje w zagadkowy sposób. Będzie musiał odbyć jeszcze więcej rozmów i głębiej poszperać. Teraz położył się na łóżku i natychmiast zapadł w sen.

Kilka godzin później obudziło go pukanie do drzwi. Wstał i błyskawicznym ruchem chwycił broń.

– Tak? – powiedział, ustawiając się po lewej stronie drzwi.

– Spocznij. To tylko ja, życzliwa sąsiadka z generalską gwiazdką. Jesteś ubrany?

Puller otworzył drzwi i ujrzał Carson. Miała na sobie przylegającą do ciała jasnoniebieską sukienkę bez rękawów z dekoltem w serek i buty na pięciocentymetrowych obcasach.

– Która to godzina? – zapytał. Na jej widok z półprzytomnego zrobił się ożywiony.

– Siedemnasta.

– Cholera, musiałem spać jak suseł. Mam wrażenie, jakbym uciął sobie tylko godzinną drzemkę.

– Mogę wejść?

Cofnął się i wpuścił ją do pokoju. Pachniała imbirem i bzem. Miała lśniąca skórę. Włosy zaczesane do tyłu, z rozjaśnionymi słońcem pasemkami. Sukienka kończyła się w połowie uda.

Usiadła na łóżku i skrzyżowała długie nogi.

– Pomyślałam, że moglibyśmy obgadać sprawę, a potem zastanowić się nad kolacją. Chyba że chciałeś się umówić z Landry.

Nie patrzyła na jego twarz, tylko niżej.

Puller spojrział w dół i uświadomił sobie, że jest w samych bokserkach.

– Puller, chyba mamy inną definicję ubrania.

– Nie zamierzam umawiać się z Landry – odparł szorstko.

– To mi wystarczy.

Wstała, zsunęła buty na obcasie, rozpięła zatrzask na plecach i sukienka opadła na podłogę.

Pod spodem nie miała zupełnie nic.

– Moje zachowanie wydaje się pewnie dość bezceremonialne.

– Powiedziałbym, że raczej na miejscu.

Potar mosiła policzek Pullera.

– Nauczyłam się w wojsku, że jeśli chcesz dopiąć swego, musisz iść na całość. Wahanie jest dla frajerów.

Usiadła na łóżku i uniosła prześcieradła.

– Wiem, że długo spałeś, ale może znowu się tu wślizniesz? Tym razem nie będziesz spał. To akurat mogę ci zagwarantować.

Pocałowali się najpierw delikatnie, później głębiej, badając nawzajem swe ciała. Kiedy się od siebie oderwali, Carson wydawała się krucha, bezbronna i bez tchu, miała zmierzwiłone włosy i rozchylone usta. Twarda pani generał, teraz naga, bezradna i całkowicie – oraz dosłownie – w jego rękach. Powiódł palcem po jej ustach.

Słowa były zbędne.

Podniósł ją, długie nogi Carson natychmiast owinięły się wokół jego bioder. Położył ją na łóżku.

Przesunął dłońmi po jej wilgotnych od potu plecach i mocno ją chwycił. Uniósł biodra, a potem opuścił je zdecydowanym ruchem. Dłonie zsunęły się na jej pośladki i ścisnęły miękkie ciało. Jej ręce też nie próżnowały, wodząc po jego udach i naprowadzając go tam, dokąd zmierzał.

Poddali się dobrze znanemu rytmowi, którego intensywność coraz bardziej się wzmagala, aż dotarli do punktu, gdzie wewnętrzny ogień wybuchł w obojgu płomieniem, którego nie dało się już ugasić.

Jej jęki przybierały na gwałtowności. Zaczęła mówić. Szeptala mu do ucha, czego dokładnie pragnie.

Chwilę później ciałem Pullera wstrząsnęło ostatnie drżenie, po

czym opadł bez sił na Carson. Dyszała, próbując odzyskać oddech, i zapewniała go, że doskonale się spisał. Puller zsunął się z niej niespiesznie i oboje położyli się obok siebie na plecach.

– John, to było naprawdę niezziemskie – wymruczała mu do ucha.

Rzeczywiście, pomyślał Puller, i na głos podzielił się tą uwagą.

Obróciła się do niego i go pocałowała, najpierw w policzek, potem w usta, gładząc palcami jego twarz.

Od ostatniego razu Pullera minęło sporo czasu. Niepokoił się, czy zdoła wykrzesać z siebie odpowiednią dozę namiętności. Najwyraźniej zupełnie niepotrzebnie. Czuł zarówno satysfakcję, jak i ulgę, odpoczywając u boku Carson. Nadal ciężko oddychał, jakby ukończył przed chwilą w rekordowym czasie wojskowy bieg na trzy kilometry.

– Tak dla jasności: nie robię takich rzeczy na dzień dobry – zaznaczyła.

– I sprawiasz właśnie takie wrażenie.

– Bo tak jest – odparła stanowczo, podpierając się na łokciu i patrząc na niego.

– U mnie podobnie – zapewnił.

– Wiem, możesz mi wierzyć.

– Sprawdziałaś mnie?

– Twoje akta mówią same za siebie. Nie miałeś za wiele czasu na życie prywatne.

– Ty też nie.

– Prosta historia, pogoń za kolejnymi gwiazdkami. – Poglądziła go po piersi. – A więc co teraz, olbrzymie?

Puller gwałtownie drgnął i utkwiał w niej spojrzenie.

Roześmiała się.

– Puller, nie oczekuję pierścionka zaręczynowego ani daty ślubu.

Mówię o kolacji. Umieram z głodu.

Uśmiechnął się.

– No to chodźmy coś zjeść.

Pocałowała go, musnęła palcami pewną część jego anatomii, przyprawiając go o dreszcz.

Szepnęła mu do ucha:

– Czy to rozkaz, żołnierzu?

– Z całym szacunkiem, pani generał: tak, to rozkaz.

70

Napełniwszy żołądki, Puller i Carson odsunęli puste talerze i przyglądali się sobie nawzajem.

– Patrzysz na mnie tak, jakby coś się między nami zmieniło – powiedziała.

Przekrzywił głowę i spoglądał na nią z jeszcze większą uwagą.

– A nie zmieniło się?

Siedzieli w rogu w głębi restauracji. Pora była jeszcze wczesna, wieczorne tłumy nie zdążyły napłynąć. Właściwie mieli cały lokal dla siebie.

– Dlaczego? Bo się ze sobą przespaliśmy?

– Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód.

– To dla ciebie aż tak ważne?

– Domyślam się, że dla ciebie nie.

– Nie obrażaj się, John, ale mamy dwudziesty pierwszy wiek. Faceci postępowali tak niemal od zarania dziejów. Dziewczyny też robią to czasem tylko dlatego, że po prostu mają ochotę.

– Okej – wycedził.

Nagle się uśmiechnęła.

– Czujesz się wykorzystany?

Spojrzał na nią i odwzajemnił uśmiech.

– Role się odwróciły?

– Najwyższy czas, nie uważasz?

– Słabo reprezentuję mentalność typowego samca.

– Właśnie to w tobie lubię. Weźmy na przykład Landry.

– A konkretnie?

– Jest młoda i atrakcyjna. Chce zaciągnąć cię do łóżka, nie trzeba tu być asem dedukcji. I z pewnością przystawiał się do niej każdy gliniarz w wydziale.

– Pewnie tak.

– Myślisz, że w DoD¹⁸ jest inaczej?

– Słucham?

– Nie raz podszczypywali mnie w tyłek – i ci z jedną gwiazdką, i ci z czterema. W West Point było tak samo. Tak wykładowcy, jak i tępi elewowie z pierwszego roku. Potem w warunkach polowych ci z dębowymi liśćmi¹⁹. Uważali, że to, co mówią do kobiety w mundurze i co z nią robią, jest zupełnie w porządku. Cholera, w trakcie misji na Bliskim Wschodzie wydawało mi się czasem, że toczę walkę na dwóch frontach.

Wzięła do ręki szklanekę z mrożoną herbatą i spojrzała na Pullera.

– Zaskoczony?

– Odpowiedź żołnierza brzmiałaby: tak, zaskoczony.

– A twoja?

– Moją znasz. Różniłaby się od tej wojskowej.

– Niedwuznaczne propozycje, molestowanie, zastraszanie, nawet napaść. Witaj w „męskiej” armii.

Pochylił się w przód, zwinął dłonie w pięści.

– Julie, są odpowiednie procedury. Nie musisz zgadzać się na to bagno. Jak sama powiedziałaś, mamy dwudziesty pierwszy wiek.

– Racja. I pod pewnymi względami to stulecie wygląda tak samo jak wszystkie poprzednie. Mężczyźni nadal są mężczyznami, choć może bardziej postępowymi i światłymi. Albo hamują się ze strachu przed procesami sądowymi, sądem wojskowym, zdruzgotaną karierą i wściekłą żoną. Ale nadal to ciągną, ponieważ myślą, że

wszystko ujdzie im płazem. Zawsze tak im się wydaje.

– Więc po prostu to znosiłaś?

– Tego nie powiedziałam. – Podniosła zaciśniętą pięść. – Czasem było to. Czasem kopniak w jaja. Czasem tylko spojrzenie. A czasem, owszem, oficjalna skarga i storpedowanie czyjejś kariery. Ale bywało i tak, że nie mówiłam ani nie robiłam nic. Zwyczajnie odpuszczałam.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto zwyczajnie odpuszcza.

– Miałam dalekosiężne plany, Puller. Armia nie była dla mnie tylko zabawą, przygodą. Pragnęłam robić wielkie rzeczy. Zostać kimś. I nadal tego chcę. Weszłam na ścieżkę kariery. Mam jedną gwiazdkę. A chcę mieć jeszcze co najmniej dwie.

– Więc będziesz to akceptować, żeby mieć dobre układy? Nie tak wyobrażam sobie wspinaczkę na szczyt.

– Kariera to osobliwa rzecz. Kryteria nieustannie się zmieniają. Ale w jednej kwestii nie można iść na kompromis: trzeba móc następnego dnia spojrzeć w lustro. Ja zawsze mogłam. Bez względu na to, co się wydarzyło. To nie był mój problem, tylko ich. To oni nie powinni być w stanie spojrzeć sobie w oczy. To oni nie potrafili zapanować nad swoimi siusiakami.

– I co z tego wynika?

– Nie przyjechałam tu po to, żeby zaciągnąć cię do łóżka. No, może trochę. Skoro mam już to za sobą, mogę skupić się na tym, co naprawdę mnie tu sprowadziło.

– Na odpoczynku?

– Na pomocy w rozwiązaniu sprawy. Co robimy dalej?

– Nie przywykłem do tego, by generał pytał mnie o wskazówki.

– Najlepsi dowódcy pozwalają swoim ludziom robić to, co tamci potrafią najlepiej. Ty jesteś z CID. Ja kompletnie nie znam się na

śledztwach ani przestępstwach. No więc? Co teraz?

– Państwo Storrowowie.

– Storrowowie?

– Para zamordowana na plaży. Znali moją ciotkę.

– Myślisz, że dlatego zginęli?

– Spędzali dużo czasu poza domem. Spacerowali, może też jeździli na wycieczki samochodem.

– Na przykład osiem kilometrów w jedną stronę i osiem z powrotem?

– Na przykład.

– I opowiedzieli ciotce, co widzieli?

– Albo o swoich przypuszczeniach. Lub podejrzeniach. Napisała list do mojego ojca. A w gruncie rzeczy zależało jej, żebym to ja tu przyjechał i powęszył. Powiedziałyby mi więcej, ale nie zdążyła.

Puller wyjął z kieszeni list i podał go Carson. Przebiegła po nim wzrokiem.

– Tajemnicze wydarzenia nocą. Ludzie, którzy mają drugie oblicze. Coś nie w porządku. Brzmi to dość enigmatycznie.

– Ciotka nie miała skłonności do przesady. Takie słowa z jej strony mogły być głośnym wołaniem o pomoc.

– Cóż, jeśli nie mylisz się co do jej śmierci, jej podejrzenia były w pełni uzasadnione. Ale skoro państwo Storrowowie nie żyją, jak się do tego zabierzemy?

– Mieli syna i synową. To oni zgłosili ich zaginięcie. Mam nadzieję, że będą mogli uzupełnić kilka luk. – Wstał. – Gotowa?

Uśmiechnęła się i niemal zagruchała:

– Po bzykanku? Jestem gotowa na wszystko.

Mecho pił duszkiem wodę z kilkulitrowego pojemnika i spoglądał na wielki dom. Wszystko było tu perfekcyjnie zaprojektowane, perfekcyjnie rozmieszczone. Powierzchność zdumiewającej urody. To, co kryło się pod nią, nie było już tak wspaniałe.

Świat często tak właśnie wyglądał.

Otarł usta, odstawił pojemnik na furgonetkę i wziął do ręki grabie. Powlókł się na trawnik pod drzewami, gdzie duża fontanna tryskała wodą do betonowej niecki. Ten „tajemniczy ogród” obsadzono bujną roślinnością, drewniane ławki rozstawiono w kąciakach i zakamarkach na brukowanych platformach.

Mecho pracował już w tej części posiadłości. Panował tu spokój skłaniający do refleksji. Przypuszczał, że to projekt pani Lampert. Nie sądził, by Peter Lampert był zdolny do wyobrażenia sobie tak kojącej scenerii.

Gdy skręcił za róg i szykował się do pracy, ze zdumieniem zauważył, że jedna z ogrodowych ławek jest zajęta.

Chrissy Murdoch trzymała w rękach książkę, ale nie czytała. Spoglądała w kierunku oceanu, który znajdował się na tyle blisko, że dało się słyszeć przybijające do brzegu fale. Była ubrana w jasnozielone szorty, białą bluzkę i tenisówki z krótkimi skarpetkami. Włosy splotła w ciasny warkocz na plecach. Jej twarz muskały promienie słońca przefiltrowane przez gałęzie drzew.

Mecho ją obserwował, natychmiast urzeczony jej urodą oraz malującą się na jej twarzy melancholią.

Kiedy drgnęła i spojrzała w jego kierunku, powrócił do grabienia kwiatowych rabat i porządkowania ściółki – formował schludne zwarte kopczyki wokół roślin.

– Piękny dzień, prawda? – zagadnęła.

– W Paradise każdy dzień jest piękny – odparł.

– Chyba oboje dobrze wiemy, jak jest.

Podniósł wzrok, zaciskając wielkie palce na trzonku grabi. Nic nie odpowiedział, czekając, aż ponownie się odezwie.

– Myślałeś o naszym wczorajszym spotkaniu na plaży?

– A ty? – Zaryzykował skrócenie dystansu.

– Ja nie myślałam o niczym innym.

– Poświęciłem mu chwilę namysłu. Sądzę, że z kimś mnie mylisz.

Wstała, zamknęła książkę i zbliżyła się leniwym krokiem.

– Jesteś więc zwykłym robotnikiem, który utrzymuje porządek na posesji dzianego gościa?

– Trzymam w ręku grabie. Moja koszula lepi się od potu. Jeżdżę furgonetką. Mieszkam w norze. Sama wyciągnij wnioski.

– Ale jesteś wykształcony.

– Wykształcony czy nie, muszę z czegoś żyć. To obcy dla mnie kraj. Trzeba zaczynać od samego dołu. Tak jak wszędzie.

– Niektórzy zaczynają od góry.

– Ci, którzy mają koneksje. Albo bogatą rodzinę. Ja nie mam ani jednego, ani drugiego. A ty?

– Ja mam wygląd. Pewien wdzięk. Znam się na etykietce, umiem prowadzić towarzyskie rozmowy o niczym. Odróżniam włoskie wino od francuskiego. Moneta od Maneta. Resztę mogę w razie potrzeby udawać.

– No to masz rozwiązane wszystkie życiowe problemy.

– Nie.

Oparł się na grabiach.

– To, co robimy, jest bardzo niebezpieczne. Ta nasza rozmowa. Oczy i uszy są wszędzie.

– Nie tutaj. Nie w sekretnym ogrodzie. Pani Lampert o to zadbała.

– To prawdziwa dama?

– Raczej nie. Ale w przeciwieństwie do mnie – autentyczna.

– A więc coś kręcisz?

– Jak większość z nas.

– Postawiłaś mi na plaży ultimatum.

– Tak.

– Nie zrozumiałem.

– Wydawało mi się, że warunki są jasne jak słońce.

– Nie wierzysz, że jestem osobą, za którą się podaję? Gdzie na to dowód?

– Przed moimi oczami.

– Dlaczego interesujesz się Lampertem?

– Bo to interesujący mężczyzna. Pod wieloma względami.

– Oddałaś mu swoje ciało.

– Uważasz, że to obrzydliwe?

– Ty uważasz inaczej?

– Niekoniecznie.

– To dlaczego na coś takiego pozwalasz?

– Życie składa się z kompromisów. Coś za coś.

– Na czym polega ta wymiana?

– Sądziłam, że to jasne. Tam, na plaży.

– O co masz żal?

– A o co ty? – odpowiedziała pytaniem.

Wyprostował się, wodząc palcami po trzonku grabi.

– Ta zbieżność jest doprawdy niezwykła – zauważyła. – Ty i ja w tym samym czasie.

– Nie użyłbym słowa „niezwykła”.

– Twoim zdaniem jest fatalna?

– Sama mówiłaś: może być tylko jedno z nas.

– Potwierdzasz więc swoje zamiary?

W tym momencie twarz Mecha pociemniała. Był głupcem. Że też dał się wciągnąć w tę tylko z pozoru niewinną rozmowę.

Rozejrzał się. Spodziewał się widoku okrążających go ochroniarzy Lamperta. Przyglądał się jej, usiłując dojrzeć pod bluzką albo szortami kabelek od podsłuchu.

Jakby czytając w jego myślach, upewniła go:

– Nie, Mecho, to nie tak.

– Skoro tak mówisz...

Odwrócił się, chcąc odejść.

– Wycofasz się?

Nie odpowiedział, ale i nie ruszył się z miejsca.

– Wycofasz się? – powtórzyła.

– A ty?

– A więc znam już odpowiedź.

– Chyba tak.

– Ciągnie się to długo, Mecho. Naprawdę długo. I kosztuje wiele cierpienia.

– I myślisz, że dotyczy to tylko ciebie?

– Nie. Ale mam zobowiązania. Końcowy rezultat na pewno ci się spodoba.

– Ja też mam zobowiązania.

Szybko się od niej oddalił. Oraz od sekretnego ogrodu, który nie krył już w sobie żadnych tajemnic.

Teraz wszystko musi przyspieszyć. Plan, tak starannie przygotowany, właśnie wziął w łeb.

I pojawiły się dodatkowe okoliczności.

Ultimatum zwykle jest spełniane. Trzeba ponieść koszty.

Właśnie odsłonił tyły. Teraz toczył bitwę na dwóch frontach, a spodziewał się tylko jednego.

Obejrzał się na Murdoch.

Stała z książką w ręku i na niego patrzyła.

Wiele wyczytał z jej twarzy.

Smutek.

Przygnębienie.

Ale przede wszystkim determinację.

Odwrócił się i ruszył naprzód.

Nie czuł ani smutku, ani przygnębienia.

Wyłącznie determinację.

Wojna rozpoczęła się na serio.

Peter Lampert odłożył lornetkę, ale nie przestał obserwować wysokiego mężczyzny, który sadił przez trawnik wielkimi susami, a potem odłożył grabie na furgonetkę.

Lampert oszacował jego wzrost.

Dwa metry. Może ciut więcej.

Waga – pewnie około stu trzydziestu pięciu kilogramów, ale nie był zwalisty. Szczupły, za to szeroki w ramionach, pod tkaniną przyciasnych spodni rysowały się sznury mięśni nóg.

Ciekawy gość.

Lampert widział, jak kilkakrotnie rozmawiał ze służącą, Beatriz. Widział też, że Christine Murdoch zwraca na niego uwagę. Całkiem nieźle się prezentował.

Surowa uroda. Tak niewątpliwie określiłyby to panie.

No i ta imponująca postura. Kobiety doceniają takie rzeczy. Dobrze o tym wiedział.

Odwieczne przekonanie, że duże stopy oznaczają duże przyrodzenie, wciąż pozostawało popularne.

Duże stopy, pomyślał Lampert.

Może te same, które odcisnęły ślady na rabacie pod oknem domu gościnnego. Ciekawe, jak wygląda jego pismo. Czy pasowałoby do pozostawionego na ścianie ostrzeżenia?

Bądź co bądź, jego ludzie mówili mu o wielkim mężczyźnie – nazywali go olbrzymem – który uciekł z platformy wiertniczej, skacząc do wody. Uznano go za zmarłego. Jaki inny los może spotkać kogoś, kto skacze z platformy do ciemnego oceanu? Nikt

nie dopłynąłby stamtąd do brzegu.

Jednak ten mężczyzna wyglądał na kogoś, kto takiego wyczynu mógł dokonać. Albo miał pomocnika.

Lampert podejmował ryzyko, od zawsze. Ryzyko pozbycia się tego człowieka nie byłoby dla niego problemem, nawet gdyby się okazało, że nie stanowił on żadnego zagrożenia. Lampert nie przejmował się takimi drugorzędnymi stratami.

Nie bardzo wiedział, co myśleć o rozmowach, w jakie wdawała się z tym dryblasem Chrissy Murdoch. Wiedział natomiast, że Winthrop ani trochę nie zaspokaja jej seksualnie. Stąd okazjonalne schadzki w domu gościnnym.

Może lubi mężczyzn wielkich pod każdym względem. Po prostu.

Powrócił w myślach do kwestii ryzyka.

Stiven Rojas patrzył mu na ręce. Wróć, poprawka: dyszał mu za plecami.

Taki człowiek nie toleruje żadnych wpadek. Lampertowi nie brakowało motywacji, żeby nie stać się jedną z nich.

Kontynuował obserwację olbrzyma harującego w palącym słońcu.

Lampert musi udać się dziś w pewne miejsce. Ryzykowna wycieczka, ale czuł, że konieczna. Po drodze zadecyduje, co zrobić z rozmiarem pięćdziesiąt.

Lampert nie zdawał sobie sprawy, że podczas gdy on obserwował wielkiego mężczyznę, sam też był obserwowany.

Chrissy Murdoch stała schowana za drzewem i przez małą lornetkę, która mieściła się w damskiej torebce, bacznie przyglądała mu się zza gałęzi. Widziała nawet napis na sprzęcie optycznym, przez który Lampert lornetował Mecha.

Błyskawicznie przeanalizowała sytuację. W sumie mogłaby wynieść z niej korzyść. Pozwalając Lampertowi wyeliminować konkurencję. Od tej bowiem pory właśnie tak postrzegała Mecha: jako swojego rywala.

Posunęła się zbyt daleko, zbyt wiele poświęciła, zaryzykowała wszystko, by znaleźć się w tym miejscu. Niewolnictwo dwudziestego pierwszego wieku nie odebrało jej nikogo bliskiego. A Mecho prawdopodobnie kogoś stracił.

W głębi serca zastanawiała się jednak, czy rzeczywiście powinna tak postąpić. Pozwolić Mechowi umrzeć. Była bowiem pewna, że Lampert planuje taki właśnie scenariusz. Tamtego dnia zauważyła Mecha za oknem domu dla gości. Skoro widziała ona, równie dobrze mógł widzieć go Lampert.

A tamta noc, kiedy Bentley wyleciał w powietrze?

Czy to także robota Mecha, który użył taktycznej sztuczki, żeby rozwścieczyć albo przestraszyć Lamperta? Jeśli tak, taktyka sromotnie zawiodła. Nie zdała się na nic, poza tym że postawiła Lamperta w stan wyższej gotowości, choć i tak poziom jego czujności zawsze był wysoki.

Może ten jeden błąd powinien przesądzić. Mecho powinien zginąć. A to otworzyłoby jej drogę.

Decyzja nie była jednak łatwa. Nie potrafiła zapomnieć wyrazu oczu Mecha, od kiedy zobaczyła go po raz pierwszy.

Ten mężczyzna nosił w sobie wielką ranę. Niewidoczną. Cały ból krył się w środku.

Murdoch rozumiała, że taką ranę mógł zadać mu ktoś pokroju Petera Lamperta.

Lampert idealnie nadawał się do tego, co robił. Nie miał sumienia. Nie troszczył się o nikogo poza samym sobą. Nie było człowieka, którego by nie poświęcił, by dopiąć swego. Z żoną

i swoim jedynym dzieckiem włącznie. Tak był skonstruowany.

Mimo wszystko można było dobrać się komuś takiemu do skóry, uderzyć w czuły punkt. Miał ich niewiele i skrzętnie ukrytych, niemniej istniały.

Murdoch zamierzała dobrać się do nich wszystkich.

Wycofała się spod osłony drzewa i wróciła do sekretnego ogrodu.

Usiadła z powrotem na ławce i otworzyła książkę.

Niczego jeszcze nie postanowiła, nie potrafiła podjąć decyzji.

Życie czy śmierć, Mecho?

Życie czy śmierć?

Miał coś takiego w oczach...

Gdy o tym pomyślała, jej własne oczy zaszklily się od łez.

Puller uprzedził Lynn i Chucka Storrowsów o zamiarze złożenia im wizyty. Czekali w swoim domu przecznicę od oceanu. Był to parterowy budynek zajmujący sporą część posesji. Chuck Storrows wprowadził ich do środka. Jego żona siedziała skulona na kanapie z zarzuconym na ramiona szalem, choć na zewnątrz panował straszliwy upał.

Gdy podniosła głowę, na jej twarzy wyraźnie malował się ból po niedawnej stracie teściów.

Puller i Carson złożyli kondolencje.

– Proszę usiąść – rzekł Chuck. – Wspomniał pan, że służy pan w wojsku.

Puller i Carson przycupnęli naprzeciwko małżeństwa na wąskiej sofie, na której z trudem się mieścili.

– Oboje jesteście wojskowymi – wyjaśnił Puller. – Przyszedłem do państwa właśnie w związku ze śmiercią mojej ciotki Betsy.

– Mój Boże, więc to pan jest Johnem Pullerem, jej bratankiem – powiedział Chuck, a Lynn otarła oczy chusteczką i zaczęła zdradzać większe zainteresowanie.

– Zgadza się. Jak rozumiem, państwo Storrowsowie przyjaźnili się z moją ciotką.

– Tak – potwierdziła Lynn ściszonego głosem. – Byli bardzo dobrymi przyjaciółmi. My też znaleźmy Betsy. Cudowna kobieta.

– Dlatego dziwne, że wszyscy troje umarli w tak krótkim odstępie czasu i w podejrzanych okolicznościach – zauważył Puller.

Chuck wydawał się zbity z tropu.

- Sądziłem, że Betsy miała wypadek.
- Takie jest stanowisko policji. Ja mam inne zdanie.
- Dlaczego? – zapytała Lynn.

Puller wyjął z kieszeni list i podał go Storrowom. Przeczytali go wspólnie.

Chuck spojrzął znad kartki.

- Tajemnicze wydarzenia?
- Nocą – dodała Lynn.

Puller skupił na niej uwagę.

- Otóż to. Nocą. Betsy zmarła nocą. Tak jak pana rodzice.

W oczach Lynn zebrały się łzy. Mąż objął ją ramieniem.

- Nie rozumiem tego związku – stwierdził.
- Przyjaźnili się. Może się sobie zwierzali. Może wszyscy troje wiedzieli o tym, o czym ciotka wspominała w liście.

- Coś by nam o tym napomknęli.

- A nic nie mówili? – zapytała Carson.

- Oczywiście, że nie. Przecież byśmy powiedzieli.

- Byli państwo cały czas na miejscu? W ostatnich tygodniach?

Chuck i Lynn spojrzeli po sobie.

- Tak się składa... – zaczął Chuck.

– Nie było nas przez około trzy tygodnie – wyjaśniła Lynn. – Pojechaliśmy do Afryki. Na safari. Po powrocie zadzwoniłam do teściów. Nie odebrali. Pomyślałam sobie, że jak zwykle spacerują po plaży. Kiedy następnego dnia też nie odebrali telefonu, zaczęłam się martwić. I wtedy zaangażowaliśmy w to policję.

- Rodzice nie próbowali się z panem kontaktować w trakcie waszej podróży? – zapytał Puller.

- Niechętnie korzystali z telefonu, a już na pewno nie

zadzwoniliby za granicę, chociaż tłumaczyłem im, że połączenie na moją komórkę to nie to samo co rozmowa międzynarodowa. Wydaje mi się, że nigdy tego do końca nie zrozumieli. Należeli do bardzo oszczędnego pokolenia. Za wysyłaniem wiadomości tekstowych czy maili też nie przepadali.

Lynn wyrwał się cichy szloch.

– To my powinniśmy byli do nich zadzwonić.

Chuck pokręcił głową.

– Zasięg był kiepski. Pomyślałem, że może mieli wypadek czy coś takiego. Nigdy nie przemknęło mi nawet przez myśl, że ktoś mógł...

– To zrozumiałe – wtrącił Puller. – Nadal siadali za kierownicę?

Lynn pokiwała głową.

– O tak. Byli dość aktywni fizycznie.

– Zabierali ze sobą moją ciotkę?

– Czasami. Ale ona też jeździła autem. Specjalnie wyposażyła je w ręczny hamulec i gaz.

– Tak, widziałem.

Chuck przyjrzał się Pullerowi i Carson.

– Te wszystkie pytania... I ten list... Macie koncepcję dotyczącą przyczyn ich śmierci?

– Na razie nie bardzo. Obecnie sprawdzamy wszystkie pojawiające się tropy. Czy któreś z rodziców prowadziło dziennik?

– Dziennik? – powtórzyła Lynn. – Nie sądzę. Dlaczego pan pyta?

– Po prostu. Niewykluczone, że z domu mojej ciotki zginął pamiętnik.

– Może gdybyśmy byli tu na miejscu, nic by się im nie stało – rzekła z namysłem Lynn.

– Skarbie, nie możemy się z tego powodu biczować.

Planowaliśmy te wakacje od lat.

- Naprawdę nie powinni się państwo obwiniać – wtrąciła Carson.
- Nie warto i oni też by tego nie chcieli.

Lynn wydmuchała nos.

- Czy rodzice nie korzystali przypadkiem z usług prawniczych Griffina Masona?

– Nie. Mieli mojego prawnika – odpowiedział Chuck.

– To dobrze. Mason będzie teraz dość zajęty.

Carson i Puller wstali. Lynn dotknęła ramienia Pullera.

– Jeśli czegoś się dowiecie, czegokolwiek...

– Powiadomię państwa jako pierwszych – zapewnił Puller.

Chuck uściskał im dłonie.

– Powodzenia.

– Niech Bóg ma was w opiece – dodała Lynn.

– Myślę, że przyda nam się i powodzenie, i boska opieka – mruknął pod nosem Puller.

Puller siedział za kierownicą tahoe, ale nie zapalał silnika.

– Będziemy tak tu siedzieć i oblewać się potem czy może jednak zechcesz włączyć tego smoka?

Puller przekręcił kluczyk, silnik zaskoczył. Wrzucił bieg i ruszył.

– No i co nam to dało? – zapytała Carson, nastawiając klimatyzację na maksymalny nawiew.

– Informację. Nawet jeśli Storrowowie coś odkryli, mogli nie powiedzieć o tym nikomu prócz mojej ciotki.

– Mówiłeś, że nabiła trochę kilometrów na liczniku, prawda?

Puller wyjechał na główną ulicę i przyspieszył.

– Owszem.

– I sądzisz, że prowadziła dziennik?

– Tak.

– Może to ona coś odkryła i im o tym opowiedziała, a nie odwrotnie. Może ktoś ich podsłuchał albo zauważył. Dlatego zginęli wszyscy. Najpierw ciotka, potem państwo Storrowowie. Czy też w innej kolejności. Albo jednocześnie.

– Ma to sens.

– My, generałowie, czasem mówimy z sensem.

– Pamiętasz plamę ropy, na którą natknęliśmy się przy plaży cuchnącej siarką?

– Pochodziła z ciężarówki albo samochodu osobowego. Ale dlaczego akurat tam?

– Dobre miejsce na jakieś potajemne przedsięwzięcie.

– Racja. Śmierdzi, plaża wyłączona z użytku.

– I tak spodziewałbym się raczej działań pod osłoną nocy.

Pokiwała głową.

– Ja też. Wobec tego chyba się domyślam, co będziemy robić dzisiaj w nocy.

– I owszem.

– Wciąż czegoś nam tu brakuje – powiedziała.

– Brakuje wielu rzeczy.

– Mam na myśli zwłaszcza jedną.

– Dwóch facetów w sedanie, przed którymi Pentagon kuli uszy?

– Otóż to. I to mnie martwi.

– Mnie martwi cała ta sytuacja – odparł Puller.

Słyszał odgłos podnoszenia dużej bramy. Nie wiedział, co dokładnie te dźwięki oznaczają, niemniej go przerażały. Przerazało go tutaj wszystko i wszyscy.

Poczuł, jak ktoś trąca go w ramię, i drgnął. A potem się obejrzał.

Diego patrzył na Matea, Mateo na Diega.

Tkwili za stalowymi kratami, w miejscu o powierzchni mniejszej niż dwa metry kwadratowe. A dokładnie – leżeli na podłodze klatki, która od dwóch dni była ich domem.

– Boję się, Diego – szepnął Mateo.

Diego kiwnął głową i złapał chłopca za rękę.

Diego poszedł do *dueños*, żeby wybadać, czy ochronią jego samego oraz jego kuzynostwo przed trzema mężczyznami, którzy pobili Isabel i Matea. Zabrał ze sobą Matea, ponieważ w domu nie było nikogo, kto przypilnowałby małego. Poza tym sądził, że nie zrobią mu krzywdy, gdy przyprowadzi ze sobą Matea.

Nie mógł bardziej się mylić.

Później był już tylko przerażający chaos.

Zjawili się mężczyźni.

Podali im jakiś napój. A następnie ocknął się w tym miejscu. Nie wiedział, gdzie jest ani jak tu trafił.

Przyłożył rękę do ucha Matea i wyszeptał:

– Będzie dobrze.

Szukał, a z miny chłopca wywnioskował, że tamten o tym wie.

Światło było tu przyćmione, a właściwie tak słabe, że Diega aż

mdliło. Mateo już raz zwymiotował. Być może w reakcji na dosypaną do napoju substancję.

Nie siedzieli tu sami. W klatce było jeszcze dziesięć innych osób. A obok stała jeszcze dziesiątka takich klatek. Wszystkie zapełnione. Sami dorośli. Albo prawie. Kobiety oddzielnie od mężczyzn.

W nikłym świetle Diego rozróżniał niektóre sylwetki.

W jego klatce mężczyźni i nastoletni chłopcy siedzieli w kucki, ze wzrokiem utkwionym w przerwie między kolanami.

Zropaczeni. Przegrani.

Tak samo czuł się Diego.

Nie wiedział dokładnie, po co ich zabrano.

Jednak w tyle głowy dźwięczały mu uliczne opowieści.

Secuestradores de personas.

Porywacze ludzi.

Diego nigdy nie przypuszczał, że padnie ich łupem.

Popatrzył na Matea. Chłopczyk miał dopiero pięć lat. Był jeszcze małym dzieckiem. Po co im Mateo? Nie widział w tym sensu.

Pojawił się strażnik ze smukłym dzbankiem wody i talerzem chleba oraz owoców. Wsunął je między kraty.

Najwięksi mężczyźni w klatce rzucili się na posiłek. Zaspokoili pragnienie, zjedli, co chcieli, a to, co zostało, podali dalej. Zanim talerz i dzbanek dotarły do Diega oraz Matea, pozostał ledwo łyk wody, kilka okruchów chleba i cząstka jabłka. Oddał wszystko Mateowi, próbując zapomnieć o zaschniętym gardle i burczeniu w brzuchu.

Oparł się o kraty i omiatał wzrokiem inne klatki. Jego spojrzenie pomknęło ku tej, która mieściła kobiety. Żadna nie wyglądała na starszą niż trzydzieści lat. Wiele było jeszcze nastolatkami.

Diego rozumiał, po co je zabrano.

Putas. Będą warte mnóstwo pieniędzy.

Ośmielił się spojrzeć w górę na wysoki sufit, pod którym biegły rury wentylacyjne i przewody elektryczne.

Zdążył już wydedukować, że to jakiś magazyn. Ale nie miał pojęcia gdzie. Nie miał pojęcia, czy nadal jest w Paradise. Albo w ogóle na Florydzie.

Pomyślał o swojej *abuela* i oczy nabrzmiały mu od łez. Pomyślał o Isabel, zachodzącej w głowę, gdzie podziewają się jej chłopaki, i do oczu napłynęło jeszcze więcej łez.

A potem przypomniał sobie tamtego ogromnego mężczyznę, który prosił go o śledzenie dwóch ludzi w samochodzie. Wydawał się zainteresowany Diegiem. Pomógł Isabel i Mateowi. Jest wielki i silny. Na pewno umie się bić. Jeździ wypasionym samochodem. Może jest bogaty. Może ich odnajdzie.

Diego podtrzymywał w sobie tę krzepiącą myśl nie dłużej niż przez sekundę. Co za wariacki pomysł, powiedział sobie w duchu. Tamten mężczyzna nie przyjdzie. Nie przyjdzie nikt.

Ponownie rozejrzył się po klatkach.

To musi być gruby biznes. Są zorganizowani i mają mnóstwo pieniędzy. Porywają ludzi i sprzedają. Wiedział, że tak jest.

Zerknął na Matea.

Sprzedadzą ich razem? Czy Mateo pojedzie gdzieś osobno?

Beze mnie?

Wiedział, że Mateo będzie bez przerwy płakał. I może *secuestradores de personas* się zezłoszczą i go zabiją, żeby go uciszyć.

Wyciągnął rękę i tak mocno ścisnął Matea za ramię, że chłopiec aż wydał cichy okrzyk.

Nigdy nie pozwolę zabrać Mateo, obiecał sobie Diego.

Światła coraz bardziej przygasały. Rozglądał się, czując, jak strach ściska mu gardło.

Wszyscy pozostali więźniowie w klatkach robili to samo. Rozglądali się. A jednocześnie próbowali się skurczyć, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Wyczuwali, że coś się święci. I że to coś nie będzie dla nich dobre.

Mężczyzna powoli wszedł po metalowych stopniach i stanął przed rzędem klatek. Postać Petera Lamperta pozostawała poza polem widzenia Diega, który i tak, nie znając go wcześniej, nie zdołałby go rozpoznać.

Za Lampertem stali inni. Jednym z nich był James Winthrop. Elegancko ubrany w szyte na miarę, idealnie leżące na sylwetce marynarki, białe koszule i spodnie. Na nogach obuwie za tysiąc dolarów. Wyglądali jak bankierzy inwestycyjni wybierający się na spotkanie.

Winthrop trzymał w ręku tablet i sporządzał notatki, Lampert zaś dokonywał przeglądu towaru i podejmował decyzje. Chodził tam i z powrotem wzdłuż rzędu klatek, wskazując na poszczególne osoby i wydając instrukcje Winthropowi, który posłusznie wprowadzał je do systemu. Jakby przeprowadzali inspekcję bydła w rzeźni albo samochodów zjeżdżających z linii montażowej. Atmosfera jak podczas prowadzenia poważnych interesów, tyle że towar był żywy i oddychał.

Szybko oddychał.

Zbliżyło się dwóch kolejnych mężczyzn. Nieśli paczki owinięte plastikową folią. Lampert pstryknął palcami i mężczyźni błyskawicznie znaleźli się u jego boku.

Lampert obejrzał paczki, jedną z nich rozerwał palcem. Wyciągnął cztery niebieskie koszule, spojrzął na sporządzoną przez

Winthropa listę i wskazał cztery osoby w trzech różnych klatkach. Rozdano im koszule i zmuszono do ich włożenia.

Następnie wypakowano czerwone koszule i wydano je tym mężczyznom, którzy byli bardziej muskularni i postawni niż reszta.

Zielone koszule przypadły młodszym atrakcyjnym kobietom oraz chłopcom i młodym mężczyznom o anielskiej urodzie.

Rozdano wszystkie z wyjątkiem dwóch w osobnym pakunku.

Lampert rozciął folię i wyciągnął dwie żółte koszule.

Rzucił okiem na tablet Winthropa, przesuając wzrok po liście.

Następnie odwrócił się i lustrował rząd klatek, póki jego czujne spojrzenie nie zatrzymało się na klatce Diega.

Spojrzał na dwóch chłopców i się uśmiechnął. Powiedział do Winthropa coś, czego Diego nie był w stanie dosłyszeć, w każdym razie brzmiało to jak coś w stylu „nowa linia towarowa”. Potem padły słowa, których nie wyłapał, a na końcu usłyszał jeszcze jeden strzęp rozmowy.

– Komórka rodzinna. Niższy poziom kontroli. Osiągną dobrą cenę na rynku.

Wręczył żółte koszule mężczyźnie, który wszedł do klatki i zmusił Diega oraz Matea do ubrania się w nie.

Chwilę później mężczyźni, bezwzględni mężczyźni o złowrogim wyglądem, przeszli się po klatkach, informując wszystkich uwięzionych, co się z nimi stanie, jeśli pisną choćby słówko na temat tego, skąd przyjechali, gdy dotrą na miejsce swego przeznaczenia.

– Wszyscy, których kochacie, wszyscy członkowie waszych rodzin – a wiemy, gdzie ich znaleźć, mało tego, wielu z nich trzymamy w takich samych klatkach – zostaną zarżnięci. Wystarczy jedno słowo, a przyniesiemy wam ich głowy.

Zapytali Diega i Matea, czy chcieliby trzymać w rękach odciętą głowę swojej *abuela*.

Mateo się rozplakał, ale natychmiast ucichł, ponieważ jeden z mężczyzn uderzył go w twarz.

Diego stanął między nim a chłopcem, ale mężczyzna tylko się roześmiał.

– Chcecie głowy waszej *abuela*? – powtórzył pytanie.

Diego milczał, ale pokręcił przecząco głową. Wtedy mężczyzna ruszył dalej.

Podobna wymiana zdań stała się udziałem wszystkich pozostałych, co stanowiło dowód na to, że mężczyźni mieli wiadomości z pierwszej ręki na temat każdego z więźniów. Dlatego nie było osoby, nawet wśród starszych i silniejszych, która nie uwierzyłaby w każde ich słowo. Nikt nie puścił pary z ust. Nikomu nie przemknęło nawet przez myśl, żeby wyjawić prawdę.

Po zakończeniu obchodu kłatek Lampert powrócił do Diega. Wyjął coś z kieszeni i trzymał między prętami.

Diego przyjrzał się przedmiotowi i stwierdził, że jest to coś w rodzaju naszyjnika.

– Weź to – rozkazał Lampert.

Diego nie drgnął.

– Bierz. No już.

Kątem oka Diego dostrzegł, jak sunie w ich stronę mężczyzna z bronią w ręku wycelowaną w głowę Matea.

Diego wyciągnął rękę i wziął naszyjnik. Na końcu łańcuszka był przyczepiony płaski metalowy krążek.

– To medalik ze Świętym Krzysztofem – wyjaśnił Lampert. – Wiesz, kto to Święty Krzysztof, prawda?

Chłopak podniósł na niego wzrok i wolno pokręcił głową.

Lampert uśmiechnął się i wyjaśnił:

– Święty Krzysztof chroni dzieci przed krzywdą. Załóż to. W tej chwili.

Diego przełożył łańcuszek przez głowę i medalik spoczął na jego piersi.

– Teraz nie spotka cię żadna krzywda – rzekł Lampert, nie przestając się uśmiechać.

Winthrop parsknął śmiechem.

Lampert odwrócił się i oddalił, Winthrop za nim, nadal rechocząc.

Diego przyglądał się eleganckim ubraniom na ich wysportowanych, doskonale utrzymanych sylwetkach. Zdjął medalik i upuścił go na podłogę. A później utkwiał wzrok w srebrnym pierścionku na swoim palcu, tym z głową lwa, który dostał od swojego taty.

Lew tchnął w niego odwagę.

Chłopak zadarł brodę, powoli uniósł rękę, ułożył palce w kształt pistoletu, wycelował, oddał dwa strzały, kładąc trupem Lamperta i Winthropa. A potem strzelił jeszcze raz. I jeszcze.

75

Mecho znów rozmawiał przez telefon.

Ze swoim „przyjacielem”.

Omówili szczegóły. Ostatnie spotkanie z Chrissy Murdoch utwierdziło Mecha w przekonaniu, że realizację planu należy przyspieszyć.

„Przyjaciół” okazał zrozumienie i zgodził się być w gotowości. Ale przypomniał Mechowi o ich umowie.

Mecho odpowiedział ze zniecierpliwieniem. Będzie zrobione.

Rozłączył się i wpatrywał w podłogę swojego pokoju w hotelu Sierra.

Stęzał, gdy spod drzwi wysunęła się karteczka. Nie drgnął, zastanawiając się, czy coś albo ktoś pojawi się w ślad za nią.

Sięgnął pod łóżko i wyciągnął schowany między sprężynami materaca pistolet. Wstał, powolutku podszedł do drzwi, dotknął kartki stopą i ją do siebie przysunął. Nie spuszczając z oczu drzwi, uklęknął i podniósł kartkę. Odszedł dalej, rozłożył papier.

Jedno słowo. Jedno wymowne słowo.

„Nadchodzą”.

Mecho złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni.

Mógł pokusić się o śledzenie osoby, która go ostrzegła.

Ale postanowił inaczej.

Nadchodzą.

Dwadzieścia minut później nie słyszał ani nie widział, by ktokolwiek nadchodził.

Wyczuł to jakimś innym zmysłem niż wzrok i słuch. Może powonieniem. Zapach nadchodzącej śmierci. Bywał naprawdę mocny.

Wsunął rękę pod łóżko, chwycił jeszcze dwa przedmioty, wstał, otworzył drzwi i ustawił się po lewej stronie błyskawicznym, zwinnym ruchem, który zadawał kłam jego potężnej posturze.

Jasne światło nie sprzyjało jego zamierzeniom. Wyszedł na klatkę schodową i schodził kondygnacja po kondygnacji, przystając na każdym półpiętrze.

Czekając.

Węsząc.

Wykorzystywał zdolności, których większość ludzi nigdy w sobie nie odkryje.

Kiedy jednak żyje się tak, jak żył Mecho, ujawniają się same.

Przynajmniej u tych, którzy ocaleli.

Wyszedł z budynku drzwiami na parterze i skierował się na zachód.

Ci ludzie byli sprytni.

Nie dlatego, że znaleźli go w hotelu Sierra. To nie wymagało żadnych umiejętności.

Nie, byli sprytni, ponieważ szli za nim z hotelu aż tutaj. Nawet w tej chwili wyczuwał ich kroki. Jedna grupa z lewej strony, druga z prawej.

Wsunął za pas nóż myśliwski, a potem nakręcił tłumik na lufę pistoletu.

Szedł dalej, pokonując trasę zygzakiem i coraz bardziej zbliżając się do wody.

Boczne ulice wyglądały na opustoszałe. Nie szwendali się nawet *dueños*. Zastanowił się chwilę. I doszedł do wniosku, że być może

ich ostrzeżono, by tej nocy trzymali się z dala.

Dueños uważają się za twardzieli, póki nie trafią na naprawdę groźnego przeciwnika. Wtedy te nieustraszone oprychy rozpierzchają się i czmychają do ciemnych kryjówek, w których chowają się jak myszy w norach.

Mecho nigdy nie był i nie będzie taką myszą.

Posuwał się naprzód, instynktownie klucząc, lecz nieuchronnie zmierzając w stronę oceanu, w stronę zatoki.

To woda przyniosła go tutaj z niewoli, choć ostatnią część podróży przepłynął już jako wolny człowiek, który walczy o życie.

Tej nocy powróci do tego azylu.

I albo woda stanie się dla niego ostatnim miejscem spoczynku, albo po prostu kolejnym wybojem na usianej nimi drodze życia. Czasem wszystko, co człowiek jest w stanie zrobić, okazuje się niewystarczające. Raz kozie śmierć. Nigdy niczego nie pożałował. Przynajmniej gdy stawką było ocalenie.

Minął nocnych maruderów, zbyt pijanych, by zauważyli, że niesie pistolet. Skręcił w jeszcze jedną ulicę i rozpostarła się przed nim otchłań oceanu.

Ustronne miejsce.

Egipskie ciemności.

Dookoła nie było nikogo, kto mógłby coś zaobserwować albo ucierpieć wskutek rozwoju wypadków.

Nadchodził przypływ.

Przypływ często okazywał się przydatny.

Przyspieszył kroku.

Po kilku sekundach wsiadł na skuter, który ukrył za kontenerem na śmieci, i pomknął po piasku.

To zaskoczyło śledzących go mężczyzn.

O to mu chodziło. Jego kolejnym krokiem było odciągnięcie ich od miasta, z dala od ludzkich oczu, tych trzeźwych i tych pijanych.

Po trzech kilometrach znalazł się daleko od czyichkolwiek oczu z wyjątkiem oczu tych, którzy go ścigali. Nie jechał wystarczająco szybko, by ich zgubić. Jego myślenie było proste. Może wziąć byka za rogi teraz albo zmierzyć się z tym później.

Lepiej mieć to za sobą.

Mecho szacował, że przyjdzie mu stawić czoła sześciu ludziom.

Wyszkolonym, uzbrojonym, przebiegłym, ostrożnym, ale posiadającym również wystarczające umiejętności prowadzenia walki wręcz, by umieć ocenić nieustannie zmieniającą się sytuację na polu walki.

Widział przed sobą wydmy. Zostawił skuter i dalej ruszył pieszo. Minutę później obszedł wąski przesmyk między dwiema wydmami. Od frontu chroniło go teraz coś w rodzaju ciasnej wyrwy, przez którą jego prześladowcy będą musieli się wdrzeć. Na tyle ciasnej, że może ją pokonać tylko jeden człowiek na raz. Klasyczny manewr obronny. Taki sam, jaki zastosowali Spartanie, żeby odeprzeć znacznie liczniejszą armię perską i uniknąć zagłady. Od tamtej pory uczono tej taktyki w akademiach wojskowych.

Jeżeli przeciwnik dysponuje dużo większymi siłami, zrób wszystko, żeby maksymalnie utrudnić mu ich wykorzystanie.

Mecho wiedział, że może dojść do takiej konfrontacji, dlatego zaraz po przybyciu do Paradise poszukiwał miejsca, w którym mógłby uzyskać taktyczną przewagę. Znalazłszy je, poświęcił nieco czasu na pewne modyfikacje – z nadzieją, że zadziałają na jego korzyść.

Tworzące wydmy pokłady piasku były wystarczająco grube, by nie przepuścić żadnej amunicji, chyba że zaatakowałiby pociskami odpalanymi z ramienia, wątpił jednak, by tak się stało.

Mecho miał teraz tylko dwa zmartwienia.

Po pierwsze: tyły.

Po drugie: pojawienie się w przesmyku czegoś innego niż człowiek.

Następne podjęte przez niego kroki miały rozwiązać oba te problemy za jednym zamachem.

Ścigający Mecha mężczyźni ustawili się półkolem w klasycznej formacji ataku. Przy liczebnej przewadze sześciu na jednego sukces powinien być murowany w starciu z właściwie każdym przeciwnikiem.

Przesmyk między wydrami znajdował się na wprost.

Wąskie gardło. Tamci już je widzieli.

Jeden wlot i jeden wylot.

Żaden z nich nie miał ani zamiaru, ani ochoty przedzierać się przez tę szczelinę – zdawali sobie sprawę, że Mecho tylko czeka, żeby ich po kolei powystrzelać.

Przyszli przygotowani na taki scenariusz.

Pierwszy zbliżył się, zachowując bezpieczną odległość od przesmyku. Wyciągnął z kieszeni metalowy przedmiot w kształcie pięści, odbezpieczył i wrzucił w szczelinę.

Nie był to typowy granat, ale coś równie skutecznego.

Odwrócił się i choć miał zatyczki w uszach, dodatkowo ochronił je dłońmi.

Nastąpił wybuch. Błysk i huk.

Oślepiające światło, paralizujący hałas.

I niszczycielska siła.

Ktokolwiek znalazłby się pomiędzy wydrami, zostałby unieruchomiony, stałby się łatwym celem.

W przesmyku zaroilo się od mężczyzn. Wzbity w powietrze piasek kłębił się wszędzie dookoła. Mieli broń wycelowaną w sparaliżowanego człowieka, który powinien leżeć tam na piaszczystym podłożu.

Nawet nie zdążyłby się zorientować.

Przeźren między wydmami wynosiła ledwie dziesięć metrów kwadratowych. Powstała wskutek erozji oraz różnic w poziomie spoistości piasku. Mężczyźni stłoczyli się w szczelinie, ale nikogo ogłuszonego i powalonego na ziemię nie zobaczyli.

Dowodzący oddziałem dostrzegł natomiast widoczny teraz sznur z węzłami zwisający pośrodku przesmyku. Zadarł głowę. Sznur był przymocowany do grubej gałęzi drzewa sześć metrów wyżej.

Przed wtargnięciem tutaj żaden z nich nie patrzył w górę. Skupili się na wylocie szczeliny.

To, co znajdowało się na górze, właśnie spadało.

Mecho runął na dwóch mężczyzn, łamiąc im karki i zapewniając sobie miękkie lądowanie.

Trzeci z nich upadł z rozprutym nożem brzuchem. Krew z rozciętych wnętrzości lała się na ciała dwóch pierwszych ofiar.

Numer cztery dostał dwie kule w twarz z pistoletu Mecha.

Numer pięć próbował uciekać.

Wielkie ramię zaciśnięte wokół szyi przerwało tę próbę odwrotu. Trzask łamanego kręgosłupa poprzedził zwalenie się ciała na piaszczysty grunt.

Ale numerowi sześć się poszczęściło.

Mecho potknął się o numer pięć, którego nogi odruchowo kopały powietrze w spazmach agonii.

Szósty wziął Mecha na muszkę swojego MP5. Przełącznik rodzaju ognia ustawiony na tryb ciągły, trzydzieści strzałów

w ciągu najwyżej dwóch sekund.

Nie do przeżycia.

Pistolet i nóż przeciw takiej broni są bezużyteczne.

Mecho patrzył na Szóstkę.

Szóstka patrzyła na Mecha.

Triumfalny uśmiech, palec na spuście, pełna gotowość do zakończenia zadania.

Mechowi pozostała milisekunda życia i nie mógł z tym zrobić absolutnie nic.

Huknął pojedynczy strzał.

Ale kula nie wyszła z lufy MP5.

W czole Szóstki zrobiła się dziura. MP5 nie miał szansy zabić, gdyż jego właściciel właśnie wyzionął ducha.

Numer sześć runął na piasek głową w przód. Mózg rozprysnął się na ścianie wydmy za jego plecami, ponieważ strzał padł z przodu, gdzieś zza Mecha.

Mecho błyskawicznie się odwrócił, z gotowym do użycia pistoletem oraz nożem.

Stała tam Chrissy Murdoch. Tym razem nie była ubrana w Chanel ani Hermès. Ani w bikini.

Od stóp do głów w czerni. Miała ciemne smugi pod oczami i nad szczupłymi, wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Jej oczy wyglądały teraz zupełnie inaczej niż oczy rozpieszczanej kobiety odpoczywającej nad basenem w posiadłości Petera Lamperta.

Były zimne, ciemne, surowe.

Podobne do oczu Mecha.

Trzymała pistolet. Wymierzony w jego serce.

Ona patrzyła na niego, on na nią.

Schowała broń do kabury i powiedziała:

– Musimy pozbyć się ciała. Mam łódź. Do roboty.

Gdy podeszła bliżej, by wykonać swój zamiar, Mecho nie był w stanie się poruszyć.

Z wysiłkiem próbowała podnieść jednego z mężczyzn.

Mecho nadal stał jak wryty.

Posłała mu karcące spojrzenie.

– Powiedziałam: do roboty.

– Ty mnie ostrzegłeś?

– A ktoś by inny? – warknęła.

Odłożył nóż oraz pistolet i włączył się do działania.

76

Puller wyłonił się zza drzewa i w goglach noktowizyjnych omiół wzrokiem całą okolicę. Punkt obserwacyjny wybrał z taką samą starannością jak na polu walki. Dawał mu maksymalne pole widzenia przy minimalnym narażaniu się na niepożądane spojrzenia.

Carson popijała wodę z butelki i mu się przyglądała. Było gorąco, parno, zapach siarki przyprawiał o mdłości.

Poza tym dochodziła druga w nocy, a oni sterczeli tam już od trzech godzin.

Puller usiadł obok niej.

– Widzisz coś? – zapytała cicho.

Pokręcił głową, nie przestając lustrować terenu.

– Jak długo będziemy czekać?

Spojrzał na nią.

– Do skutku, pani generał. Te rzeczy nie przebiegają według harmonogramu.

– Więc całą noc?

– Zwijamy się o świcie. Nie będą niczego robić za dnia, nawet w tak odludnym miejscu.

– Jak myślisz, co to jest?

Wzruszył ramionami, oparł się o drzewo, ale pozostał czujny, gotowy wkroczyć do akcji w jednej sekundzie, gdyby zaszła potrzeba.

– Narkotyki. Broń. Kolumbijczycy stracili szlak przemytu

narkotyków na rzecz Meksykanów. Ale na wodach zatoki wciąż roi się od handlarzy.

– W takim razie może zrobić się naprawdę niebezpiecznie. I okazać się, że mamy za małą siłę ognia.

– To tylko ekspedycja zwiadowcza. Nie czynny udział w walce. Przekażemy odpowiednim władzom wszystko, czego się dowiemy.

– W kwestii czynnego udziału możemy nie mieć wyboru. Jeśli nas zauważą.

– Ryzyko na polu bitwy.

– Na amerykańskiej ziemi wcale nie mniejsze. W akademii wojskowej tego nas nie uczyli.

– Może powinni.

– Tak, może powinni. Poruszę ten temat z właściwymi osobami. Pod warunkiem, że przeżyję te eskapady w twoim towarzystwie.

Umilkli. Wreszcie Carson przerwała ciszę.

– Coś jeszcze chodzi ci po głowie?

Puller na nią nie patrzył. Rzeczywiście chodziło mu coś jeszcze po głowie. Kontynuował badanie tropu, na który naprowadził go rzut oka na zegarek przed kryjówką Grifa Masona. Wszystko, co odkrył, jedynie umocniło go w podejrzeniach. Nie zasmuciło, lecz rozzłościło. Musi przekierować tę złość na efektywne działanie. Tylko czekał na okazję.

– Kłębiamy mi się różne myśli.

Carson chciała coś powiedzieć, lecz Puller uciszył ją gestem ręki.

– Nie wstawaj! – syknął.

Po kilku sekundach Carson usłyszała to, co czujniejsze zmysły Pullera zdążyły już zarejestrować.

Szutrową drogą osłoniętą rzędem drzew toczyła się ciężarówka. Skręciła i powoli sunęła w stronę wody. Zjechała na mały placyk

parkingowy, gdzie kierowca zgasił silnik. Wsiadło z niej kilku mężczyzn, a Puller i Carson przykucnęli w swoim punkcie obserwacyjnym.

Puller podniósł palec, sygnalizując, że od tej pory będą porozumiewać się wyłącznie niewerbalnie. Ze zrozumieniem kiwnęła głową.

Położywszy się na brzuchu, Puller zwiększył moc noktowizora i wycelował gogle w ciężarówkę, która stała około stu metrów od ich pozycji.

Początkowo sądził, że wyjedzie jej na spotkanie inna ciężarówka, ale nie miałyby to sensu. Dwie ciężarówki w miejscu tajnych spotkań?... Nielogiczne. Gdyby korzystali z transportu drogowego, wynajęliby magazyn i w spokoju dokonywali transferów.

Jedynym powodem obecności ciężarówki w takim miejscu była spodziewana dostawa od strony wody.

Po chwili potwierdziła się trafność dedukcji Pullera.

Silnik łodzi pracował umiarkowanie głośno, ale woda doskonale przewodzi dźwięk. Łódź płynęła szybko, a po trzydziestu sekundach Puller dostrzegł jej zarys i niemal natychmiast rozpoznał, że to ponton hybrydowy. Rangerzy używali pontonów motorowych tego samego typu.

Gdy łódź przybliżyła się do brzegu, Puller zauważył dużą liczbę osób na pokładzie. Zbyt dużą jak na tak małą powierzchnię.

Carson dotknęła jego ramienia. Popatrzył na nią, zobaczył, że wskazuje na łąd. Skierował wzrok w tamtą stronę i ujrzał mężczyzn z ciężarówki zmierzających w kierunku plaży.

W tym momencie oddałby wszystko za kamerę noktowizyjną, żeby móc nagrać to, co za chwilę się wydarzy.

Ludzi wyciągano z łodzi na brzeg. Widział, że są związani i mają zaklejone taśmą usta.

Byli ubrani w różnobarwne koszule.

Puller poprawił gogle i rozróżnił kolory: zielony, czerwony oraz niebieski.

Poczuł delikatny uścisk. Odwrócił głowę i ujrzał Carson spoglądającą ponad jego ramieniem. Popatrzyła na niego. Pokręcił głową i powrócił do obserwacji tego, co działo się na plaży.

Ludzi zaganiano do ciężarówki, której pilnowało dwóch mężczyzn.

Puller ponownie przeniósł uwagę na plażę. Ponton zniknął, ale zbliżał się kolejny. Powtórzył się ten sam scenariusz.

Do brzegu dobiła trzecia łódź, wypuła pasażerów i odpłynęła.

Potem czwarta. I znów to samo.

Gdy oddalił się ostatni ponton, zamknięto drzwi ciężarówki, a trzech mężczyzn wsiedli do szoferki.

– Co robimy? – zapytała Carson.

Puller zastanawiał się nad tym samym.

Co robimy?

– Musimy natychmiast powiadomić policję – nalegała Carson.

Ale Puller pokręcił głową.

– Nie.

Spojrzała na niego w osłupieniu.

– Nie? Oszalałeś? Puller, ci ludzie są więzieni.

– Tak, widzę.

– Więc zawiadamiamy policję.

– Jeszcze nie teraz.

– A kiedy, twoim zdaniem, będzie bardziej odpowiednia pora?

Puller patrzył za odjeżdżającą powoli ciężarówką.

– Chodźmy – rzucił.

Puller trzymał się jak najdalej za ciężarówką, ale pilnował, by nie stracić jej z oczu.

Trudne zadanie. Reflektory z tyłu o tej nocnej porze bez wątpienia wzbudziłyby w mężczyznach z ciężarówki podejrzenia.

Carson na przemian patrzyła na tylne światła ciężarówki i piorunowała Pullera wzrokiem.

– Nadal nie rozumiem tej taktyki, Puller. Jeśli nie zawiadomisz o czymś takim policji, to co dalej?

Nie odpowiedział. Nie spuszczał wzroku z pojazdu, który jechał krętą drogą osłoniętą z obu stron gęstymi drzewami. Jakby byli w lesie. Nic nie wskazywało na bliskość oceanu – z wyjątkiem dolatującego od czasu do czasu zapachu morskiej wody.

W końcu przerwał milczenie.

– Dobrze wybrane miejsce i czas. Ustronna plaża, środek nocy. Przywożeni drogą wodną, wywożeni lądową.

– No i?

– Jak sądzisz, jak często się to odbywa?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Powiedzmy, że trzy lub cztery razy w tygodniu. Może codziennie.

– Albo po prostu mieliśmy szczęście.

– Nikt nie ma takiego szczęścia.

– Do czego zmierzasz?

– Może właśnie to widziała moja ciotka. Albo państwo

Storrowowie.

– Niewykluczone.

– Ciotka była porządną, prawą obywatelką. Wszystko wskazuje na to, że państwo Storrowowie również.

– To prawda, tak to wygląda.

– I myślisz, że ci starsi, porządni, uczciwi obywatele widzieli, co widzieli, i nie zgłosili tego policji?

Carson zaczęła coś mówić, ale umilkła. Po chwili podjęła myśl:

– Chodzi ci o to, że właśnie zgłosili policji i nikt nie kiwnął w tej sprawie palcem.

– Ależ kiwnął. Skończyli na cmentarzu. Wszyscy bez wyjątku.

– Sądzisz, że jest w to zamieszana policja?

– Nie rozumiem, jak można prowadzić taką operację, nawet gdyby odbywało się to tylko raz w tygodniu, i wierzyć, że nie napatoczy się policja. Wystarczy, że jeden patrolujący wybrzeże gliniarz zauważy światło łodzi albo ciężarówkę albo będzie akurat szedł plażą i zobaczy to, co widzieliśmy my.

– Nie ryzykowałiby?

– Przed chwilą widzieliśmy cztery pontony hybrydowe. One nie pływają na duże odległości. Co znaczy, że na wodach zatoki znajduje się większy statek, z którego je wypuszczają. Naliczyłem w sumie osiemdziesiąt osób, które siedzą teraz w ciężarówce. Zaangażowali w tę operację sprzęt, pieniądze i siłę roboczą. Musi to uzasadniać odpowiedni zysk.

– Jak sam mówiłeś: narkotyki, broń.

– Pani generał, to byli ludzie. Nie broń, nie narkotyki.

– Może kurierzy?

– Były też młode kobiety. A więc prostytutki. Oraz mocno zbudowani dorośli mężczyźni. Pewnie robotnicy do niewolniczej

pracy.

– Niewolnicza praca? W Ameryce?

– Dlaczego nie?

– Myślałam, że po to toczyliśmy wojnę secesyjną, żeby z tym skończyć raz na zawsze.

– To się opłaca. Zło może wrócić z całą mocą, tak jak rak karmiony świeżymi komórkami krwi.

– Cholera, Puller, naprawdę uważasz, że o to tu chodzi?

– Szlak przerzutu to szlak przerzutu. Można nim szmuglować różne towary.

– A policja?

– Jest jednym z elementów układanki. Paradise to bogata miejscowość turystyczna i nikt nie chce naruszać tego stanu rzeczy. Może płacą policji, żeby odwracała wzrok. Do diabła, może płacą całemu miastu.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Może i tak. W każdym razie ja na ich miejscu nie organizowałbym takiego procederu, ryzykując, że nawinie się policja i wszystko weźmie w łeb.

– Coś takiego musi iść z samej góry. Czyli Bullock?

– Możliwe. Zdziwiłem się, że tak szybko został moim przyjacielem.

– Ciekawe, kto tym wszystkim steruje z drugiego końca.

– Stawiam na faceta, któremu wybuchł bentley.

– Na Lamperta? Jak to wykombinowałeś?

– Sprawdziłem go. Zarobił fortunę i ją stracił. Później, jak widać, zarobił kolejną. Tylko że nie potrafiłem wybadać jak. I posuwa domową służbę. Może służące wcale nie są zatrudnione. Może ma na swojej „plantacji” niewolników.

– Okej, założmy, że to on. Po co ktoś podkładałby bombę pod jego samochód?

– Może gość, który nosi buty numer pięćdziesiąt, ma z nim jakiś zatarg.

– Buty numer pięćdziesiąt?

Puller opowiedział jej o odciskach stóp pod oknem domu dla gości.

– To ten sam facet, który ocalił mi cztery litery. Nie sądzę, by zrobił to z życzliwości. Zresztą niewykluczone, że teraz żałuje. Ale być może to on chce się dobrać Lampertowi do skóry. Pracuje w ekipie ogrodniczej. Chętnie się założę, że akurat w posiadłości Lamperta.

– O co miałyby z nim na pieńku?

– Nie mam pojęcia. Może źle kombinuję. Ale rzadko spotyka się faceta o takiej posturze i takich umiejętnościach. I jakoś trudno mi uwierzyć, że przyjechał tu kosić trawę.

– Co robimy z tą wiedzą? Powiadamy wojsko? DEA? Straż graniczną?

– Musimy wiedzieć więcej. Jeśli zaczniemy coś przebąkiwać, a tamci mają swoje wtyczki, nigdy nie zdobędziemy dowodów potrzebnych do ich przyskrzynienia. Ulotnią się i już nie wrócą.

– Gdybyśmy się dowiedzieli, dokąd zmierza ciężarówka, moglibyśmy zdobyć wszystkie niezbędne dowody.

Puller nagle wcisnął gaz i tahoe przyspieszyło.

– Co ty wyprawiasz?! – wykrzyknęła Carson. – Zobaczą nas.

– Już nas zobaczyli.

– Co?

– Za nami dwa wozy. Zbliżają się jak brygada pancerna atakująca łatwy cel.

Obejrzała się za siebie i zobaczyła dwa snopy bliźniaczych świateł poruszające się o wiele za szybko.

– Niech to szlag!

Carson wyciągnęła pistolet.

Puller pokręcił głową.

– Nieskuteczny z tej pozycji taktycznej i przy takim zasięgu. Weź mój karabin. Otworzę tylne drzwi. Zajmij pozycję. Ustabilizuj broń na klapie. – Znów spojrział w lusterko wsteczne. – Szacuję odległość na pięćdziesiąt metrów. Celuj w szybę i chłodnicę.

Carson już gramoliła się na tył.

– Przyjęłam.

Otworzył drzwi, ona ustawiła się na pozycji, opierając karabin na klapie, lecz nagle zamarła.

– Puller, a jeśli to policja albo FBI?

Kula roztrzaskała tylną szybę, obsypując Carson odłamkami szkła.

– Nie sądzę. Strzelaj! Już!

Carson wpakowała pięć kul w przednią szybę i chłodnicę pierwszego pojazdu. Gwałtownie skręcił, a spod maski zaczął buchać dym.

Oddała dwa kolejne strzały. Szyba wyleciała w jednym kawałku. Carson widziała skulonego kierowcę, a potem pojazd wypadł z drogi.

– Jeden trafiony! – zawołała.

– Za wcześnie na odtrąbienie zwycięstwa – warknął Puller.

Z obłoku dymu wydobywającego się z pierwszego samochodu wyjechał pędem drugi SUV, nacierając z dużą prędkością.

Ci ludzie szli na całość.

Posypał się grad kul, z okien wychylało się dwóch strzelców.

Lewe tylne koło tahoe rozerwało się na strzępy.

– Puller! – wykrzyknęła Carson.

– Wiem.

Z trudem utrzymywał samochód na asfalcie.

Carson odpowiedziała strzałem, ale tuż potem przerwała ogień.

– Strzelaj! – warknął.

– Zaciął mi się karabin.

– Niech to szlag – zaklął Puller.

Spojrzał w lusterko. Pojazd zbliżał się szybko, uzbrojony po zęby. Oni natomiast mieli uszkodzone koło, a gdy Puller rzucił okiem na wskaźnik paliwa, zobaczył, że gwałtownie spada. Jedna z kul musiała przebić bak.

– Wylewa się nam paliwo! – zawołała Carson. – Czuję zapach.

– Trafili w bak.

Carson obejrzała się za siebie i ze strachu wytrzeszczyła oczy. SUV atakował szybko i zdecydowanie, jego maska zbliżała się do tylnego zderzaka tahoe. I nagle gwałtownie zwolnił i został w tyle.

Z początku Carson myślała, że rezygnują, potem jednak zobaczyła coś, co świadczyło, że mają wręcz przeciwne zamiary.

– Puller!

– Co?

– Oni mają RPG²⁰.

Mężczyzna wychylił się przez okno z prawej strony, celując w nich z osadzonego na barku ręcznego granatnika z napędem raketowym, podczas gdy drugi siedzący w kabinie samochodu go przytrzymywał.

Dlatego zostali w tyle. Żeby uniknąć punktu zerowego wybuchu, gdy pocisk wraz z tahoe i jego przeciekającym bakiem eksploduje kulą ognia.

Carson schyliła głowę. Dobrze, że się czegoś trzymała, ponieważ Puller, który obserwował rozwój sytuacji w lusterku, gwałtownie odbił kierownicę w lewo. Dokładnie w momencie odpalenia pocisku.

Chevrolet cały się zatrząsł, a następnie zareagował na skręt kierownicy.

Granat minął ich z prawej strony, uderzył w rząd drzew i eksplodował.

Carson przeturlała się przez kabinę samochodu, który wpadł w poślizg i zjechał z drogi na pobocze. Tylne drzwi tahoe urwały się, wielka ręka chwyciła Carson pod ramię i wyciągnęła ją z chevroleta.

W następnej sekundzie Carson i Puller gnali ile sił w nogach, by ujść z życiem.

Mieli przy sobie dwa pistolety oraz zablokowany karabin.

Puller schronił się z Carson za wydumą. Kryjówka nie była idealna, ale innej nie potrzebowali. Spojrzeli na siebie znacząco, ponieważ usłyszeli ludzi biegnących najprawdopodobniej w ich kierunku.

– Ciężkie położenie – rzekła Carson.

Puller skontrolował pistolety.

– Oboje bywaliśmy w cięższych. Jeszcze nas nie namierzyli. Trochę to potrwa.

– W końcu namierzą.

– Tak, namierzą.

– Mają przewagę liczebną i zbrojną.

– Jesteśmy na przegranej pozycji, to jasne.

– Nie szkodzi. Wystarczy trochę pogłówkować, by znaleźć się na szczycie łańcucha pokarmowego.

– Podoba mi się twoja pewność siebie.

Zerknęła na swój telefon.

– Nie mogę wezwać kawalerii. Brak zasięgu.

– Wiem. Sprawdziłem już na swoim.

Przykucnął, rozejrzał się dokoła.

– Przydałby się wyżej położony teren.

– Żołnierze zawsze chcą być wyżej.

Zmierzył ją wzrokiem, oceniając, czy może zadać pytanie, które miał na końcu języka.

– Przeszkadza ci przyjmowanie rozkazów od szeregowego żołnierza?

Zdobyła się na uśmiech.

– W tych okolicznościach tak. I będę się upierać. Zbyt długo siedziałam za biurkiem. Twoje buty wojskowe mają na sobie świeższy pył.

Starł kroplę potu znad oka.

– Myślisz, że dasz radę sama utrzymać się na pozycji?

W odpowiedzi wspięła się na wydnię, zlustrowała plażę i wróciła do Pullera.

– Jeśli znów użyją granatnika, to nie. Ale jeżeli walczymy na broń ręczną, to tak. Przez jakieś dziesięć minut, gdy odpowiednio zarządzę amunicją.

– Nie potrzebuję aż tyle. I zostawiam ci oba pistolety.

Wręczył jej broń.

– Co zamierzasz? – zapytała.

– Wspiąć się wyżej.

– Jak snajper? Mnie zablokował się karabin.

Puller wyczyścił zamek, sprawdził mechanizm spustowy i orzekł, że działa.

– Myślisz, że ktoś coś słyszał? Strzały, eksplozję? Nie jesteśmy tak daleko od miasta.

– Za daleko. Poza tym huk fal robi swoje.

– Okej.

– Damy radę, pani generał.

– Bez wątplenia. Inna rzecz, że każdy żołnierz chce w to wierzyć. Powodzenia.

– Tu potrzeba czegoś więcej niż szczęścia.

Dotknęła jego ramienia.

– Liczę na to, że wrócisz, John.

– Powstrzyma mnie tylko jedno.

Carson wiedziała co.

Śmierć.

Głęboko westchnęła i kiwnęła głową.

– Okej.

Puller przewiesił karabin przez ramię, a po kilku sekundach już go nie było.

Carson zamrugła powiekami. Jakby po prostu się rozpułynał. Co w przypadku człowieka o jego posturze wymagało niemałych umiejętności.

Był przecież Rangerem, pomyślała. Oni to potrafią.

Chwycała glocka, przeładowała. Zapasową broń, czyli M11 Pullera, wsunęła za pasek na plecach, a następnie zajęła pozycję obronną w zagłębieniu, które wykopała sobie na szczycie wydmy. Starła się być jak najbardziej niewidoczna. Nie można trafić do celu, którego nie da się wziąć na muszkę.

W starciu na broń osobistą zdoła utrzymać się przez pewien czas na tym skrawku piasku. Ale później nastąpi to, co nieuchronne.

Zginie.

A jeśli tamci wystrzelą kolejny pocisk z granatnika, zostaną z niej molekuly materii organicznej.

Przeżegnała się, przyczaiła i wycelowała broń.

Puller ocenił pole walki i wybrał najwyżej położone miejsce. Wiedział, że musi działać „najpierwszej i najsilniej”²¹.

I tym samym podsumował zwycięską strategię każdej kampanii wojskowej.

Gdy przeciwnik dysponuje przewagą liczebną oraz ogniową, kluczową sprawą jest uderzyć szybko, mocno i w wielu punktach. Takie działanie powinno wywołać dezorientację, stępić impet wroga, a w sytuacji idealnej zmusić go do taktycznego odwrotu.

Pullerowi wystarczyłaby dezorientacja. Choć byłby również zadowolony, gdyby udało się ich wszystkich pozabijać.

Znalazł odpowiednie miejsce, chwiejnie wspiął się na drzewo i usadowił się w zagłębieniu utworzonym między pniem a wytrzymałą gałęzią. Osadził karabin, spojrział przez teleskop, dokonał niezbędnych korekt, by dostosować broń do wiatru, odległości od celu oraz innych czynników.

Mężczyzn było sześciu. Nadeszli w dwóch trzyosobowych grupach. Poruszali się w szyku trójkątnym, jeden na przedzie, dwóch z tyłu. Z położonego wysoko stanowiska obserwacyjnego Pullera wyglądali jak dwie sunące po piasku strzałki. Mają pewne wyszkolenie wojskowe, wywnioskował, ale nie tak duże, jak powinni. Zlustrował teren za nimi, rozglądając się za posiłkami czekającymi na sygnał wkroczenia do akcji. W hotelu Sierra popełnił błąd. Nie miał zamiaru go powtórzyć.

Żadnych rezerw – zaangażowali wszystkie siły przeciwko jednemu słabemu, jak założyli, wrogowi.

Puller przemyślał już taktykę. Ustawił się nie tylko do jednego strzału. Jak szachista rozgrywający partię szachów przygotował się do zbitia czterech. Dwóch z każdej grupy. Wtedy zostanie dwóch na dwoje, a takie proporcje podobały mu się o wiele bardziej.

Obserwował Carson przyczajoną w zagłębieniu na wydmie. Wiedział, że zauważy nadciągającego wroga. Na razie wstrzymywała ogień, czekając, aż Puller uderzy pierwszy. Będzie wiedziała, co robić potem, ponieważ tak jak on była żołnierzem. Na polu walki gwiazdki, belki i szewrony traciły na znaczeniu. Stawali się po prostu wyszkolonymi bojownikami korzystającymi z nabytych umiejętności do pokonania drugiej strony.

Zerknął na ocean i jego oczom ukazał się dziwny widok. Jakby zbliżająca się łódź. Światła nawigacyjne paliły się na zielono i czerwono, a więc zmierzała prosto do brzegu.

Może to wsparcie ze statku kotwiczącego gdzieś dalej. Jeśli tak, trzeba migiem uporać się ze starciem na plaży.

Głęboko odetchnął, ustawił swój wewnętrzny barometr na fizjologiczny poziom zero, stan optymalny dla zminimalizowania drżenia mięśni, a krzyżyk siatki celowniczej na cel numer jeden.

Pach.

Numer jeden trafiony.

Pach.

Numer dwa gryzie piach.

Puller zawczasu wiedział, co zrobi pozostała czwórka, gdy padnie pierwszych dwóch.

Rozproszyli się. Ale wedle przewidywalnego schematu.

Pach.

Numer trzy runął od jednego naboju 7,62 NATO, który wyrwał sporą dziurę w jego piersi.

Pach.

Ten zabójczy strzał padł z glocka.

Numer cztery osunął się i już się nie poruszył.

Carson opróżniała magazynek glocka, strzelając seriami na lewo i prawo. Warto było celować tylko w tych dwóch kierunkach, ponieważ zabezpieczało się w ten sposób także wszelkie ruchy z przodu i z tyłu.

Porzuciła glocka i wycelowwała z M11, ale nie oddała strzału.

Dwóch ocalałych zdążyło się skryć zarówno przed wzrokiem Carson, jak i Pullera.

Ale Puller ogólnie osiągnął to, czego sobie życzył.

Teraz pozostało dwóch na dwoje.

Jedyną niewiadomą była łódź.

Gdyby nie ona, grałby tylko na przeczekanie, pilnując tamtych dwóch, aż stracą cierpliwość i rzucą się do ucieczki.

Daleko by nie pobiegli.

Kula Pullera dosięgłaby jednego.

Kula Carson drugiego.

Ale ta cholerna łódź pruła naprzód, Puller nie mógł więc sobie pozwolić na luksus biernego czekania.

Spojrzał w dół w tym samym momencie, w którym Carson spojrzała w górę. Nie miał pojęcia, czy widzi go bez pomocy gogli, które jemu dawały przewagę, ale bez wątpienia zauważyła albo usłyszała łódź.

Zgramolił się z drzewa, lądując cicho na piasku.

Minutę później dołączył do Carson.

– Zostało dwóch – oznajmił.

– Tak, ale od strony wody nadciągają posiłki.

– Wiem. Widziałem.
– Co teraz? Ci dwaj są między nami a szosą.
– Musimy więc usunąć przeszkodę.
– Nie ma czasu na klasyczny manewr okrążający.
– Co pani sugeruje, pani generał?
– Teraz ja dowodzę?
– Wyższy rangą w gruncie rzeczy nigdy nie przestaje dowodzić. Wcześniej zdałaś się na moją ocenę sytuacji. Przejmujesz dowodzenie walkowerem.

Rozejrzała się.

– Manewr mylący, wywabienie z kryjówki i atak. Szybko i zdecydowanie.

Skinął głową na znak zgody.

– Ja zajmę się zmyłką i wywabianiem.

– Myślałam, że na odwrót. Sprawniej posługujesz się karabinem.

Pokręcił głową.

– Jesteśmy na tyle blisko, że wystarczą pistolety. A wiem, że nie wychodzisz z wprawy.

– Skąd?

– Ubiegasz się o drugą gwiazdkę. Nie pozwoliłabyś sobie na wyłożenie się na czymś tak banalnym.

– Trafiam cholernie celnie z krótkiej broni palnej na odległość poniżej dwudziestu pięciu metrów.

– W takim razie obaj znajdują się w twojej strefie komfortu.

– Ten, kto odwraca uwagę, będzie pod ostrzałem.

– Na to liczę.

Przyjrzała mu się.

– W Iraku i Afganistanie też tak ochoczo zgłaszałeś się do

wszystkich niebezpiecznych zadań?

– Tam nie było bezpiecznych zadań.

Puller jeszcze raz rzucił okiem na ocean. Łódź prawie dobijała do brzegu.

– Kończy się nam czas.

– Do roboty.

Zadziało.

Niemal perfekcyjnie.

W takich okolicznościach wszystko poniżej perfekcji nastroczyłoby problemów.

Puller zajął pozycję piętnaście metrów od lewego skrzydła atakowanego obiektu, który popełnił taktyczny błąd wycofania się w to samo miejsce. Skupiło to ich siłę ognia, lecz z drugiej strony czyniło z nich łatwy cel w wymyślonej przez Carson strategii.

Carson zajęła pozycję strzelecką pięć metrów na lewo od Pullera, kładąc się na piasku i opierając M11 na twardej skorupie od dawna nieżyjącego morskiego stworzenia. Założyła gogle. Zyskała dzięki nim doskonałą widoczność pola ostrzału.

Teraz wszystko zależało od właściwie przeprowadzonego przez Pullera manewru.

I wykonał zadanie. Prawie doskonale.

Wyskoczył nagle jak spod ziemi – rozmazany blisko dwumetrowy kształt. Sadził wielkimi susami przez piasek, zygzakiem, tak jakby trawersował pole minowe.

Niemal natychmiast posypały się kule.

Puller przemyślnie wybrał trasę.

Żeby wziąć go na muszkę, obaj mężczyźni musieli wyłonić się z ukrycia.

Carson oddała cztery strzały. Starannie wymierzone, krótkie, obliczone na starcie z bliskiej odległości oraz maksymalne zniszczenie.

Pierwsze dwa trafiły jednego z mężczyzn w tors. Dwa kolejne trafiły drugiego w te same miejsca.

Podwójnie trafieni upadli na piasek.

Ale Puller upadł również.

80

– John!

Carson rzuciła się do biegu.

W kilka sekund znalazła się przy Pullerze. Zdążył już wstać na jedno kolano.

– Gdzie? – zapytała jak automat.

– Lewy bok. Weszła i wyszła – odpowiedział. – Myślę, że to ten pierwszy. Bez wątpienia umie korzystać z siatki celowniczej.

– Sprawdźmy, czy wyszła.

Podciągnęła Pullerowi koszulę, poszukała miejsc wlotu oraz wylotu kuli i znalazła oba.

– Mocno krwawisz.

– Przeżyję.

– Trzeba zawieźć cię do szpitala.

– Z tym nie polemizuję. W torbie w samochodzie mam jakieś środki opatrunkowe. Opatrzę się.

– Ja mogę to zrobić, Puller.

Spojrzał ponad jej ramieniem.

– Dobra, ale na razie trzymaj się przy ziemi, przygotuj broń i się odwróć.

Wzdrygnęła się, ale trwało to ułamek sekundy.

– Łódź?

– Łódź – potwierdził.

– Cholera.

Odwróciła się i zobaczyła to, co Puller zauważył chwilę przed

nią.

Łódź została wyciągnięta na brzeg. W środku nie było nikogo.

– Zdaje się, że przeciwnik już rozlokował siły.

– To nie jest ponton hybrydowy. Ludzi powinno być mniej.

– Więcej niż dwóch i już mamy problem. Nie dysponujemy pełną siłą.

– Dasz radę? – zapytała.

– To nie pierwszy postrzał w moim życiu.

– Wiem.

Puller zdjął koszulę i owinął się nią w pasie, próbując zatamować krwawienie. Chwycił za karabin i wstał.

– Ile masz nabojów w M11? – zapytał.

– Dziesięć. A ty?

– Pięć i wypadam z gry.

– Jak chcesz to zrobić?

– Zlokalizować i zniszczyć. Ja pójdę w lewo, ty w prawo. Gdy zobaczysz, że strzelam, strzelasz do tego samego celu co ja. I *vice versa*.

– Ostrożnie zarządzajmy amunicją.

– Musimy zabić, ilu się da i kiedy się da, pani generał. Później zostaje nam walka wręcz.

– Oberwiesz jeszcze raz w tę ranę i po tobie.

Odwrócił się do niej i cicho rzekł:

– Wytrzymam więcej niż jeden raz.

Otworzyła usta, obrzuciła wzrokiem zakrwawioną koszulę i nic nie powiedziawszy, spuściła wzrok.

Rozdzielili się. Carson ruszyła w kierunku oceanu, Puller w przeciwnym. Oddaleni od siebie o piętnaście metrów, ukradkiem

posuwali się naprzód, rozglądając się na wszystkie strony, z boku na bok, z dołu do góry.

Puller zatrzymał się, kiedy poczuł znajomy zapach.

Siarka.

Z jego prawej strony, czyli z lewej strony Carson. Są blisko. Wiatr przywiał do jego nozdrzy smród, którym przesiąkły ich ubrania.

I wtedy uzmysłowił sobie, co to oznacza. On i Carson noszą na sobie ten sam odór siarki. Zmienił się kierunek wiatru, ich zapach poniósł się w przeciwną stronę.

– Padnij! – ryknął, gdy nad ich głowami świsnęły kule.

Przywarł do piasku, ale nie odpowiedział ogniem. Nie widział celu, a dysponując jedynie pięcioma nabojami, nie mógł żadnego zmarnować.

Miał tylko nadzieję, że Carson usłyszała w porę jego ostrzeżenie.

Czekał, tętno łomotało mu w uszach.

Chciał zawołać do Carson, to jednak byłoby przeciwnie. I tak, wydając ostrzegawczy okrzyk, dał już znać drugiej stronie, że mają do czynienia z więcej niż jedną osobą.

Patrzył przed siebie, omiatając wzrokiem teren kratka po kratce. Carson miała gogle. Będzie w stanie dostrzec rzeczy, których on nie może zobaczyć.

Postanowił kopiować jej ruchy.

Obejrzał się na Carson, która czołgała się przed siebie na brzuchu. Odgłos fal zagłuszał wszystko inne.

Zaczął ją naśladować. Ona przyspieszyła. Puller z raną postrzałową musiał się nieźle nagimnastykować, chcąc dotrzymać jej tempa. Nagle przyszło mu do głowy, że ona chce go wyprzedzić i przyjąć na siebie atak lub kontratak, zanim jego dosięgnie

niebezpieczeństwo.

– Chrzanić to – mruknął i podwoił wysiłki.

Akcja zakończyła się kilka sekund później. Carson zerwała się na równe nogi i wycelowała broń.

Puller dogonił ją w ułamku sekundy i poszedł za jej przykładem. Zlokalizował cel i wziął go na muszkę.

Jedna lufa była wymierzona w Carson.

Druga lufa była wymierzona w Pullera.

Puller stał twarzą w twarz z Mechem.

Carson miała przed sobą Chrissy Murdoch.

Mecho i Puller rozpoznali się nawzajem w tym samym momencie.

Carson i Murdoch nie miały tej przewagi.

– Kim jesteś, do cholery? – zapytał Puller.

Mecho patrzył na niego, trzymając palec milimetr od spustu.

Murdoch nie spuszczała Carson z oka. Lufy ich pistoletów dzieliła odległość niecałych dwóch metrów.

– A kim ty jesteś, do cholery? – zapytała Murdoch.

– Generał brygady Julie Carson, Armia Stanów Zjednoczonych.

– Agent specjalny John Puller, Wojskowy Wydział Śledczy, Armia Stanów Zjednoczonych.

Mecho nie odrywał oczu od Pullera.

Puller nie odrywał oczu od Mecha.

– A więc? Kim jesteś? – zapytał.

Mecho wciąż milczał. Puller otaksował wzrokiem Murdoch.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnio, nazywałaś się Christine Murdoch i siedziałaś ubrana w szlafrok w rezydencji Lamperta.

– To mój pseudonim. Prawdziwe nazwisko brzmi Claudia Diaz,

porucznik Kolumbijskiej Policji Narodowej. Zostałam przydzielona do grupy operacyjnej współpracującej z waszymi służbami.

– W jakim celu?

– Przeciwdziałania niewolnictwu. Mamy pełnomocnictwo waszego Departamentu Stanu.

– A on? – spytał Puller, wskazując na Mecha.

– On mi pomaga.

– Nie wygląda mi na Kolumbijczyka.

– Ponieważ nie jestem Kolumbijczykiem – warknął Mecho.

– Uratowałeś mi dupsko tamtej nocy. Dlaczego?

– Nie podobał mi się brak równowagi sił. Zbyt wielu na jednego.

– Wiedziałaś, kim jestem?

Mecho zaprzeczył.

– Dlaczego jej pomagasz?

– To moja sprawa – odparł Mecho.

– Może wszyscy pokażemy jakieś dowody tożsamości? – zaproponowała Carson.

Puller, Carson i Diaz wyjęli odznaki.

Mecho nie wyjął nic.

– Skąd pochodzisz? – ciągnął Puller.

– Nie stąd – padła odpowiedź.

– Okropnie utrudniasz sprawy.

– Nie mój problem.

– Zaatakowało nas sześciu handlarzy niewolników – rzekła Diaz.

– Zdaje się, że wszędzie ich pełno – powiedziała Carson. – Bo nas też.

– I, jak widać, udało się wam wyjść cało z opresji – zauważyła Diaz.

– Podobnie jak wam – odparła Carson.

– Zataszczyliśmy ciała do oceanu. Sugerowałabym wam zrobić to samo.

– Po co?

– Dla zatarcia śladów. Żeby nie wymknęły się nam grube ryby.

– Obawiam się, że już się to stało – rzekł Puller. – Ciężarówka z ludźmi odjechała.

– Niech to szlag! – zaklęła Diaz i jako pierwsza schowała broń.

Carson poszła w jej ślady.

Dwaj mężczyźni ani drgnęli. Nadal stali z bronią wycelowaną w siebie nawzajem.

– Zluzuj, Mecho – poprosiła Diaz. – Przecież nie są z tamtymi.

– Puller, opuść broń – poleciła Carson.

– Pieprzę to! Najpierw on!

– To samo – odburknął Mecho.

Carson i Diaz spojrzały na siebie z wyrazem zniecierpliwienia na twarzach.

– Faceci – parsknęła Diaz. – Mają za dużo...

– Testosteronu – dokończyła Carson. – Więc jak? – dodała, a Diaz tylko skinęła głową.

Podeszły do mężczyzn i stanęły pomiędzy lufami ich pistoletów.

– No już – zażądały jednym głosem.

Mając przesłonięte cele, Puller i Mecho powoli opuścili broń.

Diaz popatrzyła na Pullera.

– Postrzelili cię!

– Tak, już się zorientowałem. Musicie wprowadzić nas w sytuację.

– Nie mamy za dużo czasu. Skoro ciężarówka odjechała, wiedzą,

co się stało. Wycofają się ze wszystkich operacji. A my stracimy wszelkie potencjalne dowody – zauważyła Diaz.

Puller łypnął na Mecha.

– A więc nie marnujemy czasu. Mam nadzieję, że potrafisz zmienić koło, olbrzymie.

81

Kiedy Mecho zmieniał koło w tahoe i zaślepiął dziurę w baku, Carson i Diaz opatrywały rany Pullera.

– Nadal potrzebujesz fachowej pomocy medycznej, Puller – stwierdziła Carson.

– Ona ma rację – wtrąciła Diaz.

Puller włożył koszulę i popatrzył na każdą z osobna.

– Okej, najpierw dorwiemy bandziorów, a potem pojedę się poszyszać. Umowa stoi? – Obejrzał się na Mecha. – Gotowe?

Mecho dokręcił ostatnią śrubę i wstał, trzymając w wielkim łąpsku łyżkę do opon.

– Ja poprowadzę.

– Nie. Ja – oznajmił Puller. – Ty wskażesz drogę.

Kobiety usiadły z tyłu i zajęły się czyszczeniem oraz przeładowywaniem całej broni.

Mecho zajął miejsce obok Pullera i podał wskazówki dojazdu do magazynu.

– Dasz radę walczyć z tą raną? – zapytał, nie spoglądając na Pullera.

W pytaniu nie było współczucia. Puller ani go nie oczekiwał, ani nie potrzebował. Mecho po prostu chciał znać stan fizyczny swoich towarzyszy broni. Chciał wiedzieć, czy może liczyć na Pullera, czy raczej będzie musiał działać za dwóch.

Puller chciałby wiedzieć dokładnie to samo.

– Podały mi środek przeciwbólowy. Mogę strzelać, mogę się bić,

mogę ponieść konsekwencje. Więc o mnie się nie martw. Dam sobie radę na swoim odcinku. Ty pilnuj swojego.

– A twoja kobieta? – zapytał Mecho. – Też sobie poradzi?

– A twoja? – odpowiedział pytaniem Puller.

– Zawsze jesteś taki chętny do współpracy?

– Nie wiem nawet, kim jesteś, więc tak, na więcej z mojej strony nie licz.

– Diaz stać na wiele.

– Carson też.

Przez kolejną minutę jechali w milczeniu. Jedynym odgłosem był szcęk przygotowywanej do starcia broni.

Wreszcie Mecho się odezwał:

– Nazywam się Gawrił. To moje imię. Nazwisko nic by ci nie powiedziało. Ale wołają na mnie Mecho.

– Jesteś Bułgarem.

– Skąd wiesz? – zdumiał się Mecho.

– Walczyłem z Bułgarami w Iraku. Byli świetnymi żołnierzami i mieli mocniejsze głowy niż każda inna nacja. Wygrywali nawet z Rosjanami.

Mecho się uśmiechnął.

– Dla Rosjan wódka jest złotem. A to zwykła woda z aromatem. Nawet nie daje kopa.

– Służyłeś w wojsku?

Uśmiech Mecha zgasł.

– Kiedyś tak. Potem sytuacja się zmieniła.

– Jaka sytuacja?

Żaden z nich nie zauważył, że Carson i Diaz skończyły pracę i przysłuchiwały się z uwagą ich rozmowie.

– Bułgaria nie była już wtedy podległa Związkowi Radzieckiemu. Ale pewne rzeczy się nie zmieniły. Kocham mój kraj. Piękne miejsce. Ludzie są dobrzy. Nie boją się ciężkiej pracy. Kochają swobodę. Ale to nie znaczy, że każdy nasz przywódca jest dobry i zasługuje na szacunek. Więc czasem, kiedy nie podążasz ślepo za innymi, przytrafiają ci się różne rzeczy.

– Siedziałeś w więzieniu?

Mecho spojrział na niego przenikliwie.

– Skąd ten pomysł?

– Ponieważ Sowietci uwielbiali wsadzać ludzi. Stąd ten pomysł. A Bułgaria długo była częścią tamtego świata.

– Przez pewien czas – przyznał Mecho. – Może dłużej, niż chce mi się pamiętać.

– Jak to się stało, że trafiłeś tutaj i ścigasz handlarzy ludźmi?

– Pochodzę z małej wioski na południowym zachodzie kraju. Z gór. Nazywają się Riła. Docierają tam nieliczni, jeśli w ogóle. Moja rodzina nadal tam mieszka.

– Ale obcy jednak tam dotarli?

Mecho kiwnął głową i wyjrzał przez okno, żeby nie pokazać zaszklonych od łez oczu.

– Przyjechali mężczyźni, obiecywali różne rzeczy, lepsze życie dla młodych. Edukację, pracę, same korzyści. Zabrali około trzydziestu osób. – Przerwał. – Łącznie z moją najmłodszą siostrą. Jesteśmy dużą rodziną. Ona jest ode mnie sporo młodsza. Miała zaledwie szesnaście lat, kiedy wyjechała. – Znów umilkł. – Nie, nie kiedy „wyjechała”. Kiedy ją wywieziono.

– To byli handlarze żywym towarem.

Mecho przytaknął.

– Którym się wydawało, że mała góraska wioska w Bułgarii nigdy

nie odpłaci im za wyrządzone zło. Nie było mnie tam wtedy, inaczej nigdy bym do tego nie dopuścił. Niejedno już na świecie widziałem. Ale ludzie w mojej wiosce nie. Są ufni, zbyt ufni. Gdy wróciłem i dowiedziałem się, co się wydarzyło, zacząłem szukać siostry. Oraz innych.

– Jak ma na imię? – To ciche pytanie padło z ust Carson, która położyła dłoń na wielkim ramieniu Mecha i je ścisnęła.

– Rada. To ona.

Mecho wyjął fotografię i podał ją Carson. Wzięła ją i uważnie się przyjrzała.

– Śliczna – zauważyła, a Diaz przytaknęła.

– Nie jak reszta rodziny – powiedział rzeczowo Mecho. – Oni są podobni do mnie. Wielcy i brzydcy.

– Nie jesteś brzydki, Mecho. – Gwałtownie zaprzeczyła Diaz. – Jesteś mężczyzną, który próbuje robić słuszne rzeczy. Nie ma nic bardziej atrakcyjnego.

– I trafiłeś na trop Lamperta? – zapytał Puller.

Odpowiedziała mu Diaz, a Mecho odebrał Carson fotografię Rady i wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Rozmawialiśmy o tym. Tak się składa, że wpadł na jego ślad od drugiej strony. Przez Stivena Rojasę.

– Rojas! – wykrzyknęła Carson. – Figuruje na naszej liście najbardziej poszukiwanych, ze statusem „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego”. Jest w to zamieszany?

– Odbiera towar, to jest ludzi, a później transportuje ich do tego kraju – wyjaśniała Diaz. – Tu interes przejmuje Lampert. Stworzył siatkę odbiorców. Dostarcza im ludzi. Są dzieleni na trzy główne kategorie. Najcenniejsze są prostytutki. Potem kurierzy narkotykowi. A na końcu zwykli robotnicy.

– Noszą ubrania w różnych kolorach, które wskazują, do której kategorii należą – dodał Mecho. – Widziałem to na własne oczy.

Diaz potwierdziła.

– My też widzieliśmy. Dzisiaj – wtrącił Puller.

– Mówisz, że ma odbiorców w Stanach? Kupują niewolników? – dziwiła się Carson.

– Handel niewolnikami nigdy wcześniej nie był tak lukratywny – tłumaczyła Diaz. – Ponieważ rządy dość skutecznie rozprawiają się z gangami handlarzy narkotyków i broni, niewolnicy zyskują na popularności. Potrzeba ludzi do rozprowadzania narkotyków. Potrzeba dziewczek do zdobywania klientów. Oraz ludzi do pracy na polach i w fabrykach. Jeśli nie trzeba im płacić albo płaci się im niewiele, zyski rosną.

– Przecież nie można trzymać tych ludzi pod kluczem. Prostytutek, kurierów, robotników. Dlaczego po prostu nie uciekną? Ameryka to wielki kraj – powiedział Puller. – Nietrudno natknąć się na policjanta.

– Ponieważ straszą ich, że jeśli będą próbować ucieczki albo zgłoszą się na policję, ich rodziny zginą – wyjaśnił Mecho.

– Skąd to wiesz? – zapytała Diaz, patrząc na niego z ciekawością.

– Rozmawiałem z dwoma ludźmi Lamperta. Powiedzieli mi. A jego pomoc domowa... Z tych skąpych informacji, których mi udzieliła, wywnioskowałem, że jest niewolnicą. Boi się o swoją rodzinę. Lampert wykorzystuje ją też seksualnie.

Przy tym ostatnim zdaniu spojrzenie Mecha powędrowało na Diaz, która szybko odwróciła wzrok i poczerwieniała na twarzy.

– Rozmawiałeś z dwoma ludźmi Lamperta? Czy to przypadkiem nie ci sami, którzy zatrzymali się w hotelu Plaza? – zainteresował się Puller.

Mecho milczał, co Puller uznał za wystarczającą odpowiedź.

- Więc ich zabiłeś?
- To nie byli już ludzie. To były wściekłe psy.
- Nie zmienia to faktu, że ich zabiłeś.
- Ty nigdy nie zabijałeś?
- Nigdy nie mordowałem.
- Do tego możemy powrócić później – wtrąciła Diaz.
- Mecho, wiesz coś na temat śmierci starszej pani i starszego małżeństwa? – zapytał Puller.
- Zaraz po przybyciu do Paradise widziałem, jak ktoś zabił na plaży parę starszych ludzi.
- Puller posłał mu dociekliwe spojrzenie.
- Na plaży? Widziałeś, kto ich zabił?
- Mecho pokręcił głową.
- Wiem tylko, że to była jedna osoba. Strzelała w głowę. Potem zwłoki zaciągnęła do wody. Zabrała je fala.
- I tak po prostu na to patrzyłeś?
- Nie mogłem nic zrobić. Wszystko działo się zbyt szybko.
- Okej, ciała zawleczono do wody. Więc prawdopodobnie był to mężczyzna. Wysoki, niski, biały, czarny? – dopytywała Carson.
- Niezbyt wysoki. Nie widziałem dobrze koloru skóry, ale myślę, że był biały. Szczupła sylwetka, za to bez wątpienia duża siła.
- To ty wysadziłeś bentleya – powiedział Puller.
- Mecho spojrział na niego zaintrygowany.
- Skąd wiesz?
- Masz ogromne stopy.
- Przerwała im Diaz:
- To wszystko może zaczekać. Musimy przygotować się na to, co spotka nas w najbliższych minutach.

Mecho pokiwał głową.

– Magazyn. Tam trzymają niewolników. Tam zwożą ich ciężarówkami.

– Więc powinniśmy wezwać policję – rzekła Carson.

– Nie – zaprotestowała Diaz. – Lampert i Rojas wszędzie mają swoje wtyczki. Nie możemy ufać policji.

– No to amerykańskie wojsko. Eglin jest niemal za rogiem.

– Zanim kogoś wyślą, będzie już za późno – przekonywała Diaz. Pullera uderzyła nagle pewna myśl.

– Mówisz, że to wspólna operacja służb kolumbijskich i amerykańskich. Nie współpracowałeś przypadkiem z dwoma facetami w typie wojskowym, jeżdżącymi chryslerem?

– Owszem – potwierdziła Diaz. – Opowiadali mi o swoich kontaktach z Amerykanami. Domyślam się, że mówili o tobie.

– Chyba tak. Śledzili mnie albo Betsy Simon?

– Zauważyli nocą samochód w pobliżu miejsca przerzutu niewolników. Wybadali, że należy do Simon. Potem znaleziono ją martwą. Zaczęli węszyć.

– Gdzie teraz są?

– Po przygodzie z tobą przydzielono ich gdzie indziej. Na razie nikt ich nie zastąpił.

– I bardzo dobrze – mruknął Puller.

– Okej, opisz nam rozkład magazynu – poprosiła Carson. – Jeśli nadal tam są, będziemy musieli przeprowadzić błyskawiczny silny atak.

– Uderzymy szybko i mocno – rzekł Mecho. – I zabijemy tych, których będziemy musieli zabić. – Popatrzył na Pullera. – Chyba że masz problem z mordowaniem handlarzy żywym towarem.

– Absolutnie żadnego – zapewnił Puller. – Jeśli tylko będą

próbowali zamordować mnie.

– Na to możesz liczyć – skwitował Mecho.

82

Obstawili wszystkie cztery boki magazynu. Żeby tego dokonać, musieli odpowiednio podzielić siły, uznali bowiem, że zostawienie wyrwy, przez którą ktoś mógłby uciec, jest nie do przyjęcia.

Puller zabezpieczał tył.

Mecho front.

Carson lewą stronę.

Diaz prawą.

Byli gotowi na wojnę.

Nie doczekali się.

Nie doczekali się niczego.

Magazyn był pusty.

W prowizorycznych celach nie siedział nikt.

Przeszukali budynek w dziesięć minut, a następnie zebrali się w samym jego środku.

– Działają szybko, trzeba im to przyznać – powiedział Puller.

– Ale dokąd pojechali? – zastanawiała się Carson. – Możemy postarać się o wystawienie listu gończego. Muszą transportować ich ciężarówkami.

– Autostradą jeździ w tę i w tę mnóstwo ciężarówek – zauważył Puller. – Nie da się zatrzymać do kontroli wszystkich.

Dostrzegł coś ponad ramieniem Carson i zeszywniał. Przebiegł obok niej i zatrzymał się w pewnym miejscu przy ścianie. Uklęknął i podniósł jakiś przedmiot.

Pozostali do niego dołączyli.

– Co tam masz, Puller? – zapytała Carson.

Puller pokazał.

Pierścionek. Mały srebrny pierścionek z głową lwa.

– Należy do mojego przyjaciela Diega.

– Kim jest Diego? – zapytał Mecho.

– Dzieciakiem. Mniej więcej dwunastoletnim. Ma kuzyna Matea. Pięcioletniego. Prawdopodobnie byli tu obaj. Diego pewnie zostawił pierścionek specjalnie – jako wskazówkę. To bardzo bystry chłopak.

– Pięciolatek – powiedziała Diaz. – Po co im dwunasto- i pięcioletni chłopcy?

– Prostyucja? – zasugerował Puller. – Chorych sukinsynów nie brakuje.

– Nie. Rojas jest przestępcą. I naprawdę złym człowiekiem. Ale nigdy dotąd nie brał dzieci.

– Diego nie trafił tu normalnym kanałem przerzutu. Mieszkał w Paradise. Porwali go tu, na miejscu. Razem z Mateem.

Diaz miała strapioną minę.

– O co chodzi? – zapytała Carson.

– W takim razie zrobiono to na rozkaz Lamperta, nie Rojasa.

Puller wstał i schował pierścionek do kieszeni.

– I co to oznacza?

– Na przykład że Lampert poszerza asortyment towarów bez zgody, a nawet wiedzy Rojasa.

– Poszerza w jakim kierunku?

– Terroryzmu.

– Co? – wykrzyknęła Carson.

– Tworzy się sztuczne rodziny, żeby odsunąć podejrzenia. Matka.

Ojciec. Z małymi dziećmi. Gdy ktoś podróżuje z dziećmi, instynktownie zmniejsza się wobec takich osób kontrolę bezpieczeństwa. Przecież nikt nie chce krzywdzić własnych dzieci. To sprzeczne z ludzką naturą.

– Nie na Bliskim Wschodzie – sprostował Puller. – Tam jest to na porządku dziennym.

– Tak, wiem, wykorzystują dzieci w charakterze żywych tarcz, a czasem także żywych bomb – przyznała Diaz. – Ale to nie Bliski Wschód. A ludzie, którzy używali dzieci do takich celów, nie byli ich rodzicami.

– Mówisz więc, że podróżowanie z dziećmi daje świetną osłonę – rzekł Puller. – Pomaga uniknąć zdemaskowania, a przynajmniej zaostrzonych kontroli.

– Pewnie łatwiej wtedy wjechać do kraju i z niego wyjechać – dodała Carson.

– Właśnie tak myślę – powiedziała Diaz.

Puller spojrzał na Carson.

– Powinienem był zastrzelić Lamperta, kiedy go poznałem.

– Trzeba ich znaleźć – ponagliła Diaz.

– Musieli wywieźć ich stąd ciężarówkami – mówił Puller. – Masz pojęcie, ilu ludzi mogli tu trzymać? – zwrócił się do Mecha.

Mecho rozejrzał się po pustych celach.

– Obserwowałem plażę przez dwie noce. Za każdym razem przywieźli osiemdziesięciu więźniów.

– Więc mieli sporo przewożenia – zauważył Puller.

– Prawdopodobnie zmiierzają w tej chwili w kierunku drogi międzystanowej – spekulowała Diaz.

Puller rozważał ten pomysł pod czujnym spojrzeniem Carson.

– Nie byłbym taki pewien – orzekł wreszcie.

– A gdzie indziej? – spytała Diaz. – Muszą przetransportować towar. Mają odbiorców.

– Na miejscu Lamperta, gdybym wiedział, że mój kanał przerzutowy jest zagrożony, nie dostarczyłbym towaru odbiorcom. Lampert nie mógł mieć pewności, czy nikt nie będzie śledzić transportu. A gdyby śledził, szlak przerzutu jest spalony, a przy okazji Rojas wydaje na Lamperta wyrok śmierci.

– I co wtedy? – zapytała Carson. – Co, twoim zdaniem, robi z ludźmi?

Puller spoglądał w stronę zatoki.

– Myślę, że zwraca ich nadawcy.

– Odsyła z powrotem do Kolumbii? – zapytała Diaz.

– Odsyła tam, skąd przybyli – odrzekł Puller i przeniósł wzrok na Mecha. – Jak się tu dostałeś?

– Głównie wpływ – odparł, ale Puller widział po jego minie, że mężczyzna zamierza uprzedzić następne pytanie. – Byłem jednym z wywiezionych. Trochę odciągnęło mnie to od głównego zadania. Ale uciekłem. Załoga, która mnie przywiozła, nie miała tyle szczęścia. Spóźnili się i przyplacili to życiem.

– Skąd uciekłeś? – chciała wiedzieć Diaz.

– Z platformy wiertniczej na zatoce. Oczywiście już nieczynnej. W drodze z Meksyku na Florydę przemytnicy przybijają do wielu takich platform. W ten sposób przerzucają towar.

– Nie sądziłam, że u wybrzeży Florydy istnieją takie platformy – rzekła Diaz.

– Bo jest ich tam stosunkowo niewiele – odezwała się Carson. – Zdecydowana większość znajduje się u wybrzeży Luizjany i Teksasu. Nieliczne na wysokości Alabamy. Na Florydzie od strony Atlantyku nie ma ich wcale. Praktycznie wszystkie szyby naftowe wywiercone na wodach stanowych Florydy w Zatoce

Meksykańskiej z czasem wyschły.

– W porządku – przerwał jej Puller. – Ale Mecho twierdzi, że jest tam jedna platforma, sam na niej był. Coś tu się więc nie zgadza.

– Od połowy lat osiemdziesiątych do połowy dziewięćdziesiątych firmy energetyczne odkrywały złoża gazu – ciągnęła Carson. – W odległości około czterdziestu kilometrów od brzegu. Jednak władze stanowe Florydy sprzeciwiły się jego wydobyciu i władze federalne zablokowały eksploatację złóż na początku dwudziestego pierwszego stulecia. Ale spodziewając się wydobycia gazu, platformy już zbudowano. Firmom energetycznym zwykle nakazuje się rozmontować platformy w określonym czasie. O ile pamiętam, rozgorzał wokół tego spór sądowy. A gdy wkraczają prawnicy, sprawy zaczynają się ślimaczyć.

Puller utkwiał w niej wzrok.

– Skąd tyle o tym wiesz?

– Przygotowywałam białą księgę dla departamentu obrony. Mówiłam ci, że badaliśmy różne sprawy pod kątem bezpieczeństwa narodowego. Obawiano się, że terroryści mogą wykorzystywać opuszczone platformy w celu przedostania się do naszego kraju. Sporządziłam mapę szybów naftowych w zatoce. Są ich tysiące, niektóre opuszczone, inne w trakcie demontażu albo zamiany w rafy dla morskiej flory i fauny. Zasadniczo wchodzi w grę tylko te dwie opcje.

– Czy DoD podjął jakieś działania w związku z twoim raportem?

– Nie. Raport trafił do czarnej dziury, podobnie jak większość białych ksiąg. W każdym razie nigdy nie przemknęło nam przez myśl, że tych platform mogą używać handlarze ludźmi.

– To coś jak przeciwieństwo kolei podziemnej²² w czasie wojny secesyjnej – zauważył Puller. – Przewożenie ludzi do niewoli

zamiast na wolność.

– Nam też nie przyszło do głowy, że platformy wykorzystuje się do przemytu żywego towaru – wtrąciła Diaz.

– Nic dziwnego – wtrącił się Mecho. – Tacy ludzie jak Rojas i Lampert spędzają każdą minutę swojego życia na obmyślaniu, jak być zawsze o krok do przodu. Pieniądze. Tylko na nich im zależy.

– Więc to ostatnia platforma w drodze na tutejsze wybrzeże – dedukował Puller. – Wiesz, jak do niej trafić?

– Tak sądzę – odparł Mecho. – Starłem się jak najlepiej utrwalić sobie w pamięci jej położenie.

– Może zawiadomić straż przybrzeżną? – zaproponowała Carson.
– Natychmiast wysłaliby za nimi kuter. Niemożliwe, by tamci dorównywali straży siłą ognia, bez względu na to, jak wielkimi są skurczybykami.

– Kuter to spora jednostka – zaproponował Mecho. – Zauważyliby go z dużej odległości. Zabiliby wszystkich więźniów, a sami by się ulotnili, zanim kuter miałby szansę się do nich zbliżyć. To samo z helikopterem.

– Musimy coś wymyślić – powiedziała Carson. – Nie możemy pozwolić im zwiać.

– Mała grupka. Podstęp. Nocą – wycedził Puller. – To nasza jedyna szansa.

– Jest nas tylko czworo – przypomniała Diaz.

– Mała grupka, tak jak powiedział – zauważył Mecho. – Skromna liczebnie, silna w walce.

– Nie możemy przynajmniej wezwać na pomoc lokalnych jednostek? – zapytała Carson.

– Nikomu nie ufam – odparła zdecydowanie Diaz.

– Właściwie ja też nie – przyznał Puller. – Tak czy inaczej,

zrobimy to. Tylko najpierw muszę zadzwonić.

– Zadzwonić? Do kogo? – zaciekała się Carson.

– Potrzebuję odpowiedzi na pewne pytanie. To jedyny sposób, by ją otrzymać.

Wjechali na parking przed główną komendą policji w Paradise. Było po czwartej rano, miasto pogrążyło się w ciemności i ciszy.

Tego należało się spodziewać.

Jednak policja powinna funkcjonować dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

A w budynku było ciemno.

Tego się nie spodziewali.

– Ilu mają funkcjonariuszy? – zapytała Carson.

– Najwyraźniej niezbyt wielu – odparł Puller. – Ale nigdy nie byłem tu w środku nocy.

Puller patrzył na ciemną bryłę komendy. Następnie zerknął na ulicę i w tym samym momencie zza rogu wyłoniła się para reflektorów zmierzająca w ich kierunku.

– Radiowóz – oznajmiła Carson.

– Owszem – potwierdził Puller.

Samochód wjechał na parking, zatrzymał się i wysiadła z niego Cheryl Landry. W pełnym umundurowaniu, a zatem patrolowała miasto. Wyglądała na zgrzaną i zirytowaną.

Puller otworzył drzwi i wyszedł jej na spotkanie.

– Puller? – odezwała się Landry, mrużąc oczy.

– Tak. Gdzie są wszyscy?

– Kogo masz na myśli?

Wskazał na opustoszałą komendę.

– Nikt nie pełni całodobowego dyżuru?

– Nie, teraz już nie. Cięcia budżetowe. Nawet w Paradise.
– A co ze zgłoszeniami pod dziewięćset jedenaście?
– Obsługują je inne jednostki. Ale oczywiście wysyłamy ludzi na nocne patrole. Właśnie na takim byłam. Póki nie zadzwoniłeś. Co się stało?

– Jeździsz sama? A gdzie Hooper?

– Dobre pytanie. Nie raczył zjawić się w pracy. Przyszłam o ósmej wieczorem i czekają mnie jeszcze cztery godziny dyżuru. Dlaczego chciałeś się spotkać o tej porze? Nie wyjaśniłeś przez telefon.

Puller wskazał na tahoe.

– Mam tu kilku przyjaciół. Potrzebujemy pomocy.

Landry zmierzyła wzrokiem samochód.

– Jakich przyjaciół? I o jaką pomoc chodzi?

– Gdzie Bullock?

– Dlaczego pytasz?

– Po prostu pytam.

– Domyślam się, że we własnym łóżku.

– Ilu macie ludzi w wydziale?

– Szesnastu, łącznie z Bullockiem.

– Mała jednostka.

– Mała miejscowość. Zatrudniamy jeszcze czterech administratorów i technika kryminalistyki, którego poznałeś. A teraz odpowiedz na moje pytanie. Co to za przyjaciele? I jakiej potrzebujesz pomocy?

– Paradise ma duży problem.

Popatrzyła na niego sceptycznie.

– Niby jaki?

- Znikają ludzie.
- Puller, daj spokój.
- Paradise leży na szlaku przerzutowym sprowadzanych do Stanów niewolników.

Landry zamarła, a potem wyrzuciła z siebie:

- Co?!
- Przy drodze, niedaleko stąd. Na plaży, gdzie cuchnie siarką.
- Znam ten odcinek wybrzeża. Nikt tam nawet nie zagląda.
- Mylisz się. Bywają tam ludzie.
- Nikt z Paradise, to chciałam powiedzieć.
- Więc policja nie patroluje tego miejsca?
- Leży poza granicami miasta. To ziemia niczyja pomiędzy Paradise a następną miejscowością.
- Czyli doskonale nadaje się na miejsce przerzutu.
- Masz na to dowód? Wezwijmy FBI. Natychmiast.
- Nie mamy dowodu. Dowód właśnie umyka.
- Więc co tutaj robisz?
- Potrzebna nam jeszcze jedna spluwa.

Landry kolejny raz spojrzała na samochód Pullera.

- Kto jest w środku?
- Carson. Ten duży facet, który uratował mi życie w hotelu Sierra. I jeszcze jedna osoba, za którą ręczę. Wesprzesz nas?
- Jestem na służbie. Patroluję. Nie mogę tak po prostu się zerwać i iść z wami szukać wiatru w polu.
- To nie szukanie wiatru w polu. Poza tym możesz kogoś poprosić, żeby cię zluzował.
- Puller, nie mogę.
- Nie możesz czy nie chcesz? Słuchaj, Landry, jeśli ich

dorwiemy, czeka cię świetlana przyszłość w policji.

– Odpowiada mi tak, jak jest.

– Więc pomożesz nam złapać naprawdę złych ludzi. Po to nosisz odznakę, prawda?

– Czy ma to jakiś związek z ciotką? I Storrowami?

– Myślę, że tak.

– Zabili ich handlarze ludźmi?

– Tak. Ponieważ starszycy zorientowali się, w czym rzecz.

Landry wzięła głęboki oddech.

– Dawaj, Landry. Jesteś nam do tego potrzebna. Nikogo innego bym nie poprosił.

– Najpierw zadzwonię do kilku osób, zobaczę, czy znajdę kogoś na zastępstwo.

– Spróbuj skontaktować się z Hooperem i Bullockiem.

– Dlaczego akurat z nimi?

– Ponieważ jestem pewien, że nie odbiorą.

– Z jakiego powodu?

– Po prostu zadzwoń.

Tak zrobiła, ale nikt się nie zgłosił.

Landry odłożyła komórkę.

– Poczta głosowa. Obaj pewnie śpią.

– Wątpię.

– Bo...?

– Bo tak. Po prostu.

– Chyba nie sugerujesz, że są w to jakoś zamieszani.

– Nie mamy czasu na wyjaśnienia. Jedziesz czy nie?

Landry znów głęboko westchnęła.

– Myślę, że miasto da sobie bez ciebie radę przez te kilka godzin.

- A jeśli przypłace to utratą pracy?
- Kopniesz mnie w cztery litery. A ja pomogę ci znaleźć inną robotę.

Uśmiechnęła się z rezygnacją.

- A twoja przyjaciółka? General?
- Ona też ci pomoże.
- Akurat. Nie jesteśmy w komitywie.
- Mogłabyś się zdziwić. Ruszajmy.
- A konkretnie dokąd?

Puller wskazał na zatokę.

- Tam.

84

Łódź była nieduża, a ocean wzburzony. Woda nieustannie przelewała się przez burty.

Puller kazał wszystkim umieścić broń w wodoszczelnym schowku. Mecho niechętnie oddał pistolet.

Puller nie miał mu tego za złe. Sam też nie lubił obywać się bez broni.

Stanął za sterem około siedmiometrowej motorówki, do której zaprowadziła ich Diaz. Tej samej, której użyli do pozbycia się ciał zabitych mężczyzn. Na krawędzi nadburcia nadal widać było ślady krwi.

Landry wydawała się przestraszona ich widokiem, ale pod wymownym wzrokiem Pullera nie powiedziała nic. W jej oczach pozostały jednak czujność i nieufność, gdy stojąc obok niego przy sterze, trzymała się burty podskakującej na falach łodzi.

Mecho przekazał Pullerowi ogólne wskazówki dotarcia do platformy. W ciemności nawigowali według wskazań kompasu oraz plotera GPS.

– Jesteś pewien kierunku? – zapytał Puller.

Mecho kiwnął głową, choć minę miał nietęgą.

Do Pullera podeszła Carson. Pokazała mu ekran swojego smartfona.

– Zanim odbiliśmy od brzegu, moje biuro przekazało mi lokalizację wszystkich platform w odległości osiemdziesięciu kilometrów od wybrzeży Florydy. Jedna z nich znajduje się znacznie bliżej lądu niż pozostałe. Tutaj masz współrzędne.

Puller spojrział na liczby na jej telefonie, a następnie porównał je z tymi na ploterze.

– Pamięć cię nie zawiodła – zwrócił się do Mecha. – Jest niemal dokładnie tam, gdzie wskazałeś.

Uderzyła w nich fala, więc Puller musiał wykonać ostry skręt. Popatrzył na Landry, która bacznie obserwowała piętrzącą się wodę.

– Skąd te wysokie fale? – zapytał.

– Zapomniałeś o sztormie tropikalnym Danielle? Zmierza w tym kierunku. Może osiągnąć pierwszą kategorię. Zahaczamy o krawędź frontu.

– Bosko, moment wprost idealny – mruknął pod nosem Puller.

– Przejąć ster?

– Nie trzeba.

Landry obejrzała się na Diaz.

– To ta kobieta z domu Lamperta. Murdoch, zgadza się?

– Zgadza.

– Co ona tu robi?

– Nie nazywa się Murdoch.

– A jak?

– Diaz. Jest gliną.

– FBI?

– Coś w tym rodzaju. Była wtyczką u Lamperta.

– U Lamperta? Jest w to wplątany?

– Wygląda na to, że wzbogacił się na handlu ludźmi.

– Jezu! A ta bomba pod jego samochodem?

– Niezbyt subtelne ostrzeżenie, że ktoś depta mu po piętach.

Landry ruchem głowy wskazała Diaz.

– Jej robota?

– Nie. Tego dużego.

– Dlaczego? On też jest gliną?

– Nie. W jego wypadku to sprawa bardziej osobista.

Mecho siedział na rufie i patrzył prosto przed siebie. Intensywne kołysanie łodzi zdawało się nie robić na nim absolutnie żadnego wrażenia.

Natomiast pozieleniałe na twarzach Carson i Diaz wychylały głowy za burtę.

Zauważyła to Landry i skomentowała:

– Woda to nie ich żywioł.

– Carson służy w piechocie. Przywykła do stabilnego gruntu pod nogami. A co do Diaz – nie wiem.

Motorówka niemal wywróciła się od uderzenia wielkiej fali. Wszyscy byli kompletnie przemoczeni.

Puller odzyskał kontrolę nad łodzią i uważnie przyglądał się wodzie przed sobą.

– Siadaj, Landry, i mocno się trzymaj.

Zawołał do pozostałych:

– Wszyscy zakładają kamizelki! Zanim sytuacja się poprawi, będzie naprawdę trudno.

Posłusznie wykonali polecenie, choć kamizelka Mecha okazała się o wiele za mała. Nawet nie dało się jej zapiąć, więc po prostu trzymał ją w rękach.

Puller spojrzał na niebo. Czarne jak smoła, mimo że zbliżał się świt. W świetle dziennym lepiej widziałby nadciągające fale, wołał jednak mrok. Atakowanie w biały dzień nigdy nie jest dobrym pomysłem, nawet przy przewadze liczebnej.

A tej nie mieli.

Druga strona prawdopodobnie miała przytłaczającą przewagę liczebną, a ponadto dysponowała więźniami, których natychmiast można było wykorzystać w charakterze zakładników. To, czego zamierzali dokonać, wymagało perfekcji. A na polu walki perfekcja była czymś niemal nieosiągalnym.

Zaskrzeczało zainstalowane pod rumplem radio UKF. Diaz musiała je zaprogramować tak, by włączało się przy alertach pogodowych. Puller je wyjął, wysłuchał komunikatu. Z posępną miną odłożył je na miejsce.

Carson przyczołgała się do niego na czworakach, ponieważ łodzią miały znacznie wyższe od niej fale.

– Co jest? – zapytała.

– Wydano ostrzeżenie dla małych jednostek pływających. Każą zawracać do brzegu.

– A my płyniemy w przeciwnym kierunku – skonstatowała Carson.

– Dobrze się czujesz na wodzie?

– Gdyby tak było, wstąpiłabym do marynarki.

– Gdybym mógł, odwiózłbym cię na ląd.

– Na to bym nie pozwoliła. Wojska lądowe, marynarka, piechota morska, lotnictwo. Wszyscy zjawiamy się tam, gdzie trzeba walczyć. Niezależnie od warunków.

– Przy takim nastawieniu, pani generał, zdobędzie pani co najmniej trzy gwiazdki.

– Pani generał?

– Teraz jesteśmy na służbie.

Spojrzała przed siebie.

– Jak myślisz, daleko jeszcze? Niebo zaczyna się rozjaśniać pomimo sztormu.

– Wiem. Przy tej pogodzie trudno oszacować czas podróży.

Chwilę później potężna błyskawica na krótko zamieniła noc w dzień. Po niej rozległ się ogłuszający trzask pioruna, który zatrzęsł łodzią aż po jej rdzeń z włókna szklanego.

– Ta łajba nie jest przystosowana do brania takich cięgów – stwierdziła Carson.

– Jej załoga też nie.

– Jeśli zatonie, nie uratujemy się w tym sztormie.

– To się nazywa urlop, co?

Dotknęła jego ramienia.

– Innego bym nie chciała.

– Okej, zagłosuję za twoją czwartą generalską gwiazdką.

– Jaki jest plan po dotarciu na miejsce?

– Taki, że pokonujemy złych i ratujemy więźniów.

– To jasne. Pytam, jak to zrobimy.

– Nie sądzę, byśmy mogli w tym wypadku opracować wiążącą taktykę, pani generał. Wszystko zależy od warunków, jakie tam zastaniemy. To platforma wiertnicza. Przybijamy do jej podstawy, wspinamy się wyżej. Ponieważ mieli nad nami przewagę na starcie, już tam są. Przy takim sztormie będą musieli przenieść się do zamkniętej przestrzeni. Wątpię, by rozstawili dookoła niej strażników. Raczej nie spodziewają się ataku dzisiejszej nocy. Gdy sztorm ucichnie, wyruszą w drogę powrotną tą samą trasą, którą tam przybyli, zabierając ze sobą wszystkie dowody.

– A potem?

– Potem utworzą kanał przerzutowy gdzie indziej. Ci ludzie są jak bakterie. Nieustannie mutują, żeby o krok wyprzedzić antybiotyki.

– A my jesteśmy penicyliną?

– Czymś dużo silniejszym, mam nadzieję.

– Jeśli siedzą na górze platformy w zamkniętym pomieszczeniu?

– Dają nam szansę. Spryt plus sprawność, plus szczęście. Ta kombinacja równała się zwycięstwu na niezliczonych polach walki.

– Miejmy nadzieję, że dorzucimy jeszcze jedno.

– Zrobię, co mogę.

– Wiem, Rangerze. A jeśli się mylisz i wcale tu nie wrócili?

Puller nie odpowiedział. Patrzył przed siebie.

– Pani generał, proszę siadać.

– Co?

Także spojrzała w przód, ale nie dostrzegła tego, co on.

– Siadaj, Julie! Już! I mocno się trzymaj. Uprzedź resztę. Szybko!

Carson czmychnęła na siedzenie.

Usłyszała w głosie Pullera coś, czego nigdy nie spodziewała się usłyszeć.

Strach.

85

To, co zmierzało prosto na nich, nie było wcale gigantyczną falą. Może lepiej, gdyby było.

Była to łódź. Nie, łodzie są małe.

To coś nie było małe. Statek. Pełnomorski statek ogromnych rozmiarów.

Gdzieś zabuczała syrena, głęboko, przenikliwie.

Puller nawet nie próbował użyć sygnału. Nie przebiłby się przez huk sztormu ani dudnienie silników nadpływającego statku.

Pojawił się problem wymagający natychmiastowej reakcji. Puller musiał ustawić się mniej więcej pod kątem czterdziestu pięciu stopni do nadciągających fal. Nawet początkujący żeglarz bez doświadczenia wiedział, że uderzenie fal pod tym kątem drastycznie redukuje moc, jak również zmniejsza wysokość, na którą woda wyniesie łódź.

Kąt dziewięćdziesięciu stopni gwarantowałyby przyjęcie całej energii kinetycznej tego płynnego młota.

Równie dobrze można wspiąć się na szczyt fali tylko po to, by wywrócić łódź, która najpierw stanęłaby dęba i wtedy nie byłoby już odwrotu. Gdy dziób uniesie się pionowo w powietrzu, to koniec. Wywrotka jest w zasadzie nieunikniona. A co do pasażerów na pokładzie, to albo zostaną przygnieceni przez łódź, albo zmiecenii do wody, w której utoną.

Kłopot Pullera polegał na tym, że aby zboczyć z kursu zbliżającego się statku, musiałby płynąć prosto na fale. Okręt był dostatecznie duży, a dzięki wrzecionowatemu kadłubowi ze stali

wystarczająco silny, by czołowo zderzyć się z morskimi bałwanami. Prując fale z prędkością około dwunastu węzłów, tworzył szeroki wał kotłującej się wody, spychał na boki miliony litrów spienionego żywiołu, tak jak odrzuca się szuflą śnieg.

W ostatnim momencie, przy rozdzierającym uszy ryku syreny, Puller ostro przesunął ster w lewo. Musiał uniknąć nie tylko samego statku, ale i kilwateru, który bez trudu wywróciłby ich motorówkę.

Trzeba było zatoczyć szeroki łuk wokół statku i szybko się oddalić.

Żeby to osiągnąć, należało zwiększyć prędkość.

Dokonanie tego na tak rozhuśtanej wodzie było niełatwe. A właściwie prawie niemożliwe. Przez połowę czasu całkowicie wynurzona śruba kręciła się bezużytecznie w powietrzu.

Połowicznie osiągnął swój cel.

– Trzymać się! – ryknął.

Nie zderzyli się ze statkiem. Za to zderzyli się z czymś innym.

Krawędź kilwateru ogromnego okrętu uderzyła w bok ich motorówki. Lewa burta przechyliła się w dół, prawą szarpnęło w górę. Skala przechyłu z pewnością znacznie przekraczała zalecenia producenta.

Carson i Landry zmiotło w poprzek pokładu i cisnęło nimi o górną krawędź lewego nadburcia.

Carson wypadłaby za burtę, gdyby nie Mecho, który trzymając się jedną ręką relingu wewnątrz motorówki, drugą złapał jej nogę w żelaznym uścisku.

Landry zdołała chwycić się nadburcia, ale jej nogi dyndały za burtą, nim udało się jej odzyskać równowagę i wciągnąć je na pokład.

Diaz przeleciała od rufy na dziób i zaplątała się w nogi Pullera.

Jedną ręką pewnie dzierżąc ster, chwycił ją drugą i podniósł.

Na nieszczęście pozostawiona przez statek ściana spiętrzonych wód runęła na nich w chwili, gdy motorówka zaczynała łapać równowagę.

Krztusząc się słoną wodą, Puller zdołał krzyknąć:

– Zatapia nas!

Wszyscy rzucili się do wiader, które Mecho znalazł pod siedzeniem, i zaczęli wybierać wodę. Otwory odpływowe pomagały, ale nie nadążały z odprowadzaniem takich ilości.

Puller obserwował, jak boki łodzi zaczynają zagłębiać się w oceanie.

Mecho wybierał wodę dwoma wiadrami, niczym maszyna o niewyczerpanych zapasach paliwa. Puller przekazał ster Diaz i też chwycił za kubek.

Wkrótce obie kobiety, najpierw Landry, a potem Carson, opadły z sił i osunęły się w wodę zebraną wewnątrz łodzi. Zostało dwóch mężczyzn, którzy pracując ramię w ramię, wylewali ją nieco szybciej, niż się wlewała. Działanie środków przeciwbólowych powoli ustawało i Puller zaczął odczuwać rwanie rany. Ale dawał z siebie wszystko.

– Wynurzamy się! – krzyknęła Diaz. – Wybierajcie dalej.

Pokrzepione tą wieścią Carson i Landry z nową energią rzuciły się do pracy i wychlapowały wodę gołymi rękami. Ich los zaczynał się odwracać na dobre.

Po czterdziestu minutach otwory odpływowe i pompa zęzowa przejęły pracę, a wewnątrz motorówki pomалу się osuszało.

Dopiero wtedy Carson i Landry wywiesiły głowy za burtę i zwróciły morską wodę, która wlała się im do żołądków.

Puller też zwymiotował, po czym przejął ster od Diaz

i kontynuował zmagania z Danielle.

Mecho rzucił wiadra i stał kompletnie przemoczony z opuszczonymi wzdłuż boków ramionami, ciężko dysząc i patrząc przed siebie z zadartą głową.

Jakby wyczuwał, że coś się zbliża.

Puller rzucił okiem na wskaźnik paliwa. Przed wypłynięciem napełnił bak benzyną z kanistrów, które Diaz wzięła na pokład. Ale sztormowe warunki sprawiały, że silnik musiał pobierać o wiele więcej paliwa niż normalnie, by motorówka posuwała się naprzód.

Puller dokonał w głowie szybkich obliczeń.

Wynik był oczywisty. I głęboko niepokojący.

Nie wystarczy nam paliwa na powrót.

Obejrzał się na Mecha, który wciąż stał oparty o siedzenia na rufie. Mecho go obserwował. Wydawało się, że olbrzym czyta w myślach Pullera, gdy ten sprawdzał zegary.

A potem spojrzął ponad ramieniem Pullera i powoli wskazał coś przed sobą.

Puller odwrócił się i podążył za jego wzrokiem.

W samym środku kipieli zamajaczyła potężna budowla.

Przed nimi ukazał się „tron Neptuna”.

Dotarli na pole bitwy, wyczerpani, uniknąwszy o włos utonięcia.

Prawdziwa bitwa miała się dopiero rozpocząć.

Prawie dwieście osób stłoczono w klatkach mogących pomieścić połowę tej grupy.

Strażnicy kręcili się wszędzie, ale teraz nie mieli już takich pewnych min.

Może dlatego, że więźniów było dużo więcej niż zazwyczaj.

Może dlatego, że wszyscy odczuwali wyniszczające skutki wściekłości oceanu tłukącego o stalową konstrukcję platformy. Pomieszczenie, w którym się znajdowali, trzęsło się przy każdym uderzeniu spiętrzonych mas wody.

Mateo wpatrywał się w sufit wielkimi ze strachu oczami i mocniej ścisnął dłoń kuzyna za każdym razem, gdy fala roztrzaskiwała się o platformę.

Diego przysunął usta do ucha Matea.

– Będzie dobrze, Mateo. Nic nam się nie stanie.

Mateo milczał. I nadal patrzył na sufit, nadal kurczowo zaciskał dłoń.

Diego spuścił wzrok i spojrzał na swój palec. Ten, na którym nosił pierścionek.

Porzucił go w miejscu, gdzie ich przetrzymywano. W nadziei, że ktoś go znajdzie. Ktoś inny niż ci ludzie.

Przed Mateem zgrywał chojraka. Ale szanse wydostania się z opresji malały. Jeśli nie zabije ich sztorm, nie wiadomo, co się z nimi stanie ani gdzie wylądują.

Wraz z tą myślą ogarnęło go przerażenie. Zacisnął palce na dłoni Matea.

Wyczuwając podskórnie ten strach, chłopczyk szepnął mu do ucha:

– Będzie dobrze, Diego. Nic nam się nie stanie.

*

Puller zwolnił, a żeby zyskać lepszą widoczność, wsunął na nos gogle noktowizyjne.

Przyglądał się konstrukcji wyrastającej prosto ze sztormowych wód zatoki. Zdawała się wznosić do samego nieba. Fale rozbijały się o jej niższą platformę. Stalowe nogi drżały od naporu milionów ton wody napędzanych porywistym wiatrem, który pchał Danielle w stronę lądu.

W pierwszej kolejności Puller wypatrywał wartowników.

W drugiej kolejności – miejsc dostępu.

W trzeciej – wszelkich słabych punktów.

Mecho dołączył do niego przy sterze.

– Przybicie do niej będzie trudne – stwierdził Puller, obserwując, jak platforma kołysze się na falach.

– Chyba całkiem niemożliwe. Zmiażdżymy łódź.

– Ale nie możemy tak po prostu wskoczyć do wody i do niej dopłynąć. Wiatr wieje z tamtej strony wprost na nas. Zmiotłoby nas w sekundę.

Puller jeszcze raz powiódł wzrokiem po konstrukcji.

– Myślę, że przy takim sztormie nie spodziewają się gości. Pewnie siedzą w środku i próbują nie przemoknąć do suchej nitki.

– Pewnie tak.

– Trzeba być zdrowo szurniętym, żeby przypuszczać atak w środku tropikalnej burzy.

– Zdrowo szurniętym – zgodził się Mecho.

– Poza tym jakim cudem by się domyślili, że potrafiliśmy znaleźć

drogę do platformy? – Nagle Pullerowi, który kierował się współrzędnymi podanymi przez ludzi Carson, wpadła do głowy zatrważająca myśl. – Jesteś pewien, że to właściwa platforma? Jest ich tu sporo.

– To ta, na której byłem. Skakałem z tamtego pokładu.

Puller spojrział w górę. Ponad dziesięć metrów.

– I dopłynąłeś stąd na ląd?

– Tak. Z pomocą rybaków.

– Brak strażników wokół obiektu. Wiatr z południa. Pływająca platforma z tamtej strony.

– Jaki masz plan?

– Kluczowa jest synchronizacja.

Puller przedstawił reszcie swój pomysł.

Carson pokręciła głową, obserwując kotłujący się ocean i sunącą w ich stronę burzę.

– Nie daje nam to żadnego marginesu błędu, Puller – powiedziała.

– Niewielki, ale jest.

– To jedyny sposób? – zapytała Landry.

– Jedyny, jaki przychodzi mi do głowy, a jeśli będziemy zwlekać, plan nie wypali.

– Musimy spróbować – rzekł Mecho.

Diaz pokiwała głową.

– Okej, trzeba wydobyć broń. Bardzo się nam przyda.

– Ja się tym zajmę – odparł Puller.

– A gdy już znajdziemy się na platformie? – dociekała Diaz.

Mecho wskazał zamknięte pomieszczenie na górze.

– Są tam. Jest kilka wejść i wyjść. Więźniowie i strażnicy.

Strażnicy nie są zbyt dobrze wyszkoleni, ale dysponują dużą siłą ognia. Większą niż my.

– Musimy więc zaatakować mocno, szybko i z zaskoczenia – rzekła Carson w chwili, gdy duża fala z impetem huknęła w motorówkę, zmuszając wszystkich do chwytania się, czego popadnie, by nie wypaść za burtę. – W ten sposób osłabimy ich przewagę liczebną oraz zbrojną.

Spojrzała na Pullera.

– Jak się tam dostaniemy?

– Dwójkami – odparł.

– Czyli? – drążyła Landry.

– Czyli musicie skakać. Po dwie osoby naraz.

87

Puller nakierował dziób łodzi prosto na pływającą platformę. Motorówka zmagala się z falami oraz wiatrem.

W ostatnim momencie gwałtownie skręcił, mijając rozhuśtaną platformę w odległości zaledwie piętnastu centymetrów.

– Teraz! – ryknął.

Stojący przy sterburcie Mecho i Diaz zeskoczyli z nadburcia i runęli jak dłudzy na platformę.

Puller wykonał zwrot, przekazał ster Landry, otworzył schowek oraz znajdującą się w jego wnętrzu wodoszczelną skrytkę, do której schował broń. Przygotowywał cały ich arsenał, Landry zaś skupiła się na utrzymywaniu motorówki w bezpiecznej odległości od konstrukcji.

Ukończywszy porządkowanie broni, Puller umieścił ją w składanej nieprzemakalnej torbie, zasunął suwak i podał ją Carson.

Ponownie wziął w ręce ster i obrócił łódź.

Spojrzał na Carson, a potem na trzymaną przez nią torbę.

– Nie jest lekka – uprzedził i przeniósł wzrok na Landry. – Lepiej zróbcie to wspólnymi siłami.

Landry mocno chwyciła za jeden koniec.

– Przerzucimy ją – powiedziała.

Pchnął manetkę i jeszcze raz skierował motorówkę prosto na platformę. I tym razem w ostatniej chwili zmienił kurs.

W tym momencie Landry i Carson wspólnie rzuciły torbę

w kierunku platformy. Przeleciała nad rozszalałą wodą, a potem złapał ją Mecho.

Puller kolejny raz obrócił łódź.

Dodał gazu, pędząc prosto na platformę, zmagając się z wściekle wzburzoną wodą.

Teraz pozieleniała Landry, a Carson nie wyglądała dużo lepiej.

– Jesteście gotowe czy mam odbić? – zapytał Puller.

Carson zbyła tę propozycję machnięciem ręką.

– Chcę wreszcie wysiąść z tej przeklętej łupiny.

Landry jej zawtórowała.

Puller wykonał powtarzany już kilkakrotnie manewr.

– Teraz! – wrzasnął.

Obie kobiety rzuciły się z nadburcia.

Landry wylądowała na platformie, przeturlała się i przeszła do pozycji siedzącej.

Carson nie miała tyle szczęścia. Przy skoku jej stopa obsunęła się na śliskim nadburciu. Zabrakło jej trochę impetu, by znaleźć się na platformie, i w rezultacie w połowie tkwiła w wodzie, w połowie na skraju konstrukcji.

Ręce nie wytrzymały i wpadła całym ciałem do oceanu. Widząc to, Mecho błyskawicznie złapał ją za ramię i wciągnął na platformę.

Carson podniosła na niego wzrok, zadziwiona jego siłą.

– Chwała Bogu, że w Bułgarii rodzą się tacy potężni i krzepcy ludzie.

Mecho rozdał broń, wszyscy się przyczaili. Gdy dłonie Diaz i Landry zacisnęły się na kolbach, obie się uśmiechnęły.

Carson zauważyła ich miny i zareagowała podobnie, ponieważ ona także mocno ścisnęła karabin.

– Broń bywa najlepszym przyjacielem dziewczyny – rzekła.

Z wnętrza konstrukcji nie padły żadne strzały. Chyba nikt się nie zorientował, że pojawili się nieproszeni goście. Sztorm zagłuszył hałas silnika motorówki. A hałas towarzyszący skokom na platformę był niczym w porównaniu z hukami, z jakim wody oceanu tłukły o masywną konstrukcję.

Odwrócili się w stronę Pullera, który manewrował łodzią, szykując się do ostatniego podejścia.

– Nadal nie pojmuję, jak on zamierza się tu dostać – powiedziała Landry. – Przecież nie może jednocześnie skakać i sterować.

– Przekonamy się – odparła Carson.

Puller ustawiał się do ostatniego kursu. Machnął do wszystkich na platformie, żeby się odsunęli. Cofnęli się daleko.

Uważnie przyjrzał się falom, przeanalizował kierunek wiatru, oszacował różnicę między szczytem a zagłębieniem fali. Piorun trzasnął tak blisko, że włosy na karku stanęły mu dęba.

Teraz albo nigdy.

Zdecydowanym ruchem pchnął manetkę w przód i wycelował dziób łodzi prosto w platformę.

Dwieście metrów.

Sto metrów.

Pięćdziesiąt.

Ponieważ Puller był w pełni skoncentrowany, wyraźnie wyobrażał sobie każdy szczegół akcji na platformie. Nie przeszkadzał mu w tym nawet szalejący sztorm.

Obmyślał, jak złoży się do strzału z karabinu snajperskiego.

Jak w ciągu kilku sekund kropnie sześciu ludzi, unikając przy tym śmiertelnego ciosu ze strony przeciwnika.

Jak zeskoczy z motorówki i wyląduje na platformie przy

sześćdziesięciu kilometrach na godzinę.

Wszystko to wymagało tego samego. Pełnej koncentracji. Wyjątkowej sprawności.

Oraz szczęścia.

Pomodlił się w duchu i dodał gazu.

Dziesięć metrów.

Pięć.

Gwałtownie odbił sterem w lewo, szarpnął manetkę do pozycji neutralnej i w tej samej chwili skoczył.

Pęd łodzi niósł go naprzód, choć motorówka już skręciła w bok, a odbijacze z twardej gumy – które Puller założył przed próbą wykonania tego manewru – z wielką siłą grzmotnęły w platformę.

Puller był w powietrzu. Spojrzał w dół i ujrzał spienioną wodę.

Spojrzał w górę i ujrzał ciemne niebo oraz wieżę pełną ludzi i potencjalnie katastrofalnych strat.

Spojrzał w dół i ujrzał stalowy podest.

Wylądował, przekoziółkował i podniósł się akurat w chwili, gdy Mecho zaczynał przywiązywać motorówkę do platformy.

Platforma miała gumowe ochraniacze, które zapobiegały roztrzaskaniu łodzi o metalowe krawędzie. Dzięki nim oraz odbijaczom motorówka nie została poważnie uszkodzona. Jednak przy tak wysokich i niszczycielskich falach może długo nie wytrzymać.

Carson rzuciła Pullerowi M11 i MP5.

Nie czas dziwić się, jak on tego dokonał. Nie czas dziękować Bogu za pomoc.

Puller prowadził ich metalowymi schodami w górę.

Nadeszła godzina zero.

Zamknięta przestrzeń.

Wysoko.

Wewnątrz będzie ochrona pilnująca ze wszystkich stron.

Puller bardzo chciał zobaczyć, jak to wygląda od środka.

Prowadzenie obserwacji jest ryzykowne niemal w każdych okolicznościach, szczególnie w takich.

Ale Puller znalazł lukę.

Jedna z metalowych okiennic była niedomknięta; wypatrzył dość sporą szczelinę. Dostrzegł ten słaby punkt i kiwnął na Mecha, by się zbliżył.

Diaz, Carson i Landry obstawiły kilka punktów wokół ścian konstrukcji.

Dudnił deszcz, wiatr dął z taką siłą, że trudno było ustać w pionie.

Puller zajrzał przez szczelinę z prawej strony, Mecho uczynił to samo z lewej.

Od razu spostrzegli, że przestrzeń w środku jest duża i otwarta.

Okoliczność problematyczna z wielu względów.

Drugą rzeczą, na którą padł ich wzrok, były prowizoryczne, ustawione na środku klatki wypełnione ludźmi.

To również nastroczało problemów, ale akurat tego widoku się spodziewali.

Zauważyli też dobre strony.

Strażnicy byli rozlokowani w grupkach w regularnych odstępach.

Nie zachowywali czujności, broń trzymali niedbale. Niektórzy palili, pili duszkiem wodę z wielolitrowych butli albo piwo z puszek, inni siedzieli z bronią w kaburach i ze zmiennym natężeniem uwagi.

Było tam kilka miejsc, w których można się ukryć. Oraz kilka dyskretnych stanowisk strzeleckich. Otwierając ogień z góry do skupionych w grupkach strażników, mogli wyrządzić sporo szkód w bardzo krótkim czasie, przy minimalnym narażeniu się na ostrzał przeciwnika.

Puller spojrział na Mecha i zorientował się po jego minie, że dokonał on takiej samej analizy i doszedł do podobnych konkluzji.

– Sądysz, że są z nimi Lampert albo Rojas? – zapytał Puller.

Mecho pokręcił głową.

– Grube ryby nie pływają z płótkami.

– Tak, to samo sobie pomyślałem. Załóżmy, że przedrzemy się do środka...

– Strażnicy będą poinstruowani, żeby zabić więźniów.

– W ramach niszczenia dowodów?

– Od początku mogli mieć taki zamiar. Zabić ich, ciała wrzucić do oceanu, a resztą zajmą się rekiny.

– Lecz sztorm pokrzyżował im plany.

Mecho przytaknął.

Puller obejrzał się na kobiety. Carson wydawała się zdeterminowana, skoncentrowana. Landry tak samo. Natomiast Diaz miała niepewną, zaniepokojoną minę.

– Twoja koleżanka coś marnie wygląda – zauważył Puller.

– Da sobie radę.

– Dobrze ją znasz?

– Nie znam jej wcale.

– Więc?

– Dowiadujesz się wiele o człowieku, kiedy ratuje ci życie.

– Zgadza się z tobą. – Zajrzał przez szparę w okiennicy i znów spojrzał na Mecha.

– Możemy strzelać stąd. Naliczyłem dwudziestu strażników. Mamy w sumie osiem sztuk broni, włączając w to MP5.

– Nie wszystkich trafimy.

– Zależy mi tylko na jak najszybszym zmniejszeniu ich liczebności.

Zajrzawszy ponownie do wnętrza, Puller zauważył coś, czego wcześniej nie zarejestrował. W rogu jednej z przepelnionych klutek siedzieli Diego i Mateo. Strażnik stał tuż przed nimi.

Puller postanowił, że jego zabije pierwszego.

– Więc jak? Strzelamy przez szparę czy próbujemy wejść? – zapytał.

Mecho wzruszył ramionami.

– Gdyby szczelin było więcej i mielibyśmy szersze pole ostrzału, wtedy powiedziałbym, że tak, zostajemy tutaj. Ale sytuacja jest inna.

– Może jednocześnie otworzyć ogień z góry, wdrzeć się do środka i zaatakować z dołu?

Mecho z aprobatą pokiwał głową.

– Ten plan podoba mi się bardziej.

– Powiedzmy, że ty, ja i Landry tworzymy zespół szturmowy. Diaz i Carson nas osłaniają. Wchodzimy przez tamte drzwi. – Puller wskazał na lewo. – Gdy już tam wtargniemy, formujemy trójkąt: ja na czele, ty po lewej, Landry po prawej stronie. Czyścimy odcinek po odcinku i posuwamy się naprzód. Strażników strzelających do ludzi w klatkach traktujemy priorytetowo.

Mecho przyklasnął tej strategii.

– To mi się podoba. Myślę, że zadziała. A jak już zabijemy wszystkich strażników, to co?

– Nie wszystkich. Potrzebujemy kilku do złożenia zeznań.

– Nie będą nic wiedzieć o Rojasie czy Lampercie.

– Mimo wszystko... Na mało prawdopodobny wypadek, gdyby jednak coś wiedzieli.

– Co z więźniami?

– Wypuszczamy ich zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

Mecho skontrolował broń. Puller dał mu swój M11.

– Strzela prosto i celnie.

– Na to liczę – odparł Mecho.

Puller wziął MP5 i ustawił przełącznik na podwójne strzały. Nie zamierzał otwierać ognia ciągłego. Musiał ostrożnie gospodarować amunicją. A zmiana magazynku w trakcie kompletnego chaosu, jaki niewątpliwie wybuchnie, jest kłopotliwa. Odpukał trzy razy w skórzany futerał na używany przez amerykańskich komandosów nóż Ka-Bar. Na szczęście oraz żeby dopełnić swego bojowego rytuału. Dodawało mu to animuszu, a zarazem wydawało się dziwactwem.

Zauważył, że Mecho też wetknął sobie nóż za pas. Przypuszczał, że olbrzym wie, jak przyłożyć do niego śmiercionośną siłę.

Puller zawołał kobiety i przedstawił im plan.

– Wolałabym iść z wami w ekipie szturmowej – powiedziała Carson.

– Ty masz karabin snajperski. Mam nadzieję, że zrobisz z niego dobry użytek.

Puller zerknął na Diaz. Nadal wyglądała na zdenerwowaną.

– Dasz radę?

Skinęła głową, ale jej mina mówiła zupełnie co innego.

– Wciąż męczą mnie mdłości – odparła głuchym głosem.

Mecho położył wielkie łapsko na jej ramieniu i spojrzał prosto w oczy Diaz.

– Nie czas na mdłości. Czas na walkę.

Kiwnęła głową.

– Powodzenia – rzekła Carson.

Patrząc na nią, Puller pomyślał, że być może widzi ją po raz ostatni. Nigdy nie wiadomo.

– Wiem, szczęście nie ma tu nic do rzeczy – powiedziała.

– Tym razem akurat ma. I to dużo.

– Broń zarepetowana? – zwrócił się do Landry.

– Jak zawsze.

– Gotowi! – rzucił do Mecha.

Odpowiedział skinieniem głowy.

We troje zaczęli schodzić po metalowych stopniach do punktu ataku.

89

Początkowe natarcie przebiegło zgodnie z planem.

Pomieszczenie nie było zamknięte.

Carson i Diaz zostały poinstruowane, żeby otworzyć ogień, gdy tylko uchylą się drzwi.

Uchyliły się, a ułamek sekundy później obie rozpoczęły ostrzał.

Strażnicy, oszołomieni atakiem, zerwali się na równe nogi, rzucili niedopałki, puszki z piwem i chwycili za broń.

Ale było już za późno.

Carson i Diaz sprzątnęły pięciu w pierwszej salwie.

Mecho i Puller nacierali na nich jak rozpędzone czołgi.

Używali broni palnej, noży, pięści oraz nóg.

Pod ich zmasowanym atakiem strażnicy padali jak muchy.

We dwóch stworzyli całą armię.

Puller zabijał i przechodził do kolejnego celu, jakby zamienił się w brutalną maszynę do zabijania, działającą gładko i nieprzerwanie.

Obok niego Mecho robił dokładnie to samo, może z nieco większym okrucieństwem.

Z góry sypał się precyzyjny grad kul. Carson celowała i strzelała, celowała i strzelała, kładąc strażnika za strażnikiem.

Na dole Mecho i Puller nieubłaganie szturmowali wroga, siejąc terror, strzelając, dźgając nożem, zabijając z taką zaciekłością, że przeważające siły wroga szybko zostały przetrzebione.

I nagle wszystko zaczęło iść źle.

Wystrzelona przez strażnika kula trafiła w pełen oparów

dwustulitrowy zbiornik paliwa, który stanął w płomieniach, zamieniając się w ognistą kulę. Podsypane dopływem tlenu jęzory ognia wystrzeliły na wysokość sześciu metrów. Pomieszczenie spowił gęsty toksyczny dym.

Pozostali strażnicy, porzuciwszy wszelką nadzieję na pokonanie napastników, zaczęli sypać gradem kul, kładąc trupem jednego więźnia po drugim.

Puller i Mecho robili, co mogli, by ich zastrzelić, lecz dym utrudniał rozpoznanie celu. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał Puller, było pozbawienie życia któregokolwiek z więźniów.

Z powodu buchającego dymu uprzywilejowana pozycja Carson i Diaz na górze szybko zmieniła się w niekorzystną. Musiały wstrzymać ogień, ponieważ nie widziały, do czego strzelają.

Nisko pochyleni Mecho i Puller przedzierali się przez dym i opary.

Zabili, ilu mogli.

Puller dotarł do pierwszej klatki, strzałem rozsadził zamek. Więźniowie zaczęli wypływać ze środka strumieniem, poinstruowani na migi przez Pullera, by trzymali się jak najbliżej podłogi.

Mecho rozprawił się z zamkiem kolejnej klatki.

W następnej, do której zbliżył się Puller, siedzieli Diego i Mateo. Diego go zobaczył i krzyknął:

– Z tyłu!

Puller błyskawicznie odwrócił się z nożem w dłoni.

Strażnik upadł z poderżniętym gardłem, przeciętą aortą oraz żyłą.

Na ten widok Mateo zaczął krzyczeć.

Diego chwycił go za rękę i pociągnął za sobą.

Puller go zatrzymał.

– Dobra robota z tym pierścionkiem.

– Tylko to udało mi się wymyślić.

– Jesteście cali i zdrowi?

– Tak.

– Wyjdźcie drzwiami, przez które się tu wdarliśmy, a potem idźcie schodami na górę. Tam są osoby, które wam pomogą.

Diego kiwnął głową i wybiegł razem z Mateem.

Puller instruował pozostałych więźniów we wszystkich znanych sobie językach, żeby poszli za chłopcami w bezpieczne miejsce.

Teraz klatki były już opróżnione, więźniowie uciekali przez wskazane drzwi.

Tymczasem Mecho rozpruł brzuch jeszcze jednemu strażnikowi i zastrzelił innego. Kula przeszła mu lewe przedramię, ale walczył dalej prawą ręką.

Strażnik zdążył rozciąć Pullerowi nogę, zanim ten wpakował mu kulę w głowę.

Rozejrzeli się dookoła. Nie widzieli już żadnych wrogów.

Mecho złapał koce i starał się zdławić płomienie. Puller zerwał ze ściany gaśnicę i pokierował pianę z drugiej strony. Z dogasającego ognia buchały kłęby dymu.

Cisnął pustą gaśnicę na podłogę, odwrócił się i stanął bez ruchu.

Ujrzał przed sobą spowitą mgłą Landry. Wyglądała jak jedyna osoba ocalała z apokalipsy.

Puller zauważył, że trzyma broń wycelowaną prosto w niego.

– Zastanawiałem się, gdzie się podziałś – powiedział.

– Przykro mi – odparła Landry.

– Aha, jak wszyscy diabli – skwitował Puller.

Dwukrotnie pociągnęła za spust.

Broń wystrzeliła zgodnie z planem.

A Puller stał nadal, niedraśnięty.

Nacisnęła spust jeszcze dwa razy.

Pistolet wypluł dwa naboje.

Puller wciąż stał.

– Nie mam kamizelki kuloodpornej. Możesz też strzelać prosto w głowę.

Strzeliła, dokładnie między oczy.

I nic.

Odwróciła się, wyczuwszy za plecami czyjąś obecność.

Mecho wyrwał jej z ręki pistolet i wykręcił ramię do tyłu. Krzyknęła z bólu, ponieważ jej łokieć zgiął się pod nienaturalnym kątem.

Puller wziął od Mecho broń, po czym wysunął magazynek.

– Noszę w torbie ślepe naboje do oddawania strzałów ostrzegawczych. Przygotowując broń, zastąpiłem nimi twoją ostrą amunicję. A w razie gdyby udało ci się dorwać inną broń i próbować nas zabić, Diaz miała rozkaz cię zlikwidować. Prawdopodobnie dlatego tak bardzo się denerwowała. W końcu miała zabić policjantkę. To pewnie wbrew jej instynktowi. Nawet jeśli policjantka ma brudne ręce.

Wszyscy spojrzeli w górę. Diaz z wyrazem determinacji na twarzy celowała prosto w głowę Landry.

– Skoro wiedziałeś, dlaczego poprosiłeś, żebym tu z wami przyплыnęła? – wydyszała Landry.

– To proste. Przyjaciół trzymaj blisko, a wrogów jeszcze bliżej.

– Nie rozumiem, w jaki sposób zdołałeś się dowiedzieć.

– Wszystko jest kwestią zbieżności w czasie, Cheryl.

– Co masz na myśli?

– Wyjaśniłbym od razu, ale na naszej liście spraw do załatwienia jest kilka innych punktów. A ty pomożesz nam je odhaczać.

– Ani mi się śni.

– Wprost przeciwnie.

– Idź do diabła.

W jednej sekundzie Landry wykonała obrót i wbiła kolano w krocze Mecha. Zgiął się wpół. Wyrwała mu zza pasa nóż i już miała zadać śmiertelny cios w kark, ale wytrącono jej ostrze z dłoni.

Zdążyła jeszcze zobaczyć pięść Pullera zbliżającą się do jej twarzy.

I to była ostatnia rzecz, jaką miała przed oczami, zanim otrzymała cios w żuchwę.

Nieprzytomna runęła na podłogę.

Puller nad nią stanął.

– Wprost przeciwnie – powtórzył cicho.

Zatankowali motorówkę i mknęli w stronę lądu.

Uwolnieni więźniowie pozostali na platformie, ale kuter straży przybrzeżnej pomimo sztormu pruć fale, by dotrzeć do nich jak najszybciej. Miał dość miejsca na pokładzie, by zabrać wszystkich i bezpiecznie przetransportować na ląd.

Diego i Mateo chcieli wrócić z nimi motorówką, ale Puller się temu sprzeciwił.

– Będziecie dużo bardziej bezpieczni na kutrze straży przybrzeżnej – wyjaśnił. – Nie jestem nawet pewien, czy dopłyniemy tą łajbą do Florydy.

Tymczasem tropikalna burza przesunęła się nad ląd i szybko traciła moc. Podróż powrotna była trudna, ale przebiegła o wiele łagodniej niż tamta w przeciwnym kierunku.

Po drodze Puller złapał zasięg i udało mu się zadzwonić. Carson przejęła telefon, gdy rozmowa zaczęła iść nie po ich myśli. Puller patrzył z podziwem, jak generał Carson, zamiast prosić człowieka po drugiej stronie linii o przysługę, oznajmia mu, czego od niego oczekuje.

– To sprawa bezpieczeństwa narodowego, poruczniku. A armia Stanów Zjednoczonych traktuje te kwestie szalenie poważnie. Dostaliście rozkazy i oczekuję, że zostaną wykonane niezwłocznie oraz z pełnym profesjonalizmem, do którego zobowiązuje mundur. Jasne?

– Tak jest – padła natychmiastowa odpowiedź porucznika, który prawdopodobnie bardzo się pilnował, by nie załamał mu się głos.

Carson zakończyła rozmowę i oddała komórkę Pullerowi.

Uśmiechnął się.

– Co cię tak bawi?

– Chyba lubię oglądać cię w roli generała.

W połowie drogi do brzegu Landry odzyskała przytomność. Carson nawigowała, natomiast Puller i Mecho skupili się na swojej nowej więźniarce. Jej twarz pokrywały siniaki. Jednak kobieta wcale nie wyglądała na skruszoną, tylko wściekłą.

– Jak? – zadała zwięzłe pytanie.

– Już mówiłem: zbieżność czasu.

– Nic z tego dla mnie nie wynika.

– Samochód Lamperta wyleciał w powietrze.

– No i? Ja nie podłożyłam bomby.

– Wedle słów Diaz samochód wybuchł piętnaście po pierwszej. Szesnaście po pierwszej, gdy spacerowaliśmy razem po plaży, odebrałaś telefon. Powiedziałaś, że od Bullocka. A to nie mogła być prawda. Lampert musiałby się zorientować, co konkretnie się stało, zadzwonić na policję i złapać Bullocka. On mógłby zacząć obdzwaniać swoich ludzi dopiero po wysłuchaniu jego pełnej relacji. Nie byłaś wtedy na służbie. Nie zadzwoniłby do ciebie jako pierwszej. Wszystko to zajęłoby znacznie więcej czasu niż minutę. Dla pewności zapytałem o to wczoraj Bullocka. Powiedział mi przez telefon, że to ty do niego zadzwoniłaś w drodze do rezydencji Lamperta. Nie odwrotnie. Że podobno usłyszałaś w wiadomościach coś o wybuchu. Odebrane przez ciebie połączenie było od Lamperta.

Landry kręciła głową.

– To za mało, Puller. Nie wyciągnąłbyś takich wniosków na podstawie tak skąpych informacji.

– Wcale tego nie zrobiłem. Zacząłem łączyć kropki. Lampert pochodzi z Miami. Ty też. Oboje przyjechaliście tu w podobnym okresie. Gdy zacząłem zastanawiać się nad czasem tamtej rozmowy, przełączyłem się na tryb śledczy i podzwoniłem w wiele miejsc. Telefonowałem na przykład w sprawie twojego ojca. Mówiłaś, że zastrzelił go w barze jakiś facet naćpany PCP.

– Tak było.

– Wiem. Ale rozmawiałem z twoim byłym sierżantem. Dowiedziałem się, że od tragicznej śmierci ojca stałaś się inną osobą. Przestało cię obchodzić działanie w słusznej sprawie. Osłabła twoja determinacja w ściganiu łotrów. Zaczęłaś mieć wszystko gdzieś. Potem skreśliłaś w drugą stronę. Weszłaś w układ z Lampertem i sprawy nabrały rozpędu. – Przerwał. – Sprawdziłem też twój apartament. Czteryście tysięcy. Hipoteka na niecałe pięćdziesiąt. W policji tyle się nie zarabia. Nie w uczciwy sposób. Może dlatego chciałaś zamieszkać w Destin. Przypuszczam, że nigdy nie zaprosiłaś do siebie nikogo z pracy na drinka. Przenocowanie mnie było błędem, Landry. Bo dało mi do myślenia.

Popatrzył na Mecha.

– Ktoś zabił państwa Storrowów na plaży. Był tam wtedy Mecho. Widział. A ściślej: widział ciebie. Wpakowałaś im kule w głowy i zawlokłaś ciała do oceanu. Jesteś wystarczająco silna, Cheryl, żeby dać sobie z tym radę. Wiosłowanie na desce robi swoje. Dwoje starszych ludzi. Dla ciebie to żaden ciężar, łatwizna.

Landry się nie odezwała, tylko nienawistnie spojrzała na Mecha.

Puller mówił dalej.

– Dlatego Bullock i Hooper nie odebrali telefonu, gdy do nich dzwoniłaś. Dostali ode mnie polecenie, by tego nie robić. Nie chciałem, żebyś myślała, że mam wobec ciebie jakieś podejrzenia. Wiedzieli tylko oni. Bullock nie wierzył w twoją podłość, kiedy

jednak podzieliłem się z nim swoimi odkryciami na twój temat, nie mógł dłużej cię bronić.

– Ty tak twierdzisz...

Puller nie odrywał od niej wzroku.

– Tamten odcinek plaży z zapachem siarki. Leży w granicach Paradise. Zasięgnąłem języka u Bullocka. Nie jest regularnie patrolowany, ponieważ nic się tam nigdy nie dzieje. Dodał jednak, że pewna osoba zgłosiła się na ochotnika, żeby zaglądać tam od czasu do czasu. Chcesz zgadywać, kto był tym ochotnikiem?

Landry nadal milczała.

Puller przysunął się do niej bliżej.

– I podczas jednego z tych „patroli”, kiedy w rzeczywistości pilnowałaś przepływu niewolników, zauważyłaś moją ciotkę siedzącą w swojej toyocie camry z dziennikiem na kolanach, obserwującą i sporządzającą notatki. Miała trudności z poruszaniem się, ale chciała pozostać niezależna. I zapewniała sobie tę niezależność, jeżdżąc specjalnie wyposażonym samochodem późnym wieczorem, kiedy powietrze nie jest aż tak parne. Pewnego razu coś zobaczyła. Opowiedziała o tym swoim przyjacielom, państwu Storrowom. Prawdopodobnie też udali się w to miejsce i ujrzeli to samo, co moja ciotka. Zgłosili to tobie, Landry. Patrolowałaś ich okolicę. Szanowali cię. Opowiedzieli o tym, co zobaczyli. Ty udałaś, że przyjęłaś zgłoszenie, a potem wywaliłaś je do kosza.

Staął jeszcze bliżej i wyjął z futerału nóż.

– Pojechałaś więc na ten odcinek plaży, gdzie Storrowowie lubili chodzić na nocne spacerki, strzeliłaś im prosto w głowy i wrzuciłaś ich ciała do wody, żeby fala zabrała je z dala od brzegu.

Teraz czubek noża Pullera niemal dotykał gardła Landry. Diaz nerwowo spoglądała w ich stronę, a Carson trzymała ster, ale też

raz po raz oglądała się przez ramię na rozgrywającą się scenę.

Mecho siedział ze stoickim spokojem, przyciskając dłoń do postrzelonego przedramienia i wpatrując się w Landry.

– Myślę, że ciotka cię podejrzewała. Pamiętasz? „Ludzie o podwójnym obliczu”? Potrafiła przejrzeć kłamstwo na wylot. I może uświadomiłaś sobie, że wyczuła pismo nosem. Pojechałaś więc do jej domu, ukradłaś dziennik, a potem wyprowadziłaś ją na zewnątrz, wsadziłaś jej głowę pod wodę i trzymałaś tak długo, aż przestała oddychać.

– Nie zdołasz niczego udowodnić – warknęła Landry.

Puller dosunął ostrze prawie do jej skóry, jednocześnie chwytając ją za włosy i odciągając głowę w tył. Uwypukliły się duże żyły na szyi. Wtedy przyłożył czubek noża do jednej z nich.

– Przy tak niespokojnym oceanie i tak silnym kołysaniu motorówki łatwo mogę stracić kontrolę nad tym ostrzem. Bez trudu przetnie wszystkie naczynia krwionośne doprowadzające krew do mózgu.

– To nie najlepszy sposób na zdobycie dowodów – rzekła. Świdrowała Pullera wzrokiem, wyraźnie usiłując wyczytać z twarzy jego zamiary.

Odwzajemniał jej spojrzenie z całkowitym spokojem. Znajdował się w tej chwili jakby w innej rzeczywistości. Tak jak wtedy, w strefie śmierci na platformie wiertniczej. A nawet jeszcze intensywniej. Był maksymalnie skoncentrowany, jakby miał śmiertelnie postrzelić taliba z odległości tysiąca metrów pod palącym słońcem pustyni, gdzie margines błędu równał się zeru. W tej chwili na całym świecie był tylko on oraz Cheryl Landry.

– Kto mówi o dowodach? – zapytał półszepem.

Landry próbowała ironicznie się uśmiechać, robić dobrą minę do złej gry, udawać, że nadal panuje nad sytuacją, mimo że tak nie

było i już nie będzie.

– Nie zabijesz mnie, nie przy tylu świadkach.

– Wyłynęliśmy we czworo i wróciliśmy we czworo – oznajmił stanowczo Mecho.

Diaz z rezygnacją wzruszyła ramionami, a Carson wtrąciła:

– Ocean jest ogromny, Landry. Od czasu do czasu coś w nim ginie i już nigdy nie wypływa na powierzchnię. A łajdacy lądują na dnie.

– O ile wszystkim wiadomo, powinnaś być teraz na patrolu – dodał Puller. – Nie poinformowałaś nikogo, że się zerwałaś, a już na pewno nie zrobiłem tego ja.

W oczach Landry zabłyśły łzy.

– Słuchaj, może się jakoś dogadamy.

– Może się zamkniesz, a ja dokładnie ci wyjaśnię, co masz zrobić.

– Jaki miałabym w tym interes?

– Albo zrobisz, co każę, albo twój zadek osiadzie na dnie oceanu.

Landry zerknęła na wzburzoną wodę. Górna krawędź nadburcia znajdowała się niespełna pół metra nad powierzchnią.

– Jesteś wojskowym. Nie możesz mnie tak po prostu zabić.

– Och, takich jak ty zabijam nieustannie.

– Jestem policjantką.

– Nie, jesteś wrogiem. Uznaję to, co robisz, za zbrodnię przeciwko temu krajowi oraz zasadom, które reprezentuje. Moim zdaniem czyni to z ciebie terrorystkę. A dla mnie terroryści nie mają żadnych praw. Nie masz prawa milczeć. Nie masz prawa korzystać z adwokata. A ja za żadną cholere nie mam zamiaru marnować płaconych przeze mnie podatków na utrzymywanie takiej gnidy jak ty w amerykańskim więzieniu. Wyrzucę cię za

burtę tu, gdzie jesteśmy, a ostatnim widokiem, jaki będziesz miała przed oczami, zanim do akcji wkroczą rekiny, będzie moja facjata.

Landry westchnęła, pociągnęła nosem, zakasłała i starała się wzbudzić litość, udając całkowitą bezbronność.

Puller nie zareagował.

Nie była już młodą, piękną, pociągającą kobietą.

Była odrażająca.

Utraciła swoje prawa, gdy zaczęła brać udział w procederze niewolnictwa. Kiedy bezlitośnie zabiła troje starszych ludzi, którzy po prostu chcieli postąpić jak prawi obywatele. I zrobiła to, nosząc mundur.

– Wiesz co? Gdybyś była w wojsku, zwyczajnie byśmy cię zastrzelili – wtrąciła Carson.

Widząc, że Puller nie blefuje, Landry wyjąkała:

– Co mam zrobić?

91

Lampert siedział na swoim luksusowym jachcie i rozmyślał nad katastrofą swojego imperium. Operacja na plaży została zniweczona. Za sprawą co najmniej czworga ludzi. Pullera, towarzyszącej mu kobiety. Olbrzyma.

Oraz Murdoch, która – jak już teraz wiedział – była kimś zupełnie innym, niż sądził.

Miał w swoim gronie wtyczkę, a zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy było za późno.

Jego wspólnik, Winthrop, zapłacił najwyższą cenę za wprowadzenie szpiega. Nieistotne, czy miał tego świadomość, czy nie. Jego rozczłonkowane zwłoki opadały właśnie na dno zatoki.

Lampert nie wiedział, gdzie są Puller i reszta. Żywił nadzieję, że olbrzyma będzie miał z głowy, ale ktoś go ostrzegł.

Murdoch.

Nie miał pojęcia, czy jest członkiem konkurencyjnej organizacji przestępczej, czy oficerem policji. Tak czy owak, każda z tych możliwości była równie kłopotliwa.

Jak na ironię, nie przejmował się lokalną policją. Miał tu asa w rękawie. Martwił go natomiast Stiven Rojas. Dał Lampertowi ultimatum. Jeszcze zanim doszło do koncertowego spieprzenia sprawy.

Opróżnił magazyn i odesłał towar na wodę. Sztorm nieco pokrzyżował mu szyki.

Zamierzał przetrzymać tam więźniów do czasu ustalenia nowego miejsca wyładunku, a wtedy zająłby się interesem od nowa.

Raczej nie na Florydzie. Jego ludzie opracowywali w tej chwili logistykę przetrzucania towaru przez Alabamę.

Platformy wiertnicze były darem niebios. Firmy naftowe musiały w określonym czasie zdecydować, co z nimi zrobić po ich zamknięciu. Wiele z nich odcinano poniżej poziomu wody i odholowywano w inne miejsca, gdzie tworzono z nich sztuczne rafy. W wielu wypadkach była to najtańsza alternatywa. Inne firmy decydowały się na całkowite rozebranie konstrukcji. Jeszcze inne, gdy skończyły się im pieniądze albo bankrutowały, po prostu je porzuciły.

W grupie zawsze bezpieczniej, a nieużywane platformy w Zatoce Meksykańskiej liczyło się w tysiącach. Były rozsiane wszędzie. Straż przybrzeżna czy ktokolwiek inny nie zdołałby skontrolować wszystkich.

Ale nie można trzymać na nich towaru bez końca. Ostatecznie ustali nowy punkt wyładunku i ponownie zaczną wysyłać transporty.

Kolejny problem jest oczywisty. Murdoch i reszta. Jak dużo wiedzą? Co z tą wiedzą zrobią?

Może powinienem wyjechać z kraju?

Po co czekać, aż mnie aresztują albo doręczą wezwanie sądowe?

Ale co mogą na niego mieć?

Nie pozostawiał za sobą śladów.

Nawet gdyby którykolwiek z jego ludzi puścił farbę, nie mają dowodów. Zresztą nie sądził, by ktokolwiek ośmielił się sypać. Lampert miał przyjaciół wszędzie, z wymiarem sprawiedliwości i więziennictwem włącznie. Informowano o tym jasno wszystkie przyjmowane do pracy osoby. A nawet gdyby nie dość bali się jego, Stiven Rojas budził prawdziwy strach.

Ten sukinsyn może dopaść każdego. Wszędzie. Nawet tych

objętych programem ochrony świadków.

Co oczywiście oznacza, że może dopaść i mnie.

Lampert wziął do ręki telefon i skontaktował się ze swoim szefem ochrony. Komunikat był zwięzły:

– Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi. Informuj natychmiast, gdyby ktoś się zbliżał.

Następną rozmowę przeprowadził z kapitanem jachtu.

– Chcę być gotowy do wypłynięcia w ciągu godziny.

– Ocean jest nadal niespokojny – odparł kapitan, wyraźnie zaskoczony rozkazem.

Wypłynęli jachtem na otwarte wody, żeby przetrwać sztorm na kotwicy. Burza tropikalna to nie to samo co huragan czwartej kategorii. Taki potrafił poderwać jacht i cisnąć go na ląd.

Jachtem rzucało jak łupinką i raz czy dwa Lampert myślał, że dostanie ataku choroby morskiej. Wolał jednak zwymiotować, niż żeby ktoś palnął mu w łeb. Gdyby rzeczywiście trzeba było dać nogę, będzie musiał zostawić żonę i syna. Ale to żaden problem. Zawsze można sprawić sobie nową żonę. A syn wyrastał na niezłego sukinsyna. Poradzi sobie w życiu, dysponując takim funduszem powierniczym.

– Dlatego płacę ci tyle, ile płacę. Godzina.

– Tak jest, proszę pana.

Lampert się rozłączył i powiódł wzrokiem po kabinie. Patrzyły na niego najszlachetniejsze materiały z całego świata, przedmioty wykonane przez niesłychanie utalentowanych rzemieślników.

Miał wszystko, co najlepsze. Należało mu się. Harował jak wół. Zwykli zjadacze chleba nie mieli bladego pojęcia, ile pracy wymaga zbudowanie fortuny. A utrzymanie jej jeszcze więcej.

Podatki były zbyt wysokie, przepisy dławili biznes, a mimo to

przetrwał. Zatrudniał ludzi. Tworzył miejsca pracy tam, gdzie wcześniej ich nie było. To samo robił na Wall Street. I został oszkalowany za swoje starania.

Biznes dopiero się rozkręcał. Włożył ogromne pieniądze w infrastrukturę, szkolenie, sprzęt, ludzi. Podjął potężne ryzyko. I to wszystko się opłaciło. Jego sposobu dystrybucji zazdrościł mu cały świat. Przerzuczał pięciokrotnie więcej towaru niż ktokolwiek inny. Do dotychczas niezorganizowanej i pokątnej działalności wprowadził precyzję i biznesowy sposób myślenia.

No i w przeciwieństwie do ropy czy gazu bądź innych zasobów naturalnych pokłady jego towaru były nieskończone. Póki nie położy się kresu biedzie na świecie, będzie mógł dowolnie wybierać i przebierać. A gdyby miał coś do powiedzenia w tej kwestii – ubogich nigdy nie zabraknie. Miejsce na szczycie jest ograniczone. On zaś nie zamierzał się go zrzekać.

Lampert od zawsze wiedział, że jest stworzony do lepszych i poważniejszych rzeczy.

Ale musi przetrwać. Tu ryzyko jest największe. Dlatego zarabia tak ogromne pieniądze. Ponieważ może stracić wszystko.

Z życiem włącznie.

Ponownie skupił się na bieżącym zadaniu.

Rojas nie wie o ostatnich manewrach. Sztorm zmusił go do wypłynięcia daleko w morze. Lampert wątpił, by jego wspólnik ryzykował lot helikopterem przy tak nieprzewidywalnym wietrze i zachmurzeniu. Dawało to Lampertowi coś, czego tak rozpaczliwie potrzebował.

Czas.

Czas na obmyślenie wyjścia z opresji. Zaplanowanie kolejnych kroków.

Przetrwanie.

Niewiadomą był oczywiście Puller i jego kohorta.

Śledzili ciężarówkę z towarem. Byli wyraźnie zorientowani, co się odbywa na plaży. Doszło do strzelaniny. Nie miał wieści od swoich ludzi, wiedział więc, że przegrali.

Co ten Puller kombinuje?

Próbował skontaktować się z platformą, ale nie było zasięgu.

Znów przez tę burzę. Wyjątkowo fatalnie się złożyło.

I wtedy, jakby w odpowiedzi na jego modły, zadzwoniła komórka. Spojrzał na numer i się uśmiechnął.

– Miałem nadzieję, że się odezwiesz – powiedział.

– Mam ci dużo do przekazania. Możemy się spotkać? Teraz?

Sztorm szybko się uspokajał, ale od czasu do czasu nadal przechodziły gwałtowne ulewy. Nawałnica Danielle zużywała resztki energii.

Był dzień, lecz niebo nadal zasnuwały ciemne chmury. Wydawało się, że dopiero wstaje świt.

Ktoś zapukał do drzwi.

Lampert otworzył je osobiście. Dopłynął do brzegu pomocniczą motorówką. Zwymiotował dwa razy, bo łódką niemiłosiernie bujało. Miał nadzieję na dobre wiadomości.

Patrzył na przemoczoną do suchej nitki Landry. Miała posiniaczoną twarz.

– Cholera, co ci się stało?

– Mogę najpierw wejść? I czegoś się napić?

Odwrócił się, Landry weszła za nim do środka. Zaprowadził ją do swojego prywatnego gabinetu i zamknął drzwi.

– Chcesz się przebrać?

– Chciałabym się napić. Nic więcej.

Nalał jej szkocką z usytuowanego pod ścianą baru.

– Byłem na Lady Lucky i zastanawiałem się, czy nie powinienem wiać.

– Uwierz mi, myślałam o tym samym.

Przyjęła szklankę whisky, wypła łyk, po czym usiadła naprzeciwko biurka. Lampert również spoczął na fotelu, złączył czubki palców i patrzył na nią wyczekująco.

– No więc?

Przełknęła jeszcze jeden łyk trunku, a następnie przycisnęła zimną szklankę do siniaka na twarzy.

– Operacja rozbita.

– To wiem.

– Murdoch jest szpiegiem.

– To też wiem.

– Nazywa się Claudia Diaz. Jest porucznikiem Kolumbijskiej Policji Narodowej.

Lampert patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym wykrzyknął:

– Niech to szlag!

Landry zareagowała uśmiechem.

– A więc tego nie wiedziałeś. – Podniosła szklankę. – Może też ci się przyda.

– Mów, co się stało.

Landry pociągnęła jeszcze jeden łyk, poprawiła się w fotelu i przeciągle westchnęła.

– To się stało, że uratowałam ci tyłek.

– Jak?

– Nigdy nie ufałam Winthropowi ani Murdoch.

– Sprytnie.

– Dlatego ich obserwowałam. Winthrop jest czysty. Murdoch nie. To jasne, że pozwoliła mu grzebać w swoich majtkach, żeby znaleźć się bliżej ciebie.

– Teraz rozumiem.

Uśmiechnęła się, przekrzywiła głowę. Za oknem lał deszcz, gęste ciemne chmury kłębiły się na niebie, nie przepuszczając słońca.

– Ciebie też wpuściła do swoich majtek?

– Ta kwestia nie ma związku z naszą rozmową, ale odpowiedź brzmi: tak.

– Więc i ty dałeś się zwieść.

– Mam słabość do kobiet. I chyba rzeczywiście się napiję. Mów dalej. Jestem szalenie ciekaw, w jaki sposób uratowałaś mi tyłek.

Gdy nalewał sobie whisky, Landry kontynuowała relację:

– Twój atak na olbrzyma nie wypalił. Diaz dała mu cynk.

Lampert usiadł ponownie ze szklaneczką szkockiej.

– Dlaczego to zrobiła? Współpracują ze sobą?

– W tej chwili to nieistotne. Oboje nie żyją.

Lampert lekko się zachłysnął, trunek trafił do niewłaściwej rurki.

– Nie żyją? Jak do tego doszło?

– Już mówiłam: ocaliłam ci kuper. Puller też nie żyje.

– A tamta druga kobieta? Twierdziłaś, że jest generałem. Carson, zgadza się?

– Też gryzie piach. Tak jak cała reszta. Przecież nie mogliśmy pozwolić im wyjść z tego cało.

Oczy Lamperta miały błyskawice.

– Właśnie rozpętałaś piekło, Cheryl. Wkroczy Pentagon. I dobierze się nam do dupy.

– Wolałbyś inną opcję? Ślad prowadzi prosto do ciebie.

– Tak by się nie stało.

– Już się stało, Peter.

Nic nie odpowiedział. Tylko patrzył na nią tak, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata.

– Dowiedzieli się o magazynie.

– Opróżniłem go. Nic by tam nie znaleźli.

– Ale platformę znaleźli – powiedziała, wskazując przez okno w stronę zatoki.

Lampert odstawił szklankę i przysunął fotel do biurka. Z twarzy odpłynęła mu krew.

– To niemożliwe.

– A olbrzym? *À propos*, nazywa się Mecho. Był na tej platformie. Twoi ludzie złapali go w Meksyku. Uciekł. Dopłynął do brzegu. A potem tam wrócił. Wczoraj w nocy.

– Tak właśnie myślałem. Wydawało mi się, że mnie szpieguje. Ale nie wiedziałem dlaczego. Sądziłem, że po prostu chce mnie okraść.

– Śledził cię, Peter. Chciał ukraść, ale nie coś, tylko całe twoje życie i wszystko, co posiadasz. Niewiele brakowało, a osiągnąłby cel.

Lampert chwycił za szklankę i cisnął nią o ścianę.

– Skurwiel!

Landry obserwowała, jak whisky spływa po dotychczas nieskazitelnie czystej tapecie.

– Weź się w garść, Peter. Oni nie żyją.

– Jak to się stało?

– Jestem kompletnie przemoknięta i mam rozkwaszoną twarz. Co ci to mówi?

– Walka w burzy.

– Na życie i śmierć. Tam, na platformie. Nie będę kłamać, że obyło się bez ofiar. Nie obyło się. Zabili prawie wszystkich twoich ludzi, ale w końcu ich pokonaliśmy dzięki przewadze liczebnej i odrobinie szczęścia.

– Jak się tam znalazłaś? – zapytał, spoglądając na nią nieco podejrzliwie.

– Śledziłam Diaz. Wsiedli do motorówki. Ja zrobiłam to samo. Dopłynęli do platformy. Ja też.

– W tym sztormie? Jakim cudem?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Wychowałam się na Florydzie. Surfowałam na falach po przejściu huraganu. Pływam motorówkami od dziesiątego roku życia. Gdyby to był huragan pierwszej czy drugiej kategorii, nie podołałabym. Ale w burzy tropikalnej, jeśli człowiek wie, co robi, to sobie poradzi. I na twoje szczęście sobie poradziłam. Sądziłam, że właśnie dlatego mnie wynajęłeś. Ze względu na moją doskonałą znajomość warunków lokalnych. Oraz umiejętność działania pod presją.

– Co się wydarzyło?

– Uprzedziłam ludzi na platformie. Z początku telefon nie działał, ale w końcu złapałam zasięg. Powiedziałam im, co się święci. Przygotowali się, ale walka i tak była zacięta. Tamci czworo to prawdziwi wojownicy, trzeba im to przyznać. Nie dali się tak łatwo pokonać.

– Co z towarem?

– W większości nietknięty. Choć nie obyło się bez kilku ofiar.

– Co z ciałami?

– W wodzie. Nigdy ich nie znajdą. Wycięliśmy płuca. Zwłoki pójdą na dno i tam pozostaną.

– Sprytnie. Naprawdę doceniam twoją robotę, Cheryl. Zabicie Storrowów i tamtej starszej kobiety to świetne posunięcie. Mogli wszystko zaprzepaścić. Premia, którą ci za to wypłaciłem, była chyba nieadekwatna.

Zdał sobie sprawę, że niewystarczająco ją pochwalił.

– Po tej nocy zarobiłaś kolejną. Olbrzymią. Oraz awans.

Wyciągniemy cię z tego munduru i ubierzemy w garnitur. Obejmiesz stanowisko Winthrop.

– Nie będzie miał z tym problemu?

– Miałby, gdyby żył. Kazałem go kropnąć za to, że pozwolił Diaz nas zinfiltrować. Przenosimy nasz biznes. Moi ludzie od logistyki dokonują właśnie obliczeń i analiz. Myślę o Alabamie.

– Jest jeden problem.

– Jaki?

– Stiven Rojas.

– Co z Rojasem?

– Jest twoim współnikiem w handlu żywym towarem.

– No i?

– Mówiłeś, że postawił ci ultimatum.

– Tak.

– Jak myślisz, co teraz zamierza? Po tym wszystkim? Nie jest to do końca czyste wyjście.

– Myślę, że moje znaczenie wzrosło na tyle, że *señor* Rojas będzie musiał wysłuchać moich warunków. Kanały przerzutowe są większym atutem niż sam towar. Towar mogę zdobyć samodzielnie. Już to zrobiłem. W Azji i Afryce. Mnóstwo tam biednych, głupich ludzi. A Rojas nie może zdublować moich szlaków. Brak mu niezbędnych kontaktów.

– Mimo wszystko gra z takim człowiekiem jest niebezpieczna.

– Ja go nie lekceważę. Kiedy jednak ma się przewagę, trzeba czerpać pełnymi garściami.

– Myślę dokładnie tak samo.

Ta uwaga nie pochodziła od Landry.

Puller otworzył kopniakiem drzwi i wparował do gabinetu.

Za nim Diaz, Carson oraz Mecho.

Wszyscy z bronią wymierzoną w Lamperta.

Lampert najpierw patrzył na nich, a potem ze zdziwieniem przeniósł wzrok na Landry.

– Wrobiłaś mnie?

– Obawiam się, że tak.

– Zdajesz sobie sprawę, co narobiłaś, idiotko?

– Nie jestem pewna, czy masz świadomość pełnej skali problemu.

Rozpięła dwa górne guziki bluzki i wyciągnęła kabel oraz nagrywarkę. Podała je Pullerowi, po czym zwróciła się ponownie do Lamperta.

– Dostrzegłam okazję, więc z niej skorzystałam – rzekła i dodała głuchym głosem: – Ale nic szczególnego nie zyskałam. Życie w celi zamiast zastrzyku. Taki sobie interes.

– Nie sądzę, żebyś mógł dobić podobnego targu – rzekł Puller do Lamperta.

– Jak przebiliście się przez moją ochronę?

– Powinni byli dostać rozkaz dokładniejszego sprawdzania wnętrza każdego samochodu. Widząc Landry za kierownicą, po prostu nas przepuścili.

Lampert zwrócił się do Landry:

– Ty idiotko.

– Złapali mnie przy robocie, Peter. Przepraszam.

– Dopadnę cię w więzieniu.

– Możesz próbować – odezwał się Puller. – Sądzę jednak, że będziesz miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Wynajmę najlepszych prawników.

– Bardzo się przydadzą – rzekła Diaz. – Będę mocno naciskać, żebyś sądono cię w Kolumbii. Amerykanie są zbyt łagodni. W moim kraju wymiar sprawiedliwości działa znacznie szybciej.

Puller założył kajdanki Landry oraz Lampertowi.

– Idziemy – rzucił. Zrobił wymowny gest swoim M11.

Lampert wstał i powiedział do Landry:

– Już po tobie. I po was wszystkich.

Wyszedł, a za nim cała reszta.

Dotarli na dziedziniec przed domem, a wtedy Puller gwałtownie się zatrzymał.

– Co jest? – zapytała Carson.

Mecho również czujnie się rozglądał.

– Padnij! – ryknął Puller.

W tej samej chwili rozpoczęła się kanonada.

93

Puller dostrzegł pozycje strzelców ułamek sekundy przed tym, jak padł na ziemię.

Wyciągnął M11 i otworzył ogień osłaniający, opróżniając magazynek. Był to manewr obronny, zastosowany wyłącznie po to, by zyskać kilka sekund na zajęcie nowej pozycji i zaplanowanie kontrataku. Ukrył się za samochodem, ścisnął w rękę MP5 i lustrował teren przed sobą.

– Puller!

Obejrzał się. Wołała go Carson. Schowała się za kamienną kolumną przed frontowymi drzwiami.

Wskazywała na lewo.

Puller spojrział w tamtym kierunku i poczuł skurcz żołądka.

Diaz leżała twarzą w dół w kałuży krwi. Nawet z tego dystansu i pomimo półmroku Puller widział, że nie żyje.

Rozejrzał się za Landry i Lampertem.

Landry kulila się za drzewem. Krzyknęła do Pullera:

– Lampert uciekł!

Puller podniósł głowę i popatrzył tam, skąd padły strzały. Brakowało mu jednej osoby.

Mecho.

Nie podejrzewał, że olbrzym zwiął. Był gotów do walki, nakręcony, tak samo jak Puller.

Puller ponownie spojrział za siebie na Carson po tym, jak posypał się nad nim grad pocisków.

Gestem zakomunikował jej, co zamierza zrobić. Kiwnęła głową i mocniej ścisnęła broń.

Puller się odwrócił, przeskakując wzrokiem wszystkie istotne punkty.

Zauważył go dopiero przy drugim podejściu.

Mecho znajdował się bezpośrednio na tyłach napastników i mierzył do nich z broni.

Świetna robota, pomyślał Puller.

Strzelców było sześciu.

Puller poszukał wzrokiem pojazdów, którymi tu przybyli, ale nie zauważył ani jednego.

Wtedy przyszło mu do głowy, że zaatakowali ich członkowie ochrony Lamperta.

Sekundę później dostrzegł leżące na ziemi ciała.

A więc tu są ochroniarze.

A tamci to nowa siła, z którą należało się liczyć.

I nie przyjechali samochodami.

Puller ostrożnie analizował sytuację taktyczną.

Ich troje, sześciu po stronie wroga.

Jego zdaniem druga strona cierpiała na rozpaczliwy niedobór sił. Powinni byli przysłać więcej ludzi.

Puller policzył do trzech, przeokoziłkował i otworzył ogień z MP5. Wyłącznie dla zmyłki. I tym razem nie celował w nikogo. Przyciągał uwagę. Chwilę później odpowiedzieli ogniem. Koncentrowali się wyłącznie na nim.

Carson wypuściła dwa pociski. Śmiertelnie raniła jednego. Drugi mężczyzna złapał się za ramię, broń wypadła mu z rąk. Dobrze, wyeliminowany z walki.

Dwóch załatwionych, zostało czterech.

Wtedy Mecho zaatakował od tyłu.

Dwóch strzelców najbliższej olbrzyma padło w jednej sekundzie. Jeden z kulą w potylicy. Drugi pchnięty nożem w serce.

Pomimo rany postrzałowej ramienia Mecho miał aż nadto siły, by zadać ostrzem śmiertelny cios.

Czterech trafionych, zostało dwóch.

Dwaj pozostali przy życiu napastnicy przenieśli całą uwagę na Mecha.

Nadeszła kolej Pullera.

Pobiegł zygzakiem w lewo, a potem błyskawicznie odbił w prawo.

Złożył się do strzału i dwukrotnie nacisnął spust M11.

Obie kule w głowę.

Obie zabójcze.

Sześciu trafionych. Nie został już nikt.

W tym momencie Puller powrócił myślami do wydarzeń w hotelu Sierra.

W jednej milisekundzie jego mózg przeanalizował fakty.

Sześciu strzelców przeciwko czterem. Musieli sprzątnąć strażników Lamperta. Uwzględnić możliwe straty w wyniku konfrontacji, nawet jeśli zaatakowali z zaskoczenia. Wszystkie leżące bezładnie ciała miały na sobie mundury ochrony Lamperta. Więc nie ponieśli żadnych strat. Sześciu ludzi stanowiło ich pełną obsadę.

Musieli przypuszczać, że na miejscu będzie Puller i spółka. To oznaczało, że w połączeniu z ochroniarzami Lamperta dysponowałiby znacznie mniejszą siłą ognia.

Założył, że strzelcy są ludźmi Rojasa. A Stiven Rojas to szczywany lis. Tacy nie przysyłają byle kogo.

Zareagował błyskawicznie.

– Nadciąga druga fala! – zawołał.

Carson i Mecho natychmiast się ukryli i zajęli nowe pozycje strzeleckie.

Puller cofnął się i przysunął do Landry. Popatrzyła na niego błagalnie.

– Na litość boską, Puller, rozkuj mnie i daj mi spluwę. Pomogę w walce.

Puller przeładował broń.

– Nic z tego, Landry. Już raz próbowałaś mnie zabić. Nie będę ryzykował po raz drugi.

– Jestem tu bezbronna.

– Nie, masz mnie. A ja mam silną motywację, by nie dać ci zginąć.

– Jaką znowu motywację? – warknęła.

Pochylił się ku niej, wkładając świeży magazynek do MP5. Szepnął jej do ucha:

– Chcę mieć pewność, że spędzisz resztę życia w mamrze. – Przetawił MP5 na ogień ciągły.

– Puller, błagam – pochlipywała.

Zignorował ją.

Druga fala miała uderzyć lada moment.

I to ze znacznie większą mocą niż burza tropikalna Danielle.

Na szczęście Puller trzymał asa w rękawie. A przynajmniej miał taką nadzieję.

W przeciwnym razie już po nich.

Druga fala okazała się dużo bardziej wyrafinowana niż pierwsza.

Co skłoniło Pullera do myślenia, że pierwsza była tylko manewrem mylącym. Zabrała im Diaz, redukując ich siły o dwadzieścia pięć procent. Utrata sześciu ludzi to sprytne zagranie, jeśli można rzucić do walki wielu więcej.

Okazało się, że można.

Wedle szybkiej rachuby Pullera – dwudziestu. Poruszali się w zwartych zespołach po czterech. Mieli kamizelki kuloodporne oraz potężną siłę ognia, przy której MP5 Pullera był dziecinną zabawką. Ustawili się na pozycjach strategicznych, tworząc klasyczną formację do przeprowadzenia manewru kleszczowego.

Puller spojrzał na Carson, Carson na Pullera.

Oboje rozpoznali tę taktykę i oboje rozumieli, jaki będzie jej nieuchronny rezultat.

Puller podniósł MP5. Ojciec nauczył go starego wojskowego myślenia.

Polec w walce to absolutnie żaden wstyd.

Opróżnił cały – zawierający trzydzieści nabojów – magazynek w jednej serii, strzelając do dwóch zwartych grup przed sobą. Padło dwóch ludzi. Ci nie podejmą już walki.

Przeładował broń.

Zużył trzydzieści nabojów, żeby zabić dwóch ludzi. Zostało jeszcze osiemnastu przeciwników. Nie wystarczy mu amunicji, by sprzątnąć ich wszystkich.

Tworzyli sprytne, doskonale wyszkolony oddział, ponieważ

skupili się na jednym celu i skierowali nań miazdzącą siłę ognia.

Samochód, za którym ukrywał się Puller, był podziurawiony jak rzeszoto. Sporo kul przebiło cienki metal na wylot i o mało nie pozbawiło Pullera kończyn. Nie miał innego wyboru, jak tylko się wycofać.

Carson wstrzymała ogień, żeby mu to umożliwić, a tym samym stała się kolejnym obiektem, na którym skoncentrował się wróg.

Zmasowana siła rażenia zrównała jej stanowisko z ziemią. Podczas odwrotu nie miała tyle szczęścia, co Puller. Dosięgły ją ich kule. Została ranna w nogę oraz ramię.

Puller do niej nie podbiegł, ponieważ wtedy nieprzyjaciel trzymałby ją pod ostrzałem. Odpowiedział ogniem ze swego nowego stanowiska, raz jeszcze przyjmując na siebie kontratak.

Oddalił się od Carson, biegał w nieprzewidywalnych kierunkach i unikał w ten sposób kul. Po latach takich praktyk na Bliskim Wschodzie pamięć motoryczna bezbłędnie sterowała jego ciałem. Nieomal wiedział, w które miejsca będzie celował nieprzyjaciel.

Przeciwnik powinien rozplanować miejsca ostrzału i prowadzić go wzdłuż wszystkich możliwych ścieżek poruszania się Pullera. Wtedy by już nie żył.

Nie zrobili tego, więc żył.

Zdołał dotrzeć do bezpiecznej kryjówki, odwrócił się i odpowiedział ogniem z MP5.

Zostali teraz tylko we dwóch: Mecho i on. Dwóch przeciwko prawie dwudziestu.

Układ sił miał się jednak wkrótce zmienić.

Zawibrowała komórka Pullera. Zerknął na ekran.

Odpowiedział, wpisując jedno słowo.

Teraz.

Rozkazy generała Julie Carson zostaną lada moment wykonane.

Głowy wszystkich obróciły się jak za pociągnięciem sznurka w kierunku dźwięków dobiegających z północy.

MH-60L DAP to śmigłowiec Black Hawk wyposażony w dodatkową potężną siłę ognia, w tym pociski przeciwczołgowe Hellfire, rakiety oraz karabiny maszynowe 7,62 minigun. Obsługiwany przez Sto Sześćdziesiąty Pułk Lotniczy Operacji Specjalnych zwany Night Stalkers²³ był praktycznie wszechstronną platformą bojową. Na szczęście dla Pullera jeden taki stacjonował w bazie wojskowej Eglin na potrzeby połączonych ćwiczeń piechoty oraz lotnictwa. Z hukiem nadleciał nad posiadłość Lamperta. Trzydziestomilimetrowe działko nakierowało się na grupki mężczyzn przyczajonych z bronią i czekających na pokonanie bez porównania słabszego przeciwnika.

Niektórzy z mężczyzn wycelowali lufy broni w śmigłowiec. Gdy dwóch z nich bezmyślnie zaczęło strzelać, Puller pomyślał sobie w duchu, że to zły ruch.

Leżał płasko na ziemi, zasłaniając rękoma uszy.

Uruchomiono działko, zdolne do wygenerowania fali ostrzału ponad sześćset pocisków na minutę. Wytworzyła się sytuacja zwana w wojsku zdarzeniem nieprzeżywalnym. Po niespełna dziesięciu sekundach niemal dwudziestu w większości uśmierconych ludzi leżało na ziemi.

Helikopter wylądował. Puller puścił się biegiem w stronę maszyny, odłożywszy najpierw broń. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, był widok wymierzonej w niego lufy działka.

Odsunęły się drzwi śmigłowca.

– Potrzebny lekarz! – próbował przekrzyczeć jazgot śmigła. – Mamy osobę w randze generała z ranami postrzałowymi.

Lekarz i ratownik chwycili torby, wyskoczyli z helikoptera

i ruszyli za Pullerem do miejsca, gdzie leżała Carson.

Była blada jak płótno, ale przytomna.

Puller uklęknął obok niej, a lekarz z ratownikiem przygotowywali sprzęt. Trzymał ją za rękę, gdy tamci podwieszali worki z krwią oraz solą fizjologiczną i podłączali kroplówkę.

Otworzyła oczy i spojrzała na Pullera.

– Krwawisz – powiedziała, powoli wyciągając rękę i dotykając jego ramienia.

– Wszędzie pełno krwi.

– Wykaraskam się?

Obie kule nadal tkwiły w jej ciele. Straciła bardzo dużo krwi. Była blada i słaba, a kiedy Puller zerknął na lekarza, ujrzał jego ponurą minę.

Mimo to Puller popatrzył jej prosto w oczy, ścisnął jej dłoń i zapewnił:

– Wykaraskasz się.

Siła ducha to najskuteczniejsze lekarstwo świata. Czasem wystarczyło dodać otuchy, żeby dokonał się cud. Na polu walki Puller naoglądał się takich przypadków bez liku, a kiedyś sam był odbiorcą takich krzepiących słów, gdy IED²⁴ o mało nie pozbawiło go w Iraku życia.

Wykaraskasz się. Czasem nie potrzeba nic więcej.

Odwzajemniła uścisk i zamknęła oczy, zaczął bowiem działać zaaplikowany przez lekarza środek przeciwbólowy.

Puller wstał i podbiegł do Landry siedzącej na ziemi ze skutymi za plecami rękoma.

– Pamiętaj o naszej umowie, Puller – powiedziała. – Podałam ci Lamperta na tacy.

– Jasne. Pocieszysz się tym, gdy w wieku osiemdziesięciu lat

będziesz nadal tkwić w więziennej celi. A nie wydaje mi się, by mieli tam deski wiosłowe. – Przywołał gestem zmierzającego w ich stronę żołnierza i machnął mu przed twarzą odznaką oraz dokumentami.

– Sierzancie, ta kobieta jest więźniem Armii Stanów Zjednoczonych, póki nie zostanie przekazana lokalnym władzom – wyjaśnił.

– Tak jest.

Sierzant wziął Landry na muszkę.

Puller usłyszał jakiś hałas.

Odwrócił się, w pierwszej chwili myśląc, że to Lampert podejmuje próbę ucieczki.

Ale nie był to Lampert. Tylko Mecho.

Gnał ile sił w nogach, dotarł już prawie do pomostu, który prowadził na plażę.

Puller puścił się za nim pędem.

Doskonale wiedział, jaki jest cel tej pogoni.

Mecho ścigał Petera J. Lamperta.

Tak samo jak Puller.

Lampert biegł ile tchu w piersiach. Ze skutymi za plecami rękoma wymagało to wiele wysiłku. Był w niezłej formie, ale brakowało mu sprawności bojowej. Nigdy w życiu nie strzelał z broni palnej. Od tego miał wynajętych ludzi. I nigdy nie musiał uciekać, żeby ocalić własne życie.

Teraz przyszło mu za to zapłacić.

Ogień ucichł. Jedyne, co w tej chwili słyszał, to fale tłukące o brzeg.

Jego łódź cumowała pięćset metrów dalej.

Nie podda się pomimo tej porażki. Przetrwa.

Tyle że w innym kraju.

Nie szkodzi. I tak życie tutaj zaczynało go męczyć.

Przycisnął rękę do boku, ponieważ złapała go kolka, ale się nie zatrzymał. Zmierzał prosto w stronę pomostu.

Stała tam jego motorówka.

Widział stąd swój jacht.

Wierzył, że zdoła do niego dopłynąć. Skoro Landry dotarła aż do platformy podczas burzy tropikalnej, to i on sobie poradzi przy spokojniejszej fali.

Na pokładzie miał nóż, którym może przeciąć plastikowe kajdanki. Potem pójdzie już gładko. Motorówka jest wytrzymała, fale maleją, przycicha wiatr. Tak, da radę.

Był już niemal na pomoście, kiedy to zobaczył.

Z początku nie zorientował się, co to jest.

Po chwili go oświeciło.

Patrzył na kiosk łodzi podwodnej.

Łódź Rojasa. Wspominał o niej podczas spotkania na jachcie. Mogła pomieścić wiele osób.

Więc to w ten sposób uzbrojeni ludzie dostali się na teren jego posiadłości. Przyłynęli łodzią podwodną.

W tej sytuacji trudno będzie wziąć motorówkę. A jeżeli to jego ścigają? Ocean jest nadal niespokojny. Gdyby łódź podwodna uderzyła w motorówkę, wyrzuciłaby ją, a on wpadłby do wody i utonął.

Stanął, wciąż przyciskając rękę do bolącego boku. Powinien był więcej trenować. Jego główną formą ćwiczeń fizycznych był seks. Niestety, nie przygotowywał człowieka do długich biegów po nierównym terenie.

Rozglądał się rozpaczliwie za inną drogą ucieczki.

Jeśli nie łódź, to co?

Droga wyjazdowa z posiadłości nie wchodziła w rachubę. Nawet w tej chwili słyszał wycie syren. Szedł powoli przed siebie, równoległe do plaży, i intensywnie myślał.

Musi być jakiś sposób.

Może należy jednak zaryzykować ucieczkę motorówką. Chyba łatwiej nią manewrować niż łodzią podwodną, prawda?

Rzecz w tym, że tego nie wiedział. Ale nie potrafił wymyślić sensownej alternatywy.

Nagle łódź podwodna zaczęła się zanurzać. Wykonała zwrot i błyskawicznie odplynęła od brzegu. Kiosk był wciąż jeszcze widoczny.

Może także usłyszeli w oddali syreny. Albo stwierdzili, że sprawy przybrały zły obrót i lepiej się wycofać.

Wszystko jedno, grunt, że Lampert dostał swoją szansę.

Lady Lucky ma kadłub ze stali. Znosi silny napór mas wody. Przepływał już nią Atlantyk. Gdy znajdzie się na wodach międzynarodowych, poczuje się o wiele bezpieczniej. Zanim Landry i inni zgłoszą wszystko policji, minie trochę czasu. Zanim wydadzą nakaz aresztowania, wyślą funkcjonariuszy... Ale wtedy on będzie już bardzo daleko.

Usłyszał za sobą jakieś odgłosy, odwrócił się i zrozumiał, na co się zanosì.

Zaczął w panice pędzić na łeb, na szyję ku swojej jakże cennej teraz motorówce, by jak najszybciej znaleźć się na pełnym morzu.

Miał taką minę, jakby ujrzał za plecami szatana.

I w pewnym sensie tak właśnie było.

Puller dogonił Mecha i dalej biegli ramie w ramie.

Mecho nawet na niego nie spojrział ani nie odezwał się słowem. Był całkowicie skoncentrowany na uciekinierze.

Puller i Mecho biegli jak zaprawieni w bojach żołnierze. Którymi zresztą byli. Nie rączo jak jelenie, ale wyćwiczonymi ruchami, z płynnością, która pozwalała uzyskać maksymalną efektywność przy skromnym wydatku energetycznym. Podczas starć zbrojnych często trzeba biegać. Ruchome cele zwykle wychodzą cało z opresji. Stacjonarne zwykle giną.

Gdy przestawało się biec, zazwyczaj trzeba było walczyć. Walka wymaga większego wysiłku niż bieg. Dlatego lepiej nie tracić sił na przebieranie nogami.

Doganiając swoją zwierzynę łowną, szli łeb w łeb. W ostatniej chwili Puller wysforował się i rzucił na Lamperta. Ten upadł bez tchu.

Mecho podniósł Lamperta z piasku brutalnym szarpnięciem.

Puller powoli wstał i przyglądał się mężczyznom.

Mecho patrzył na Lamperta, Lampert na Mecha.

Mecho miał kamienną twarz.

Na obliczu Lamperta strach mieszał się z ciekawością.

– Czego ode mnie chcesz, do jasnej cholery?! – krzyknął wreszcie.

Mecho pchnął go na piasek, sięgnął do kieszeni i wyjął fotografię. Podsunął ją Lampertowi pod nos.

– Pamiętasz ją? – zapytał głosem pełnym napięcia.

Puller obserwował i czekał. Nie wiedział, co zrobi, gdyby Mecho postanowił zabić Lamperta. Ten człowiek był jego więźniem, potencjalnym świadkiem przeciwko jednemu z najgroźniejszych przestępców na świecie. Mecho odniósł rany, ale Puller również. W starciu jeden na jednego wszystko może się zdarzyć. Puller znał swoje możliwości oraz ograniczenia i nie był pewien, czy dałby radę temu olbrzymowi.

Może zaskoczyłby sam siebie...

Szkopuł w tym, że nie chciał, by do tego doszło.

Mecho nie był jego wrogiem.

Lampert obojętnie patrzył na zdjęcie.

– Miałbym znać tę osobę?

– Ma na imię Rada. Wywiozłeś ją z wioski w górach Riła w Bułgarii. Ją oraz wiele innych. Ja stamtąd pochodzę.

Lampert spojrział na Pullera.

– On mówi poważnie? Myślicie, że zapamiętałbym kogoś takiego?

Puller mierzył go lodowatym wzrokiem.

– Niewłaściwa odpowiedź, Pete.

Mecho znów poderwał Lamperta z piasku, przytrzymał go jedną ręką, a drugą zamierzył się i uderzył z taką siłą, że Lampertowi wyleciało z ust kilka zębów. Pofrunął w tył na odległość półtora metra i wylądował na ziemi ze skutymi za plecami rękami. Zderzenie z gruntem było na tyle gwałtowne, że spowodowało wypadnięcie obu ramion ze stawów.

Wyjąc i płacząc z bólu, próbował się odczołgać.

– Zamknij się – nakazał Mecho.

– O Boże! – krzyczał Lampert. – O mój Boże!

– Zamknij się.

Mecho kopnął go w brzuch.

– Nie pamiętasz jej? Nie pamiętasz Rady?

– O Boże. – Lampert wypluwał z ust odłamki zębów oraz strzępy zakrwawionych dziąseł i z bólu tarzał się po piasku.

Puller uklęknął obok niego, przeciął kajdanki, po czym dwoma szybkimi, pewnymi pchnięciami nastawił oba stawy.

Lampert leżał i cicho szlochał, z trudem łapiąc oddech.

Mecho stał nad nim, jego dłonie raz po raz zwijały się w pięści i prostowały. Potężna pierś falowała przy każdym oddechu.

Puller wstał z klęczek i na niego popatrzył.

– Jak to rozegramy? – zapytał.

– On wraca ze mną.

– Jest pod moim nadzorem. Poszukiwany za popełnione tu zbrodnie.

– Wraca ze mną – warknął Mecho.

– Mecho, dopilnujemy, by ten łajdak już nigdy nie zobaczył słońca.

– Odebrał nam wszystko. Obiecałem.

Puller wyciągnął broń osobistą i wycelował ją w Mecha. Nie miał już amunicji, ale Mecho o tym nie wiedział.

– Zranienie cię, Mecho, to ostatnia rzecz na świecie, którą chciałbym zrobić. Ale mam do wykonania zadanie i zamierzam doprowadzić je do końca. Ten facet ponosi odpowiedzialność za zamordowanie mojej ciotki. I za to zapłaci.

Mecho popatrzył na pistolet, po czym odwrócił się w stronę Lamperta i jeszcze raz podsunął mu fotografię.

– Powiedz mi, gdzie ona jest. No już!

– Nie wiem – łkał Lampert, otwierając z wysiłkiem pokiereszowane, zakrwawione usta. – Przysięgam na Boga.

Mecho szarpnął go i podciągnął w górę.

– Wiesz. I mi powiesz.

– Nie wiem. Psiakrew, nie wiem!

Mecho zwolnił uścisk, a Lampert z płaczem upadł na bok.

Olbrzym wpatrywał się w zdjęcie. Puller zauważył, jak po jego twarzy płyną łzy. Wielkie ciało Mecha zaczęło drżeć.

Puller przeniósł wzrok na ocean, na widoczny w oddali jacht Lamperta. Tak wielki majątek. Zbudowany na cierpieniu. Na zwykłej zachłanności. Na niszczeniu ludzkiego życia. Dla pieniędzy.

Obejrzał się na Mecha i schował broń. Ciężko westchnął. To, co zamierzał zrobić, urągało wszystkim zasadom, którymi kierował się przez niemal całe dorosłe życie.

– Jak planowałeś go stąd wywieźć?

Rosły mężczyzna podniósł wzrok.

– Bo co?

– Pytam z ciekawości.

– Mam znajomego. To kapitan statku towarowego. Zabierze nas do domu. Nie zadając żadnych pytań.

– Kiedy i gdzie?

– Dziś w nocy. Z portu w Panama City.

Lampert przestał szlochać i pilnie przysłuchiwał się rozmowie. Wyjął przez zmasakrowane usta:

– Chyba... żartujecie. Nie pozwolisz mu wywieźć mnie do... Bułgarii.

– Niby dlaczego? Już tam byłeś – rzekł Puller. – Podróż się udała, prawda? Dostałeś tam wszystko... Błąd... Wszystkich, których potrzebowałeś, zgadza się?

– Nie możesz...

– Ten znajomy to pewniak, Mecho?

– Absolutnie.

– Co stanie się z Lampertem w Bułgarii?

– Mamy wymiar sprawiedliwości, tak samo jak wy tutaj.

– A karę śmierci?

– Mamy coś gorszego.

– Gorszego? Na przykład co?

– Będzie żył. W rejonie Bułgarii, którego nikt dobrowolnie nie wybrałby sobie na miejsce zamieszkania. Będzie tam żył do końca swoich dni. I miał pełne ręce roboty w każdej minucie każdego dnia i każdego roku, póki nie padnie z przepracowania. My, Bułgarzy, jesteśmy bezwzględni dla ludzi, którzy wyrządzają nam krzywdę.

Lampert próbował usiąść, z ust ciekła mu krew.

– Na litość boską, Puller, nie wolno ci na to pozwolić. Jesteś gliną. Masz obowiązek. Nie możesz dopuścić, żeby ten facet mnie zabrał. Jest obcokrajowcem. To będzie uprowadzenie amerykańskiego obywatela. Płacę tu podatki. I to z nich wypłacają

ci swoją zasraną pensję. Jestem twoim pracodawcą.

Puller nie zwracał uwagi na tę tyradę, tylko zapytał Mecha:

– Twój znajomy robi to za darmo? Dlaczego?

– Niezupełnie za darmo. Coś mu obiecałem, ale nie wiem, jak to zdobyć. Nawet nie bardzo wiem, co to jest.

Mecho zreferował prośbę znajomego. Puller uśmiechnął się i zerknął na Lamperta.

– Okej. Ja wiem, co to jest.

Mecho wydawał się zaskoczony, ale i pełen nadziei.

– I możesz to zdobyć?

– I mogę to zdobyć – odparł Puller.

Panama City na Florydzie było znane całym pokoleniom studentów, którzy tradycyjnie urządzali najazd na miasto podczas ferii wiosennych.

Port w Panama City oferował łatwy dostęp do Zatoki Meksykańskiej oraz kanał o długości piętnastu kilometrów.

Transatlantyki wypływały turystów.

Frachtowce przywoziły towary i transportowały stąd amerykańskie produkty do reszty świata.

Panował tu ruch jak w ulu, dzień i noc.

Puller stał na nabrzeżu ze skrzynką w rękach i przyglądał się cyrylicy na stalowej burcie statku oraz dźwigom portowym, które podnosiły metalowe kontenery i ustawiały je jeden na drugim na pokładzie.

W pewnym momencie wniesiono dużą drewnianą skrzynię. Dwóch mężczyzn podtrzymywało ją z jednej strony, jeden z przeciwnej.

Tym z przeciwnej był Mecho. Zmył z siebie ślady walki, miał opatrzone rany, w większości ukryte pod ubraniem.

Co bardziej spostrzegawczy zauważyliby wywiercone w skrzyni dwa otwory wentylacyjne. Ale nikt się nie przyglądał.

W środku znajdował się Peter J. Lampert. Związany, zakneblowany i otumaniony lekami.

Obudzi się za mniej więcej sześć godzin.

Wtedy frachtowiec będzie już daleko na wodach zatoki. Okrąży najbardziej wysunięty na południe kraniec Florydy, po czym

rozpocznie długą podróż przez Atlantyck. Statek będzie posuwać się naprzód ze średnią prędkością dziesięciu węzłów. Miesiąc później, po przebyciu siedmiu tysięcy sześciuset mil morskich, dotrze do Bułgarii.

Raz postawiwszy stopę na bułgarskiej ziemi, Lampert już nigdy tego kraju nie opuści.

Gdy skrzynię zabezpieczono na pokładzie, Mecho zszedł po trapie na nabrzeże, a za nim zwalisty mężczyzna, który wydawał się silny jak tur.

Jego kark naznaczony grubymi żyłami miał obwód męskiego uda. Mężczyzna podwinął rękawy, odsłaniając przedramiona z widocznymi sznurami mięśni. Nosił czapkę szypra, z jego ust sterczało przekrzywione cygaro.

Zatrzymali się przed Pullerem.

Mecho przedstawił mężczyznę jako swojego znajomego oraz szypra statku w jednej osobie.

Szyper zmierzył Pullera wzrokiem.

– Mecho mówi, że masz coś dla mnie.

Puller podał skrzynkę.

– Dziesięć butelek.

Mężczyzna uniósł wieko i zajrzał do środka.

Jego twarz natychmiast rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Więc co to jest ten trzydziestoletni Macallan? – Mecho zwrócił się do Pullera.

– Whisky. Szkocka. I to naprawdę wyśmienita.

– I ma trzydzieści lat?

– Podobno.

– Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Powiedzmy, że Peter Lampert miał jeszcze jedną okazję do

odkupienia cudzych krzywd.

Mecho ze zdumienia rozdziawił usta.

– Zwinąłeś ją z jego domu? Nie kręciła się w pobliżu policja?

– Aż tak uważnie nie patrzyli mi na ręce.

Mecho wyciągnął do Pullera dłonie.

– Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłeś.

– Mam nadzieję, że odnajdziesz siostrę.

Mecho z wolna pokiwał głową.

– Nigdy nie przestanę jej szukać.

– Przynajmniej nie musisz już szukać Lamperta.

Olbrzym ponuro się uśmiechnął.

– Zawsze będę miał go na oku.

Mecho odwrócił się i zaczął wchodzić po trapie. W połowie drogi przystanął i pomachał do Pullera.

Puller odwzajemnił ten pożegnalny gest.

Po chwili Bułgar zniknął mu z oczu.

Godzinę później frachtowiec odpłynął, a Lampert rozpoczął długą podróż do kraju, który stanie się kiedyś miejscem jego wiecznego spoczynku.

– Krzyżyk na drodze – mruknął pod nosem Puller i wrócił do samochodu.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła Julie Carson po otwarciu oczu, było jasne światło nad głową. Drugą – siedzący przy szpitalnym łóżku Puller.

Złapał ją za rękę.

– Przeżyłam – rzekła lekko otępiała.

– Nigdy nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Lekarze mówią, że wkrótce będziesz jak nowa.

– Nigdy nikt nie postrzelił mnie na służbie. Dopiero jak zaczęłam zadawać się z tobą.

– Przy mnie ponosi się ryzyko zawodowe.

Podciągnęła się lekko na łóżku.

– Nie odbierz tego źle, ale nie przypuszczam, bym jeszcze kiedyś wybrała się z tobą na wakacje.

– Absolutnie zrozumiałe.

– Co z Landry?

– W areszcie. Nie zamykają się jej usta. Bullock rozważał przejście na emeryturę, ale po tej wielkiej obławie mógłby ubiegać się o urząd gubernatora.

– Więc to on spija całą śmietankę?

– Mnie na tym nie zależy, pani generał.

Ścisnęła mu dłoń.

– Julie. Nie jestem na służbie.

– Julie.

– A Diaz?

– Kolumbijczycy już odebrali jej zwłoki. Zginęła bohaterską śmiercią. Dopilnują wszystkich honorów.

– No i Mecho...

– Ocalał, choć z kilkoma draśnięciami, tak jak ja.

Skupiła wzrok na jego zabandażowanych kończynach.

– O Boże, John, właśnie sobie przypomniałam, że i ty oberwałeś.

– Kilka blizn więcej do kolekcji.

– Proszę, powiedz mi, że złapali Lamperta. Ostatnie, co pamiętam, to jak uciekał z rękami w kajdankach.

Puller się zawahał.

– Jeśli powiem ci prawdę, przysięgasz, że nigdy nikomu jej nie zdradzisz? Nawet gdyby wezwano cię do złożenia zeznań?

Podciągnęła się na poduszce i spojrzała mu prosto w oczy.

– Co?

– Lepiej dajmy temu spokój. Nie chcę, żebyś musiała krzywo przysięgać.

– O czym ty mówisz?

Puller patrzył na rurki prowadzące do urządzenia zamontowanego obok obojczyka.

– Kroplówka z morfiny na uśmierzenie bólu.

– Tak sędzę.

– Morfina mąci pamięć.

– Zdarza się. Ale rozmawialiśmy o Lampercie.

– Tak?

– John!

– Postanowił wybrać się na małą wycieczkę za granicę.

– Uciekł? Na swoim jachcie?

– Do Bułgarii. I tam, jak rozumiem, osiadzie na stałe.

– Jak to możliwe? Nie aresztowała go policja?

– Policja działała nieco opieszale. Popłynęliśmy motorówką Lamperta do odosobnionego miejsca na plaży. Łatwo było wpakować go tam do samochodu i wywieźć. Policja wie tyle, że zdołał zbiec. Tak im przynajmniej powiedziałem, kiedy zapytali.

Carson przyglądała mu się dłuższą chwilę, a następnie rzekła:

– Czuję, jak morfina wymazuje mi pamięć.

– Rozumiem.

– Kiedy będę mogła stąd wyjść?

– Za kilka dni.

– Odwiedzisz mnie?

– Ja tu mieszkam – odparł, wskazując na stojące obok łóżka krzesło z poduszką i kocem.

Uśmiechnęła się z czułością.

– A Diego i Mateo?

– Ze swoją *abuella*. Mieszkają w domu mojej ciotki. Co do pozostałych więźniów – po załatwieniu formalności zostaną odwiezieni tam, skąd pochodzą. Dotyczy to także domowej służby Lamperta.

– A Rojas?

Puller pokręcił głową.

– Nie. Nie tym razem. Ale i na niego przyjdzie czas.

Carson wydawała się bardzo tym wzburzona. Puller uspokajająco położył jej rękę na ramieniu. Kilka minut później zaczęła działać morfina i opadły jej powieki.

Puller wyszedł zadzwonić do brata w USDB. Zdał Robertowi relację z niemal wszystkiego, co się wydarzyło, przemilczając los Lamperta w Bułgarii.

– Niech to szlag, John – powiedział Robert. – Potrzebujesz

kolejnego miesięcznego urlopu, żeby dojść do siebie po tym kilkudniowym.

- Prawdę mówiąc, myślę, że jestem gotów wrócić w szeregi.
- Co masz zamiar powiedzieć staruszkowi?
- Jeszcze nie wiem.
- Powiesz mu, że jego siostra nie żyje?

Puller zastanowił się i w końcu odparł:

- Nie. Nie powiem.
- Jestem za.

Puller przekazał Sadie Diegowi i Mateowi. Dwaj chłopcy i maleńki piesek natychmiast się skumplowali. Puller pomyślał, że będą przyjaciółmi jeszcze przez długie lata. Miał też nadzieję, że zamieszkanie w przyjemniejszej okolicy z dala od gangów okaże się dla nich bardzo korzystne. Bullock obiecał ich pilnować.

Mnóstwo czasu upłynęło na osobistych rozmowach z Bullockiem, policją stanową oraz FBI, jak również na przygotowywaniu raportów. Wszystkie służby zapowiedziały, że zintensyfikują pościg za Stivenem Rojasem, zaznaczając, że w przeszłości ten człowiek okazał się całkowicie nieuchwytny.

– Nie ustawajcie w wysiłkach – rzucił Puller na odchodne po złożeniu ostatniego sprawozdania.

Carson wypuszczono ze szpitala dwa dni później, obandażowaną, obolałą i wymęczoną.

Ale żywą. Jeszcze jak żywą.

Rano poleciała wraz z Pullerem do domu prywatnym odrzutowcem, wysłanym po nich przez armię.

– Gulf piątka²⁵ – zauważył Puller. – Nigdy nie siedziałem w takim cacuszku.

– Trzymaj się ze wschodzącą generalską gwiazdą, a zabierze cię

w niejedno miejsce – rzekła Carson, gdy steward nalewał im szampana.

Puller pojechał do swojego mieszkania, obiecawszy najpierw Carson, że wieczorem zjedzą u niej w domu kolację. Podczas jego nieobecności Dezerterem opiekował się kolega Pullera, ale zaraz po przyjeździe Puller wypuścił kota na spacer, a później długo się z nim bawił.

Następnego dnia udał się do Pensylwanii z niewielkim pakunkiem. Zaparkował obok rozległej zielonej łąki, wysiadł i poszedł na jej środek. Otworzył wieko urny i bez pośpiechu rozsypywał prochy ciotki na pensylwańskiej wsi, tak jak sobie tego życzyła. Zamknął opróżnioną urnę, popatrzył w niebo i powiedział:

– Żegnaj, ciociu Betsy. Jeśli ma to dzisiaj jeszcze jakieś znaczenie, chcę powiedzieć, że dawno temu byłeś dla pewnego małego chłopca całym światem. Mężczyzna, na którego wyrósł, nigdy cię nie zapomni.

Puller wiedział, co musi teraz zrobić. W zasadzie powinien mieć to już za sobą.

Wrócił do Wirginii, wziął prysznic, włożył mundur galowy i ruszył do szpitala dla weteranów.

Szedł sterylnymi korytarzami, wysoki i wyprostowany jakby kij połknął.

Usłyszał głos ojca, jeszcze zanim zbliżył się do pokoju.

Po drodze stanął twarzą w twarz z tą samą pielęgniarką co poprzednio.

– Przez kilka ostatnich dni był po prostu nieznośny. Bez przerwy domagał się pana wizyty. Chwała Bogu, że pan przyszedł.

– Tak. I cieszę się, że tu jestem.

Pielęgniarka dziwnie na niego spoglądała, gdy ją mijał i otwierał drzwi do pokoju ojca.

Puller senior jak zwykle miał na sobie niebieskie szpitalne spodnie i biały podkoszulek. Wydawał się wzburzony i dezorientowany zarazem.

Gdy dostrzegł syna, ten przyjął pozycję „baczność” i energicznie zasalutował.

– Melduję się, panie generale.

Podniecenie ojca jakby zniknęło, a zastąpił je gniewny grymas.

– Gdzieżeście się, do ciężkiej cholery, podziewali?

– W terenie, wykonując wasze rozkazy, sir – odpowiedział Puller donośnym głosem, artykułując sylaby tak, jak nauczono go w wojsku.

– Z jakim rezultatem?

– Zadanie wykonane, panie generale. Wiatry pomyślne, wody spokojne.

– Diabelnie dobra robota, oficerze. Diabelnie dobra. Spocznij.

– Tak jest – rzekł John Puller, opuścił rękę i usiadł obok ojca.

Nie jak żołnierz.

W tej chwili był po prostu synem.

Podziękowania

Dla Michelle za bycie sobą oraz dobrą zabawę.

Dla Davida Younga, Jamie Raab, Mitcha Hoffmana, Emi Battaglii, Toma Maciaga, Mai Thomas, Marthy Otis, Karen Torres, Anthony'ego Goffa, Lindsey Rose, Boba Castilla, Michele McGonigle oraz wszystkich z Grand Central Publishing, którzy wspierają mnie każdego dnia.

Dla Aarona i Arleen Priestów, Lucy Childs Baker, Lisy Erbach Vance, Nicole James, Frances Jalet-Miller oraz Johna Richmonda za to, że tworzą najlepszy zespół, jaki pisarz mógłby sobie wymarzyć.

Dla Anthony'ego Forbesa Watsona, Jeremy'ego Trevathana, Marii Rejt, Trishy Jackson, Katie James, Aimee Roche, Lee Dibble'a, Sophie Portas, Stuarda Dwyera, Stacey Hamilton, Jamesa Longa, Anny Bond, Michelle Kirk oraz Natashy Harding z Pan Macmillan za wyniesienie mnie na wyżyny w Wielkiej Brytanii.

Dla Arabelli Stein, Sandy Violette oraz Caspiana Dennisa, wspaniałych partnerów zza Atlantyku.

Dla Rona McLarty'ego oraz Orlagha Cassidy'ego za jak zawsze fantastyczną pracę z nagraniami.

Dla Stevena Maata z wydawnictwa Bruna za wywindowanie mnie w Holandii na samą górę.

Dla Boba Schule'a za przyjaźń, entuzjizm oraz talenty redaktorskie.

Dla Chucka Betacka za wyjaśnienie wszystkich kwestii związanych z wojskowością.

Dla rodzin Jane Ryon, Griffina oraz Masona. Mam nadzieję, że podobały się Wam postaci.

Dla mojego kumpla Carla Browna. Liczę, że ucieszył Cię widok Twojego imienia i nazwiska w druku.

Dla Kristen, Natashy i Erin. Bez Was byłbym rozpaczliwie bezradny.

Oraz dla Rolanda Ottewella za kolejną znakomitą adiustację tekstu.

Przypisy

- 1) DEA (Drug Enforcement Agency) – amerykańska agencja rządowa do walki z narkotykami (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). ↵
- 2) *Sunset by the Sea* (ang.) – zachód słońca nad morzem. ↵
- 3) The Florida Panhandle – nieoficjalne określenie północno-zachodniej części stanu Floryda, pasa lądu o długości ok. 320 km i szerokości 80–161 km. ↵
- 4) *Paradise* (ang.) – raj. ↵
- 5) USDB (United States Disciplinary Barracks) – Wojskowy Zakład Karny Armii Stanów Zjednoczonych. ↵
- 6) United States Army Rangers (w skrócie Rangers) – elitarna formacja Armii Stanów Zjednoczonych do operacji specjalnych na całym świecie. ↵
- 7) *Rangers lead the way* (ang.) – motto formacji Rangers. ↵
- 8) Marines (United States Marine Corps) – Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych; SEAL (United States Navy Sea, Air and Land Teams) – siły specjalne marynarki amerykańskiej. ↵
- 9) *Emerald Coast* (ang.) – Szmaragdowe Wybrzeże. ↵
- 10) MP (Military Police) – żandarmeria wojskowa. ↵
- 11) CWO (Chief Warrant Officer) – starszy chorąży. ↵
- 12) *Cookie* (ang.) – ciasteczko. ↵
- 13) Bloods, Crips – zwalczające się nawzajem gangi uliczne wywodzące się z Kalifornii. ↵
- 14) *Paradise is forever* (ang.) – Raj trwa wiecznie. ↵

- 15) Dyludi i Dyludam – postaci z *Alicji w krainie czarów*. ↵
- 16) Wojna Dwóch Róż – wojna domowa w Anglii tocząca się w XV w. między rodami Lancasterów (z czerwoną różą w herbie) i Yorków (biała róża w herbie). ↵
- 17) Fortune 500 – lista pięciuset największych amerykańskich firm klasyfikowanych według przychodów brutto. ↵
- 18) DoD (Department of Defense) – Departament Obrony. ↵
- 19) Dębowe liście – rodzaj amerykańskiego odznaczenia wojskowego. ↵
- 20) RPG (*rocket propelled grenade*) – ręczny granatnik przeciwpancerny. ↵
- 21) Nawiązanie do słów generała wojny secesyjnej Nathana Bedforda Forresta, genialnego stratega konfederatów, słynącego z barwnych powiedzeń. ↵
- 22) Kolej podziemna (ang. Underground Railroad) – umowny szlak ucieczki zbiegłych niewolników. ↵
- 23) *Night Stalkers* (ang.) – dosłownie: „nocni prześladowcy”. ↵
- 24) IED (*improvised explosive device*) – improwizowane urządzenie wybuchowe. ↵
- 25) Gulf piątka (Gulfstream V) – najwyższej klasy samoloty odrzutowe używane przez rządy kilku krajów. ↵

ŚLADY



ZBRODNI

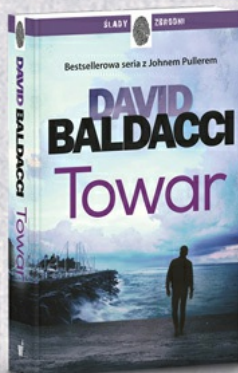
Towar

Mroczna tajemnica w sercu raju

Agent śledczy John Puller dowiaduje się o śmierci swojej ciotki. Ciało znaleziono na jej posesji, w miejscowości Paradise na Florydzie. Zdaniem lokalnej policji doszło do wypadku. Puller udowadnia jednak, że w sprawę były zamieszane osoby trzecie.

Pozornie miasteczko Paradise wydaje się utożsamieniem swojej rajskiej nazwy. Ale Puller, zagłębiając się w śledztwo, odkrywa, że miejscowej społeczności bliżej do piekła niż raj.

Seria z Johnem Pullerem



Patronat medialny:

 lubimy czytać.pl

CRIME+
INVESTI
GATION
POLSAT



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5962-5

EAN 9788327159625

U.WD.KRW098.1.01.01